

HORYZONTY ZDARZEŃ

ANDRZEJ W.  
**SAWICKI**

SIŁOCZE  
KONCERZE



HORYZONTY

ZDARZEN

ANDRZEJ W.  
**SAWICKI**

SIŁOCZE  
KONCERZE



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

# I

Pozwolono mu śnić. Jego świadomość umieszczono w zamkniętym pakiecie danych, ale uzbrojono ją w program podtrzymujący. Dzięki niemu czuł upływ czasu i mógł snuć marzenia. To miało być nagrodą za wzorową służbę, ale szybko okazało się przekleństwem. Bezcielesność i bezradność sprawiały ból. Męczyły swoją jednostajnością, ponurą nieuchronnością i brakiem jakichkolwiek bodźców zewnętrznych. Zataczał się we wspomnieniach, odgrywał dawne walki, rozmowy i spotkania, ale nie sprawiało mu to przyjemności, nie budziło bowiem żadnych emocji. Nie miał ciała, gruczołów ani biologicznego mózgu, więc nie mógł odczuwać. Programu podtrzymującego nie zaopatrzonego w symulator emocji, więc nie był prawdziwą istotą, a jedynie zbiorem wspomnień, cieniem dawnego siebie.

Oznaczono go w pakiecie jako demiurga, co świadczyło o tym, że Wielojazn się z nim liczy. Przechowując go w stanie częściowej aktywności, dodatkowo podkreślała szacunek, jakim go darzy. Dziwił się, czemu dawniej się przeciw niej buntował; raz nawet wywołał powstanie i próbował uciec przed skasowaniem cielesności i wirtualizacją. Miał jednak wtedy uczucia i emocje, nad którymi nie zawsze potrafił panować. Obiecał sobie, że przy kolejnym ucieleśnieniu nie pozwoli się ponieść biologicznym porywom. Tymczasem pozostawało mu czekanie.

Wreszcie system powiadomił go o zmianach. W czasie penetrowania infopola wiązka wodząca natrafiła na rosnącą gęstość informacji i natychmiast wysłała sygnał do programów strażniczych. Zespół poszukiwawczy, służący do lokalizowania dostatecznie rozwiniętych cywilizacji, odnotowywał trafienie średnio co kilkaset cykli, programy zdecydowały zatem o natychmiastowym zaalarmowaniu Wielojazni. Składające się na nią byty szczyły się częściową prekognicją, więc rozpoczęły proces snucia snów poświęconych znalezisku. Pierwsze wizje okazały się obiecujące, wykryty świat należał do najwyższej klasy.

Wypełniał informacjami swój klaster infopola od kilku tysięcy lat, ale dopiero teraz osiągnął gęstość odpowiadającą cywilizacji pretechnologicznej, która w sam raz nadawała się do zainfekowania i przetworzenia. Sny potwierdziły interesującą fizyczność świata umożliwiającą rozwój życia opartego na związkach węgla. Bez zwłoki rozpoczęto zatem procedurę inwazyjną.

W infopole wystrzelono bramę, która ruszyła na poszukiwanie miejsca o największej gęstości danych. Zwyczajowo okazywały się nim skupiska istot myślących, czyli aglomeracje miejskie. Brama zlokalizowała przebieg o najwyższej intensywności, jedno z największych miast w tym świecie

zanieczyszczające infopole danymi produkowanymi przez istoty obdarzone świadomością i wolną wolą. Wystrzeliła boje, które przeżarły barierę między wymiarami i zakotwiczyły się w materialnej rzeczywistości.

Na niebie nad miastem z hukiem dartej przestrzeni wykwitła ognista kula. Po czasie potrzebnym na wstępną materializację bramy emisja energii zaczęła się zmniejszać, a płonąca anomalia stopniowo stygnąć. Zaczęła też działać na nią fizyczność świata, szczególnie strumienie grawitonów wytwarzanych przez planetę. Brama opadła na powierzchnię i zgasła.

Uruchomiono programy pomostowe i utworzono magistralę, którą przesłano dane inwazyjne do bramy. W oczekiwaniu na stworzenie stałego pomostu i pełną materializację rozpoczęto emisję informacji zakażającej lokalną rzeczywistość. Pierwszy etap inwazji uznano za zakończony sukcesem. Brama przeszła w stan obniżonej aktywności, a do czasu rozpoczęcia procedury wtargnięcia do kontinuum miała emitować wyłącznie promieniowanie ezoteryczne.

Demiurg wiedział, że czas jego zawieszenia w niebycie właśnie się skończył.

## **Stambul**

### **10 dżumada II Anno Hegirae 1088**

### **10 sierpnia Anno Domini 1677**

Dorota przejechała dłonią po leżącym na stole liście. Napisano go w języku, z którym od lat nie miała kontaktu, ale ciągle budzącym w niej intensywne uczucia. Co prawda mocno mieszane, w których nostalgia za porzuconą ojczyzną szła w parze ze strachem i nienawiścią, ale zawsze gwałtowne. Łacińskie litery układały się w zamaszyste ciągi rozkazów i pouczeń popartych konkretną groźbą. Wypełnisz nasze polecenia albo twój brat skończy na mękach. Krótko, bez upiększeń i ogródek. Widać było, że list pisał dowódca wojskowy, mąż pozbawiony skrupułów, stanowczy i zdecydowany. Do tego starannie wykształcony i biegle posługujący się piórem. Inteligentny, bezwzględny drań.

Wstała od stołu, w zamyśleniu wachlując się pismem. Przeszła przez sypialnię, w przelocie zerkając do lustra. Patrzyła z niego kobieta wysoka i postawna, poruszająca się z dumnie uniesioną głową, o zielonych oczach i jasnej cerze. Minęła jej czterdziątka, ale zachowała urodę i świeżość. Rysy twarzy Doroty uchodziły za plebejskie i pospolite, ale miały to coś, siłę i niepokorność

odzwierciedlające jej charakter, przez który często pakowała się w kłopoty.

Dorota Falak pozostawała niezamężna, w dodatku pochodziła z wrogiego Osmanom kraju, ale mimo to w Stambule szczyła się wielkim poważaniem i szacunkiem. Jako jedyna kobieta w całym imperium mogła posługiwać się tytułem al-hakima, czyli mędrca. Przewyższała tym samym rzesze tureckich medyków i chirurgów, którzy sztuki leczenia uczyli się w najlepszych stambulskich medresach. Ona nigdy nie studiowała na żadnej uczelni. Po pierwsze, była kobietą, po drugie, pochodziła z gminu. Jej ojciec był pańszczyźnianym chłopem spod Raciborza i ani mu było w głowie kształcenie córki. Wszystko, co osiągnęła, zawdzięczała wyłącznie sobie.

Z zadowoleniem przyjrzała się swojemu strojowi. Nosiła bufiaste spodnie i pantofle o zadartych noskach uszyte z delikatnej koziej skórki. Do tego koszulę o haftowanych brzegach i krótkich rękawach, na którą zarzuconą miała lekką kamizelkę i sięgający ziemi kaftan. Jasne włosy ukrywała, by nie obrażać Boga, pod hidżabem z prawdziwego jedwabiu. Jako kobieta silna i niezależna nie zakładała burek, chodziła po mieście zawsze z odsłoniętą twarzą. Pomyśleć tylko, że gdyby została w kraju, nosiłaby zgrzebną kieckę i zgięta wpół pieliałaby warzywniak lub robiła obiad swojemu harującemu w polu chłopu.

Wyszła wreszcie z sypialni i zeszła na dół, do gabinetu. Zza okien o przymkniętych dla ochrony przed upałem i kurzem okiennicach dobiegał wielkomięski gwar. Nawoływania handlarzy i żebraków, okrzyki kupców próbujących przejechać wózkami z towarem przez wąskie uliczki, śmiechy i wrzaski dzieciaków, stukanie rzemieślniczych młotków, a nawet śpiew ulicznego grajka. Jej dom znajdował się w ruchliwej *mahalli* leżącej w samym centrum Stambułu. Zainwestowała w tę siedzibę naprawdę sporo, ale tego wymagał jej zawód. Dzięki dobrej lokalizacji nigdy nie narzekała na brak pacjentów, właściwie musiała znacząco podwyższyć ceny za usługi, by ograniczyć ich nieustanny napływ.

– Złe wieści? – spytała Jitka, siedząca na stolem zawalonym papierami.

– Takie sobie. Szantażują mnie – burknęła Dorota, zerkając na niewolnicę.

Jitka Janackova jeszcze niedawno była zakonnicą z morawskiego klasztoru. Miała dwadzieścia dwa lata i urodę anioła z kościelnego obrazu. Była drobna, o małych, szpiczastych piersiach i wąskich biodrach, za to skórę miała alabastrową, a twarz delikatną i doskonale piękną. Zupełne przeciwieństwo dużej i topornej Doroty. Za to tak samo jak al-hakima młoda Czeszka była niepokorna i wyszczekana. To właśnie dlatego wylądowała w klasztorze. Ojciec próbował dobrze wydać ją za mąż, ale oznajmiła, że jeszcze w noc poślubną zaszlachtuje wieprza, z którym ją zwiążą.

– Ten knur miał brzuszysko jak becza, czyraki na głowie, od których niemal zupełnie wyłysiał, a poza tym cztery wstrętne bachory z pierwszego

małżeństwa – opowiadała z przejęciem Dorocie, gdy któregoś wieczoru sobie popiły. – Nie rozstawał się z bukłakiem piwka, od którego ciągle popuszczał w spodnie. Na dwadzieścia kroków śmierdział moczem i cebulą, tak że szczypało w oczy.

– Nie kochałaś go – domyśliła się Dorota.

Jitka kopnęła grubasa w toczoną podagrą stopę, gdy próbował ją podszczypywać w czasie zaręczyn. Omal nie skończyło się to dla jej ojca, ubogiego szlachcica, katastrofą finansową, bo absztyfikant był plenipotentem większości jego długów. Została więc nowicjuską z zamkniętym klasztorze, niejako za karę. Spędziła tam rok z okładem, do czasu, gdy Morawy zostały najechane przez zagony Tatarów. Ordyńcy spustoszyli Czechy, część z nich dotarła niemal pod Wiedeń, inni ruszyli do Szwabii i Bawarii. Po drodze łupili co się dało, ale ich główną zdobyczą byli jeńcy.

Jasyr złożony początkowo z setek, a potem tysięcy ludzi, odartych do naga i powiązanych sznurem za szyje, pędzono przez pół Europy, aż do granic imperium osmańskiego. W większych miastach Tatarzy zamieniali zdobycz na bręczące złoto, handlując z Turkami mającymi specjalny patent uprawniający do obrotu żywym towarem. Dorota stała się posiadaczką takiego bezcennego dokumentu przed kilkoma laty i używała go, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Wiedząc o wyprawie ordyńców, udała się im naprzeciw i całkiem tanio nabyła pięć tuzinów kobiet i tuzin chłopców. Handel był zajęciem znacznie bardziej intratnym niż przecinanie czyraków oraz leczenie biegunki i owrzodzeń, czym się na co dzień parała.

Tak stała się właścicielką Jitki, wtedy niemal konającej. Ordyńcy używali sobie na „ciałach”, ale tak, by ich nie uszkodzić. Szczególnie dbali o cenne dziewice, a do nich zaliczała się młoda zakonnica. Jeden z bejów upatrył sobie jednak ślicznego aniołka i postanowił zabawić się z nim, wtykając mu kutasa w usta. Omal go przy tym nie stracił, bo Jitka bronila się zębami. Za ugryzienie podziękował jej, nie żałując kańczuga, tak że gdy Dorota wypatryła ją wśród niewolników, ślicznotka wyglądała jak okrwawiony, uwalony odchodami i błotem zlepek nieszczęścia.

Dzięki medycznym umiejętnościom doprowadziła skatowaną dziewczynę do ładu, zdobywając za półdarmo cenną asystentkę. Jitka potrafiła bowiem czytać i pisać, a przede wszystkim liczyć. Do tego była inteligentna i zaradna. Al-hakima od dawna kogoś takiego potrzebowała. Jej dotychczasowi asystenci zupełnie się nie sprawdzili. Pierwszym był kupiony w podobnych okolicznościach kadet austriackiej armii Ludwik Gablenz, który nadawał się jedynie do rozrywek w łóżnicy. Poza tym był niegodny zaufania i musiała go przykuwać na noc do nogi łóżka. Sprzedała go perskim kupcom, nabywając w zamian dwóch Gruzinów. Ci okazali się jednak niechlujnymi, tępyimi osiłkami. Połamała na ich grzbietach wiele

różeg, ale niewiele to dało, ich zatem również się pozbyła, przeznaczając na eunuchów.

Za to Jitka była darem niebios. Pomogła uporządkować rachunki Doroty, a po miesiącu przejęła ich prowadzenie. Stworzyła również kartotekę pacjentów i opanowała chaotyczną stertę weksli oraz zobowiązań zgromadzonych przez al-hakimę w kuferku służącym za skarbczyk. Dorota bowiem zajmowała się także działalnością bankową, trochę nielegalnie i w tajemnicy, pożyczając potrzebującym złote para i srebrne akcze. Zawsze na wysoki procent, zupełnie jak żydowscy lichwiarze.

Jitka odkryła tam też dwa tajemnicze listy pisane po włosku i jeden po niemiecku. Domyśliła się, że Dorota w swojej bezczelności świadczy podejrzaną usługę przedstawicielom Republiki Weneckiej i Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Wręczyła jej te papiery, a al-hakima bez słowa wyjaśnienia je zniszczyła. Sprawa współpracy z nieprzyjaciółmi imperium uznana mogłaby zostać za zapomnianą, gdyby nie kolejny list, przyniesiony przez mężczyznę w mundurze janczara, a napisany po polsku. Dorota była nim tak wstrząśnięta, że by go przeczytać, pobiegła na górę, do sypialni, i zamknęła się na skobel. Zupełnie jakby się bała o dyskrecję niewolnicy, kucharki i parobka, którzy byli jej jedynymi służącymi.

– Szantaż? Chcą od ciebie złota? – spytała Jitka.

– Nie, to nawet nie to. Żądają, bym była na ich usługi, kiedy do miasta przyjedzie poselstwo. Mam również zająć się kwestią uwolnienia chrześcijańskich jeńców przetrzymywanych w Twierdzy Siedmiu Wież. – Dorota niedbale machnęła ręką.

– Ale na czyich usługach masz pozostać? Skąd przyjedzie poselstwo? Z Polski? – strzelała Jitka, odkładając pióro i starannie zamykając kałamarz.

– Będą tu jeszcze dzisiaj – przytaknęła al-hakima. – Wytropili mnie, sukinsyny. Muszą mieć w mieście przynajmniej kilku szpiegów. Wiedzą, czym się zajmuję i że jestem osobą, przed którą otwiera się wiele drzwi. Poseł, prócz uprawiania polityki z sułtanem, ma też wykupić polskich jeńców. Chcą, bym dopilnowała, żeby znaleźli się wszyscy, którzy jeszcze nie wylądowali na galerach, i żeby stało się to za jak najmniejszą kwotę. Grożą mi, dranie...

– Czym? Powiedzą Turkom, że jesteś zdrajczynią? – pytała Jitka.

Dorota usiadła na krześle naprzeciw biurka asystentki i potarła czoło. Musiała wziąć się w garść; przecież niczego strasznego od niej nie wymagają. Nie nakłaniają do szpiegostwa, jedynie pomocy w kwestii jeńców. To nic wielkiego. Poradzi sobie z tym, a następnym razem, kiedy będzie miało przyjechać polskie poselstwo, wyjedzie w interesach gdzieś w głąb Anatolii lub nawet do Kairu.

– To długa historia. – Machnęła ręką. – W każdym razie odnaleźli mojego brata i przymknęli go w ciemnicy. Grożą, że go zamęczą, jeśli się nie zgodzę. W ramach kary za to, co dla mnie zrobił, gdy opuszczałam Polskę. Musiałam

wtedy uciekać, a on... Och, durny Jędrus zabił człowieka, by umożliwić mi ucieczkę. Ale to było tak dawno! Minęło ponad dwadzieścia lat. Jak oni na to wpadli?

– Co za oni? Kto konkretnie ci grozi?

– Hetman polny koronny Stanisław Jabłonowski. I co, mówi ci coś to nazwisko? Znasz polskich dowódców i watażków? To co się głupio pytasz? – warknęła Dorota. – Wiem tylko, że ten jegomość został hetmanem rok temu, zaraz po koronacji Sobieskiego. To prawa ręka Lwa Lechistanu, odpowiedzialna za ochronę południowo-wschodnich granic Rzeczypospolitej. Od razu się można przekonać, że to energiczny typ. Założę się, że po otrzymaniu buławy najpierw zabrał się do umocnienia siatki szpiegów i pozyskania kolejnych. Nie patyczkuje się i nie cofa przed szantażem czy wywlekaniem brudów. To trudny przeciwnik i wygląda na to, że na razie muszę robić, co sobie zażyczy.

– Chyba że zagrasz zimną sukę i machniesz ręką na brata – powiedziała Jitka, po czym wstała i nalała z dzbanka wody zagotowanej z cytryną. Podąła napój al-hakimie. – Nie widziałas go dwadzieścia lat, może tak naprawdę od dawna nie żyje?

– Żyje. Hetman opisał kilka szczegółów, których raczej nie wymyślił. Jędrak ma żonę i trójkę dzieci. Jeśli szybko nie wyjdzie na wolność, nie będzie komu dać im żreć. Bratową, której nigdy na oczy nie widziałam, akurat mam w nosie, tak samo jak bratanków, ale Jędrka naprawdę mi szkoda. To niewinny, naiwny, niezbyt rozgarnięty chłopak o wielkim sercu.

– Tobie kogoś szkoda? – zdziwiła się niewolnica. – Myślałam, że jesteś najtwardszą babą chodzącą po ziemi.

– Nie pozwalaj sobie, niewolnico! – burknęła Dorota, po czym napiła się wody.

Jitka pozwalała sobie na znacznie bardziej bezczelne komentarze, wiedząc o swojej wartości dla al-hakimy i słabości, jaką ta ma do niej. Sama czuła do Doroty coś w rodzaju mieszaniny wdzięczności, odrazy i przywiązania. Brzydził ją zupełny brak skrupułów i moralności Polki, ale podziwiała jej siłę i zaradność. Oprócz tego winna jej była uratowanie życia. Dostrzegła również liczne rysy na wizerunku twardej i bezwzględnej al-hakimy. Dorota potrafiła okazać bezinteresowną dobroć i czułość, do tego potrzebowała towarzystwa i kogoś, komu mogła się wygadać. Ktoś taki nie mógł być prawdziwym potworem. To dzięki niej Jitka nauczyła się w pół roku tureckiego, bo tym językiem najczęściej się posługiwały.

– Janczar przekazał mi adres hanu, w którym zatrzyma się poselstwo. Mam stawić się tam wieczorem, by odebrać polecenia – powiedziała Dorota. – Chyba pójdę się wcześniej odprężyć do łaźni. Idziesz ze mną?

– A co z pacjentami? Miałaś dziś odwiedzić harem paszy i zbadać jego



ciężarną żonę. Czeka ją też odwiedziny u celnika, któremu wóz przejechał po stopach. Jest jeszcze...

– Wiem, wiem! – warknęła al-hakima. – Niech no tylko pozbędę się ostatniej dostawy „ciał”, a zamknę praktykę. Kupię dom w spokojniejszej *mahalli* i będę zajmowała się uczciwą lichwą. Biedacy próbujący pożyczyć pieniądze nie są tak męczący jak wiecznie wymagający troski, jęczący pacjenci.

– Też bym wolała, byśmy przeprowadziły się do domu z ogrodem, gdzie mogłabym uprawiać kwiaty. I najlepiej, by był blisko morza. Uwielbiam morską bryzę, jest podobno dobra na cerę.

– Bzdura – ucięła Dorota. – Wyślij parobka z wiadomością do pacjentów, że odwiedzę ich jutro rano. Idziemy do łaźni, a po drodze zabierzemy Papatyę.

Jitka posłusznie skinęła głową i zebrała papiery. Życie u boku Doroty okazało się znacznie ciekawsze niż w klasztorze. Al-hakima nie lubiła się nudzić, a rutyna ją drażniła. Ciągłe wymyślała coś, by urozmaicić codzienny kierat, by się zabawić lub wybrać na łąkę po mieście. Co prawda los niewolnicy nie należał do najciekawszych, ale niewola nie była dla Jitki uciążliwa. Właściwie mogła robić co chciała i niczego jej nie brakowało. W morawskim klasztorze o zimnych, wilgotnych celach, na wikcie złożonym z kaszy i wody nie było tak wspaniale. Dziewczyna zatem nawet nie myślała o wolności i powrocie do domu. Domu nie miała, w Czechach czekało na nią wyłącznie więzienie, i to znacznie gorsze niż w Stambule.

\* \* \*

Z domu wyszły koło południa, w największy upał. Choć z nieba lał się żar nie do wytrzymania, ruch na ulicach wcale nie zelżał. Musiały przemykać między wozami i wielbłędami, mijały niesione przez niewolników lektyki i poruszające się pieszo rzesze ludzi o wszystkich możliwych kolorach skóry. W głośnym gwarze dominował turecki, ale równie często słychać było hebrajski, grecki, arabski i ormiański. Największa metropolia na świecie, centrum cywilizacji, nieustannie kipiała, tętniła życiem i ruchem.

Minęły meczet, na który Dorota, jako bogobojna muzułmanka, płaciła *wakf*, i stojący przy nim szpital, również utrzymywany z ofiar wiernych. Przy nim znajdowały się przytułek dla sierot i jadłodajnia dla ubogich. Zastali Papatyę zajęłą wydawaniem dzieciom owoców, nieco przejrzałych, ale nadających się do jedzenia. Derwiszka potrafiła zdobyć takie frykasy, wędrując po targowiskach i zaczepiając kupców oraz straganiarzy. Miała swoich stałych dostawców, którzy sami przynosili jej niesprzedany towar. Każdy z nich był zachwycony, że może w tak prosty sposób zapracować na zbawienie i przypodobać się Allachowi.

– Dorota! Świetnie, że wpadłaś. Miałam do ciebie zajrzeć, chcę ci coś pokazać – powiedziała mniszka z uśmiechem.

Papatya była Turczynką należącą do jednego z bardziej tajemniczych zakonów derwiszów. Członków jej zgromadzenia nazywano bektaszytami i uważano za dziwaków. Przejęli oni sporo zwyczajów z tradycji chrześcijańskiej i połączyli je z wiarą islamską, dodając do tego praktyki szamanistyczne oraz ezoteryczne. Przyjmowali w swoje szeregi kobiety, i to na równych prawach, do tego nie przestrzegali ramadanu i pili alkohol. Dzięki działaniom takich zakonników i zakonnicy jak Papatya cieszyli się wielką popularnością wśród prostych ludzi.

Mniszka była kobietą młodszą i znacznie niższą od Doroty, ale równie korpulentną. Miała czarne, głębokie oczy i mocne, uniesione brwi nadające jej twarzy wyraz zaskoczenia lub zdziwienia. Uśmiech nie zniknął z jej ust, przez co dzieci do niej lgnęły, a wszyscy pouczeni i ganieni wierni przyjmowali jej uwagi z pokorą i sympatią.

Dorota skinęła na Jitkę, ta zaś dygnęła, po czym zastąpiła derwiszkę przy koszach z owocami. Czeszka również lubiła dzieci i czasem zdarzało się jej pomagać Papatyi w sierocińcu, szczególnie przy opiece nad maluchami. Mieli tu niemal pięćdziesiąt dzieciaków, najczęściej takich, których rodzice padli ofiarą zarazy. W Stambule nie było wiele sierot – wałęsające się bezpiecznie dzieci wylapywali albo handlarze niewolników, albo janczarzy. Wychowankowie tego sierocińca należeli do tej drugiej kategorii. Kiedy podrosną wystarczająco, chłopcy trafiają do koszar jako kadeci, a dziewczynki za nimi jako nałożnice lub żony janczarów.

– Chodźmy do mojego gabinetu. – Derwiszka pociągnęła Dorotę do sierocińca.

Znalazły się w niewielkim pomieszczeniu z rozścielonym na podłodze dywanem, na którym natychmiast usiadły. Poza tym jedynymi meblami były dwie skrzynie i niski stolik z przyborami do pisania. Papatya natychmiast wyciągnęła ze skrzyni kamionkową butlę ze słodkim, mocnym winem, które zwykle rozcieńczała wodą. Alkohol kupowała od greckich lub ormiańskich kupców, ale przez sąsiedztwo meczetu zbytnio się z tym nie obnosiła. Dorota mimo przejścia na islam nie zrezygnowała z wina, ale by nie obrażać Allacha, pijała je jedynie w nocy lub pod dachem, gdzie Bóg nie zaglądał. Wypiły zatem po łyku, a potem derwiszka wyciągnęła grubą talię kart.

– Chciałam cię zabrać do łaźni, by spokojnie pogadać, nie chcę wróżb – westchnęła Dorota. – Słuchaj, jeden z ludzi Abdul Agi przyniósł mi list napisany przez polskiego hetmana.

– Wiem, zupowy już mnie o tym poinformował. Masz robić, co chcą Polacy, ale codziennie sporządzać raporty i przekazywać je przeze mnie – rzuciła niedbale

Papatya, jakby mówiła o czymś nieistotnym, a nie o szpiegostwie.

Kobiety poznały się za pośrednictwem oficera janczarów, zupowego Adbul Agi, kiedy Dorocie zaproponował współpracę kupiec pochodzący z Wenecji. Zrobiono z niej wtedy podwójną agentkę. Szpiegowała na rzecz obcych mocarstw, ale pod egidą janczarów, którzy kontrolowali i modyfikowali przekazywane przez nią informacje. Właśnie dowiedziała się, że będzie robić to nadal, ale tym razem manipulując Polakami. Niezbyt jej się to uśmiechało, bo kiedy Polacy domyślą się, że jest agentką tureckiego wywiadu, zemszczą się na jej bracie. Nie miała takich rozterek, gdy chodziło o Wenecjan i Austriaków, ale teraz sytuacja nieco się komplikowała i robiła dla niej niewygodna.

Papatya nie zwróciła uwagi na jej zasępienie, jakby całe to szpiegowanie było czymś zupełnie niegodnym uwagi. Bektaszytka, jak wszyscy derwisze, sama należała do korpusu janczarów, a dokładnie do 99. dywizji. Nigdy nie nosiła munduru, pełniąc wyłącznie funkcje wywiadowcze, ale bez specjalnego entuzjazmu. W wojsku miała stopień pomywaczki kotła, odpowiadający porucznikowi w europejskich armiach, nigdy jednak nie wykorzystywała zwyczajnych z nim przywilejów i zdawała się o nim nie pamiętać. Interesowały ją tylko sieroty i ezoteryka, dwie życiowe pasje. Szczególnie upodobała sobie karty tarota, których jedną talię dostała niedawno od Doroty.

– Z pewnością słyszałaś o dziwadle, co to się objawiło dwie noce temu – zagaiła Papatya, tasując karty.

– O dziwadle? Chodzi ci o rozbłysk i huk, które część ludzi wzięła za początek trzęsienia ziemi, a część za ostrzał armatni? – spytała Dorota i pociągnęła kolejny łyk wina. – Huku trudno byłoby nie słyszeć. Spałam błogo jak niemowlę, gdy to się stało. Zerwałam się i wybiegłam w samej halce na ulicę. Byłam przekonana, że dom się wali. Wszyscy kompletnie oglupieli, bo jasno się zrobiło jak w dzień. Jarząca się białą kulą światła wisiała nad miastem, gdzieś nad Złotym Rogiem. A potem powoli się obniżyła, gasnąc, i chyba w końcu spadła do wody. Zrobiło się ciemno i cicho, ludzie gadali, że to spadająca gwiazda, która wpadła do zatoki. To się ponoć zdarza. Z nieba leci płonący kamień, który wywala mniejszą lub większą dziurę w ziemi. Czasem wybucha i rozpada się na kawałki jeszcze w powietrzu. Znajdziesz opisanych wiele takich przypadków, wystarczy poszperać w bibliotekach.

– Wielu gada, że to zły znak. Wiem, zawsze tak mówią, gdy pojawi się kometa lub inne niezrozumiałe zjawisko. – Papatya uśmiechnęła się, dała Dorocie karty do przełożenia, po czym zaczęła rozkładać je w jakiś wróżebny wzór. Wszystkie łądowały na dywanie koszulkami do góry, rozdzielane na wiele kupek. – Ale tym razem może coś w tym być. Mój kot uciekł tej nocy i już nie wrócił, odleciały również ptaki. Przejdź się do portu, gdzie zawsze panował jazgot mew walczących o odpadki. Panuje tam głucha, nienaturalna cisza. Ludzie coraz więcej

gadają.

– Zwierzęta uciekają przed nadciągającym pożarem lub trzęsieniem ziemi – zauważyła Dorota. – Może rzeczywiście coś się szykuje?

– Gwiazda nie spadła do zatoki, tylko spokojnie obniżyła się i pacnęła o ziemię w Sağmalcılar – powiedziała konfidencyjnym tonem derwiszka. – Spaliła, a właściwie spopieliła całą garbarnię, łącznie z murowanymi zabudowaniami, i utknęła w ziemi. Janczarzy otoczyli teren, wielki wezyr kazał go ogrodzić i nikogo nie wpuszczać. Wysiedlono kilkadziesiąt rodzin, ale to nie koniec. Planuje się wyburzenia, by zrobić esplanadę wokół punktu lądowania dziwadła. Od dwóch dni trwają oględziny na miejscu, zwołano nawet zebranie Dywanu w tej sprawie. Jak się domyślasz, nie mogłam przegapić okazji zobaczenia czegoś niezwykłego. Pogadałam z chłopakami pilnującymi dziwadła i weszłam na strzeżony teren. Udało mi się podejść całkiem blisko, zanim dopadł mnie patrol i wyprowadził.

– Sağmalcılar? Czy to nie te ohydne, śmierdzące przedmieścia zamieszkane przez najgorszą hołotę? Jest tam siedziba cechu garbarzy, prawda? Przejeżdżałam raz tamtędy. To okropne miejsce – stwierdziła Dorota. – Wielki wezyr powinien kazać zrównać je z ziemią, a garbarzy przepędzić.

– Nie da się, to najpotężniejszy cech w mieście. Jeśli zabierze się im siedzibę, przeniosą się gdzie indziej. Choćby tu – zauważyła Papatya. – Ale to nieważne. Posłuchaj, co tam zobaczyłam. Dziwadło to nie żadna spadająca gwiazda, tylko dziura w świecie! O! I co, zaskoczona?

– Dziura? I po to mnie tu zaciągnęłaś, zamiast przekazać tę rewelację w czasie moczenia się w chłodnej wodzie?

– Ale w łaźni nie napiłybyśmy się wina – zauważyła Papatya. – Dziwadło naprawdę skojarzyło mi się z dziurą. Ma nieregularny kształt, właściwie można powiedzieć, że jest bezpostaciowe. Pulsuje, kurczy się i rozszerza. Raz jest szparą szerokości człowieka, ale gdy chwilę mu się przyglądasz, ma rozmiar piętrowej chałupy. Do tego dochodzi całkowity brak koloru. Nie jest czarne czy białe, tylko coś pomiędzy.

– Szare?

– W pewnym sensie. Po prostu ludzkie oko nie radzi sobie z całkowitym brakiem barwy. Kiedy tak się na to gapiłam, rozumiałam, że to coś po prostu nie pochodzi z naszego świata. Jest zupełnie nienaturalne, kurczy się, rozszerza i faluje, bo nie może się dopasować do rzeczywistości. Nie odpowiada mu nasza fizyczność, nie może się w niej umościć. Dlatego nazywam to dziwadłem.

– To rzeczywiście ciekawe. Skąd się wzięło i co się z tym stanie? – Dorota wreszcie się zainteresowała.

– Podejrzewam, że powoli dopasowuje się do nas. Janczarzy mówili, że na początku dygotało i zmieniało się tak szybko, że od samego patrzenia żołnierze

rzygali jak koty. Teraz zdaje się stygnąć. Może za jakiś czas przyjmie właściwą formę, a wtedy się okaże, czym tak naprawdę jest – odparła Papatya. – Nie sposób odgadnąć, co z tego wyniknie. Jest jak przepoczwarczająca się w kokonie larwa. Dopóki z niego nie wylezie, nie wiadomo, czy to piękny motyl czy mroczna ćma.

– Wielki wezyr zachowuje ostrożność, każąc wyburzyć okolice i przygotować przedpole. Podejrzewam, że wyceluje w to coś armaty, przynajmniej ja bym tak zrobiła. Życzę mu powodzenia, ale szczerze mówiąc, mam teraz inne problemy na głowie niż jakieś bezkształtne dziwadła z innej rzeczywistości – stwierdziła Dorota. – Za kilka godzin będę musiała się użerać ze swoimi nadętymi, dumnymi krajanami. I jeszcze muszę być miła i usłużna.

Derwiszka wzruszyła ramionami.

– Taki los, dasz jakoś radę. Podgolone łby nie są podobno takie straszne, szczególnie teraz, gdy Rzeczpospolita jest osłabiona i przyjechali prosić o złagodzenie haraczu. Jakoś się o ciebie nie martwię. Spójrz na to. – Wskazała rozłożone karty. – Miałam przy sobie talię, gdy oglądałam dziwadło. Pamiętasz z grubsza figury? Dwadzieścia dwa Wielkie Arkana i pięćdziesiąt sześć Małych Arkanów. Głupiec, Mag, Papieżycy, Rydwan, Kochankowie, Koło Fortuny, Wisielec, Śmierć, Diabeł, Sąd Ostateczny i tak dalej. Ułożyłam je właśnie w zwykły układ wróżebny typu Dom z Wieżą. Postawię ci wróżbę, dobrze?

Dorota wzruszyła ramionami, hamując się przed złośliwym komentarzem. Nie wierzyła w te bzdury, ale nie chciała robić przyjaciółce przykrości.

– Zobaczmy, co karty powiedzą o twojej teraźniejszości i przyszłości. Zawsze najważniejsze są pierwsze trzy – przypomniła uroczyście, bo wróżbę stawiała Dorocie już nie pierwszy raz.

Pierwsza odwrócona koszulką w dół przedstawiała płonące nocą miasto z czerwoną luną bijącą w czarne niebo. Na drugiej namalowano splecionych w boju rycerzy, przy czym tylko niektórzy wyglądali jak ludzie, pozostali byli groteskowo zniekształconymi demonami. Trzecia karta ukazywała królową o wykrzywionej z bólu twarzy. Pozbawiono ją rąk, a z kikutów wystawały włókna nerwowe przywiązane do czegoś wyglądającego jak tron.

Dorota zmarszczyła brwi, zerkając na uśmiechniętą triumfalnie Papatyę. Nigdy nie widziała takich kart i była pewna, że w oryginalnej taliu ich nie ma.

– Następne trzy do szczegółowych interpretacji, rozbudowujące wróżbę – rzekła derwiszka i odwróciła kolejne karty.

Na pierwszej namalowany był prący przez miasto nieregularny owal, który miażdżył domy. Składał się z setek połączonych groteskowo ludzi, posplatanych różowymi sznurami wrastającymi w ciała. Kolejna przedstawiała skrzydlatych jeźdźców walczących z armią potworów. Ostatnia karta pochodziła ze znajomej taliu i nazywano ją Śmiercią. Nie! Jednak coś z nią było nie tak. Widoczna pod kapturem czaszka lśniła metalicznie, a oczy płonęły białym blaskiem.

– Kolejne karty układu służą do rozwinięcia wróżb. Czasem pomagają je zinterpretować lub ułożyć z nich historię – wyjaśniła Papatya.

Odsłoniła kolejne trzy karty. Wszystkie były zupełnie czarne.

– Co to ma znaczyć? Skąd wzięłaś tę talię? – spytała Dorota.

Derwiszka zgarnęła szybko karty i energicznie je przetasowała.

– To talia, którą mi podarowałaś – powiedziała i rozsunała talię koszulkami do dołu.

Dorota pochyliła się, szukając dziwnych obrazków, ale ujrzała same znajome. Małe Arkana z królami i damami oraz liczbami, a także Wielkie Arkana przedstawiające Głupca, Papieżycę i tak dalej. Znała je dobrze i wyglądały całkiem normalnie.

– Dziwadło emanuje niewidoczną moc. Karty się nią nasyciły, gdy stałam z nimi w jego pobliżu – wyjaśniła derwiszka. – Teraz, gdy stawiam wróżbę, zmieniają się. Pojawiają się na nich nieistniejące figury i obrazki. To niesamowite! Stałam się właścicielką prawdziwie magicznego instrumentu!

Dorota wzięła kilka kart i dokładnie je obejrzała. Podrapała jedną ilustrację i powąchała tekturę pokrytą twardym lakierem.

– Promieniuje moc, mówisz? Tak jak zapalona lampa, ale świecąca niewidocznym światłem? – Dorota zmarszczyła brwi. – A może to działa też na ludzi? Przecież stałaś koło tego czegoś i sama chłonełaś tę niewidoczną moc. Nie czujesz się dziwnie? Nic ci nie dolega?

Derwiszka niedbale machnęła ręką.

– Nic mi nie jest – prychnęła. – Widocznie te promienie wnikają wyłącznie w materię nieożywioną.

Al-hakima pokiwała głową, nie spuszczając przyjaciółki z oka. Może to nie karty stały się magiczne, ale ręce, które je tasowały i rozkładały? Nie wypowiedziała jednak swoich podejrzeń.

\* \* \*

Han, zwany szumnie wezyrskim, okazał się niewiele większy od poprzedniego. Michał Piotrowski pierwszy przekroczył jego bramę i rozejrzał się z ponurą miną. Hanami nazywano w Turcji różnego rodzaju karczmy i zajazdy. Różniły się nieco od europejskich, ale głównie architekturą, reszta była taka sama jak na całym świecie. Główny budynek służył jako noclegownia, a okalały go szopy i drewniane zabudowania gospodarcze, stajnie, kuchnia i drewnia.

Pan Michał był rotmistrzem chorągwi pancernej w służbie królewskiej i odpowiadał bezpośrednio przed kanclerzem Janem Gnińskim, wysłannikiem króla Jana do Porty. Nosił się zatem jak przystało na pancernego – mimo potwornego

upału na przeszywanicy miał ciężką kolczugę, a na głowie misiurkę. Kiedy zeskoczył z konia, cały jego rynsztunek zabrzączał metalicznie. Piotrowski był doświadczonym żołnierzem, do tego dość wiekowym, bo przekroczył już trzydzieści pięć lat. Na jego skroniach pojawiły się pierwsze siwe włosy, ale pozostawały jedynymi oznakami wieku. Nadal poruszał się sprężysto i energicznie jak młodzik.

Rzucił wodze jednemu z towarzyszących mu młodszych jeźdźców i skierował się do głównego budynku. Miał dokonać inspekcji hanu przed przybyciem Gnińskiego. Od razu dostrzegł jednak, że zajazd jest stanowczo za mały na potrzeby poselstwa. Zazgrzytał ze złości zębami. Polacy musieli rozłokować sześćset koni i kilkadziesiąt wozów oraz karet, znaleźć kwatery dla kilkuset ludzi, oficjalistów, żołnierzy i czeladzi. Turcy od początku im tego nie ułatwiali. Najpierw przez dwa dni nie pozwalali wjechać do Stambułu, trzymając Lachów w namiotach na rozpalonym i wysuszonym na wiór wzgórzu, potem dali han, w którym zmieściła się setka ludzi. Reszta nocowała na bruku okolicznych ulic. Wreszcie, po proteście zaniesionym do pałacu Topkapi, janczarski przewodnik zaprowadził ich do tego rzekomo wielkiego hanu, z którego na rozkaz padyszacha wyrzucono gości i rezydentów.

Wspomniany janczar towarzyszył im od Siedmiogrodu, służąc za przewodnika i dowódcę eskorty sułtańskiej. Teraz dogonił pana Michała jeszcze przed wejściem i otworzył przed nim drzwi, jak zwykle szeroko się uśmiechając. Uśmiech Abdul Aga miał sympatyczny, do tego zawsze zachowywał się przyjacielsko i starał się służyć pomocą. Nosił jasny, niezmiennie czysty mundur, a do tego wysoką białą czapkę zwaną *kecze* z opadającym daleko na plecy „rękawem”. Wiadomo o nim było, że piastuje stanowisko zupowego, czyli w hierarchii janczarskiej jest pułkownikiem. Mimo tego nawet do gjaurów takich jak Piotrowski odnosił się bez wyniosłości. I co najważniejsze, dobrze mówił po polsku.

– Mam nadzieję, że wysprzątało pomieszczenia – powiedział, sięgając po lampkę oliwną.

Okazało się, że pokoje w hanie są wąskie i ciemne. W niektórych małe okna znajdowały się pod sufitem, przez co wpadało przez nie zarówno niewiele światła, jak i świeżego powietrza. Z kolei największe sale wypełniały poustawiane równo łóżka, a znajdujące się w nich okna miały szczelnie pozamykane okiennice. Po wejściu do takiej komnaty pana Michała uderzyła fala smrodu tak silna, że musiał się cofnąć. Śmierdziało tu ludzkimi wyziewami, potem i ropiejącymi ranami. Stary pancerniak nieraz czuł taki zapach – kojarzył mu się z lazaretami, w których konali ranni żołnierze.

– Matko Boska, ten han to szpital – stwierdził po wycofaniu się na korytarz.

– Ale wysprzątały i niezwykle przestronny. Z pewnością pomieścicie w nim

niemal całe poselstwo. Konie będziemy musieli w części przekazać do stajni w sąsiedniej *mahalli* – powiedział lekkim tonem Abdul. – Nawet w największym mieście świata nie ma gospody zdolnej ugościć kilka chorągwi jazdy naraz! Ten han jest największy z dostępnych. Musicie uszanować dobrą wolę wezyra.

– To wezyr przydzielił nam te kwatery? A który, jeśli można wiedzieć? – spytał Piotrowski.

– Sam wielki wezyr Kara Mustafa wydał taki rozkaz – z szacunkiem odparł janczar. Wzniósł oczy do niebios w udawanym natchnieniu, dziękując Allahowi za tak wspaniałego dygnitarza, a potem mrugnął do pancernego i parsknął śmiechem.

Wesołość zupowego była niezwykle zaraźliwa i pan Michał się uśmiechnął. Dla obu było oczywiste, że przydzielając Polakom opróżniony w pośpiechu szpital, wezyr robił im na złość i chciał uprzykrzyć życie. Obaj jednak nie mieli na to najmniejszego wpływu, a poseł musiał jeszcze za tę łaskę wezyrowi podziękować.

Wyszli na zewnątrz i Piotrowski machnął do porucznika Mierosławskiego. Na dziedzińcu stała już cała chorągiew pancerna. Żołnierze posiadali z koni i skupili się wokół studni, z której właśnie wyciągali pierwszy kubek wody.

Oby Mustafa pasza nie kazał jej złośliwie zatruć – pomyślał pan Michał.

– Pootwierajcie wszystkie okiennice w hanie – rozkazał porucznikowi. – Wynieście wszystkie łóżka, sienniki zwalcie na kupę i spalcie. Prycze, które są zbyt śmierdzące lub uwalone ropą, również ciśnijcie w ogień.

– Rozkaz. – Mierosławski skinął głową. – Najlepiej byłoby spalić całą tę budę. Ale to może kiedy będziemy wyjeżdżali.

Kilku pancernych zostało przy koniach, zajmując się wyciąganiem wody ze studni i napełnianiem nią drewnianych koryt, reszta wkroczyła z porucznikiem do środka. Po paru chwilach w głębi hanu rozległy się głośnie przekleństwa i złorzeczenia. Okna na piętrze otworzyły się i zaczęły wylatywać przez nie prycze, by z trzaskiem rozpaść się na dziedzińcu. Pan Michał z Abdulem odeszli w cień rzucany przez szopy. Zanim pancerni usunęli ze środka szpitalne wyposażenie, kilku żołnierzy o słabszych żołądkach omdlało i wymiotowało, a potem zaległo w cieniu obok stojących oficerów. Zmęczeni upałem pancerni ściągnęli kolczugi, kaptury kolcze i misiurki, niektórzy rozebrali się do pasa. Nie wyglądało to wszystko ciekawie i na razie Piotrowski nie zamierzał wysłać konnego z zaproszeniem dla dygnitarzy. Lepiej było nie denerwować kanclerza Gnińskiego podobnymi widokami i niewygodami.

Na to wszystko, zupełnie bez ostrzeżenia, na podwórze wjechali nieproszeni przybysze. Pan Michał zmarszczył brwi, niezadowolony. Kawalkadę jeźdźców i wozów prowadzili husarze w nieodzownych lampartach i skrzydłach na czele z porucznikiem Semenem Błońskim, bezczelnym i pełnym buty Sarmatą, który traktował ze wzgardą wszystkich stojących niżej. Obok niego jechał młody



i greczny Jakub Kęsicki, a z drugiej strony jego już znacznie mniej przyjemny kuzyn Krzysztof Kęsicki. Towarzyszył im ksiądz Wawrzyniec Lisiecki w białym habicie cystersów. Razem z wozami ciągnęło kilkunastu pocztowych husarskich i kilku zmęczonych słońcem i kacem, a przez to mniej energicznych rycerzy.

– Pancerniacy coś okłapli – zauważył Krzysztof Kęsicki, dwudziestokilkuletni towarzysz husarski, mocno dziobaty na twarzy po przeżytej w dzieciństwie ospie, za to obdarzony niezwykle jasnymi, błękitnymi oczami.

Semen Błoński uśmiechnął się złośliwie pod wąsem i skinął na powitanie panu Michałowi.

– Czołem waszmości! Widzę, że zdążyliście nie tylko zaprzyjaźnić się z bisurmanem, ale nawet trzepiecie po jego pobratymcach sienniki. Czy żołnierzowi na służbie Rzeczypospolitej uchodzi paranie się czymś takim?

– Daj, acan, spokój – prychnął ksiądz Lisiecki. – Mości Piotrowski musiał się parać nie takimi sprawami w czasie posłowania do Turków. Ponoć odwiedzał obóz sułtański w czasie niefortunnej wyprawy cześnika podolskiego, pana Karwowskiego. Nie uszanowano wtedy godności poselskiej i wszystkich towarzyszących cześnikowi ograbiono do goła, poturbowano, a potem czyniono im liczne przykrości. Zbyt plugawe, by o tym mówić... Tak czy inaczej, ci, co ocalili, naprawdę wiele przeszli i nic dziwnego, że mogą słabować na umyśle.

– Ale że od gwałcenia w tyłek się bisurmanieje, to nie słyszałem. – Semen uśmiechał się coraz szerzej. – Słyszałem, że cześnika Karwowskiego też okradli i musiał do kraju wracać piechotą, poganiany przez ordyńców, co go po piętach witkami okładali. Jeśli tak traktowali posła, to strach pomyśleć, co zrobili jego mniej znaczącym towarzyszom. Sodomia na nich z pewnością była uprawiana przez całą drogę. Może od niej nasz pancerniak rozmiłował się w pohańcach? Nic dziwnego, że tak się brata z janczarami i kazał wojsku sprzątać po nich brudy.

Pan Michał, który od paru chwil zgrzytał zębami, wysłuchując obelg pod swoim adresem, bo husarze rozmawiali tak, by dobrze ich słyszał, wreszcie nie wytrzymał. Warknął głucho i dobył szabli, wynurzając się z cienia. Błoński kpił z niego od początku wyprawy, kiedy się dowiedział, że ma do czynienia z jednym z pogardzanych w całej Rzeczypospolitej szlachciców z ubogiego Mazowsza, tak zwanym mazowieckim szaraczkiem. Piotrowski rzeczywiście należał do niezamożnej i niewykształconej szlachty, która parała się rolnictwem i klepała biedę na nieurodzajnych ziemiach.

Pan Michał cierpliwie znosił niewybredne żarty i zniósłby jeszcze wiele kalumnii bez mrugnięcia, przywykł bowiem do tego i potrafił nad sobą zapanować. Ale Semen Błoński celnie uderzył, sugerując gwałty na pancerniaku. Żaden szlachcic nie mógłby puścić takiej obrazy mimo uszu, bo straciłby twarz.

– Odszczekasz wszystko, szcurzy jęzorze, albo zaraz posmakujesz mojej szabli! – ryknął, szybkim krokiem wychodząc naprzeciw Błońskiego.

Semen również nie był młokosem, choć miał kilka lat i doświadczenia mniej od Piotrowskiego. Nie miał też jego wzrostu i siły, za to słynął z niezwyklej szybkości i tego, że świetnie robi szablą. Ta zresztą pojawiła się w jego dłoni, ledwie pan Michał zdążył wyjść z cienia. Szlachciurze nie przeszkadzał ciężki husarski pancerz ani czarne skrzydło przymocowane do pleców. Ruszył ku pancerniakowi, śmiejąc się, jakby wreszcie spotkało go coś przyjemnego.

– Panowie, przestańcie! – krzyknął milczący do tej pory Jakub Kęsicki.

Najmłodszy z husarzy uchodził za spokojnego i małomównego. Nosił długie blond włosy, które kręciły się na końcach, a do tego miał równie błękitne oczy jak jego kuzyn Krzysztof. Wychylił się w siodle i machnął ręką, jakby chciał w ten sposób powstrzymać zacietrzewionych szlachciców.

Szable doskoczyły do siebie i odbiły z trzaskiem. To Semen zaatakował pierwszy, i to od razu, bez zmiłowania, tnąc „wkrzyż”. Było to straszliwe cięcie lubiane przez polskich szermierzy, trudne do obrony i umożliwiające płynne ponowienie go lub natychmiastowe przejście do kolejnego natarcia. Szabla śmignęła więc od dołu po skosie, odbita przez pana Michała przemknęła na drugą jego stronę i spadła, również po skosie. Wykonała w ten sposób stalowy krzyż, który zmusił Piotrowskiego do cofnięcia się o krok. Pancerny odpowiedział nieco topornym natarciem na głowę przeciwnika, impetem trzech szybkich uderzeń niemal wbijając go w ziemię.

– Dość tego! Czyście poszaleli? – oburzył się ksiądz Lisiecki i zeskoczył z konia.

– Opuśćcie broń, panowie! – nalegał Jakub Kęsicki, również zeskakując z wierzchowca.

Obaj mężczyźni wpadli między walczących, narażając się na posiekanie. Cysters rozłożył szeroko ręce, a jego habit załopotał niczym anielskie skrzydła. Jakub z kolei uniósł nieuzbrojone dłonie, odruchowo zamykając oczy i szykując się na cios.

– Męczennik cholerny – mruknął na widok jego podniosłej miny pan Michał, ale cofnął się, opuszczając szablę.

– Zapomnieliście, gdzie jesteśmy? – syknął ksiądz Lisiecki. – W samym sercu imperium, z którym od lat prowadzimy wojnę. Reprezentujemy tu powagę Rzeczypospolitej! Nie tylko pan Gniński, ale poniekąd wszyscy jesteśmy posłami. A wy się bierzecie za łby jak szlachetki, co to się opili gorzałki w austerii i posprzeczali o wielkość cycków córki karczmarza. Wstyd!

– Ale on nazwał mnie szczurzym językiem – mruknął nieco skruszony Semen.

– Sam go, waćpan, do tego sprowokowałeś – zauważył Jakub.

– Nie wtrącaj się, kuzynie, w sprawy starszych. To rotmistrz Piotrowski natarł na pana Błońskiego, wszyscy widzieli – rzekł Krzysztof Kęsicki.

– Dość tego, schowajcie szable. Natychmiast – stanowczo zażądał ksiądz. – Obaj zachowaliście się niegodnie. Obraziliście powagę naszego poselstwa, i to na oczach tureckiego oficjera. Przykro mi, ale o wszystkim muszę powiadomić kanclerza Gnińskiego.

Obaj ciągle gotujący się ze złości szlachcice spojrzeli na wskazanego przez księdza janczara. Abdul Aga siedział w cieniu, wachlując się czapką. Uśmiechał się lekko, jak zwykle, a jego twarz nie wyrażała niczego poza uprzejmym zainteresowaniem. Wszyscy jednak wiedzieli, że Porta jeszcze tego dnia dowie się o niesnaskach i braku dyscypliny wśród polskich żołnierzy.

I z pewnością wykorzysta tę informację.

## II

Wielojażń wydobyla z podręcznego klastra infopola pakiet z osobowościami wojowników. Gromadzono je na wypadek prowadzenia akcji zaczepnych oraz inwazji w materialnych rzeczywistościach. Do zajęcia odkrytego świata mogły się okazać nawet zbyt agresywne i niszczycielskie, ale Wielojażń nie zamierzała różnicować i segregować wojowników, gdyż brzydziła się grzebaniem w ich odrażających umysłach. To dlatego posługiwała się spakowanym i zablokowanym pakietem.

Demiurg został przesłany razem z całą armią inwazyjną. Wyznaczono go na dowódcę operacji i dano wolną rękę. Z chwilą przekroczenia bramy miał zyskać nie tylko cielesność, ale i pełną swobodę. Świat pretechnologiczny nie był objęty opieką prawną, nie chroniły go żadne sojusze czy przynależność do sieci, zatem metody postępowania były dowolne i nieregulowane przez jakiegokolwiek konwencje. Demiurg mógł zrobić wszystko, cała planeta należała do niego.

Nie spodziewał się większych przeszkód militarnych – podbicie i zniszczenie cywilizacji na tym etapie rozwoju nigdy nie stanowiło problemu. Paradoksalnie najwięcej kłopotów sprawiał niski technologicznie poziom autochtonów. Wiązały się z nim brak dostępu do infrastruktury przemysłowej i konieczność budowania przez armię inwazyjną zaplecza technicznego. W zależności od gatunku lokalnych istot myślących kosztowało to mniej lub więcej zachodu i było podstawową przyczyną opóźnień. Nie zawsze bowiem dało się wytresować podbity gatunek; zdarzało się, że trzeba było go eksterminować.

Demiurg wziął to pod uwagę, dobierając korpus inwazyjny z dostarczonych w pakiecie osobowości. Skompletował pierwszą kompanię uderzeniową, która miała wtargnąć do lokalnej rzeczywistości i ustanowić tam przyczółek. Nie zamierzał wysłać wcześniej rozpoznania, planował uderzyć z marszu, rzucając przez bramę cały oddział. Kwestią problematyczną była wyłącznie dostateczna liczba ciał do opętania. Do bramy musiało się zbliżyć jak najwięcej autochtonów obdarzonych dostatecznie rozwiniętymi mózgami, które można będzie wypełnić osobowościami żołnierzy. Pierwszym etapem inwazji będzie bowiem materializacja, a zrealizuje się ją przez przejście i deformacje ciał miejscowych istot myślących.

Demiurg wybrał i przebudził oficerów swojej kompanii uderzeniowej, po czym zbliżył się z nimi do bramy. Musieli już tylko czekać na odpowiednią okazję. Na razie brama pozostawała w stanie obniżonej aktywności, emitując wyłącznie niskoenergetyczne promieniowanie ezoteryczne.

## **Stambuł**

**12 dżumada II Anno Hegirae 1088**

**12 sierpnia Anno Domini 1677**

Jan Gniński przeszedł przez Bramę Środkową, zostawiając większość świty z końmi jeszcze za pierwszymi wrotami. Rozejrzał się po Drugim Dziedzińcu sułtańskiego pałacu Topkapi. Z ciekawością zerknął na Bramę Szczęśliwości i pilnujących jej białych eunuchów, a potem przeniósł wzrok na znajdujące się za nią zabudowania pałacowe. Nad bramą wznosiła się wysoka baszta, w której oknie pojawiła się postawna osobistość w jedwabnym, lśniącym od złota kaftanie i w białym turbanie. Poseł z Lechistanu skinął jej nieznacznie głową, domyślając się, że przygląda mu się ktoś naprawdę znaczny. Może jakiś wezyr lub inny dygnitarz z Dywanu?

Mehmed IV, padyszach-imperator, w prostej linii potomek i dziedzic Osmana I oraz Sulejmana Wspaniałego, uśmiechnął się delikatnie i odpowiedział mu łaskawym skinieniem. Nie cofnął się od okna, obserwując świtą poselską złożoną z kilku odzianych w żupany i kontusze polskich szlachciców. Wśród podgolonych łbów szlacheckich wyróżniał się jedynie wysoki gołowąs, który również spostrzegł sułtana i gapił się na niego z otwartymi ustami. Towarzyszył mu duchowny katolicki w sięgającej ziemi białej sutannie i ze srebrnym krzyżem na piersi.

– Kogóż to poseł ze sobą przywiódł, Talazie? – spytał sułtan.

Talaz Tayyar, mimo że miał więcej niż trzydzieści lat, ciągle zachowywał młodzieńczą urodę. Poruszał się z gracją i lekkością typową dla dawnego tancerza i świetnie wyszkolonego szermierza. Poza tym, że był niezwykle przystojny i zgrabny, słynął z niemal niewieściej urody. Malował sobie lekko oczy i używał mocnych perfum, nie stronił też od kosztownych jedwabów i biżuterii. Po pytaniu sułtana zgiał się w zgrabnym ukłonie i zerknął przez ozdobne kraty okna.

– Młodzieniec to kasztelaniec inowrocławski Tadeusz Janiecki, syn polskiego wielmoży wysłany u boku posła, by się uczył. Pewnie ojciec zamierza wyszkolić go na dyplomatę, ale sądząc po braku polotu wypisanym na twarzy chłopaka, nie będzie to łatwe – powiedział bez chwili wahania. – Klecha to ksiądz Lisiecki, spowiednik posła i jego zaufany przyjaciel. Podejrzewam, że tak jak

wszyscy duchowni, donosi swojemu biskupowi, skrupulatnie notuje każdy grzech Gnińskiego i każde jego słowo, by przekazać je swoim hierarchom. Reszta to doradcy, niektórzy zaufani ludzie króla Jana, kilku może być na usługach różnych rodów magnackich. Będą raportowali swoim suwerenom: Potockim, Radziwiłłom, Zamoyskim...

Sułtan niecierpliwie machnął ręką. Aż tak bardzo Lechistanem się nie interesował, by orientować się w nazwiskach polskich magnatów. Dobrze jest znać wroga, szczególnie jego słabości, ale bez przesady. Skinął jednak głową w ramach uznania Tayyarowi. Jego główny wywiadowca jak zwykle był perfekcyjnie przygotowany i wiedział wszystko o wszystkim. Talaz piastował stanowisko *lali*, zaufanego nauczyciela, a nieoficjalnie śledczego odpowiadającego bezpośrednio przed padyszachem i podlegającego wyłącznie jemu. Należał do jego osobistej, szlachetnej gwardii i był jednym z najwierniejszych sług.

Po paru chwilach do posłów wyszedł główny dragoman, czyli oficjalny tłumacz-dyplomata. Od lat był nim Grek Alexander Mavrocordatos. Choć cudzoziemiec i w dodatku chrześcijanin, wiernie służył imperium osmańskiemu. Tayyar nieraz go prześwietlał i nie znalazł najmniejszej skazy na charakterze dragomana.

Wreszcie cała gromadka znikła w pawilonach pałacowych i sułtan odszedł od okna. Dziś poselstwa nie spotka zaszczyt przyjęcia przez padyszacha, na to jest za wcześnie. Zgodnie z ceremoniałem musieli wpierw przekonać wielkiego wezyra, że są tego godni. Mehmed IV nie musiał się więc jeszcze nimi kłopotać. Zamierzał zatem udać się do haremu i pozwolić, by kobiety trochę go pomęczyły plotkami i pieścizotami. Trzeba też było w końcu przyjrzeć się *acemi*, młodym niewolnikom otrzymanym w podarku. Może któraś wpadnie mu w oko?

– Pozwolisz, panie, że się oddalę – powiedział *lala*. – Muszę wreszcie obejrzeć to dziwne coś, co zdemolowało dzielnicę garbarzy.

– Ponoć nazywają to dziwadłem – westchnął Mehmed IV. – Kara Mustafa twierdzi, że może nam się przydać. Położył na dziwadle łapę, ale chyba aga janczarów również się tym czymś interesuje. Pilnuje już tego cały batalion piechoty. Rzeczywiście, najwyższa pora, byśmy my się tym zajęli i coś z tym zrobili. Udaj się tam i załatw tę sprawę. Niech to coś zniknie. Jeśli nie da się tego użyć, załadujcie to na barkę, wywieźcie jak najdalej od brzegu i zatopcie. Skup się tylko na tym. Lachami nie musisz się kłopotać, pertraktacje potrwać wiele miesięcy.

– Oczywiście. Zresztą i tak wiemy, czym się skończą – przyznał szpieg. – Polacy zerwali pakta buczackie, a teraz będą chcieli zerwać i te z Żurawna. Nie chcą płacić haraczu i próbują odsunąć zagrożenie z naszej strony, przekupując nas podarkami. Przywieźli ich kilkadziesiąt wozów.

– Lechistan jest wymęczony wojnami i słaby. To groteskowo pyszniące się

bogactwem poselstwo jest tego najlepszym dowodem – rzekł sułtan. – Choćby poseł przekupił wszystkich paszów i wezyrów, nie zgodzę się na wycofanie wojsk z Ukrainy i Podola. Może oddamy im Białą Cerkiew i Pawołocz, ale nic ponad to. Ponowię ofertę: razem przeciw Rosji albo nie ma mowy o żadnych ustępstwach.

– To byłoby możliwe, gdy Lew Lechistanu przyjął islam i kazał to uczynić poddanym, ale tę propozycję już odrzucił. Zresztą wszyscy jego poprzednicy również. Za dużo wokół nich sługusów papieża, katolickich kapłanów, którzy trzymają rękę na pulsie i nie dopuszczają nawet takiej myśli pod królewską rozwagę.

– Tak, to zabawne, że papież ratuje tyłek carowi i prawosławnej Rosji. Wie jednak, że gdyby powstał sojusz turecko-polski, nie skończyłoby się na pokonaniu Rosji. Półksiężyc w kilka lat opanowałby całą Europę – rzekł sułtan z uśmiechem, na chwilę dając porwać się marzeniu. – Piękny sen, prawda? Zielone sztandary Mahometa powiewające w Rzymie, Wiedniu, Paryżu, Londynie...

– Północ, z zimami i lodem, oddalibyśmy Lwu Lechistanu, a ty, imperatorze, władałbyś całą resztą Europy. – Talaz uklonił się.

– To słodkie marzenie, ale musimy zejść na ziemię. Najpierw zadbajmy, byśmy nie utracili posiadłości w Afryce, znaczy Egiptu i wybrzeża Morza Czerwonego. Poza tym trzeba uporządkować sprawy na własnym podwórku. Skup się na likwidacji dziwadła, drogi Talazie. Nie mogę już słuchać tych bzdur, które powtarzają moje kobiety w haremie. Jedne mówią, że z dziwadła wyjdzie nowy Mahomet, inne, że sam szatan. Dość tego, skończmy z tym.

Drzwi haremu otworzyły się i stanął w nich Kizlar Aga, przełożony eunuchów. Spiorunował wzrokiem Tayyara, zatrzymując go w miejscu. Do pawilonów kobiet mógł wejść wyłącznie padyszach. *Lala* skinął więc głową wielkiemu grubasowi w ciągnącym się po ziemi *entari* i obrócił się na pięcie, by zniknąć.

## **Stambuł**

**13 dżumada II Anno Hegirae 1088**

**13 sierpnia Anno Domini 1677**

Pan Michał w ostatniej chwili powstrzymał się, by nie strzelić Tadeusza w łeb. Nie wypadało jednak bić podopiecznego, w dodatku przy ludziach. Młody

kasztelaniec inowrocławski zapatrzył się na kobiety karmiące koty i o mało nie wpadł do rynsztoka. Pancerniak w ostatnim momencie złapał go za kołnierz żupana i przyciągnął do siebie. To nie był pierwszy raz w ciągu zaledwie półgodzinnego przemarszu ulicami Stambułu. Chłopak był niemożliwie wprost roztargniony, cały czas zajmowały go nie te rzeczy, które powinny. Podziwiał architekturę, zamiast patrzeć pod nogi, i gapił się na przechodniów, zamiast uważać, gdzie idzie. Wpadł przez to na stragan sprzedawcy mięsa na patykach i omal nie rozdeptał parchatego żebraka. Wszystkim się przy tym zachwycił i radował jak przystało na koncertowego idiotę.

Rotmistrz Piotrowski znosiłby to bez mrugnięcia okiem, ale upał strasznie go rozdrażnił. W dodatku kilka kroków za nimi jechali konno trzej znajomi husarze towarzyszący księdzu Lisieckiemu. Sukinsyny parskali przy każdym wygłupie Tadeusza i mrugali do siebie porozumiewawczo, szeptem wymieniając uwagi. Nie śmieli głośno natrzęsać się z pancerniaka, który został niańką niezguły, by nie prowokować kolejnej awantury. Wszyscy otrzymali karę za ostatni pojedynek. Pan Michał miał opiekować się młodym kasztelańcem, na którego poseł Gniński już chyba też nie mógł patrzeć, husarze za to pełnili służbę jako ochrona księdza Lisieckiego. Pancerny zatem stał się opiekunem wysoko urodzonego głupka, a husarze musieli bez przerwy znosić nadętego klechę i łązić za nim o suchym pysku.

– Widział waszmość, co robiły te kobiety? – gorączkował się Tadeusz. – Karmiły koty mięsem kupionym na straganie! Wydawały pieniądze na bezdomne koty! A wszyscy prawią, że Turcy to krwiożercze dzikusy.

– Zobaczysz jeszcze sprzedawców ptaków w klatkach, które szczególnie religijni muzułmanie kupują tylko po to, by dla ucieszenia Boga je wypuścić – powiedział pan Michał, ocierając pot z czoła. – Szkoda, że z takim samym zapalem nie wypuszczają pojmanych wrogów. Wolą ich dręczyć w lochach lub używać na galerach.

– Bisurmany kochają zwierzęta i dzieci, są dla nich dobrzy i troskliwi, ale dla wrogów potrafią być niewyobrażalnie wprost okrutni – dodał ksiądz Lisiecki z wysokości końskiego grzbietu. – Nie zapominajmy, że dla nich jesteśmy innowiercami zasługującymi na męki. Niech cię nie omamią słodkie sceny widziane na ulicy, Tadeuszu. Zaraz zresztą zobaczysz, jak te dzikusy traktują chrześcijańskich jeńców.

Chłopak pokiwał głową, odwracając się z uśmiechem do księdza. Omal nie wpadł przez to pod wózek nosiwody. Pan Michał musiał znów ratować go z opresji, ku uciesze husarzy.

Wreszcie dotarli do gospody w jednej z dzielnic portowych. Na jej dziedzińcu, schronieni w cieniu jedyne drzewa, siedzieli czterej Tatarzy. Poderwali się na równe nogi na widok Polaków, po czym dwóch rzuciło się



biegiem do zabudowań, pozostali zaś wyszli naprzeciw przybyszom. Najlepiej odziany ordyniec uklonił się księdzu, biorąc go, zresztą słusznie, za przywódcę. Zignorował za to zupełnie pana Michała i Tadeusza.

– Jestem Enikej Bej – przedstawił się po polsku, kładąc dłoń na piersi. – Zostałem najęty przez al-hakimę do opieki nad jej jasyrem. Poleciała mi, bym go waszmościom pokazała. Macie ponoć życzenie wykupić chrześcijańskie „ciała”.

– Co za bezczelność – warknął Semen Błoński, kładąc dłoń na rękojeści szabli. – Pohaniec będzie sprzedawał nam naszych ludzi. To tak, jakbyśmy kupowali od rabusia skradzione przez niego precjoza.

– Hamuj się waść! – zirytował się ksiądz. – Jesteśmy tu gośćmi i musimy zachowywać się zgodnie z przyjętymi zasadami. Mamy wykupić ludzi, a nie obrażać gospodarzy i ich sprzymierzeńców.

Klecha zeskoczył z konia, a po nim uczynili to husarze. Wierzchowcami zajął się jeden z dwóch pocztowych towarzyszących wyprawie. Reszta ruszyła za bejem, który poprowadził ich do zabudowań. Przeszli wąskim korytarzem i znaleźli się w przestronnym, jasnym pomieszczeniu. Na podłodze, będącej właściwie klepiskiem, rozłożono dziesiątki posłań z koców i poduszek wypchanych słomą. Siedziały na nich kobiety odziane w identyczne proste sukienki z szarego samodziału. Zajmowały się głównie rozmowami, choć kilka pracowicie coś szyło. Na widok wchodzących wszystkie umilkły, przerywając zajęcia. Na przybyłych nie zwróciła tylko uwagi jasnowłosa dziewczyna w tureckich spodniach i koszuli stojąca za stolikiem do pisania i zapamiętała smarująca piórem w papierach. Zapisywała uwagi dyktowane przez wysoką kobietę w bogatym tureckim stroju.

– Oto i pani Falak – mruknął ksiądz Lisiecki, który miał okazję poznać al-hakimę, gdy ta wizytowała posła Gnińskiego.

Dorota raczyła wreszcie spostrzec przybyszy i skinęła na Jitkę. Dziewczyna odłożyła pióro, zatkała kałamarz, a papier posypała piaskiem. Zerknęła przy tym ciekawie na polskich rycerzy. Prezentowali się zabójczo w zbrojach i kolczugach, przystojni i silni, do tego tak zupełnie tu niepasujący.

– Witajcie – przywitała ich krótko Dorota. – Zgodnie z życzeniem kanclerza Gnińskiego przygotowuję listy niewolników do wykupienia. Zaczęłam od własnej oferty. Jitka, podaj mi papier. To spis moich sześćdziesięciu niewolnic, które możecie obejrzeć. Mam jeszcze dwa tuziny chłopców, ale w budynku obok. Mogę zapewnić, że moje „ciała” są najwyższej jakości. Wybrałam je starannie z jasyru wracającego z wypraw do cesarstwa. W większości to mocno zbudowane wieśniaczki z Czech, Moraw, Bawarii, a nawet Saksonii. Same chrześcijanki, choć niektóre to protestantki. – Podąła listę księdzu, a ten, marszcząc brwi, zaczął ją przeglądać.

– Nie masz sumienia, wstrętna poturczynko\* – wycedził Semen. – Handlować nieszczęśnikami wprowadzonymi przez ordyńców, i to z podniesioną

głową. Nie wyobrażam sobie większej podłości!

– Czego się spodziewasz po sprzedanej suce, która dała się zbisurmanić? – mruknął Krzysztof Kęsicki.

Ksiądz huknął na nich ze złością, kazał się zamknąć i nie prowokować kolejnych awantur. Dorota wzięła się pod boki, oglądając z bliska Polaków. Na jej twarzy pojawił się nieznaczny uśmiech, jakiego Jitka jeszcze nie widziała. Al-hakima o dziwo się nie rozgniewała, lecz wyglądała na zadumaną.

Ile to już lat minęło, odkąd opuściła rodzinne strony? Kiedy ostatni raz widziała polskie wojsko? Ach tak, gdy dragoni łupili śląskie wioski, bo kasztelan nie wypłacił im żołdu. Widziała, jak w jej rodzinnym siole pod Raciborzem dzielni wojacy ładowali prosiaki na wozy i na miejscu ukręcali łby ukradzionym kurom. Oczywiście pobili kilku gospodarzy i zgwałcili dziewczyny, które były za głupie, by w porę się ukryć. Ona nigdy głupia nie była, a schowała się w zakrystii. Gdy przyjechali żołnierze, siedziała akurat u wikarego, studiując łacińską księgę. Zawsze przejawiała skłonność do nauki, zresztą jako jedyna kobieta w historii Tarzymiechów. Ksiądz dobrodziej natomiast przejawiał skłonność do jej wdzięków, co skrupulatnie wykorzystywała, by przy okazji świadczenia łóżkowych usług nauczyć się od niego czytania i pisanania.

Ale czy to był ostatni raz, gdy widziała polskie wojsko? Ech, nie. Przecież później jeszcze nieraz je obsługiwała. Zmieniała wojakom opatrunki i oczyszczała ropiejące rany. Była wtedy posługaczką u opolskich cyrulików. Do miasta zjechał sam Jan Kazimierz, uciekając przed Szwedami, a razem z nim ściągnęło trochę poranionego i umęczonego wojska. Poznała wtedy miłego porucznika muszkietarów i spędziła z nim kilka uroczych chwil. Niestety któregoś ranka, po miłosnych igraszkach, przyłapał ją z medyczną księgą wydrukowaną we Wrocławiu, czyli po niemiecku. Pobił ją, posądzając o szpiegostwo na rzecz Habsburgów, a potem, gdy zobaczył w księdze ryciny przedstawiające anatomię człowieka, wrzeszcząc z bólu zaciągnął za włosy do dominikanów. Pamiętała rajtarów i husarzy stojących na rynku i pokładających się ze śmiechu na widok bosej dziewczyny w rozchełstanej koszuli szarpanej i okładanej pięściami przez kochanka. Porucznik załomotał w bramę klasztoru, a gdy otworzyli ją ponurzy mnisi, oskarżył Dorotę o paranie się czarami i rzucił wprost w ramiona inkwizytorów.

To nie były miłe wspomnienia. Niemal całkiem usunęła je z pamięci, a teraz znów wróciły. O dziwo już nie bolały tak jak kiedyś, choć ciągle drażniły. Stare rany dokuczały od czasu do czasu, blizny po biczach i przypalaniu przez dominikanów swędziały zwykle na zmianę pogody, przypominając o tym, jak ją potraktowano w ojczyźnie.

I teraz znów stała przed dumnymi paniczykami o podgolonych łbach. Byli tacy sami jak jej przekłęty kochanek, oby zgnił w piekle, pełni pychy, niepotrafiący

zrozumieć inności i reagujący na nią pogardą i agresją. Znaczyło to, że w Polsce wiele się nie zmieniło.

Tymczasem spostrzegła, że jeden z nich, młody i chyba najprzystojniejszy, nie odrywa wzroku od Jitki. Wreszcie nie wytrzymał i podszedł do niej zdecydowanym krokiem. Dziewczyna aż się cofnęła, wyraźnie zawstydzona i zmieszana. To było dziwne, bo w niewoli sporo przeszła i nie powinno jej peszyć natarczywe gapienie się mężczyzny.

– Pani, ty też jesteś niewolnicą? Z kim mam przyjemność? – spytał Jakub Kęsicki po polsku.

– *Dobry rytír, jmenuji se Jitka. Jsem jeptiška z Moravy!* – odparła dziewczyna i wyciągnęła dłoń.

Rycerz uklęknął i pocałował ją z namaszczeniem, a Jitka zatrzepotała rżęsami. Dorota była zaskoczona zachowaniem byłej zakonnicy. Nie spodziewała się, że ta potrafi być taką kokietką.

– Po stroju sądząc, tę Czeszkę pewnie też zbisurmanili. Chędożyłem dzierlatki na Mazowszu i w Małopolsce, na Podolu i Wołyniu, w Rusi Czerwonej i na Ukrainie. Dmuchałem katoliczki, prawosławne, żydówki i grekokatoliczki, ale by się dobierać do bisurmanki, do głowy by mi nie przyszło – mruknął Semen do Krzysztofa. – Tknąłbyś taką, przyjacielu? Ja bym się bał, że mi kutas uschnie.

Porucznik husarski mówił niemal szeptem, ale Dorota wszystko słyszała. Ksiądz również, lecz udął głuchego i pogrążonego w lekturze nazwisk i opisów niewolnic. Szukał wśród nich szlachcianek lub przedstawicielek nieco zamożniejszych warstw. Poselstwo nie dysponowało nieograniczonymi zasobami; mieli określoną pulę złota na uwolnienie rodaków w potrzebie.

Tymczasem Jakub podszedł do Doroty. Chłopak twarz miał poważną i natchnioną. Ukłonił się, kładąc prawą dłoń na piersi, i poprosił o chwilę rozmowy.

– Nie mogę pojąć, pani, dlaczego ty, urodzona na chrześcijańskiej ziemi, parasz się czymś tak niegodnym. Jak możesz dręczyć braci w wierze? Pani, czy nie masz sumienia?! – uderzył w podniosły ton.

– Nie jestem żadną panią – odparła zimno Dorota. – Pochodzę z pańszczyźnianych chłopów, którzy od polskich panów i księży zaznawali jedynie upokorzeń i wyzysku. Traktowano nas jak bydło, też byliśmy czyjąś własnością i dręczono nas mimo wyznawania tej samej wiary. Cóż zatem dziwnego, że skoro mam takie możliwości, teraz ja kupczę słabszymi? Sami mnie tego nauczyliście, o szlachetni rycerze i jaśniepanowie.

– Ale to chrześcijanie! Sprzedajesz ich na poniewierkę, i to innowiercom!

– Nie ma innego boga niż Allah, a Mahomet jest jego prorokiem – odparła z godnością.

Jakubowi zrzęda mina.

– Tak, zbisurmaniłam się. – Dorota uśmiechnęła się. – Jak inaczej

osiągnęłabym tak wysokie stanowisko w islamskim kraju? Musiałam przyjąć prawdziwą wiarę. A teraz powiedz, czego ode mnie oczekujesz, chłopcze. Mam wypuścić dziewczuchy oraz chłopców? Wiesz, ile za nich zapłaciłam?

– Uwolnij chociaż niektórych, pani – jęknął młodzieniec. – Odkupię od ciebie tyłu, na ilu mnie stać. Pochodzę z bogatej rodziny, mój ojciec nie poskąpi złota. W Stambule pożyczę od posła Gnińskiego, nie będziesz stratna, al-hakimo.

– Wiem, o którą dziewczynę chodzi – stwierdziła Dorota. – To bardzo cenne „ciało” i nie jest na sprzedaż. Ale jesteś moim krajanem, dzielnym rycerzem w służbie Rzeczypospolitej. Dla takich jak ty mogłabym zrobić wyjątek, a nawet wyznaczyć specjalną cenę.

– Powiedz, ile żadasz – rzekł chłopak.

– Dziesięć tysięcy czerwonych złotych – odparła Dorota i wybuchła śmiechem na widok miny husarza.

Nie spodziewała się, że taka drobna złośliwość wobec rycerzy sprawi jej tyle radości. Opanowała się jednak szybko i zaczęła wyliczać księdzu zalety swojego towaru. Jedną z ważniejszych było to, że dbała o „ciała”, otoczyła je opieką medyczną i wszystkie osobiście zbadała. Trzymała je niemal w luksusowych warunkach, dobrze karmiąc, także owocami i słodyczami. Żadna z dziewczyn nie nosiła śladów bicia, nie była gwałcona czy dręczona. Mogła zagwarantować, że gdy zobaczą towar trzymany w Twierdzy Siedmiu Wież i na targu niewolników, będą tam jeńcy w dramatycznie gorszym stanie. Często ledwo żywi lub umierający, okaleczeni i zagłodzeni. Słowem, jej towar był na najwyższym poziomie.

Ksiądz podziękował za ofertę i schował listę, mówiąc, że przedyskutuje sprawę z kanclerzem Gnińskim. Poprosił, by al-hakima pokazała mu teraz miejsce, gdzie trzymani są jeńcy wojenni z terenów Rzeczypospolitej. Szczególnie zależało mu na pojmanych szlachcicach. Oczekiwał, że Dorota pomoże jako tłumaczka w negocjacjach związanych z ich wykupieniem.

Już mieli wyjść, by ruszyć na targowisko niewolników, gdy do budynku wszedł jeden z Tatarów, trzymając za koszule dwóch szamoczących się smarkaczy. Kiedy ich puścił, jeden z dzieciaków rzucił się do nóg Doroty, a drugi objął w pasie Jitkę. Obaj krzyczeli przy tym przeraźliwie, zalewając się łzami. Ordyniec, który ich przyprowadził, omal nie dostał w pysk od niezadowolonego Enikej Beja. Czemu nie przegonił dzieciaków, nie żałując kańczuga?

– Czego chcą ci chłopcy? – spytał spokojnie ksiądz Lisiecki.

– To podopieczni mojej przyjaciółki. Wygląda na to, że stało jej się coś złego – wyjaśniła Dorota. – Obawiam się, że niespodziewanie zachorowała. Muszę natychmiast do niej iść. To może być sprawa życia lub śmierci. Będą waćpanowie zmuszeni łaskawie poczekać na mój powrót.

– Rozumiem. Jeśli to z grubsza po drodze na targowisko, proponuję, byśmy nie tracili czasu i poszli z panią. Może się okazać, że chora potrzebuje kapłańskiej

posługi?

– Nie sędzę – mruknęła al-hakima i skinęła na Jitkę.

Dziewczyna złapała ciężką torbę z instrumentami medycznymi, które do gospody przyniosły na wypadek konieczności udzielenia pomocy chorym niewolnicom, i przerzuciła ją sobie przez ramię. Nie oglądając się na Polaków, Dorota szybkim krokiem ruszyła do wyjścia. Poleciała tylko bejowi, by przypilnował wydania posiłku jej „ciałom”, i już jej nie było.

\* Poturczył się, zbisurmanił się – pogardliwe określenie na zmieniających wiarę na islam.

### III

Skażeniu promieniowaniem ezoterycznym uległa wystarczająca liczba istot. Ich umysły odpowiadały snami na impulsy programów wodzących, były zatem gotowe do zasiedlenia. Badania testowe kilku ofiar wykazały wzmożoną agregację białka wewnątrz komórek mózgowych w postaci splątków neurofibrylarnych. To była typowa immunologiczna odpowiedź organizmu na promieniowanie ezoteryczne, powodująca uszkodzenia mózgu, a więc degradację osobowości ułatwiającą zasiedlenie porażonego umysłu. Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Procedura inwazyjna zakładała oczekiwanie, aż liczba opanowanych jednostek osiągnie wartość wystarczającą do przeniesienia przynajmniej całego oddziału inwazerów, ale demiurg nie zamierzał czekać. Nie odczuwał niecierpliwości czy palącego pragnienia materializacji, opierał się wyłącznie na zimnych kalkulacjach. Z tego, co zaobserwował przez bramę, ofiarą miała paść cywilizacja na wczesnym stadium technologicznym, prawdopodobieństwo niepowodzenia było zatem minimalne. Wielojaźń natomiast oczekiwała szybkiego przejścia, by w pełni zająć infopole po tym świecie i wypełnić go sobą, a następnie przystąpić do eksploatacji zdobytej planety. Demiurg uruchomił więc pakiet aktywacyjny.

Brama zajaśniała i wyemitowała wezwanie do skażonych promieniowaniem. Sączące się leniwie pole ezoteryczne zajaśniało intensywnie, a wypełniające je drgania ułożyły się w prosty algorytm rozkazów. Wdarły się one do umysłów skażonych, wypierając świadomość i zastępując ją listą poleceń.

Teraz ofiary musiały wejść w strefę bezpośredniego oddziaływania bramy. Było to konieczne, by wysokoenergetyczne promieniowanie wpisało w ich umysły nowe osobowości, a pole ezoteryczne odkształciło cielesność, dopasowując ją do wymagań poszczególnych jaźni inwazyjnych.

Demiurg czekał, aż przybędzie ciało godnego dowódcy. Ciało przyszłego władcy tego świata.

\* \* \*

*Lala Talaz Tayyar* od rana toczył spór z agą dowodzącym batalionem janczarów, którzy zabezpieczali dzielnicę. Nie dość, że nie chcieli uszanować zwierzchności osobistej gwardii sultana, to jeszcze nie zamierzali dopuścić

przybyłych do dziwadła. Na domiar złego wokół prowizorycznych zapór tłoczyli się oburzeni garbarze i ich rodziny. Doszło już do kilku bijatyk z janczarami i tylko jakimś cudem nie poląła się jeszcze krew. Miejscowi – a pech chciał, że okolicę zamieszkiwali sami członkowie cechu zrzeszającego tych przeklętych specjalistów od skór – nie chcieli zgodzić się na wyburzenia i zrobienie esplanady wokół dziwadła. Rzucali w janczarów kamieniami, krzycząc, by sobie poszli i oddali im domy. Jakiś oprych podający się za przedstawiciela władz cechu oznajmił, że dziwadło nie należy do janczarów ani wielkiego wezyra, lecz do nich, garbarzy.

Talaz obrzucił go rozniewanym spojrzeniem. Stał przed nim śmierzący jak cała ta dzielnica bezczelny typ o niewyparzonej gębie. Za jego plecami kłębił się tłum podobnych mu łachmytów. Mieszkańcy dzielnicy w większości byli zatwardziałymi kawalerami, niechlujnymi, nieokrzesanymi i wulgarnymi. Do tego bezczelnymi, aż ręka sama sięgała po jatagan.

– Przypominam ci, dobry człowieku, że wszystko i wszyscy w imperium należą do padyszacha. Cień Boga na Ziemi jest naszym władcą, czyli także właścicielem, a ja reprezentuję jego majestat – oznajmił drabowi. – Zarówno dziwadło, jak i całe to miasto należą do sułtana. A może masz inne zdanie?

Na ostatnie słowa położył nacisk. Garbarz patrzył na wysokiego pięknisia w jedwabnym kaftanie i milczał, ważąc szanse. Za plecami miał co prawda kilkuset druhów, ale za *lala* stało kilku białych eunuchów – tłustych olbrzymów uzbrojonych w szerokie, mocno zakrzywione szable. Obetną mu łeb, nim zdąży mrugnąć. Ukłonił się zatem i nie spuszczał Talaza z oka, wycofał się tyłem. Tayyar odwrócił się do przyglądającego się temu agi i spytał, czy on też uważa, że sułtanowi nie należy się wszystko, co znajduje się w imperium. Janczar pstryknął tylko i jego piechurzy usunęli postawiony w poprzek ulicy wóz, robiąc przejście dla *lali* i jego eunuchów.

Tłum ruszył do przodu, jakby tylko na to czekał. Kilku janczarów w białych kaftanach padło pod samym impetem zwartej ludzkiej masy. Reszta próbowała okładać napierających drzewcami włóczni, ale garbarze się nie cofali. W dodatku co najmniej kilku piechurów dołączyło do buntowników i zaatakowało dawnych kompanów. To było coś tak zaskakującego i niespotykanego, że Talaz cofał się machinalnie, patrząc na atak oczami rozszerzonymi ze zdumienia. Janczarzy tworzyli wszak zdyscyplinowaną formację, a członkowie poszczególnych oddziałów i kompanii byli ze sobą bardziej zżyci niż rodzeni bracia. Wychowywali się razem i od dziecka walczyli ramię w ramię, nie do pomyślenia zatem było, by którykolwiek z nich zdradził czy się zbuntował. Jednak na oczach wstrząśniętego *lali* jeden z nich dźgnął druha włócznią w pierś, zabijając go na miejscu.

Czemu? Czemu stanął po stronie dzikiej, śmierzącej tłuszczy? I czemu cechowi garbarzy tak bardzo zależało na odzyskaniu tych ruder? Czemu cały ich tłum z rykiem i wściekłością runął na żołnierzy i parł w stronę dziwadła?

Żołnierze krzyczeli do siebie, próbując utworzyć zwarty szereg, ale zostali zepchnięci przez tłum na boki lub przewróceni i zdeptani. Tayyar cofał się krok za krokiem przed maszerującym motłochem. Szedł tyłem, nie mogąc oderwać spojrzenia od oszalałej tłuszczy. Twarze garbarzy i zbuntowanych janczarów nie wyrażały specjalnie intensywnej emocji, nikt już nie wrzeszczał ani nie krzywił się z wściekłością. Ludzie szli przed siebie, jakby coś ich przyciągało.

Tayyar odwrócił się w stronę dziwadła. Z tej odległości było już widoczne, tkwiło w wypalonym gruzowisku, pulsując nieustannie. Ciągłe nie miało kształtu i rozmiaru, ale zdawało się drzeć, wibrować. Jego migotanie i nieustanne zmiany sprawiały wrażenie, jakby wykonywało jakiś hipnotyczny taniec. *Lala* poczuł przejmujący strach. To coś przyciągało tłum, coraz mocniej i mocniej, aż wreszcie wpędziło ludzi w szaleństwo. To był początek czegoś strasznego, czegoś, co trzeba powstrzymać za wszelką cenę.

– Stać! – krzyknął z całych sił, wyciągając jatagan z pochwy. – Ani kroku dalej!

Towarzyszająca mu osobista gwardia sułtana zatrzymała się i dobyte potężnych pałaszy. Talaz spojrział na białych eunuchów, szacując szanse. Miał ośmiu wyćwiczonych w boju, wiernych siłaczy, a przed sobą opętany tłum może nawet pięciuset szaleńców. Gdyby to byli normalni ludzie, dałoby się ich zastraszyć, zabijając kilku w widowiskowy sposób, ale w takich okolicznościach niczego nie mógł być pewien. Nie miał jednak wyjścia – musiał choć spróbować.

Na czele pochodu dostrzegł jednego z mistrzów cechu garbarzy, tego samego, z którym dopiero co rozmawiał. Drab szedł z ponurą miną, patrząc ponad Talazem na dziwadło, jakby uzbrojony *lala* nie istniał. Tayyar runął na niego i zgrabnym cięciem rozpruł mu brzuch. Jelita z chlupotem wylały się na bruk, mężczyzna potknął się i padł, wierzgając w agonicznych drgawkach. Ale z jego gardła nie wyrwał się żaden dźwięk, żaden krzyk bólu lub choćby jęknięcie.

Eunuchowie natarli na zbliżających się, rąbiąc w straszliwych zamachach wielkimi szablami. Jeden rozplątał ofiarę na pół, ale chwilę później oberwał włócznią w wielkie brzuszysko, został przewrócony i stratowany. Kolejny ściął trzy lub cztery głowy, nim jakiś dzieciak uczeplił mu się nóg i przewrócił. Natychmiast został wciągnięty przez masę buntowników i niemal wbity w ziemię.

Tayyar cofał się krok po kroku, patrząc, jak jego gwardziści szatkują tłum, a ten, zamiast się zatrzymać, spycha ich nieustannie, zabijając jednego po drugim. *Lala* tylko dźgał i rąbał wyciągające się do niego ręce, nie próbując więcej atakować. Milczenie i obojętność zabijanych zrobiły na nim wstrząsające wrażenie, wiedział już, że nie ma szans, by zatrzymać pochód.

– Wiejemy – rzucił do trzech pozostałych przy życiu eunuchów i odwrócił się, by ruszyć biegiem.

Zatrzymał się po kilku krokach. Dziwadło było zbyt blisko. Unosiło się,



zdawałoby się, tuż przed nim. W jego bezbarwnych trzewiach, od patrzenia na które oczy piekły i łzawiły, coś się poruszało. Talaz zamarł, spoglądając na to ze zgrozą. W środku tego czegoś kłębił się tłum głodnych demonów. Wiły się macki i węzowe cielska, płonęły oślizłe korpusy robaczych potworów, żarzyły się ciała metalowych bestii o torsach oplecionych sieciami przewodów. Zobaczył to wszystko w mgnieniu oka, niczym wspomnienie nocnego koszmaru. Kiedy mrugnął, kotłującego się piekła już nie było.

Wtedy oberwał w potylicę kamieniem wyrwanym z bruku. Głowa eksplodowała bólem i zaufany oficer sułtana runął na ziemię.

\* \* \*

Dorota od rana niepokoiła się o Papatyę. Derwiszka nie pojawiła się u niej po śniadaniu, by zabrać zioła dla sierot chorujących po wypiciu zbyt odstałej wody. Nie przysłała po niej również żadnego z dzieciaków. Słowem, nie dała znaku życia, co było do niej zupełnie niepodobne. Al-hakima nie miała jednak czasu się do niej fatygować, musiała bowiem przygotować niewolnice dla Polaków. Liczyła, że ci odkupią choć część towaru, i to po znacznie zawyżonych cenach. Miała ochotę oskubać ich, bez litości i przyzwoitości, wyłącznie z żądzy zemsty. O Turczynce przypominała sobie dopiero, gdy pojawiły się wystraszone dzieciaki. Wtedy uświadomiła sobie, że choroba przyjaciółki może mieć wiele wspólnego z jej gwałtownym i niespodziewanym uzyskaniem umiejętności wróżbiarskich. Te z kolei budziły w Dorocie strach pomieszany z palącą ciekawością. Żądza wiedzy kierowała czasem poczynaniami al-hakimy i pchała ją z siłą huraganu.

Nadała ostre tempo, zostawiając za sobą chłopców. Dzieciaki musiały podbiegać za energiczną lekarką, tak samo jak Jitka targająca ciężką torbę z medykamentami. Husarze powędrowali wpierw do koni, a te zajmujący się nimi pocztowi odprowadzili do znajdującej się na drugim końcu ulicy studni, by cierpiące w upale zwierzęta się napiły. Dorota nie zamierzała czekać na żołnierzy, towarzystwo podgolonych łbów nie było jej do niczego potrzebne. Pomaszerowała najkrótszą drogą, klucząc wąskimi uliczkami i nie oglądając się za siebie. O dziwo, nie wszyscy Polacy zostali z tyłu – kobietom ciągle towarzyszyło dwóch pieszych: postawny pancerny w kolczudze i towarzyszący mu młodzik w żółtym żupanie. Nie próbowali ani jej zatrzymać, ani skłonić, by zwolniła, nie zwracała więc na nich uwagi.

Dotarła w pobliże meczetu z sierocińcem, ale nawet nie weszła na dziedziniec świątyni, gdy naprzeciw wybiegła bosa dziewczynka.

– Mateczka wpierw leżała jak kłoda i patrzyła w sufit. Nie odpowiadała, wyglądała, jakby umarła, ale oddychała i ciągle była ciepła. No i miała otwarte

oczy. Straaaszne. Takie wielkie i całkiem puste – trajkotała mała, odciągając Dorotę od sierocińca. – Zawołaliśmy Naniego, a on kazał wezwać ciebie, pani.

– Co się teraz dzieje z Papatyą i dokąd mnie ciągniesz, u licha?

– Ona nagle wstała i odepchnęła ojczulka, aż uderzył głową w ścianę i chwilę leżał bez życia. Mateczka wyszła, a dzieci uciekały jej z drogi, bo wyglądała straaasznie! O tak. – Dziewczynka zrobiła dziwną minę, przewracając oczyma. – Poszła właśnie tam, w tamtą stronę. Dwaj chłopcy pobiegli za nią, by zobaczyć, dokąd zmierza.

– A niech to, chyba wiem, dokąd ona idzie – warknęła Dorota.

– Na południe? W stronę portu? – spytała nieco zdyszana Jitka.

– Bliżej. Do dzielnicy garbarzy, tam gdzie leży dziwadło.

– Wiesz może, po co? Co jej się właściwie stało?

– Została zarazona przez to coś. Prostak nazwałby jej stan opętaniem, ale ja sądzę, że to co innego. To jak choroba, a zapasć mogli na nią ludzie, którzy zbyt blisko podeszli do dziwadła. Myślę, że musimy ją zatrzymać, i to nawet wbrew jej woli. Dalsze przebywanie w okolicy spadłej gwiazdy może uczynić jeszcze większe szkody. Szybko, musimy ją powstrzymać, zanim dotrze do źródła choroby! – Odwróciła się do zasapanego rycerza w misiurce na głowie i odezwała do niego po polsku: – Mości panie, potrzebuję pomocy. Muszę zatrzymać chorą kobietę, która nie wie, co robi. Nawet wbrew jej woli. Pomożesz?

– Służę. – Pan Michał skinął głową i pociągnął spóźniającego się w marszu Tadeusza.

Ruszyli w dalszą drogę, i to biegiem. Rychło bosa dziewczynka została z tyłu, a po niej zwolniła Jitka. Dorota biegła ramię w ramię z pobrzękującym rynsztunkiem rycerzem, który w dodatku ciągnął potykającego się chłopaka. Na szczęście po pokonaniu kolejnych trzech lub czterech uliczek wybiegli na przestronny plac, na którego końcu Dorota dostrzegła sylwetkę przyjaciółki. Papatya szła bez pośpiechu, mechanicznym, sztywnym krokiem, a widać ją było z daleka, bo przechodnie schodzili jej z drogi. Jedni patrzyli z oburzeniem, inni grozili derwiszce i złorzeczyli. Kobieta była bowiem ubrana w samą koszulę, bez hidżabu zakrywającego włosy. Jej wygląd musiał rodzić wzburzenie.

Nagle jakiś imam stanął jej na drodze, by zwrócić uwagę na niestosowny wygląd. Odepchnęła go, wydawałoby się, niedbale, ale starszy mężczyzna runął z impetem na plecy, przewracając przechodzącą kobietę. Atak na kapłana wzburzył tłum, rozległy się gniewne krzyki. Kolejny śmiałek zaszedł jej drogę, ale derwiszka nie zmieniła tempa, a kiedy złapał ją za ramię i próbował uderzyć pięścią, przyciągnęła go i trzasnęła czołem w twarz. Mężczyzna usiadł na ziemi, bryzgając krwią ze zmiażdżonego nosa.

– Da waćpan radę ją obezwładnić? – zwróciła się Dorota do pana Michała.

Pancerny kiwnął głową i ruszył za derwiszką, bez ceregieli odpychając

wzburzonych ludzi. Dopadł ją od tyłu, założył ramię na szyję i pociągnął do siebie. Dziewczyna wierzgnęła, ale nie była w stanie przerzucić przez plecy dwukrotnie cięższego mężczyzny, choć niemal jej się to udało. Piotrowski jęknął i zaparł się z całych sił, przyciągając ją. Rzuciła w tył głowę, próbując trafić go w twarz, ale zrobił unik. Wreszcie grzmotnęła go łokciem w żebra. Sapnął, gdy siła uderzenia wypchnęła mu powietrze z płuc. Niewielka i niepozorna Turczynka połamałaby mu żebra, gdyby nie chroniła go kolczuga. Żarty się skończyły. Pchnął ją w przód i ciężarem całego ciała obalił na ziemię. Przycisnął ją do bruku, klęcząc na plecach oboma kolanami i ręką dociskając głowę.

– Cofnąć się, ludzie! – huknęła Dorota po turecku. – Jestem lekarzem, a ta nieszczęsna kobieta jest szalona. Uciekła z domu dla obłąkanych!

Wyjaśnienie zadziało, i to w samą porę. Oburzeni przechodnie gotowi byli na miejscu ukamienować bezbożnicę, która podniosła rękę na imama. Teraz cofnęli się, ze zrozumieniem kiwając głowami.

– Dobrze byłoby ją jakoś uspokoić, pani – powiedział Michał Piotrowski nerwowym tonem, bo Papatya ciągle wierzgała, tak że z trudem udawało mu się ją utrzymać.

Dorota kiwnęła głową i kucnęła przy przyjaciółce. Dotknęła dłonią jej czoła, spojrzała w rozbiegane oczy. Potrzebne były medykamenty; musiała ją po prostu uśpić, bo na miejscu nic innego nie dało się zrobić. Rozejrzała się za zgubioną po drodze asystentką.

– Jitka! – krzyknęła. – Gdzie się ta dziewczyna podziała?

## IV

Przeniesienie rozpoczęło się automatycznie, gdy dawcy ciał wchodzili w bezpośredni kontakt z bramą. Fizyczność spotykała się wtedy z zagęszczonym lokalnie infopolem i generowała anomalie umożliwiającą impulsowe przetrzucanie ogromnej dawki danych. Jażnie armii inwazyjnej były wszak niczym innym jak pakietami informacji, które należało umieścić w ezoterycznie przygotowanych mózgach ofiar. Bioprocesory, w które zamieniały się mózgi dawców, przyjmowały kolejnych podwładnych demiurga bez większych zakłóceń. Każdy przetrzucony do rzeczywistości osobnik musiał nawiązać połączenie ze zdegenerowanymi resztkami osobowości nosiciela i całkiem je usunąć lub utworzyć z nimi konglomerat.

Demiurg wydał rozkaz, by większość inwazjantów wpisała się na czysto, w zupełnie opróżnione umysły, a tylko oficerowie użyli osobowości dawców do stworzenia wspólnej jażni. Zyskiwali wtedy konieczną wiedzę o świecie i lokalnej cywilizacji, przyswajając w mniejszym lub większym stopniu pamięć ofiary. Istniało co prawda niebezpieczeństwo, że osobowość dawcy ciała wpłynie zbyt mocno na wpisaną weń jażń najeźdźcy, ale dla przeszkolonego inwazjanta było to zagrożenie łatwe do opanowania. Sam demiurg również zamierzał wykorzystać ofiarę o lekko porażonym mózgu i niezbyt zdegradowanej osobowości, by przejąć wraz z jej umysłem jak najwięcej wiedzy o zajmowanym świecie.

Upatrzył ją sobie i osobiście wyemitował wiązkę z nakazem przybycia do bramy. Młoda samica, inteligentna i uczuciowa, o zdrowym ciele i dobrze rozwiniętym mózgu. Jej ciało da się zmodyfikować i uczynić bardziej trwałym, ale demiurg zrobi to, gdy zostanie stworzone odpowiednie zaplecze techniczne. Można wtedy będzie poddać ją częściowej cyborgizacji. Budowa jej mózdzku, odpowiedzialnego za kontrolę czynności mięśni, pozwalała wnosić, że ciało dobrze zniesie sprzężenie z maszyną. Dobrze rokowało też ładnie rozwinięte podwzgórze, część międzymózgowia odpowiedzialna za administrowanie układem vegetatywnym. Odpowiednio uzbrojone pozwoli na pełną kontrolę temperatury ciała, krążenia, pragnienia, uczucia głodu, popędu seksualnego i innych parametrów oraz funkcji, dzięki którym łatwo będzie można przebudować zdobyte ciało w nadistotę.

Pokierował samicą, która znajdowała się dalej od bramy niż pozostali dawcy, nie przerywając nadzoru nad kluczową fazą inwazji. Nie miał jednak powodów do obaw – przeniesieni do realnych ciał inwazjanci zaczęli się budzić. Wielu podstawowych żołnierzy stanowiło dobrze nadające się do zadań bojowych osobowości, nieskomplikowane, pozbawione traum i niepotrzebnych wzorców

etycznych prócz wpojonych dyscypliny i posłuszeństwa. Właściwie znaczną część oddziału tworzyły kopie raptem sześciu osobowości. Powielone jaźnie zasiedliły bez żadnych strat kilkuset pierwszych dawców, po czym natychmiast przystąpiły do zabezpieczania terenu.

Kiedy na miejscu wylądował pierwszy oficer, który – jako że łączył osobowość z jaźnią dawcy – potrzebował nieco czasu na przystosowanie, inwazyści zebrali całą dostępną w okolicy broń, wystawili czujki w promieniu kilkuset metrów od bramy, zlikwidowali nienadających się do zasiedlenia autochtonów, a nawet ujęli i sprowadzili kilkadziesiąt ciał przeznaczonych do przetworzenia. Demiurg kazał zebrać je w jednym z budynków i przygotować stworzenie bioprocesora, który otworzy lokalne infopole dla Wielojaźni. Przyda się on także do przekształcenia przyczółku w fort i do prac związanych z przeniesieniem techniki oraz jej wdrożeniem.

Demiurg pogрузił się w planach inwazji, nie kontrolując tego, co się dzieje z jego przyszłym nosicielem. Kiedy sięgnął po ciało kobiety wiązką wodzącą, okazało się, że jego ofiara została zatrzymana i obezwładniona. Ponadto do jej układu krwionośnego wprowadzono środki psychoaktywne obniżające ciśnienie krwi i czynność mózgową. Dopóki substancje owe działały, nie było mowy o zasiedleniu tego ciała. To była na razie pierwsza przeszkoda w trakcie całej inwazji. Nie zwlekając dłużej, demiurg kazał oficerowi wysłać patrol mający sprowadzić upatrzoną samicę do bramy.

Zanim odzyska zdobycz, musiał zająć się raportem dla Wielojaźni. Miliardy tworzących ją istot z pewnością niecierpliwie czekały na pierwsze dane. Informacja była podstawowym budulcem i jednocześnie główną pożywką Wielojaźni. Tacy jak demiurg istnieli wyłącznie po to, by zaspokajać to pragnienie.

\* \* \*

Pan Michał obrócił Papatyę na plecy, cały czas przyciskając ją do ziemi, a Dorota oburącz rozwarła jej szczękę. Jitka sprawnie wlała zawartość buteleczki do gardła opętanej. Turczynka zakrztusiła się mocnym roztworem opium w alkoholu, ale przełknęła niemal całą zawartość naczynia, porcję zdolną pozbawić przytomności kilku silnych mężczyzn. Al-hakima nie żałowała przyjaciółce cennego leku. Po pierwsze, naprawdę lubiła derwiszkę, po drugie, miała w niej wdzięczny obiekt do badań nad niezwykłym zjawiskiem.

Odkrywanie nieznanego – to było prawdziwe życie! Co przy tym znaczy jakieś bezproduktywne pomnażanie majątku? Robienie pieniędzy na handlu niewolnikami czy leczeniu niestrawności bogatych paszów? Mogła przejść do historii nauki jako odkrywczyni, która wydarła tajemnice spadłej gwiazdy. A kto

wie, do czego można będzie użyć zdobytą wiedzę? Może do leczenia lub przedłużania ludzkiego życia, może do zabijania na ogromną skalę? Tak czy inaczej, dziwadło i opętanie Papatyi roznieciły żądzę wiedzy Doroty. Znow poczuła się jak wtedy, gdy miała kilkanaście lat i ślęczała nad z trudem zdobytymi księgami lub asystowała przy najtrudniejszych zabiegach opolskich cyrulików. Znow cały świat stał przed nią otworem i odsłaniał swoje sekrety. Wróciły niepowstrzymana ciekawość i żądza poznania. Cała reszta w jednej chwili przestała się liczyć.

– Musimy zabrać ją z ulicy! – oznajmił pan Michał, przekrzykując harmider.  
– Coś tam się dzieje, chyba słyszę strzały.

Wokół nich przepływała ludzka rzeka, podniecona czymś, wzburzona i szumiąca narastającym hałasem. Gdzieś w oddali, skąd nadchodzili wystraszeni ludzie, rósł basowy pomruk. Jitka przestała gładzić zasypiającą Papatyę i wstawszy, patrzyła na wylot ulicy, skąd napływał nurt ludzi. Wreszcie złapała za ramię przebiegającą dziewczynę, by zasięgnąć języka.

Dorota była skupiona na stopniowo odprężającej się derwiszce. Już po paru chwilach przyjaciółka przestała się prężyć i miotać, stopniowo zwiotczała, a jej powieki opadły. Nadal jednak była rozpalona jak piec, czoło miała upiornie gorące. Al-hakima wiedziała, że trzeba ją szybko schłodzić, inaczej nie przeżyje tego dziwnego ataku.

– Bierzymy ją do najbliższej studni – zdecydowała. – Trzeba zrobić jej okłady. Rycerzu, będzie pan łaskaw ją przenieść.

Piotrowski skinął posłusznie głową i wziął dziewczynę na ręce. Dorota musiała przyznać, że wojak jest twardy i silny. Mimo upału i niedawnego wysiłku poruszał się energicznie, nie sprawiając wrażenia zmęczonego. Pchnięta impulsem wyciągnęła z kieszeni spodni chustkę i przetarła mu czoło. Nie dlatego, że się nad nim litowała, po prostu był jeszcze potrzebny i lepiej, by nie przewrócił się z Papatyą na rękach przez zalewający oczy pot. Pancerniak spojrzał na nią z zaskoczeniem i uśmiechnął się pod wąsem.

– Nie tędy – zaprotestowała Jitka. – Ludzie uciekają stamtąd przed buntownikami, którzy szaleją w dzielnicy garbarzy. Ponoć przyłączyli się do nich żołnierze i mordują kogo popadnie. Słyszałam też, jak jeden duchowny zawodził, że to przybyły piekielne demony i wszyscy jesteśmy zgubieni.

– W dodatku ktoś tam strzelił z muszkietu – przytaknął pancerny.

– Rozumiesz waść po turecku? – zdziwiła się Dorota, bo Jitka przemówiła do niej w miejscowym języku.

– Trochę się z Turkami biłem, trochę czasu spędziłem u nich w poselstwie i w niewoli. – Wojak wzruszył ramionami.

Uciekający z ogarniętej zamieszkami dzielnicy gnali na łeb na szyję, coraz bardziej przerażeni. Wreszcie na placu wybuchła panika, a narastający basowy

pomruk zmienił się w ryk wrzeszczących ludzi. Jakaś kobieta z dzieckiem na ręku przewróciła się prosto pod koła łomoczącego wozu ciągnionego przez okładane batem woły. Jitka wrzasnęła ze zgrozy razem z krzyczącą z bólu ofiarą, której koła zgruchotały nogi. Stojący obok młody Tadeusz zasłonił oburącz twarz, by nie patrzeć na tragedię.

– Przebijamy się do domu! – zdecydowała Dorota. – Nic tu po nas!

Wskazała na boczną uliczkę i ruszyła w jej stronę, machając ponagląco na pozostałych. Nie zamierzała udzielać pomocy stratowanym i poturbowanym – nikt jej za to nie płacił, poza tym niepotrzebnie ryzykowałyby życie. Nie udało im się jednak pokonać nawet połowy placu, który w określone dni tygodnia zmieniał się w końskie targowisko, gdy Jitka krzyknęła, wskazując na ulicę, którą ciągle napływali przerażeni uciekinierzy. Dorota odruchowo odwróciła głowę i zatrzymała się bardziej z ciekawości niż ze strachu.

Większość budynków ciągnących się po obu stronach ulicy była parterowa, z płaskimi drewnianymi dachami. W okolicy nie było ani jednego pałacyku czy bardziej wystawnego domostwa, wyłącznie ciasno upchnięte chałupy o pobielonych ścianach. Po ich dachach, skacząc z budynku na budynek, zbliżała się grupa mężczyzn. Sadzili tak wielkie susy i z taką prędkością, że drewno pękało z hukiem pod ich stopami. Odbijali się natychmiast, zostawiając za sobą potraskane dechy, jakby wzdłuż ulicy przeszedł kataklizm. Jedna z chałup nie wytrzymała uderzenia trzech lądujących na niej drabów i zawałała się w tumanach pyłu. Z chmur kurzu natychmiast wyskoczyli uzbrojeni mężczyźni. Nie tracili czasu na ponowne wskakiwanie na dachy, lecz pognali ulicą, rozrzucając na boki nieszczęśników, którzy uciekali, ciągnąc spowalniający ich dobytek.

– To nie są ludzie – stwierdził oczywistość zachwycony Tadeusz. – Są za silni.

– Wynośmy się stąd – powiedziała Dorota.

Dokądkolwiek spieszyli się ci osobnicy, lepiej było nie stawać im na drodze. Ruszyli zatem boczną uliczką odchodzącą od placu targowego za okazałym budynkiem łaźni miejskiej. Przebiegli wąskim traktem razem z gromadą innych ludzi i wypadli na ledwie odrobinę szerszą ulicę, jak się okazało, niemal zupełnie zakorkowaną przez przewrócony na bok wóz z masywnymi beczkami.

– *Bożská Matka, oroduj za nás!* – zawyła przerażona Jitka. – Oni biegną naszym śladem!

W końcu uliczki pojawili się ścigający – trzech mocno umięśnionych drabów w podartych łachach, które ledwo opinały ich wielkie cielska, dwóch janczarów z włóczniami w garści i trzech chłopców. Dzieciaki, najwyżej dwunastoletnie, wcale nie sprawiały wrażenia niewinnych i słabowitych. Każdy trzymał nóż lub sztylet, poruszał się energicznie i pewnie, choć od czasu do czasu wstrząsały nimi drgawki. Twarze całej ósemki wykrzywiały się, przyjmując groteskowe miny, raz

groźne, raz śmieszne, jakby ciało każdego z nich wypełniał demon, który ciągle nie mógł się do niego dopasować.

– Są opętani – załkał kasztelaniec Tadeusz. – To nie ludzie!

– Zamknij się, do cholery! – warknął pan Michał i podrzucił osuwającą mu się w ramionach Papatyę.

Przed nimi kłębił się wyjący z przerażenia tłum. Niektórym udało się wdrzeć na przewrócony wóz i kontynuować ucieczkę, reszta tłoczyła się, tratując i miażdżąc słabszych. Dorota spojrzała na boki, szacując sytuację. W chwilach zagrożenia jej zmysły wyostrzały się, a umysł zaczynał pracować ze zdwojonym wysiłkiem.

– Za mną! – rozkazała i ruszyła naprzeciw nadbiegającym w groteskowych susach opętanym.

Jitka posłusznie pobiegła za al-hakimą, a po chwili wahania dołączył do nich rotmistrz z kasztelanem. Dorota dopadła drzwi najbliższego domu i potężnie je kopnęła. Na szczęście chałupa jakiegoś biedaka nie została wyposażona w solidne zamknięcie, rygiel trzasnął i drzwi się otworzyły. Lekarka przebiegła przez ciemną sień i duży pokój, wpadała do kuchni i wyszła drugimi drzwiami na małe podwórko. Snujące się po klepisku trzy kury uciekły z gładaniem na widok biegnących ludzi. Przesadzili niewielki płotek i znaleźli się na dziedzińcu sąsiedniego, równie lichego domostwa. Przemknęli wzdłuż ściany chałupy, ciasnym przesmykiem między budynkami. Leżało tam mnóstwo odpadków i ludzkich odchodów, którymi al-hakima zapaskudziła sobie buty, ale udało się. Przedostali się na równoległą ulicę, gdzie jeszcze nie dotarła fala paniki. Nieliczni przechodnie wymieniali tylko gorączkowe uwagi, wskazując w kierunku dzielnicy garbarzy i placu z targiem końskim.

– Chyba się udało! – Jitka odetchnęła, gdy przeszli kilkadziesiąt kroków. – To jednak nie nas ścigali.

Za ich plecami rozległ się rumor i brzęk blaszanych naczyń uderzających o bruk. Kiedy odwrócili głowy, ujrzeli przewrócony stragan z miskami i garnkami, na który zeskoczył z dachu budynku umięśniony drab. Straganiarz podniósł lament, ale sprawca jego nieszczęścia nie zwrócił na niego uwagi. Dorota poczuła, jak ciarki przebiegają jej po plecach i włosy jeżą się na głowie. Ta upiorna istota patrzyła wprost na nią.

Ktoś krzyknął wściekle z przeciwnej strony ulicy. To klął mężczyzna przewrócony przez janczara, który również zeskoczył z dachu, roztrącając przechodniów. Chwilę później obok niego wylądował drugi piechur uzbrojony we włócznię. Uciekinierzy znaleźli się w potrzasku, w dodatku wyglądało na to, że to jednak właśnie ich tropili opętani wojownicy.

– Chodzi im o Papatyę – domyśliła się Dorota. – Zatrzymaliśmy ją, to sami po nią przyszli.



Rotmistrz Piotrowski sapnął ciężko i cisnął nieprzytomną derwiszkę w ramiona Tadeusza. Wyrwał zatknięty za pas pistolet i odciągnął kurek. Lewą ręką chwycił wiszącą na rzemyku u pasa małą, ozdobną prochownicę, wyjął zębami jej zatyczkę i sprawnie podsypał panewkę broni. Wszystko to zrobił błyskawicznie, bez chwili wahania. Dorota zerknęła na niego z podziwem.

– Zawsze носи waćpan ze sobą cały arsenał? – spytała nerwowo.

– Jestem żołnierzem we wrogim mieście, taką mam robotę – rzucił, nie spuszczać wzroku ze zbliżających się szybko janczarów.

Z drugiej strony ulicy nadchodziło trzech siłaczy. Ich ciałami ciągle wstrząsały drgawki i nieco ich spowalniające skurcze mięśni. W oddali pojawili się też smarkacze uzbrojeni w noże. Ludzie cofali się przed nimi i schodzili im z drogi, choć ci zupełnie ignorowali przechodniów, nie odrywając wzroku od Papaty.

– Cofnijcie się pod ścianę, za mnie – rozkazał pan Michał, zerkając to w prawo, to w lewo i szacując, z której strony nadejdą pierwsi przeciwnicy. – Tadeuszu, jeśli uda mi się wyrębać przejście, uciekaj z paniami. I trzymaj mocno tę nieszczęsną kobietę.

– Jako żywo – wydukał poblady ze strachu kasztelaniec.

Janczarzy runęli do ataku bez najmniejszego ostrzeżenia i w całkowitym milczeniu. Poruszali się synchronicznie, identycznymi ruchami, jakby byli jedną osobą. Pancerny wymierzył w tego z lewej strony, ale nie strzelił, dopóki opętani nie zbliżyli się na kilka kroków. Wreszcie pociągnął za spust. Gruchnął strzał i napastników ogarnęła chmura dymu.

Na ulicy podniósł się rwetes, ludzie z krzykiem rzucili się do ucieczki. Pan Michał cisnął pistoletem w drugiego janczara i dobył szabli. Przeciwnik trafiony kulą w trzewia zatrzymał się i zgiął, łapiąc za ranę. Natychmiast jednak się wyprostował, patrząc ze zdumieniem na zakrwawioną dłoń i dziurę w brzuchu. Tymczasem pancerny natarł na drugiego przeciwnika, unosząc broń do ciosu nad głowę. Janczar uchylił się, jednocześnie pchając włócznią. Jego cios był niezgrabny i wolny, jakby pierwszy raz trzymał drzewce w garści. Rotmistrz puścił je bokiem, zrobił krok do przodu i rąbnął przeciwnika szablą w czaszkę. Trzasnęła miazdżona kość i ostrze z młaśnięciem zagłębiło się w głowie opętanego.

Dorota nie odrywała wzroku od ranionego w brzuch. Janczar zlekceważył ranę, która powaliłaby zwykłego człowieka, i zaatakował pancernego wyciągającego akurat ostrze z czaszki swego przeciwnika. Przynajmniej ten z rozłupanym łbem runął martwy na ziemię. Pan Michał uchylił się przed kolejnym pchnięciem, wyrwał wreszcie szablę z głowy zabitego i ponownie zamachnął się do cięcia. Jednak drugi janczar sparował cięcie drzewcem i natychmiast kopnął pancernego w udo. Siła ciosu była tak wielka, że Piotrowski przewrócił się z jęknięciem.

– Szybko się uczą – szepnęła do siebie Dorota.

– Uciekajcie – syknął rotmistrz, podrywając się.

Droga była wolna, przynajmniej od strony, z której natarli janczarzy. Jitka pociągnęła al-hakimę za rękę i obie pobiegly przed siebie. Tadeusz przerzucił sobie Papatyę przez ramię niczym worek mąki i pognął za nimi. Pan Michał wywijał szablą, przesuwał się na środek ulicy, by zablokować drogę nie tylko janczarowi, ale i pozostałym opętanym. Ci właśnie dotarli do miejsca starcia. Nie mogli jednak runąć wszyscy na pancernego, bo janczar nie próbował dźgać grotem, tylko wymachiwał włócznią niczym kijem, robiąc szerokie zamachy. Drzewce ze straszliwym świstem cięło powietrze, pan Michał zaś wiedział, że jeśli go trafi, połamie mu gnaty samym impetem uderzenia. Nigdy nie widział takiej techniki walki i nie zetknął się z równie silnym przeciwnikiem. A janczar nawet nie wyglądał na siłacza, w przeciwieństwie do trzech czających się za nim drabów. Strach pomyśleć, jaką oni mieli moc.

Pancerny cofał się krok po kroku, markując ataki, którymi wszakże nie mógł sięgnąć przeciwnika. Ten nic sobie nie robił z krwawiącej obficie rany brzucha i przesuwał się za nim, operując kijem z coraz większą furją. Jego twarz pozostawała niemal nieruchoma, tylko chwilami przebiegały przez nią skurcze, być może bólu. Ruchy janczara stawały się płynniejsze i pewniejsze, drzewce kilka razy minęło pana Michała o włos, aż wreszcie zadzwoniło, muskając kolczugę. W dodatku kompani opętanego nie stali już bezczynnie. Trzej chłopcy wspięli się po ścianie najbliższego domu niczym wielkie pająki, wczepiając się rękoma w niemal płaską powierzchnię. Zachowywali się, jakby ich umysły poruszały kiedyś owadzimi ciałami. Wyglądało to nienaturalnie i wręcz odrażająco. Pancerny czuł rosnący strach. Zdawał sobie sprawę, że za chwilę skoczą na niego z góry i go zgładzą. Nie mógł odwrócić się i rzucić do ucieczki, bo janczar natychmiast roztrzaskałby mu głowę drzewcem. Odetchnął pełną piersią, zrobił niedbałym gestem znak krzyża na piersi i zamachnął się do ostatniego, desperackiego ataku.

– Hola, mości Piotrowski! – rozległ się okrzyk za jego plecami. – Zabawiasz się bez nas?

Na drugim końcu ulicy pojawili się dosiadający wierzchowców husarze. Semen Błoński trzymał szablę w garści, Jakub i Krzysztof Kęsiccy również sięgnęli po broń. Dwóch pocztowych ustawiło się po bokach towarzyszy, tak że w pięciu zajęli całą szerokość ulicy. Pan Michał miał tylko uderzenie serca, by na nich zerknąć, zmuszony do desperackich uników i cofania się przed przeciwnikiem.

– Baczcie na szczeniaków na dachach! – krzyknął tylko.

Husarze spięli konie i ruszyli stępą do ataku. Podkute kopyta zadzwoniły o bruk, ich dudnienie narastało z każdą chwilą. Pan Michał zdawał sobie sprawę, że powinien zejść szarżującym z drogi, ale nie miał szans na jakikolwiek manewr. Janczar napierał na niego, drzewce włóczni znów zadzwoniło o kolczugę na

ramieniu rycerza, tym razem już boleśnie. Kiedy pancerny próbował odbić je szablą, broń omal nie wypadła mu z ręki. W dłoni poczuł nieprzyjemne mrowienie, na szczęście jednak stal nie pękła.

Husarze nadjechali kłusem. Jakub Kęsicki w ostatniej chwili krzyknął ostrzegawczo, dając rotmistrzowi szansę na ucieczkę. Nie oglądając się za siebie, pancerniak rzucił się w bok, pod ścianę domu. Opętany janczar nie zamierzał jednak tak po prostu go zostawić i zamachnął się, ignorując nadjeżdżających rycerzy.

Ostrze Błońskiego trafiło piechura pod uniesioną rękę i rozrąbało bok. Ciężka husarska szabla rozplatała go niemal na pół, odsłaniając żebra i docierając do serca. Semen omal nie wypuścił broni, ale w porę poprawił chwyt i wyszarpnął szablę z okaleczonego ciała. Opętany janczar obrócił się, pociągnięty przez klingę, bryzgając wokół fontanną krwi. Zachwiał się i wreszcie runął bez życia na bruk.

Krzysztof Kęsicki z krzykiem zaatakował jednego z drabów, ale ten uchylił się przed cięciem i grzmotnął pięścią mijającego go konia w zad. Zwierzę kwiknęło z bólu i po przebiegnięciu z rozpędu kilku kroków zważyło się ciężko na bok. Młody rycerz zdążył wyszarpnąć nogi ze strzemion i w porę zeskoczył, unikając przygniecenia przez wierzchowca. Przeturlał się i natychmiast poderwał.

Jakub miał więcej szczęścia. Jego przeciwnik spóźnił się odrobinę z unikiem i pióro szabli zakochanego w Jitce rycerza zawadziło o czubek jego głowy, odcinając go. Siłacz zadrżał tylko i brocząc krwią, która strumieniami popłynęła mu po twarzy, ruszył za oddalającym się jeźdźcem. Przebiegł kilkanaście kroków, zanim uszkodzony mózg odmówił posłuszeństwa i nogi mu się poplątały. Runął na ziemię, wstrząsany silnymi skurczami mięśni.

Na trzeciego z siłaczy najechał jeden z pocztowych. Koń uderzył stojącego piersią i przewrócił, ale sam również się zatrzymał, wstrząśnięty oporem przeciwnika. Husarz wychylił się w siodle, biorąc zamach, i ciał leżącego. Odrąbał mu uniesioną obronnie lewą dłoń, ale wtedy drab chwycił go prawą za rękę trzymającą szablę. Pociągnięty w dół husarz wyleciał z siodła. Siłacz poderwał się i nie puściwszy przeciwnika, trzasnął go czołem w twarz, z obrzydliwym chrupnięciem zamieniając ją w krwawą miazgę. Obrócił trzymanym za rękę rycerzem i cisnął nim niby szmacianą zabawką. Mężczyzna przeleciał przez ulicę i gruchnął z brzękiem i trzaskiem pękających kości o ścianę.

– W głowy! – krzyknął rotmistrz Piotrowski. – Mierzcie im w głowy. Ran nie czują, sukinsyny!

Semen, który akurat zawrócił konia i ruszył do kolejnej szarzy, posłuchał i uderzył okaleczonego draba prosto w czoło. Cięcie było tak szybkie, że tym razem opętanemu nie udało się złapać ręki trzymającej broń. Jego czaszka została rozrąbana niemal na pół.

Na plecy drugiego z pocztowych spadł niewielki kształt. To jeden

z opętanych dzieciaków skoczył z dachu. W locie wbił nóż aż po rękojeść w odsłoniętą szyję husarza, a potem razem z nim spadł na ziemię. Pan Michał, który zdążył już wstać, dał susa i bez skrupułów ciął od tyłu dzieciaka w kark, zanim ten się podniósł.

– Jeszcze dwóch na dachach! – zawołał.

Dostrzegł jednego, szykującego się do skoku, ale opętany nagle zrezygnował. Odwrócił się i pomknął przed siebie, znikając z widoku. Rotmistrz odetchnął z ulgą i opuścił broń. Dygotały mu ręce i co gorsza, nogi, szczególnie w kolanach. Był tak wyczerpany, że osunął się na ziemię. Obok dogorywał pocztowy husarski, niemłody już mężczyzna o mocno posiwiałych skroniach. Prychał krwią, nie mogąc złapać oddechu, bo ostrze noża zablokowało mu krtań. Drgnął jeszcze dwa razy i skonał.

Jakub zeskoczył z konia i podszedł do kuzyna, który uklęknął przy swoim rannym wierzchowcu. Zwierzę miało złamaną nogę w biodrze, co wprawiło obu rycerzy w zdumienie. Niepodobne wydawało się, że takie obrażenia zadał człowiek, i to gołą ręką. Pokiwali głowami, po czym Krzysztof dobył sztyletu, by skrócić cierpienia wierzchowca. W tym czasie Semen objechał pobojowisko, z siodła oglądając trupy.

– Dzięki waszmościom – powiedział wreszcie pan Michał. – Jakaście mnie znaleźli?

– Jechaliśmy tam, skąd dobiegał największy rwetes – odparł Błoński. – Kiedy padł strzał, domyśliłem się, żeś waćpan w kłopotach. Puściłem w niepamięć dzielące nas zaszłości i ruszyłem z pomocą. Nie ma o czym gadać, chodźmy lepiej poszukać gdzieś zimnego piwa.

– Raczysz, waszmość, żartować. – Pancerny uśmiechnął się, wstając z trudem. – Tu w karczmach nie mają piwa, wina zresztą też, a tym bardziej gorzałeczki. Muszę zresztą pierwej odszukać kasztelańca, a wy waszego księdza.

– Klecha został z niewolnicami. Pewnie je pociesza i gapi się na ich cycki – prychnął porucznik husarski. – No dobra, bierzmy swoich i wracajmy do hanu zameldować o sprawie kanclerzowi Gnińskiemu. Było nie było zabiliśmy Turków, i to w biały dzień, w środku miasta. Będą z tego kłopoty, to pewne.

Pan Michał pokiwiał głową. Kłopoty będą z pewnością, ale nie wiadomo, czy z powodu zabitych. I czy właściwie tak naprawdę zabili Turków.

## V

Demiurg odebrał meldunek od powracającego patrolu, ale nie dołączył go do pakietu przeznaczonego dla Wielojaźni. Utrata kilku inwazerów nie wymagała raportowania, była pomijalnym wypadkiem w zakresie statystycznego marginesu niepożądanych przypadków losowych. Inna sprawa, że wiązała się z nią utrata ciała przeznaczonego i wstępnie przygotowanego dla dowodzącego inwazją. Ten fakt jednak postanowił zataić. Część Wielojaźni stanowili konserwatywnie nastawieni współdzielący, którzy hołdowali surowym prawom swoich wchłoniętych cywilizacji. Zanim ulegli cyfryzacji i wirtualizacji, ich materialne formy pochodziły z gatunków nieznanymi postaw etycznych rozumianych jako współczucie, miłosierdzie czy przebaczenie. Wszelkie objawy słabości demiurga kwalifikowały go w ich oczach do natychmiastowej kasacji i zastąpienia przez kolejną osobowość. Zdawał sobie z tego sprawę, zadbał więc, by wieść o utracie kluczowego ciała nie przedostała się do infopola.

Musiał jak najszybciej przenieść się do kolejnego dawcy. Gdy znajdzie się po stronie materialności, jego kasacja będzie zbyt kłopotliwa, by przeprowadzić ją z byle powodu. Znajdzie się po prostu poza bezpośrednim wpływem Wielojaźni, uzyska sporą autonomię. Na szczęście nie na darmo naznaczono go na demiurga – miał doświadczenie pozwalające przewidzieć podobne, niemal niemożliwe sytuacje.

Rezerwowe ciało znalazło się na miejscu przypadkiem, tuż przed otwarciem bramy i należało do człowieka niepoddanego promieniowaniu ezoterycznemu. Jego mózg nie został zatem wstępnie przygotowany, a osobowość była nietknięta. Samiec, nie całkiem już młody, za to w doskonałym stanie fizycznym, został nieco uszkodzony. Od ciosu w głowę nastąpiły pęknięcia czaszki i wstrząśnienie mózgu. Na szczęście był to defekt bardzo łatwy do usunięcia, i to wiązką infopolową. Dodatkowo demiurg postanowił wprowadzić standardowe modyfikacje mięśni i układu nerwowego zwiększające wydolność organizmu. Wszystko to były proste, podstawowe zabiegi na poziomie operacji skoncentrowaną informacją, którą w polu bezpośredniego oddziaływania bramy można było wpływać na materialność. Modyfikacje leżały w zakresie procesu przeniesienia i realizowano je wraz z operacją wpisania osobowości w dawcę.

Jedynym niebezpieczeństwem i anomalią było to, że ciało nie zostało przygotowane. Jego umysł był w dobrym stanie i przy tworzeniu konglomeratu osobowości istniała groźba zbyt intensywnego wpływu jednej świadomości na drugą. Demiurg powinien dla bezpieczeństwa całkowicie wymazać osobowość

dawcy, ale z drugiej strony potrzebował wiedzy z pierwszej ręki o tym świecie i lokalnej cywilizacji. To mogło być kluczowe w wypadku pojawienia się niespodziewanych przeszkód w czasie inwazji. Niby mieli do czynienia z prymitywnym, bezbronnym światem, ale okazało się, że miejscowi potrafią się bronić i sprawiać kłopoty.

Decyzja została podjęta, ciało dawcy dostarczone do bramy, a demiurg przygotował się do przeniesienia, uzbrajając w stosowne oprogramowanie. Poczł nacisk, gdy wiązki skanujące sczytały pakiet danych z jego umysłem i poddały kompresji. Przeniesienie odczuł jako chwilową utratę świadomości. Nagłe szarpnięcie powodujące lekki dyskomfort. A potem otworzył oczy.

## VI

Trzeba natychmiast powiadomić padyszacha i wysłać gońca do wielkiego wezyra! Poderwałem się gwałtownie i aż jęknąłem, łapiąc się za głowę.

Zapoznanie się z nowymi zmysłami zawsze było ciekawe, choć przejmujący ból z tyłu głowy nie należał do najprzyjemniejszych doznań. To załatane pęknięcie potylicy dało o sobie znać, i to bardziej jako pamięć ciała, które odniosło nieistniejące już obrażenie, niż prawdziwa rana. Przełknąłem ślinę, masując bolące miejsce i zastanawiając się, kim właściwie jestem. Czy byłem Talazem Tayyarem, *lala* z gwardii sultańskiej, czy demiurgiem, sługą Wielożadni? Zewsząd napływały bodźce, przez które nie mogłem się skupić. Ciało dawcy przyjmowało je jako coś naturalnego, ale jaźń demiurga traktowała jako zupełną nowość.

Nastała noc i czarne niebo nad moją głową jarzyło się tysiącami gwiazd. Okolicę bramy rozjaśniał jej pulsujący blask, a otaczające nas miasto rozświetlały łuny pożarów. Wywołali je inwazerzy, na moje polecenie, by szerzyć chaos i nie pozwolić miejscowym rozeznac się w sytuacji. Musiałem przyznać, że to był dobry pomysł – ludzie sultana będą myśleli, że mają do czynienia z niespodziewanym buntem hołoty, i wyślą do jego stłumienia nieliczne oddziały piechurów. Nie wiedzieli, że nadciąga zagłada.

Zaraz, co ja wyprawiam? Jaka zagłada, na łaskę Allacha? Jestem wiernym sługą padyszacha i nie mogę działać przeciw jego wspaniałości. Choć nie, już nim nie jestem. Pochodzę z innego świata, z innego kontinuum i służę innemu panu. Bytowi złożonemu z miliardów umysłów i wypełniającemu niematerialne infopole, wymiar informacji.

Wstałem i rozprostowałem członki. Podskoczyłem parę razy, rozluźniając mięśnie. Musiałem pozwolić, by napłynęła do nich gorąca krew i pobudziła je do życia po przebudowaniu przez wiązkę wodzącą. Teraz byłem kilka razy silniejszy i wytrzymalszy niż przed ingerencją infopola. Ciało szybko zaakceptowało przemianę, ale jeszcze trochę będzie wstrząsane skurczami i drgawkami. Proces dostosowawczy zawsze wymagał czasu, by układ nerwowy osiągnął równowagę i przyjął zmiany. W efekcie będę najwspanialszym tancerzem, jakiego widziało imperium osmańskie, i niepokonanym szermierzem!

Czułem smród spalenizny i śmierci. Co prawda uprzątnięto zwłoki z okolicy i złożono je w jednym z budynków do ponownego wykorzystania, ale w sąsiednich zabudowaniach zespół inżynieryjny przygotowywał budowę bioprocesora z ciał złapanych ofiar, co wiązało się z brutalną ingerencją w ich organizmy. To dlatego rozlegały się stamtąd straszliwe krzyki, wycie i zawodzenie. Moje ciało aż zadrzało

ze zgrozy, gruczoły wypuściły do krwiobiegu fale hormonów. Poczulem pierwsze w tym ciele organiczne emocje – ciekawa odmiana po cyklach zawieszenia w infopolu i nieodczuwania. Czułem strach i podniecenie, żal i niepokój. Tak reagował Talaz na wrzaski torturowanych, co znaczyło, że tak samo reagowali wszyscy ludzie.

Oczywiście, że reagowali przerażeniem, mając świadomość, że tuż obok potwory obdzierają ludzi żywcem ze skóry i łączą ich układy nerwowe w jeden ogromny splot. Twór powstały z oszalałych z bólu i przerażenia nieszczęśników posłuży jako mechanizm mający poszerzyć bramę. To było tak nieludzkie, że nie mogłem tego znieść. Powinienem natychmiast interweniować i ostrzec pobratymców, powiadomić o wszystkim choćby wezyra Kara Mustafę!

Potrząsnąłem głową, zapanowując nad ludzką stroną mojej połączonej osobowości. Potrzebowałem paru chwil, by jako Talaz oswoić się z sytuacją i przyjąć do wiadomości, że nie pełnię już służby jako *lala*, lecz jestem kimś innym.

Rozejrzałem się, stawiając pierwsze kroki. Ciemność nie ułatwiała chodzenia. Oczy ludzi reagowały na widmo światła w mocno ograniczonym zakresie. Pomyśleć, że wiele cykli temu dysponowałem krzemoorganicznym ciałem poruszającym się we wrzącym kwasie siarkowym i obdarzonym podobnym do wzroku zmysłem rejestrującym obraz od mikrofal do twardego, wysokoenergetycznego promieniowania. Mnogość i różnorodność form życia tworzącego świadome i inteligentne organizmy była zadziwiająca. Trochę szkoda, że wszystkie muszą ulec i zrobić miejsce dla Wielojaźni. Niektóre dostąpią zaszczytu połączenia się z nią, ale większość zostanie usunięta. Takie jest odwieczne prawo silniejszego. Liczy się wyłącznie jego przetrwanie.

Chodziłem chwilę po rumowisku wokół bramy, rozciągając mięśnie i porządkując połączoną osobowość. Oficerowie stali w oddaleniu, przyglądając mi się i pozwalając, bym okrzepł w nowej rzeczywistości, nim zacznę wydawać rozkazy. Skinąłem im ręką na znak, że wszystko w porządku, nie uruchamiałem jednak jeszcze wpisanego w umysł modułu umożliwiającego kontakt telepatyczny. W światach pozbawionych zaawansowanej technologii zespoły inwazyjne właśnie za pomocą telepatii realizowały łączność, a nawet tworzyły całe sieci informacyjne.

Wspiąłem się na przewróconą ścianę garbarni górującą nad okolicą. Miałem stąd widok na spory fragment *mahalli*. Widziałem jak na dłoni bijące w niebo łuny pożarów obejmujące niemal całe Sağmalcılar, ale sięgające aż do Tophane, dzielnicy, w której znajdowała się potężna ludwisarnia, a przy niej sułtańskie młyny prochowe. To tam powinienem wysłać silny oddział, by przejąć odlewnie dział i arsenał z amunicją oraz prochem. Ograniczyłbym w ten sposób ryzyko użycia artylerii przeciw inwazerom. To był jednak drobiazg, którym postanowiłem zająć się za chwilę. Do tego czasu zamierzałem przez parę minut napawać się



złowrogim pięknem zaatakowanego nocą miasta.

Gdzieś w oddali zagrzmiała salwa muszkietowa i wzniósł się chóralny okrzyk:

– Ała! Ała!

Zawołanie bojowe janczarów wzywających na pomoc boskie imię. Widocznie wielki wezyr zdecydował się wysłać oddziały do stłumienia zamieszek. Spotka ich srogie rozczarowanie, gdy zamiast sfor pijanego motłochu natkną się na kilkuset nieludzko silnych i nieczujących bólu wojowników. A to był dopiero początek.

Zwróciłem się w drugą stronę, do licznych, pogrążonych w błogiej ciszy i spokoju *mahalli*. Rzemieślnicy, handlarze i niewolnicy z pewnością nasłuchiwali hałasów, dziwiąc się, co się właściwie dzieje. Nie spali pewnie też więźniowie w ponurej dzielnicy Kasympasza, niepokoiłi się Żydzi i Cyganie z Balatu oraz wioślarze z nadmorskiej Tersane. Gdzieś tam, w oddali, na końcu Złotego Rogu, spokojnie spali w swoich bogatych pałacach mieszkańcy świętej dzielnicy Eyüp, tak jak po drugiej stronie zatoki, w Galacie, niczego nieświadomi chrześcijańscy mieszkańcy Stambułu.

Miałem wiele wspomnień związanych z każdą z tych dzielnic, te i wszystkie inne znałem jak własną kieszeń. Niektóre wspomnienia sięgały aż do mojego dzieciństwa, kiedy to osierocony wylądowałem na ulicy. Byłem na szczęście ładnym chłopcem o delikatnej, niemal dziewczęcej powierzchowności. Nic dziwnego, że przygarnęli mnie *Czengi* i wyuczyli fachu. Uliczni tancerze tworzyli wędrowne trupy, szkolone nie tylko w tańcu i akrobacji, ale także w sztuce miłosnej. Chłopcy dawali niezwykle przedstawienia, poprzebierani w zwiewne kobiece stroje, mając utrefione długie włosy i wyzywające makijaże. Szczególnie rozkochiwali w sobie janczarów, którzy z miłości do ulubieńców potrafili ze sobą walczyć, często okupując zauroczenie krwią lub nawet życiem.

Okazałem się wyjątkowo utalentowanym i uwodzicielskim tancerzem. Nim osiągnąłem trzynaście lat, byłem już jednym z najpopularniejszych *Czengi* w mieście. Nic zatem dziwnego, że wreszcie wpadłem w oko komuś z wyższych sfer. Czarny Mustafa zabrał mnie z ulicy i przygarnął pod swe skrzydła. Kazał kształcić w medresie, po czym oddał na szkolenie w ręce białych eunuchów-dusicieli, sułtańskich siepaczy i skrytobójców. Szybko wyrosłem i zmądrzałem, poza tym przejawiałem niezwykle talent do spokrewnionej z tańcem szermierki. Doskonale też pamiętałem, komu zawdzięczam poprawę losu, i zawsze byłem wierny Kara Mustafie. Kiedy po śmierci swego szwagra objął urząd wielkiego wezyra i wprowadził mnie do bezpośredniego otoczenia sułtana, mimo miłości do władcy pozostałem człowiekiem Mustafy i o wszystkim mu donosiłem.

Teraz wiedza o działaniu imperium przyda się do jego unicestwienia. Zalały mnie przykrość i pałący wstyd, gdy o tym pomyślałem. I żal. Nadal bowiem

czułem miłość zarówno do sułtana, jak i wezyra, moich dobroczyńców, przybranych ojców i władców.

Zeskoczyłem z gruzowiska, by otrząsnąć się z przygnębienia. Talaz zaczynał niebezpiecznie dominować w mojej osobowości, działało się zatem coś, czego tak bardzo obawiano się w czasie tworzenia konglomeratów z umysłami nosicieli. Zaczynałem mu się poddawać. Pora zapanować nad ludzką stroną osobowości i zająć się inwazją.

Uruchomiłem algorytm otwierający moduł telepatyczny i ruszyłem naprzeciw czekającym oficerom. Natychmiast w mój umysł uderzył chór głosów recytujących meldunki, emitujących obrazy i emocje. Zanim zbliżyłem się do mniejszych dowódców, dowiedziałem się o ponawianych z różnych kierunków atakach janczarów, a nawet o rozbiciu silnego zgrupowania garbarzy. No tak, mieszkańcy tej dzielnicy w czasie mobilizacji byli w stanie błyskawicznie wystawić pięć tysięcy bitnego wojska. Powiniennem o tym pamiętać i działać, nim doszło do starcia.

Na szczęście oficer Hussein, przed zasiedleniem obcą jaźnią rzeźnik i właściciel pobliskiej jatki, poprowadził główny zespół uderzeniowy i rozbił liczące ponad tysiąc osobników zgrupowanie. Wziął przy tym prawie trzy setki jeńców, których kazałem natychmiast użyć jako dawców ciał dla kolejnego pakietu inwazjatorów czekających na przeniesienie.

Poleciałem wyłapywać ciała i zasiedlać je aż do uruchomienia bioprocesora i wpisania Wielojaźni w lokalne infopole. Wtedy nastąpi kolejny etap inwazji, który powinien pójść znacznie łatwiej. Rozkazałem też wycofać z miasta i przegrupować patrole prowadzące dywersję. Kolejne pożary nie wzbudzą jeszcze większego chaosu, niepotrzebnie za to wypłoszą mieszkańców, którzy potrzebni są jako dawcy. Nie zapomniałem również o tym, że wszystkie te ciała, których liczebność do rana przekroczy pięć tysięcy, trzeba będzie nakarmić. Wysłałem zatem oddział na targowisko, by zajął magazyny z żywnością.

Przyglądałem się swoim dowódcom, gdy za moimi plecami inwazjerzy sprowadzali kolejne ciała do bramy. Dawcy byli albo skrajnie przerażeni i bierni, albo histeryzowali, wyjąc, modląc się i prosząc o łaskę. Popychani i bici trafiali kolejno w obszar działania osobliwości informatycznej. Na parę chwil ogarniała ich mgła wiązek wodzących, odbierając przytomność, po czym wstawali jako zasiedleni przez osobowość kolejnego inwazjera. Akcja szła sprawnie i bez większych incydentów, choć krzyki i płacze ciągle powodowały wyrzuty hormonów do mego krwiobiegu.

Skupiłem się na oficerach. Nie odezwaliśmy się do siebie słowem – kontakt telepatyczny był znacznie szybszy i prócz informacji można było przekazywać w ten sposób emocje oraz obrazy. Dowódcy, podobnie jak ja, stworzyli konglomeraty osobowości z jaźniami dawców, przyjęli zatem ich imiona i sposób

wyrażania się. To było najwygodniejsze i najprostsze wyjście, niewymagające zbytnej ingerencji w psychikę i fizyczność człowieka. Zaczęliśmy więc odczuciami i rzucanymi obrazami dyskutować o dalszym postępowaniu. Wydałem rozkazy na najbliższy cykl dziennie-nocny, nie przestając jednak ich obserwować.

Miałem przed sobą Hassana, w którym rozpoznałem zdolnego dowódcę o analitycznym umyśle, weterana kilku kampanii, w których służył pod moimi rozkazami. Pochodził z rasy powstałej w wirtualnych światach jako sztuczna inteligencja. Materialność zawsze była dla niego obcym stanem i źle się w niej czuł. Pozostawał przez to bezwzględnie wierny i posłuszny Wielożańni. Wykonywał jej rozkazy co do joty.

Obok stała gruba Jasmina, którą zasiedliła wielka bestia pochodząca ze świata agresywnych i krwiożerczych gadów. Mimo licznych zmian ciał i pobytów w zawieszeniu infopola nie zatraciła morderczych instynktów i zwyczajów. Musiałem mieć ją na oku, by nie wyrznęła autochtonów dla samej przyjemności zabijania. Nadawała się za to świetnie do prowadzenia ofensywy, szczególnie przeciw przeważającym siłom przeciwnika.

Kolejny był Isub, młodzieniec w obdartych i śmierdzących ciuchach garbarza. Zasiedlała go prastara istota z mgławicy wypełnionej czarną materią. Jej gatunek wyewoluował w przestrzeni kosmicznej, żywiąc się protogwiazdami, a ciało sprzed cyfryzacji miało wielkość całego Układu Słonecznego i złożone było z gazowych chmur spiętych wyładowaniami i potężnym polem elektromagnetycznym. Isub nie posługiwał się żadnym językiem, a wyłącznie obrazami i snami. Jako dowódca nigdy nie dbał o straty własne, za to zawsze dążył do zagarnięcia jak największych łupów lub terenów. Był niesamowicie zachłanny.

Ostatnim, budzącym największy lęk był Val, wojownik w białym mundurze janczara podpierający się nonszalancko o włócznię. Przybył ze świata zbliżonego do poddanego inwazji i chyba czuł się tu jak ryba w wodzie. Przed cyfryzacją był kimś w rodzaju głównego kapłana lokalnej religii, który osiągnął stan boski. Jako bóstwo nie należał do najprzyjemniejszych typów – podbił wiele układów planetarnych, a ich mieszkańców bezwzględnie niszczył z pobudek religijnych. Jego rasa została podbita przez Wielożańń wiele cykli temu, jej krwawy pochod przez galaktykę natomiast zatrzymany. Vala ujęto i poddano cyfryzacji. Od tamtej pory był wykorzystywany jako oficer operacyjny. Wiedziałem jednak, że najbardziej pragnie stać się częścią Wielożańni, wierzył bowiem, że zdoła podporządkować ją swojej woli i będzie jej umysłem wiodącym. Marzyło mu się, że znów stanie się bogiem, i to naprawdę potężnym. To dlatego nigdy nie dostąpi zaszczytu uczestnictwa w Wielożańni.

Żadne z nas się nią nie stanie. Wszyscy mieliśmy ohydne osobowości i ich połączenie z sumą bytów mogłoby ją zanieczyścić, sprowadzić złe sny i zepsuć samopoczucie. Wszyscy byliśmy więzieni przez Wielożańń, podporządkowani jej

woli i używani do czynów najbardziej niegodnych i odrażających. Sługi od brudnej roboty, plugawi niewolnicy na usługach nadistoty.

Byliśmy armią przeklętych.

## **Stambuł**

### **15 dżumada II Anno Hegirae 1088**

### **15 sierpnia Anno Domini 1677**

Ogrody w prywatnej części pałacu Topkapi, należące wyłącznie do padyszacha, oddzielał od reszty świata wysoki mur pilnowany przez osobistą gwardię. Nie tłumiał on jednak dobiegających z zewnątrz hałasów, błagalnych okrzyków, nawoływań, przekleństw i chrzęstu broni. Motłoch przybył błagać imperatora o łaskę i pomoc. Mehmed IV z dynastii Osmanów przechadzał się między kwitnącymi kwiatami z rękami na plecach. Pogrążony w rozmyślaniach starał się nie zerkać w niebo zasnuwane dymem z licznych niegaszonych pożarów. Niestety rośliny nie tłumiały smrodu spalenizny, który dodatkowo nie pozwalał władcy zapomnieć o kłopotach i drażnił jego nozdrza.

Niespodziewanie w strefę prywatności padyszacha wkroczył wysoki, przystojny mężczyzna. Wezyr Kara Mustafa Merzifonlu Pasza nie był już młodzieniaszkiem i w jego czarnej brodzie pojawiły się liczne siwe włosy, ale zachował siły, jak zwykle energiczny i pełen zapału. Zbliżył się do władcy i uklonił mu bez słowa. Mehmed ujął go za ramiona i uściśnił serdecznie. Potrzebował teraz wsparcia swoich najlepszych dowódców.

– Wezwałeś Şeytana\*? – spytał.

Wezyr skinął głową. Owszem, wysłał gońca do Şeytana Ibrahima Paszy, *Damata*, czyli zięcia sułtana, i seraskiera armii imperium, ale oczywiste było, że ulubiony dowódca władcy nie zdąży przybyć z pomocą. Znajdował się z armią gdzieś w Mołdawii i list z wezwaniem przeczyta dopiero za kilka dni. Nim wróci do Stambułu, miną tygodnie. To zdecydowanie zbyt długo.

– Musimy radzić sobie sami, Mustafo – westchnął sułtan. – Dopóki wszystko wskazywało na to, że to tylko zamieszki w plugawej dzielnicy garbarzy, nie chciało mi się nawet przerywać poobiedniej drzemki, by wysłuchiwać meldunków. Teraz jednak jesteśmy już pewni, że to atak znacznie groźniejszych i potężniejszych sił. Wszyscy powtarzają, że agresorzy zostali opętani przez demony, że wróg wyroił

się prosto z piekielnych czeluści. To kara boża, gniew Pana spowodowany rosnącą bezbożnością. Trudno mi w to uwierzyć, ale gdy słyszę to okropne zawrodożenie tłumy... Czego oni właściwie chcą?

– Motłoch, jak to motłoch, chce ukarania winnych – rzekł niedbale Kara Mustafa. – Wielu z tych ludzi straciło domy i bliskich, są tacy, którzy wśród opętanych rozpoznali swoich przyjaciół lub członków rodzin. To się nikomu nie mieści w głowie. Uciekając przed szalejącymi mordercami, nagle widzą wśród nich swego sąsiada lub własną córkę rzucającą się na janczarów i rozrywającą im gardła. Ktoś musi być odpowiedzialny za tę katastrofę. Ludzie są przekonani, że to nie dzieje się bez powodu. W dodatku niektórzy imamowie, mimo moich prób o nieszerzenie paniki i chaosu, głoszą najróżniejsze teorie, z których ta o końcu świata i gniewie bożym należy do dość łagodnych. Nasi poddani są niezwykle zabobonni, a teraz, w obliczu czegoś tak niezrozumiałego i szalonego, chętnie słuchają wszelkiej maści proroków i świętych mężów, szarlatanów i zwykłych głupców.

– Winią za to mnie – domyślił się sułtan.

– Niektórzy – przyznał z żalem wielki wezyr. – Kazałem powiesić kilku łążęgów głoszących, że to wina padyszacha, który zbytym rozpasaniem obraził Boga. Nie sądzę, by szybko pojawili się ich naśladowcy. Znacznie łatwiej jest oskarżać nieszczęśników, za którymi nie stoi znacząca siła. Wina obarczono zatem tradycyjnie Żydów i doszło do kilku linczów i napaści na synów mojżeszowych, ale z równą pasją tłuszczka atakuje wszystkich innowierców. Pobito Greków na targowisku, spalono chrześcijańską świątynię i zatłuczono mnichów, oberwali Ormianie, wreszcie wrzucono do Bosforu francuskiego dyplomatę, a jego sługi zasztyletowano. Ofiarami stały się też dwie stare kobiety podejrzane o czary i rzucanie uroków, dziecko-albinos i kotlarz, który miał pecha, że był niebieskooki, czyli obdarzony „złym okiem”.

– Zapanowałaś już nad tym, wezyrze? – upewnił się padyszach.

– Oczywiście. – Mustafa uklonił się. – Winni zostali ukarani, na miejscu i bez litości. Wprowadziłem w mieście stan zagrożenia wojną, sądy odbywają się zatem natychmiast po ujęciu złoczyńców. Postanowiłem nie karać nieszczęśników stojących przed bramą pałacu, bo to w większości pokrzywdzeni przez opętanych, w tym sporo kobiet i dzieci. Nikogo nie oskarżają, tylko proszą o łaskę.

– Nakarm ich i powiedz, że ich krzywdy zostaną pomszczone – rozkazał Mehmed IV. – Poleć, by udali się na modły do jakiegoś meczetu. Ich zawrodożenia przyprawiają mnie o ból głowy.

Kara Mustafa znów się uklonił, bez słowa przyjmując rozkaz do wiadomości.

– A co ty sądzisz o opętanych? – spytał władca, patrząc uważnie na pierwszego ministra Dywanu.

– Zarządziłem utworzenie rady kryzysowej, powołałem do niej wszystkich obecnych w mieście *szejchów*, kilku *ulemów*, chirurgów, a nawet *babę* derwiszów. Po kilkugodzinnych dysputach doszli do wniosku, że opętania są czymś w rodzaju choroby. To jakby zaraza porażająca nie ciała, ale umysły. Wpędza chorego w szaleństwo, zmusza go do niszczenia i atakowania wszystkiego, co żyje. Rozprzestrzenia się jak czarna śmierć, przez morowe powietrze, za to atakuje szybciej.

– I zgadzasz się z tą opinią? – spytał sułtan.

– Niestety doniesienia oficerów walczących z opętanymi tego nie potwierdzają – przyznał wezyr z wahaniem. – Jak na kompletnie oszalałych zarażeni działają zbyt zbornie, zmieniają taktykę i reagują na nasze ruchy. Ich działania nie są przypadkowe, poza tym opętani biorą jeńców, przenoszą pakunki, chyba nawet budują coś w środku zajętego terenu...

– Ktoś nimi kieruje – zrozumiał sułtan.

– Wysłałem do nich posła, ale nie wrócił – rzekł wezyr.

Padyszach wypuścił powietrze, a potem z impetem położył dłoń na ramieniu wezyra.

– Mianuję cię seraskierem – oznajmił krótko. – Cała armia należy teraz do ciebie. Pokładam w tobie wielkie nadzieje, Mustafa, nie zawieź mnie.

Wielki wezyr pokornie schylił głowę, bez słowa i z godnością przyjmując awans. Nie był nim przesadnie zachwycony, bo wiedział, z czym wiąże się odpowiedzialność. Poprzedni seraskier, Hussein Pasza, dowodzący armią w bitwie chocimskiej, w której poniósł klęskę i stracił świętą chorągiew Mahometa, otrzymał od sułtana w nagrodę jedwabny sznur. Sznurem tym został elegancko, bez rozlewu krwi uduszony. Jeśli nie powiedzie się obrona Stambułu, Mustafa Pasza skończy w taki sam sposób.

– Jest jeszcze problem Polaków – powiedział. – Widziano, jak kilku husarzy szarżuje i zabija ludzi na ulicy. Zażądałem od posła Gnińskiego wyjaśnień, a on twierdzi, że jego rycerze bronili przechodniów przed szalejącymi opętanymi i kilku usiekli. Potwierdził również gotowość udzielenia nam pomocy, ale rzecz jasna podziękowałem. Na własnym podwórku nie wypada korzystać ze wsparcia gości, którzy przybyli targować się z nami o zmniejszenie haraczu. W dodatku kilku członków rady podejrzewa, że Polacy mogą mieć coś wspólnego z niedawnymi wydarzeniami. Dziwadło spadło akurat wtedy, gdy przybyli do Stambułu. Może to, co się dzieje, to podstępny atak przypuszczony na rozkaz polskiego króla?

Padyszach spojrział w zadymione niebo, zaciskając pięści.

– Co z nimi zrobiłeś? – spytał.

– Na razie kazałem janczarom dyskretnie zamknąć ulicę, na której znajduje się ich han. Poselstwo liczy niemal tysiąc osób i sześćset koni, w tym dwie chorągwie ciężkiej jazdy i dwie lekkiej. Od początku wyglądało to podejrzanie. Po

co posłowi tyle wojska? – mruknął Kara Mustafa. – Nie wykonałem jeszcze żadnych wrogich gestów, bo nie mamy dowodów na współudział, zabroniłem im jednak, niby dla ich bezpieczeństwa, opuszczać zajazd.

– Dobrze – pochwalił sułtan. – Jeśli stwierdzisz, że stanowią jakiegokolwiek zagrożenie, zgładź ich wszystkich. Niech ani jeden nie ujdzie z życiem. Możesz to zrobić już teraz, na wszelki wypadek, ale zostawiam to tobie. Ja zajmę się bezpieczeństwem rodziny. Wysłałam cały harem i dzieci do Edrine.

– Doskonały pomysł, panie – rzekł wezyr. – Pozwól namówić się do wyjazdu z nimi. Na czas zażegania kryzysu przenieśmy Portę do naszej drugiej stolicy. Będziesz mógł stamtąd rządzić w bardziej sprzyjających i godnych warunkach.

Padyszachowi jakby niewidzialny ciężar spadł z ramion. Uśmiechnął się promiennie i uściskał wezyra. Co za ulga! Nie będzie musiał znosić tego koszmaru i kłopotać się walką z tajemniczym najeźdźcą. Zostawi sprawę w rękach swojego najzdolniejszego dowódcy, a sam odpocznie w spokojnym i cichym pałacu.

– Opuszczam cię z ciężkim sercem – powiedział, hamując uśmiech. – Będą towarzyszyły ci moje modlitwy. Oddam ci pod komendę moją gwardię przyboczną i obsadę pałacu. Będę się za ciebie modlił, Mustafa. A teraz wybacz, pójdę rozkazać, by spakowano także mnie. Wypłyniemy jeszcze przed wieczorem.

– Wspaniale, panie – powiedział wezyr.

Kiedy padyszach odszedł niemal tanecznym krokiem, na twarzy wezyra pojawiło się zmęczenie i znużenie. Sięgnął do patery z owocami stojącej na ażurowym stoliku i wziął suszonego daktyla. Zjadł go machinalnie, nie czując smaku. Cały czas patrzył w zadymione niebo, zastanawiając się, w jak wielką kabałę właśnie się wpakował.

## **Stambuł**

**16 dżumada II Anno Hegirae 1088**

**16 sierpnia Anno Domini 1677**

Gdzieś niedaleko rozległo się głuchoe tąpnięcie, a po nim straszliwy rumor. Dorota poderwała się, odskakując od posłania Papatyi, i dopadła do okna. Ujrzała tylko tumany pyłu sunące wielką chmurą po ulicy, by pożreć wszystko po drodze i pograć w swoich trzewiach. To w grzyzy obróciła się jakaś duża budowla, chyba

pobliski meczet. Tak, znikł górujący nad okolicą minaret, wieża, z której pięć razy dziennie śpiewano wezwanie do modlitwy.

– Pora się wynosić – powiedziała al-hakima do siebie. – Jitka! Niech Enikej Bej wyprowadzi „ciała”, ruszamy natychmiast!

Niewolnica odkrzyknęła z dołu, że rozumie, i bez zwłoki pobiegła wykonać zadanie. Wymarsz do portu, gdzie czekał opłacony kapitan kupieckiej barki, miał nastąpić dopiero po południu, ale wyglądało na to, że front się przesunął. Widocznie opętani przełamali kolejny pierścień obrony i poszerzali zajęty teren.

Na ulicy pojawili się uciekinierzy, ale i ludzie, którzy tylko wyszli przed domy, by popatrzeć na katastrofę. Część mieszkańców już wczoraj opuściła okolicę, część, tak jak Dorota, czekała na załatwienie ostatnich spraw, a niektórzy nigdzie się nie wybierali, licząc na potęgę imperialnej armii, która musiała w końcu powstrzymać opętanych.

– Co się stało? – niespodziewanie odezwała się Papatya.

Derwiszka usiadła na posłaniu, przecierając zaspane oczy. Dorota stopniowo wybudzała ją z narkotycznych snów. Dwa dni temu po przebudzeniu dziewczyna wpadła w histerię, krzyczała, że jej głowę wypełnia tłum potworów. Al-hakima uspiła ją ponownie, ale już mniejszą dawką opium, domyślając się, że narkotyk mógł wzmocnić efekty uboczne chwilowego opętania. Po drugim przebudzeniu dziewczyna zachowywała się spokojniej, ale nadal była wystraszona. Twierdziła, że ciągle słyszy, jak bestie ze sobą rozmawiają. Nie zawsze używają słów, często przesyłają sobie obrazy lub doznania, nawet zapachowe. Kiedy zjadła śniadanie, ciągle błądząc gdzieś myślami, oznajmiła, że wie, co właśnie robią bestie i jak są kierowane. Są wśród nich dowódcy, którzy wydają rozkazy za pomocą tych dziwnych snów na jawie.

– Dziwadło poraziło mój umysł, by uczynić mnie opętaną, ale że dzięki tobie do tego nie doszło, zostałam tylko napiętnowana. Słyszę ich widmowe rozmowy i chyba nawet mogę brać w nich udział – powiedziała z szeroko otwartymi z przejęcia oczami.

Dorota była zachwycona. Jako jedyne w mieście miały źródło informacji o najeźdźcach. Co prawda nadal niewiele o nich wiedziały, ale dzięki mocy derwiszki istniała szansa na nawiązanie z nimi kontaktu. Al-hakima zdecydowała, że Papatya jest jeszcze w zbyt dużym szoku i musi się otrząsnąć, by podejmować próby inwigilacji wrogów. Nakarmiła ją więc i znów uspiła, lecz tym razem naparem na łagodnych, uspokajających ziołach. Teraz ze snu wyrwał ją łomot walącego się meczetu, ale o dziwo nie wyglądała na przestraszoną.

– Wstawaj, wynosimy się stąd – powiedziała Dorota. – Wynajęłam krypę, która zawiezie nas na drugi brzeg Bosforu. W Galacie zatrzymamy się w jakimś portowym hanie i zobaczymy co dalej. Muszę się zastanowić, czy nie przerzucić „ciał” do Kairu i nie odsprzedać ich, zanim wieści o chaosie w stolicy



rozprzestrzenia się po imperium. Nie wiem, jak zareagują na to rynki, ale może pojawić się problem ze zbytem luksusowych towarów, a takim są europejscy niewolnicy.

Papatya wstała posłusznie, ale zdawało się, że nie słucha tego, co mówi al-hakima. Przekrzywiła głowę, jakby próbowała wylapać dźwięki tła, a wreszcie stanowczym gestem uciszyła przyjaciółkę, zamierając bez ruchu. Zamknęła oczy i wstrzymała oddech. Dorota, zaciekawiona, nie przerywała jej przez parę chwil, ale dziwne zawieszenie derwiszki niepokojąco się przeciągało. Z zewnątrz dobiegały trzaski batów i wściekłe okrzyki ordyńców, którzy popędzali wychodzące z zabudowań „ciała”.

– Są blisko. – Papatya poruszyła się gwałtownie, szeroko otwierając oczy.

– Co ty powiesz – mruknęła Dorota. – Zburzyli meczet, który jest dwie ulice stąd, poza tym doskonale słyhać strzały muszkietowe i krzyki żołnierzy. Możliwe, że janczarzy walczą za najbliższym rogiem. Nie potrzebuję specjalnych mocy, by to wiedzieć. Wystarczy nadstawić uszu i wyjrzeć przez okno. Chodźmy już, zanim Tatarzy zwiną się z moim towarem.

Derwiszki nie trzeba było popędzać – zbiegła po schodach i jak wystrzelona z armaty wypadła na zewnątrz, zawijając hidżab na głowie. Kolumna powiązanych za szyje niewolników, otoczona przez siedzących na koniach Tatarów, była już w połowie długości ulicy. Zamykający ją bej odwrócił się i pomachał ponaglająco do Doroty. Jego ordyńcy nie żalowali kańczugów, okładając nimi przerażone kobiety i zmuszając w ten sposób do biegu. Na dziedzińcu została tylko Jitka z torbą pełną papierów i przyborami do pisania. Jak przystało na skrupulatną asystentkę, nie zapomniała o swoich narzędziach pracy. Czekwała przy dwukółce, właściwie prostym, pozbawionym ozdób wózku ciągniętym przez młodego, płochego konika. Na pace pojazdu tkwiły dwie skrzynie zawierające między innymi całą gotówkę zabraną z mieszkania Doroty.

Kobiety podbiegły do wozu, choć przed wspięciem na niego Papatya się zawahała. Znów przymknęła oczy, przekrzywiając głowę.

– Nie tędy! – krzyknęła, wskazując na oddalającą się kolumnę niewolników.

– Idą złą drogą!

– Jak to złą? To ulica, która prowadzi na nabrzeże – zdziwiła się Dorota.

– Zaraz ich oskrzydła! Zmiotli piechurów i klinem wbijają się w kierunku doków – powiedziała pobladła derwiszka. – Atakują w taki sposób, by osaczyć i odciąć największe grupy uciekinierów. Chodzi im o to, by wziąć jak największy jasyr.

– W porcie jest najwięcej uchodźców – stwierdziła Dorota, wskazując jednym susem na wóz. – Ale i my musimy się tam dostać. Na statku jest ładunek moich kosztowności i weksli. Większa część mojego majątku. Musimy dotrzeć tam za wszelką cenę! Wskakujcie, jedziemy galopem!

Jitka usiadła na skrzyni i wychyliła się, by podać rękę derwiszce. Papatya wspięła się na wóz, ciągle mrugając i nasłuchując swoim nowym zmysłem.

– Są za blisko – powiedziała z przejęciem. – Musimy pojechać inną drogą, naokoło. Wycofaj niewolników, do cholery. Zatrzymaj ich, zanim będzie za późno!

Dorota warknęła coś pod nosem z niechęcią, ale zamiast zaciąć batem konika, stanęła na koźle i pomachała do Enikej Beja.

– Zawracać! – krzyknęła. – Zmiana planów! Zawraaacac!

Tatar odwrócił się, z trudem panując nad podnieconym i drepczącym w miejscu wierzchowcem. Niewolnice krzyczały z bólu i przerażenia, ordyńcy wrzeszczeli na całe gardło, zmuszając je do pośpiechu. Przez ulicę przewalały się tumany dymu i pyłu z burzonych zabudowań. Ci, którzy zdecydowali się na ucieczkę, zniknęli już w dole ulicy, reszta mieszkańców zabarykadowała się w domach lub wyglądała przez uchylone okiennice. Bej machnął niecierpliwie do Doroty i odwrócił się do niej plecami, wskazując swoim ludziom ciągle ten sam kierunek. Nie zamierzał zawracać, nie był aż tak wierny wynajmującej go al-hakimie, by ryzykować życie z powodu jej niezrozumiałych poleceń.

Dorota zakłęta i trzasnęła lejcami w zad konika. Zdecydowała się dogonić ordyńców, nie mogąc tak po prostu zostawić ich ze swoim majątkiem. Wóz ruszył z szarpnięciem, które przewróciło Papatyę. Nie przejechali jednak nawet kilku kroków, gdy dom na końcu ulicy eksplodował, jakby trafiła go kula armatnia. Cegły i gruz wystrzeliły z impetem, trafiając prowadzącego pochód Tatara i zrzucając go z siodła. Niewolnicy przypadli do ziemi. Spłoszony koń zrzucił kolejnego ordyńca, a reszta Tatarów próbowała zapanować nad wystraszonymi wierzchowcami.

Przez dziurę w ścianie wypadł na środek ulicy potwór o łapach uzbrojonych w żelazne rękawice. Wielki osobnik był półnagi, a jego nieludzko umięśnione ciało pokrywała warstwa pyłu. Za nim w zrobionym przejściu tłoczyli się kolejni napastnicy, by po chwili wysypać się na ulicę jak chmara mrówek. Byli w różnym wieku i w najróżniejszych strojach, ale wszyscy poruszali się niezwykle energicznie i szybko.

Olbrzym spojrzał tylko na tłum kulących się niewolnic i przeszedł przez ulicę. Z marszu grzmotnął w głowę wstającego Tatara, robiąc z niej krwawą miazgę, a potem gruchnął pięścią w fasadę znajdującego się przed nim domu. Wywalił ogromną dziurę, wyrwał z niej rękę wraz z cegłami i ponowił uderzenie. Po chwili część ściany zawałiła mu się na głowę, ale nie zwrócił na to uwagi. Wszedł do środka, z rumorem i traskiem niszcząc wszystko na swojej drodze. Część opętanych ruszyła za nim, część skoczyła ku niewolnicom i Tatarom.

Dorota ściągnęła lejce, zatrzymując konika. Wiadomo już było, w jaki sposób armia opętanych porusza się tak szybko po mieście, oskrzydlając i rozbijając oddziały janczarów. Wróg nie korzystał z dróg i ulic, lecz parł przed

siebie w linii prostej, niszcząc wszystko na swojej drodze. Żołnierzy w większości zabijał, ale część brał do niewoli i odprowadzał do Sağmalcılar razem z ujętymi cywilami. Teraz też opętani skoczyli na uzbrojonych Tatarów, ignorując powiązane niewolnice.

Enikej Bej wyszarpnął z olstra przy siodle pistolet i wypalił do najbliższego przeciwnika. Następnie dobył zakrzywionej szabli i z krzykiem natarł na kolejnego. Rąbnął go kilka razy w łeb, aż wreszcie opętany, bryzgając krwią, runął na ziemię. Wystraszeni ordynicy, widząc brawurę wodza, ruszyli jego śladem do walki.

– Ała! Ała! – zawodził któryś wysokim głosem.

Natarł koniem na najbliższego opętanego, chudego starca trzymającego w obu rękach nieporęczny przedmiot. Dziadek skierował go na zbliżającego się ordynca i z urządzenia wystrzelił z rykiem rozdieranego powietrza biały piorun. Wyładowanie uderzyło jeźdźca w pierś, wypalając w niej dziurę wielką jak pięść. Koń, widocznie również porażony, runął z kwiknięciem na bruk, wierzgając wściekle w skurczach mięśni.

Niewolnice zawyły z przerażenia. Inny opętany wybił się w wielkim susie i zgarnawszy z siodła Tatara, w locie rozerwał mu gardło stalowymi pazurami przyczepionymi do rąk. Chwilę później poległ kolejny ordyniec, gdy dwaj opętani przewrócili jego konia i rozdarli jeźdźca, każdy ciągnąc go w swoją stronę. Następny był sam Enikej Bej. Najechał na nieuzbrojoną kobietę w burce. Opętana nawet nie uniosła rąk, tylko wrzasnęła niezwykle wysokim głosem. Jej krzyk osiągnął poziom niemożliwy dla człowieka i ciągle się wznosił, aż wyszedł poza zakres ludzkiego słuchu. Bej uniósł szablę do ciosu, ale się zawahał. Z jego nosa i uszu bryznęły strumienie krwi. Szabla wypadła mu z ręki i zadzwoniła o bruk. Przywódca Tatarów przechylił się w siodle i powoli osunął na ziemię.

Dorocie to wystarczyło. Nerwowymi szarpnięciami lejców zmusiła konika do zawrócenia. Zobaczyła jeszcze, że opętani zmuszają niewolnice do powstania i popychają je w kierunku dziury, przez którą wtargnęli na ulicę. Al-hakima przełknęła gorzką ślinę. Właśnie straciła znaczną część majątku, chociaż mniej, niż się spodziewała. Dominującym uczuciem było jednak przerażenie, kilku opętanych bowiem zwróciło się w jej stronę i ruszyło biegiem.

– Jazda! – wrzasnęła Dorota, trzaskając lejcami.

Konik, wypłoszony rumorem i krzykami, ruszył z kopyta. Koła załomotały na bruku i wóz pomknął, podskakując na kocich łbach. Dorota zerknęła przez ramię i odetchnęła, widząc, że opętani zrezygnowali z pościgu.

Straciła tysiące dukatów, ale przynajmniej udało jej się ocalić życie.

\* Şeytan – (tur.) szatan.

## VII

Krzyki dawców poddawanych połączeniu w bioprocesor, który miał wytworzyć osobliwość informatyczną, były dla mnie coraz trudniejsze do zniesienia. Podobnie reagowali dowódcy, którzy tworzyli konglomerat osobowości z ludzkimi umysłami swoich ciał. Nie było w tym nic dziwnego – po prostu ludzka część naszej natury nie radziła sobie z okropnościami, z jakimi wiązało się zbudowanie tego tworu. Ja także starałem się unikać miejsca, w którym następowało przetworzenie, sam jego widok był bowiem okropny dla tkwiącego w mojej głowie Talaza.

Nie mogłem jednak zapomnieć, że jestem dowódcą i pewnych spraw muszę dopilnować osobiście. Nie mogłem sobie pozwolić na porażkę. Czuję złowrogie spojrzenie wściekłej Jasminy, gadziej bestii w ludzkiej skórze, oraz zimny, wyrachowany wzrok Vala, dawnego boga. Oboje czatowali, aż popełnię jakiś błąd, licząc, że zajmą moje miejsce. Ale żadne z nich nie nadawało się na demiurga – jedno było zbyt agresywne i krwiożercze, drugie zbyt szalone i żądne władzy. Wielojażń zawsze będzie ich używać jedynie do brudnej roboty.

Tak czy inaczej, musiałem mieć się na baczności i szczególną uwagę poświęcić bioprocesorowi. Opuszczałem więc linie walk i chodziłem tam dwa razy na dobę, by swoją obecnością podkreślić, jak ważne jest uruchomienie tworu.

Jego budowę obsługiwał zespół neurochirurgów pochodzących z pajęczej rasy zupełnie pozbawionej empatii i litości, za to niezwykle zaawansowanej w naukach medycznych. Ich cywilizacja, zamiast rozwijać się technologicznie, poszła w kierunku ingerencji we własne ciała i modyfikację ekosystemu. Kiedy Wielojażń odnalazła ich, okazało się, że bez użycia statków kosmicznych i na technologicznym poziomie sprzed ery jądrowej udało im się zasiedlić kilka układów planetarnych. Potrafili przebudować swoje ciała tak, by przemieszczały się w próżni kosmicznej i osiągały w niej prędkości podświetlne.

Czy zatem zbyt kłopotliwe było dla nich skonstruowanie bioprocesora mogącego wpisywać dane w infopole? I to mimo braku narzędzi oraz własnych ciał? To nie była pierwsza taka misja – robili podobne rzeczy już wiele razy. Dla Talaza sam kontakt z przedstawicielami chirurgów, jak zacząłem ich nazywać, był czymś odrażającym. Musiałem mocno się koncentrować, by nie okazywać przy nich obrzydzenia.

Kiedy tylko zbliżałem się do placu, na którym działali, natychmiast biegli mnie przywitać. Tym razem pojawiło się trzech. Zostali wpisani w ludzkie ciała, z których usunięto pierwotne osobowości, zatem w chirurgach nie było nawet

krztyny człowieczeństwa. Natychmiast po przeniesieniu poddali nowo zasiedlone ciała deformacjom ułatwiającym pracę. Kilku dawcom odjęli członki i poprzyszywali je do swoich ciał w, zdawałoby się, przypadkowych miejscach. I tak na powitanie wybiegł były biały eunuch z gwardii sułtańskiej, wielki grubas wyposażony w sześć dodatkowych par ramion rozmieszczonych wokół korpusu. Towarzyszyło mu dziecko o czterech nogach i kilku dodatkowych dłoniach wyrastających z dwóch naturalnych ramion oraz kobieta, która została zaopatrzona w kilka rąk przyszytych na plecach niczym skrzydła.

Dodatkowe członki oczywiście były w pełni funkcjonalne i poruszały się, gdy chirurdzy gestykulowali. Nie wiem, w jaki sposób dostępnymi w tym świecie prymitywnymi narzędziami byli w stanie przeprowadzać skomplikowane przeszczepy, łącznie z wypreparowywaniem połączeń nerwowych i zespalaniem naczyń krwionośnych, ale robili to przerażająco sprawnie. Największym ich dziełem nie były jednak drobne modyfikacje własnych ciał, ale konstruowany twór.

– Potrzebujemy czasu, demiurgu – powiedział eunuch, korzystając rzecz jasna z sieci informacyjnej. Przełał nią przy okazji także żal, który poparł gestem, rozkładając wszystkie czternaście rąk. – Nie zawsze przeszczep nowego modułu się udaje, mieliśmy wiele zgonów.

Wskazał stos trupów przy wylocie ulicy. Ujrzawszy go, nie zapanowałem nad odrazą i mimowolnie się skrzywiłem. To było potworne. Kobiety, dzieci, starcy, wszyscy pokrojeni na części i rzucający na jedną, osypującą się kupę. W palącym słońcu ciała szybko się psuły i te z dołu nosiły już wyraźne ślady rozkładu. Najgorsze jednak było, że kilku chirurgów traktowało te odpady jako źródło pokarmu. Kiedy zerknąłem na wysypisko, akurat siedziały na nim trzy pająkowate twory i konsumowały trupy, żując mięso z obojętną miną. Nie przeszkadzało im ani zapierający dech smród, ani unoszące się wokół chmury much. Muszę zapamiętać, by kiedy osobliwość zadziała, kazać wszystko to usunąć, chirurgów zaś wysłać na pierwszą linię walk z nadzieją, że szybko zostaną wybici.

Eunuch spostrzegł, że się krzywię, i rozpoznał znaczenie wyrazu mojej twarzy, ale przypisał je niezadowoleniu z opóźnień. Zaczął tłumaczyć się delikatnością i kruchością ludzkich ciał, które nie tak łatwo utrzymać przy życiu po otworzeniu układu nerwowego. Każdy moduł bowiem ma odsłaniany rdzeń kręgowy, jest także częściowo obdzierany ze skóry, a niepotrzebne części jego ciała usuwa się i odrzuca.

– Często umierają z szoku w czasie zabiegu lub zaraz po nim – denerwował się chirurg.

Kiedy mówił, pozostałe dwa osobniki krążyły wokół, dotykały mnie i obwąchiwały. Najchętniej porozumiewałyby się sygnałami chemicznymi, zapachem, tak jak przystało na owady. Niestety fizyczność zastanej tu rasy zupełnie im nie pasowała. Miałem to oczywiście w nosie – teraz już nie tylko mnie

irytowali, ale zaczęli denerwować. Oskarżyłem ich o nieudolność i celowe opóźnianie prac.

– Nie wiecie, że ludzie mogą umrzeć z bólu lub wstrząsu pourazowego, że mogą skonać również z przerażenia? Kroicie ich żywcem i dłubiecie w najczulszych częściach ich ciał, a potem dziwicie się, że tak wielu z nich kona? – wycodziłem z wściekłością, wiedząc, że te bydlaki nic sobie nie robią z cierpień innych istot.

Podeszliśmy szybkim krokiem do bioprocesora. Musiałem oddychać ustami, by nie zemdleć od smrodu. Mimo to oczy mi łzawiły, a ludzka część osobowości zaczęła się wić ze zgrozy i obrzydzenia. Twór rzeczywiście był przerażający. Składał się w tej chwili z blisko dwóch tysięcy ciał ludzkich połączonych i utrzymywanych przy życiu dzięki kunsztowi chirurgów. Korpusy, w większości pozbawione członków, posplatano i pozszywano, układając w nieregularny twór zamocowany na żelaznym stelażu w kształcie sfery i wznoszący się na wysokość dwupiętrowej kamienicy. Ciała krwawiły, drgały, płakały oraz zawodziły z bólu i szaleństwa. Domyślałem się, że większość już dawno postradała zmysły i ich osobowości uległy rozsypce.

– Nie chodzi wyłącznie o odczuwanie bólu i związaną z nim słabość. Po prostu większość tych ciał jest w kiepskiej kondycji – tłumaczył eunuch. – Musimy starannie dobierać te, które będą kompatybilne z całym układem, a to mocno nas spowalnia. Okazało się bowiem, że ludzka krew ma różne zestawy antygenów. Gdy połączymy konfliktowe układy krwionośne, następuje reakcja odpornościowa, która kończy się odrzuceniem modułu...

– Nie interesują mnie szczegóły techniczne – warknąłem. – Bioprocesor miał być aktywny wczoraj. Dostaliście cztery tysiące jeńców, których w większości pokroiliście żywcem. Kiedy będą efekty?

– Kiedy tylko zamkniemy układ. Brakuje nam jeszcze kilkadziesiątu ciał, może trochę więcej, bo ciągle umierają te połączone. Trzeba je wymieniać i...

Musiałem zachowywać się bardziej zdecydowanie, inaczej nic z tego nie będzie. Byłem nie tylko strategiem, ale też oficerem operacyjnym. To zobowiązywało. Do ręki wskoczył mi płaski sztylet, który Talaz zawsze nosił w pochewce przytroczonej do przedramienia i ukrytej pod rękawem koszuli. Płynnym ruchem wbiliśmy go w oko eunucha, obróciłem ostrze i błyskawicznie je wyciągnąłem, po czym zakończyłem egzekucję horyzontalnym cięciem po gardle grubasa. Tanecznie odstałem przy tym w bok i strumień krwi, który bryzgnął z rany, ominął mnie i chlusnął na ziemię. Pajęczak zacharczał, łapiąc się kilkoma dłońmi za gardło, i osunął na kolana. Zanim skonał, wytarłem broń o jego koszulę i schowałem na miejsce.

– Ty! – Wskazałem dziewczynkę o wielu dłoniach. – Przejmujesz projekt. Nie chcę słyszeć żadnych wykrętów. Dostaniesz kolejnych jeńców, ale twór ma

być gotowy najpóźniej jutro w południe.

Dygnęła wdzięcznie, łopocząc przy tym dłońmi. Odwróciłem się i nie oglądając się za siebie, odszedłem. Nim zagłębiłem się w uliczki, dostrzegłem przyglądającego się całemu zajściu Hassana. Zimny i nieczuły sługus Wielojażni z pewnością wszystko rejestrował i lada chwila przetransmituje raport z zapisem zdarzenia swemu panu. Niedługo zatem wszystko obejrzy i przeanalizuje połączona świadomość miliardów istot władających mgławicami. Muszę uważać na każde słowo i następnym razem nie okazywać emocji. Gniew uważano za słabość, a zimne okrucieństwo zawsze było w cenie. Co okazałem tym razem, można było różnorako interpretować. Byłem jednak dobrej myśli. Osobowości składowe Wielojażni to w większości sukinsyny poddane cyfryzacji przed tysiącami cykli, nawet pewnie nie pamiętają o istnieniu emocji. Moje zachowanie przypiszą taktycznemu wyrachowaniu.

Lepiej, by nikt się nie domyślił, że Talaz uczynił mnie podatnym na emocje. I wrażliwym.

\* \* \*

Dwukółka dojechała do ulicy, którą sunął tłum ochotników z pospolitego ruszenia ciągnący na dziesiątkach sznurów i popychający pięćdziesięciofuntową kartaunę, ogromną armatę z baterii nadbrzeżnej. Przesuwali się w rytm dudnienia bębna, w który walił idący przodem gruby eunuch. Dorota zatrzymała konika, szukając wzrokiem bocznej uliczki, którą ominęłaby armię mieszkańców miasta. Jitka wskazała jej odgałęzienie wyglądające raczej na ścieżkę, nieutwardzoną i wąską, biegnącą wzdłuż magazynów portowych. Do nabrzeża było już naprawdę niedaleko, nad dachami domów widać było maszty statków, które jeszcze nie odpłynęły z uciekinierami.

– Odstąpili! – oznajmiła znów pograżona w widmowym kontakcie z opętanymi Papatya. – Wzięli już wystarczającą liczbę jeńców, nie uderzą na port! Cofają się. Mają rozkaz utworzyć pierścień wokół czegoś, co nazywają tworem.

– Nie musimy zatem się spieszyć? – odetchnęła Jitka.

– Wręcz przeciwnie. – Papatya pokręciła głową. – Pierścień obejmuje kilka *mahalli*. Mają zostać oczyszczone ze wszystkiego, co stanowi potencjalne zagrożenie. Nie rozumiem. Głowa zaczyna mnie boleć od tego nieustannego szumu i natłoku obrazów. Wiele wśród nich obrzydliwości i jakichś dziwnych, nieludzkich doznań oraz myśli. Jeśli w nocy mi to nie minie, z pewnością oszaleję.

– Dam ci coś na sen – uspokoiła ją Dorota, kierując konika w wąską dróżkę.

Ciągnący armatę zbliżali się zaskakująco szybko; dostrzegła wśród nich kilku derwiszów i janczarów w wysokich białych czapkach z rękawem. Głośno

zawodził jakiś muezzin, z kolei inny duchowny dzierżył pokryty napisami z Koranu sztandar. Wyglądało na to, że po fali paniki i chaosu ludność zaczęła się organizować i zamierzała nie tylko powstrzymać, ale i zaatakować najeźdźców.

– Opętani zajmą całą wschodnią część miasta łącznie z *mahallami*, w których jest mój sierociniec i dom Doroty – kontynuowała Papatya. – Wszyscy, którzy się tam znajdują, są w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– A co z Polakami? Czy ktoś ich ostrzegł? – zainteresowała się Jitka, myśląc o przystojnym husarzu Jakubie. Chciał ją wykupić z niewoli i miał błękitne oczy, o których nie sposób było zapomnieć. – Mieszkają w hanie wezyrskim, kilka ulic od gabinetu al-hakimy. Nie wiedzą, co im grozi.

– Poradzą sobie, dużo wśród nich żołnierzy. – Dorota wzruszyła ramionami. – A może już zostali wybici przez opętanych? Czy to ważne? Teraz muszę się skupić, by przebrnąć tą ścieżką. Musimy się przedostać, zanim jakiś mądrała dowodzący tą hołotą pomyśli sobie, że nasz wóz świetnie nada się do transportu amunicji lub rannych i nam go zarekwiruje.

– Może jeszcze zdążymy ostrzec Polaków? – nie ustępowała Jitka.

– Muszę sprawdzić, co z dziećmi, czy zostały zabrane przez moich braci. Jeśli ciągle są w sierocińcu, grozi im straszliwe niebezpieczeństwo – dodała Papatya. – Zawracaj, zdążymy. Statek i tak bez ciebie nie odpłynie.

– Nie byłabym tego taka pewna. Kapitan dowodzący *Bulgoczącym Kociołkiem* to chytry Ormianin, który nie zawaha się podnieść kotwicy, gdy tylko zwietrzy interes. Ktoś może mu zapłacić, by go zabrał naszym kosztem.

Pogoniła konika i wózek potoczył się po nierównej drodze. Otarł się kołem o ścianę budynku, podskoczył na jakiejś nierówności, tak że pasażerki niemal spadły z paki, ale wreszcie przedostał się na kolejną ulicę. Też tłoczną, ale rojącą się nie od zbrojnych, lecz siedzących gdzie popadnie kobiet z dziećmi i starców. Większość uchodźców miała tłumoki z dobytkiem, niektórzy wózki tarasujące przejazd. Dorota stanęła na koźle, groźnie unosząc bat.

– Z drogi! Precz z drogi! – krzyczała, trzaskając nad zadem konika brnącego przez niechętnie rozstępujący się tłum.

Uchodźcy kłębili się na ulicy i w każdym zaułku aż do samego nabrzeża. Ciągle liczyli, że uda się wejść na jeden z mających odpłynąć statków. Patrząc na nich, Dorota poczuła palący niepokój rozplywający się od podbrzusza. Jeszcze bardziej się przeraziła, gdy nad morzem głów ujrziała port. Owszem, był pełen statków, ale nie takich, jakie spodziewała się zobaczyć. Nie było żadnej handlowej barki o jednym żaglu, znikły wszystkie smukłe *kayki*, wąskie łódki przeznaczone do żeglowania po Bosforze, od których zwykle aż się tu roiło. Nie widać było również łodzi rybackich, a widoczne nad dachami maszty należały do dwóch korsarskich karak i jednej czarnej galery z północnej Afryki. Prócz tego znajdowały się tu jeszcze cztery okręty imperialnej floty o śnieżnobiałych żaglach



oraz jasnych burtach i z lwimi galionami na dziobach. Słowem, nie było nawet śladu po cywilnych statkach, a w porcie stały wyłącznie okręty, w dodatku z armatami wycelowanymi w miasto.

Dorota ciężko usiadła na koźle. *Bulgoczący Kociołek* odpłynął bez niej. Nie musiała nawet pytać marynarzy, co zaszło. Widocznie dowodzący flotą Kapudan Pasza rozkazał zabierać się cywilom, a do portu wprowadził wyłącznie wojskowe jednostki mające w razie czego wesprzeć ostrzałem walczącą piechotę. Ormiański kapitan z pewnością skwapliwie wykorzystał sytuację, zabrał na pokład mających czym zapłacić uchodźców i zwiął z resztą dobytku al-hakimy. Zgarnął nie tylko jej rzeczy, w tym papiery wartościowe, ale też kufer z tysiącem dukatów i prowiant dla niewolników. I tak w ciągu godziny stała się bankrutem.

– Zostało jeszcze złoto w kufrze – pocieszyła ją Jitka.

– Dziesięć talarów i trzysta akcze. Rezerwa na drobne wydatki – mruknęła przybita Dorota.

Po tylu latach ciężkiej pracy, wyrzeczeń i walki o przetrwanie niemal udało jej się wyjść na prostą i stać niezależną, bogatą kobietą. I nagle jakaś niezrozumiała katastrofa spowodowana przez spadającą gwiazdę wszystko jej odebrała. Nie miała nic, nawet dokąd pójść. Mogła tylko załamać ręce, usiąść i płakać. To było najłatwiejsze, ale zupełnie do niej nie pasowało. Oddała Jitce lejce, zastanawiając się gorączkowo, którego z licznych dłużników i pacjentów prosić o wsparcie i opiekę. Tytuł al-hakimy zawdzięczała swemu wielkiemu przyjacielowi Şeytanowi Ibrahimowi Paszy, ale stary dowódca przebywał gdzieś w Europie, szykując kolejną wojnę lub uśmierzając następny bunt podbitych przez imperium ludów. Mimo że jej protektor nie przebywał w stolicy, najkorzystniej w obecnej sytuacji byłoby się schronić pod skrzydła armii. Powinna wykorzystać kontakty z wojskowymi i zabiegać o ich opiekę.

– Musimy się udać do Abdul Agi – zdecydowała. – Jest zarówno twoim przełożonym, Papatya, jak i moim zleceniodawcą. To na jego rozkaz miałam szpiegować Polaków, jestem zatem niejako w służbie wywiadu. Skoro tak, to niech nasz dowódca się nami zaopiekuje.

Od razu poczuła się lepiej. Zawsze wolała przejąć inicjatywę i mieć jakiś cel, do którego można dążyć. Niech zupowy przydzielili je do korpusu, najlepiej związanego z taborami i służbą pomocniczą. Do niczego innego mu się przecież raczej nie przydadzą, a służba na tyłach zapewni im bezpieczeństwo.

– Tylko gdzie on teraz może być? Domyślasz się? – spytała ciągle nasłuchującą wewnętrznych głosów przyjaciółkę.

Derwiszka drgnęła, po czym spojrzała przytomniej na al-hakimę.

– Jego głównym zadaniem było szpiegowanie Polaków. Zna ich dobrze, był kiedyś w polskiej niewoli, gdzie nauczył się języka – odparła. – Jeśli nic się nie zmieniło, nadal jest w pobliżu poselstwa lub towarzyszy Gnińskiemu.

– Słyszałaś, Jitka? Jednak jedziemy uratować twojego husarza. – Dorota szturchnęła niewolnicę. – Zawracaj.

– Nie umiem powozić. – Jitka oddała lejce al-hakimie. – Bogu niech będą dzięki, że ten statek odpłynął – szepnęła do Papatyi, siadając obok niej.

Ledwie wózek ruszył, derwiszka chwyciła ją za ramię i ścisnęła mocno. Oczy miała wytrzeszczone i wpatrzone gdzieś w przestrzeń. Jitka zrozumiała, że kobieta znów ma atak lub widzi coś naprawdę poruszającego. Uwolniła rękę, po czym sama oburącz złapała mniszkę za ramiona i potrząsnęła nią mocno.

– Nie daj się opętać! – zawołała.

– Ciszej, bo nas zlinczują – rzuciła przez ramię Dorota.

Wózek brnął w ludzkiej ciżbie wzdłuż nabrzeża. Al-hakima postanowiła skręcić w inną ulicę niż ta, którą pospolite ruszenie ciągnęło armatę. Nie zawracała zatem, lecz skierowała konika prosto przed siebie. Wkrótce też próbował ją zatrzymać jakiś bogato ubrany jegomość w turbanie ozdobionym piórem. Okazało się, że to oficer oddziałów pośpiesznie utworzonych z gawiedzi.

– Wiozę ciężko chorą derwiszkę, przyboczną agi janczarów! – krzyknęła Dorota, nie zwalniając. – Muszę ją dostarczyć do dowódcy orty. Ma ważne wiadomości o ruchach wroga! Zróbcie mi miejsce, bo się śpieszę!

Stała przy tym na wozie, a jej imponująca sylwetka w połączeniu z mocnym, nieznośnym sprzeciwu głosem zrobiła swoje. Oficer odwrócił się i wrzasnął do swoich podkomendnych. Piechurzy, nieumundurowani i uzbrojeni w co popadnie, z wrzaskiem przegonili ludzi tarasujących przejazd. Dorota trzasnęła lejcami i wózek ruszył opróżnioną drogą.

– Ha! – rzuciła z zadowoleniem al-hakima. – Co z Papatyą?

– Jestem z powrotem – odparła słabym głosem derwiszka. – W snach na jawie widziałam coś strasznego. Oni budują maszynę z połączonych ciał jeńców. Potwory kroją pojmanych i obdzierają żywcem ze skóry, a potem zszywają ich ze sobą na wielkim rusztowaniu w kształcie kuli. Wyobrażacie to sobie? Och, to trzeba zobaczyć, by zrozumieć, jakie to przerażające. Setki, może tysiące okaleczonych ludzi wijących się z bólu na dziwacznej konstrukcji.

– Widziałam kiedyś, jak polskie wojsko nabiło na pał kilku Kozaków, złodziei koni – powiedziała Dorota. – Dygoczące, oszalałe z bólu ciała. Towarzyszyły temu zawodzenie i straszliwy smród wylewających się przebitych jelit. Widziałam też, jak wyglądają żywi nieszczęśnicy, którym przed Twierdzą Siedmiu Wież wymierzono po tysiąc kijów. Nabrzmiące, niekształtne wory z opuchniętej skóry, nieprzypominające ludzi, za to jęczące i drgające. Jeden, zakopany potem na dwa tygodnie w gnoju, nawet przeżył i doszedł do siebie, ale zawsze chodził zgięty w pół i jakiś taki poczerniały...

– Ale opętani nie wymierzają złapanym okrutnej kary, tylko budują z nich urządzenie, które ma przyspieszyć coś, co nazywają inwazją. Z tego, co

zrozumiałam, jeśli maszyna zadziała, na zawsze zmieni nasz świat. Trzeba to powstrzymać, i to za wszelką cenę!

Dorota skinęła głową, ale bez przekonania. Owszem, przekażą wieści janczarom, ale jak ci je wykorzystają, to już nie jej sprawa. Ona liczyła na to, że zostaną przerzucone w jakieś bezpieczne miejsce, najlepiej na drugą stronę zatoki. Po ostatnich wydarzeniach jej żądza poznania i badań nad dziwadłem i anomaliami znacząco zmalała. Lepiej byłoby je badać, przebywając jak najdalej od terenu walk. W zaciszu pracowni i dysponując jeńcami do eksperymentowania. Obiecała sobie, że przedyskutuje to z Abdul Agą. Zupowy sprawiał wrażenie rozsądnego człowieka.

\* \* \*

Pan Michał wyrzał przez otwartą bramę hanu, w której pancerni zbudowali barykadę z polskich wozów podróżnych i karet spiętych łańcuchami. Wylot wyludnionej ulicy również zamykała barykada, ale wzniesiona przez janczarów i najeżona lufami muszkietów. Z drugiej strony natomiast Turcy podciągnęli dwie armaty polowe, na oko sześciofuntowe i prawdopodobnie nabite kartaczami. Gdyby Polacy zdecydowali się przeprowadzić szarżę w wąskiej ulicy, jedna salwa zamieniłaby całą chorągiew w kupę zmasakrowanego mięsa. Słowem, od kilku godzin nic się nie zmieniło, poselstwo zostało uwięzione na odciętej przez wojsko ulicy i nie wyglądało na to, że gospodarze mają ochotę na rozmowy. W połowie drogi do barykady leżał zastrzelony goniec, który miał spytać janczarów, o co właściwie chodzi i co ma znaczyć ta manifestacja siły.

Sytuacja oblężonych była nie do pozazdroszczenia, właściwie beznadziejna. Zajmowali cały han i sąsiednie stajnie oraz magazyny. Mieli w nich około tysiąca ludzi i sześćset koni, ale prowiantu ledwie na dwa dni. Jeszcze szybciej skończy się obrok i co wtedy? Turcy zamierzali trzymać ich tu bez słowa wyjaśnienia i zamorzyć głodem?

Do przyglądającego się barykadzie pancerniaka podszedł sam kanclerz koronny Gniński. Chwilę sam patrzył na leżącego gońca, młodego sługę władającego dobrze tureckim, teraz podziurawionego kulami. Jakiś wychudzony kundel zbliżył się do nieboszczyka i zaczął go obwąchiwać. Jeszcze trochę i na oczach rodaków psy rozwłóczą ciało lub dobiorą się do niego szczury. To było poniżające i niezrozumiałe. Poseł aż zazgrzytał zębami z bezsilnej złości.

– I jak się waćpan na to zapatrujesz? – niespodziewanie spytał pancernego.

– Ja? Jam przecie zwykły rębacz, a nie strateg. Wasza miłość winien pytać o zdanie dostojników i księży, którzy mu towarzyszą. Ludzi światłych i obytych. Gdzie mi do nich – bąkał nieśmiało pan Michał.

– Nie kryguj się waść jak nadobna panna – burknął zirytowany poseł. – Przecie jesteś bywały w świecie, nieraz wojowałeś z Turkami i siedziałeś nawet u nich w niewoli. Co myślisz o tej blokadzie? Mów śmiało.

Piotrowski zerknął na stojących kilka kroków za posłem dwóch jego doradców i księdza Lisieckiego. Cała trójka przyglądała się żołnierzowi z nieodgadnionymi minami.

– Pohańcy podejrzewają, że możemy mieć coś wspólnego z chaosem, który ogarnął Sambuł, i na wszelki wypadek trzymają nas niejako pod kluczem. Sytuacja musi być zaiste paskudna, skoro nie chcą gadać, a nawet do nas strzelają – powiedział. – Musimy czekać, aż opanują zarazę i wytluką opętanych.

– A co, jeśli zaraza dotrze do naszego obozu? Co, jeśli kolejni moi ludzie zaczną zmieniać się w bestie? – pytał już spokojniej Gniński. – Turcy nie mają podstaw mniemać, że my ją wywołaliśmy i nią kierujemy. Powinni wypuścić nas z miasta, zamiast mierzyć do nas z armat. Musimy im przypomnieć, że jesteśmy poselstwem, gośćmi i należy nam się odpowiednie traktowanie. Od trzech dni słyhać, że toczą zacięte boje, można było nas w tym czasie dawno wyprowadzić.

– Masz rację, panie kanclerzu – przytaknął Michał. – Myślę, że zwyczajnie się nas obawiają. To dlatego.

– Tylko że przez te ich obawy grozi nam tu śmierć głodowa lub zaraza opętanych. Musimy przerwać to oblężenie. Trzeba zmusić ich dowódcę do rozmów. Widzisz go? Tego wysokiego janczara w kubraku ze złotymi obszyciami?

– Tak. To Abdul Aga, dowódca eskorty, która sprowadziła nas do Sambułu, i opiekun przydzielony przez wielkiego wezyra. – Rotmistrz skinął głową, domyślając się, do czego zmierza Gniński.

– Gadają, że wszedłeś z nim waść w bliską komitywę, żeście się niemal pobratali – ciągnął kanclerz koronny. – Wydaje się nam, że są spore szanse, iż cię oszczędzi i nie każe zastrzelić. Może nawet wysłucha...

– Spędziliśmy w podróży sporo czasu na rozmowach, ale braterstwem bym tego nie nazwał. Skoro jednak wymagają tego okoliczności, gotów jestem zaryzykować i wyruszyć z poselstwem. – Michał westchnął ciężko, nie mogąc oderwać wzroku od zastrzelonego chłopaka leżącego z rozrzuconymi rękoma w kałuży krwi.

Gniński z uśmiechem poklepał go po ramieniu. Szybko wyrecytował, co pancerny ma przekazać janczarom, a potem pozwolono mu jeszcze przed odejściem napić się wody i pożegnać z kompanami. Rotmistrz przekazał dowodzenie chorągwią pancerną swojemu najstarszemu żołnierzowi, mocno już posiwiałemu, ale nadal krzepkiemu panu Mierosławskiemu. Kiedy oddalił się od pancernych, dopadł go młody kasztelaniec Tadeusz.

– Weź mnie waść ze sobą! – poprosił. – Nie wierzę, by Abdul kazał do mnie strzelać.

– To niepotrzebna brawura, chłopcze. Nie wiadomo, jakie rozkazy dostał Abdul, a tuszę, że wypełni je co do joty, nawet jeśli by kazali mu strzelać do własnej matki. Janczarzy są pieruńsko zdyscyplinowani i wierni, przyjaźnie z giaurami nic dla nich nie znaczą – powiedział rotmistrz. Widząc jednak minę chłopaka, wyciągnął zza pasa pistolet i mu go wręczył. – Przechowaj go dla mnie. Lepiej, bym nie miał przy sobie zbyt dużo broni, udając się na pakty. A gdyby mnie odstrzelili, podziękuj im z tego pistoletu.

– Podziękujemy im kopiami i koncerzami, nie ma obawy, panie Michale – wtrącił Semen Błoński.

Krępy husarz stał opodal, w grupie rycerzy, i przyglądał się przygotowaniom posła. Skinął mu, oddając ostatni salut, i przyciągnął ku sobie Tadeusza, by zrobić przejście Piotrowskiemu. Ten po chwili wyjechał konno przez przerwę w barykadzie i znalazł się na ulicy.

Czuł palące przez misiurkę słońce. W nozdrza drażnił go zapach spalenizny, bo dymy z pożarów ciągle snuły się po mieście, ale to wszystko było niczym w porównaniu z nieprzyjemnym wrażeniem, jakie wywoływały wycelowane weń muszkiety. Na janczarskiej barykadzie rozległy się wydawane okrzykami rozkazy i jakieś pięćdziesiąt luf wymierzyło w samotnego jeźdźca.

Pan Michał puścił wodze i uniósł ręce, pokazując puste dłonie. Czuł, jak pot spływa mu po plecach kropla za kroplą. Koń posuwał się powoli w kierunku barykady. Zatrzymał się przy leżącym na środku ulicy trupie i pochylił ku niemu łeb.

– Bywajcie! Jestem posłem i chcę mówić z Abdul Agą! – Michał krzyknął w pierw po polsku, a następnie mniej więcej to samo po turecku.

Nie popędzał konia do dalszej drogi, tylko tkwił nieruchomo, czekając na reakcję janczarów. Widział ich zacięte twarze i zdawał sobie sprawę, że z radością zastrzelą giaura, choćby tylko po to, by ucieszyć Allacha.

– Zejdźcie z konia, panie Michale, i podejdźcie tu z łaski swojej! – rozległ się rozkaz wydany po polsku ze znajomym tureckim akcentem, po którym bez trudu rozpoznał Abdula.

Odetchnął z ulgą i zeskoczył z siodła, po czym ruszył piechotą, ciągnąc wierzchowca. Lufy się opuściły, janczarzy odstawili broń i pozwolili mu przejść przez lukę w barykadzie. Znalazł się wśród żołnierzy, których musiało się tu tłoczyć co najmniej kilkuset. To zdecydowanie nie była tylko straż mająca pilnować Polaków – zgromadzona tu została cała orta.

Odebrano mu konia, a Abdul poprowadził go, nie oglądając się, na małe podwórko obok pobliskiego domu. Na jego środku stała dwukółka, na pace zaś siedziała Jitka zabawiana rozmową przez kilku janczarów. Ujrawszy rycerza, pomachała mu z uśmiechem. Po chwili znalazł się w otwartej, dającej zbawczy cień szopie, gdzie obok kilku kolejnych piechurów stały Papatya i Dorota.

Derwiszka doskoczyła do zaskoczonego pancernego, by podziękować mu za ratunek i okazaną dzielność, al-hakima skinęła głową.

– Zapewne przysłano waćpana z żądaniem wyjaśnień – stwierdził sucho Abdul Aga. – Bo pewnie twardo stoicie na stanowisku, że poselstwo nie miało nic wspólnego ze spadłą gwiazdą i plagą opętanych.

– Dobrze wiesz, że nie mieliśmy...

– Nie wiem – przerwał nerwowo aga. – Nic już nie wiem. Papatya twierdzi, że może podsłuchiwać opętanych i że ci budują straszliwą maszynę, którą musimy natychmiast zniszczyć, inaczej zrobi się naprawdę nieciekawie. Domaga się, bym poszedł z wami na współpracę i namówił was do wspólnego ataku na bramę, którą przybywają opętani. Jak myślisz, panie Michale, poseł Gniński będzie chętny, by oddać mi pod komendę dwie chorągwie waszej ciężkiej jazdy?

– Jeśli to sprawa gardłowa, to oczywiście się zgodzi. Udzieli wsparcia choćby jako gest dobrej woli wobec Porty – rzekł pan Michał.

– No tak, tylko że moje rozkazy mówią co innego. Mam was przypilnować do czasu rozwiązania konfliktu, a gdyby pojawiły się najmniejsze podejrzenia, że to wszystko wasza sprawka, zgładzić was co do jednego.

Papatya położyła dłoń na ramieniu janczara.

– Mogę przysiąc na wszelkie świętości, że Polacy nie mają związku z obcymi – powiedziała łagodnie, jak do dziecka. – Zapomnij o tych bzdurnych podejrzeniach, teraz liczy się co innego. Nasz kraj jest w straszliwym niebezpieczeństwie. Musimy natychmiast uderzyć na wroga i go zniszczyć, inaczej osiągnie potęgę tak wielką, że nie zdołamy go powstrzymać nawet siłą całej armii. Od twojego zdecydowania i śmiałości zależy los całego imperium. Rozumiesz? To twoja wielka szansa! Nie możesz się wahać. Przyjmij pomoc polskich rycerzy, ich ciężka jazda otworzy drogę, przełamując siły wroga, i pozwoli zbliżyć się do maszyny, by ją wysadzić. Uratujesz dzięki temu świat, staniesz się najślynniejszym bohaterem w historii państwa Osmanów. Czekają cię zaszczyty i nagrody.

Abdul Aga pokiwał głową, spuszczać wzrok i wlepiając go w ziemię. Dorota uśmiechnęła się nieznacznie. Wiedziała, że zamysł Papatyi polegał na pobudzeniu ambicji janczara, odwołaniu się do marzeń o bogactwie i sławie. Tylko to mogło zmusić go do złamania rozkazu. Który żołnierz nie marzył o chwale zdobytej w boju i wiążących się z nią nagrodach? Jeśli dziewczyna miała rację, Abdula czekał nie tylko awans w hierarchii janczarów. Kto wie, może sułtan wyda za niego jedną z córek i zrobi paszą?

Janczar spojrział na rotmistrza Piotrowskiego i chwilę mierzył go wzrokiem. Nagle dobył z pochwy jatagan i sztychem dotknął gardła swego polskiego druha. Dwaj janczarzy natychmiast chwycili pancernego za ręce i wykręcili mu je do tyłu.

– Za złamanie rozkazu po prostu by mnie ścięto, a nie nagrodzono, głupia mniszko – powiedział. – A Polaków znam na tyle dobrze, by im nie ufać.

Spadającą gwiazdę naprawdę oni mogli sprowadzić, bunt i chaos zaś mogą być kolejnym łajdactwem Lwa Lechistanu. Ten władca słynie wszak z podstępów i zamięłowania do zasadzek. Pozwolę Polakom wyjechać w szyku z hanu, a ci, zamiast zaatakować opętanych, wbijają moich piechurów w bruk kopytami swoich wierzchowców lub nadzieją nas na kopie.

– Co czynisz, szaleńcze?! – wybuchła Papatya i uwiesiła się na ręce, w której janczar trzymał jatagan.

Dorota drgnęła, ale spostrzegła wzrok dwóch stojących naprzeciw janczarów. Wiedziała, że jeśli się ruszy, oberwie, i to być może od razu czekanikiem w czoło. Zamarła więc, wstrzymując oddech.

– Nie rób tego, na brodę Proroka! – krzyknęła derwiszka. – To nasi jedyni sprzymierzeńcy. W mieście nie ma spahisów, nie ma kawalerii prócz tych kilku setek Polaków. Nie możesz bezpodstawnie oskarżać ich o współpracę z obcymi i odrzucać jedynej szansy na powstrzymanie zagłady! Słyszysz? Zagłada grozi nam wszystkim! Wszyscy zginiemy!

Abdul Aga lewą ręką chwycił Papatyę za twarz i odepchnął z całych sił. Dziewczyna poleciała do tyłu i wpadła wprost w ramiona roześmianych janczarów. Któryś z nich od tyłu złapał ją za piersi, przyciskając do siebie i unieruchamiając.

– Lada chwila przybędą tu armaty oblężnicze, które kazałem przyciągnąć z portu – powiedział Abdul Aga. – Wystarczy kilka strzałów, by pogrzebać Polaków w zajmowanych przez nich domach. Nie będę ryzykował, że za plecami zostanie mi blisko tysiąc wrogów. Zniszczę ich przed rozprawą z opętanymi.

– Pospolite ruszenie nie zdąży sprowadzić tu dział. Hordy opętanych są blisko, Papatya mówi, że nadciągają, a widziałam na własne oczy, jak szybko potrafią się przemieszczać – odezwała się Dorota. – Radziłabym wycofać wojska i przegrupować się, by współdziałać z miejską armią i innymi formacjami wysłanymi przez wezyra. Zapomnij o Polakach, szkoda na nich czasu i zachodu.

– Tobie też nie ufam, al-hakimo – stwierdził janczar. – Zbyt często współpracowałaś z wrogiem, mógł cię przekabacić...

– Współpracowałam, bo mnie do tego zmusiłeś. Już nie pamiętasz?! – warknęła Dorota. – W nosie mam to, czy mi ufasz czy nie, zupowy. Chcę tylko zabrać się jak najdalej stąd, zanim otoczy nas sfera tych potwornych istot. Siedzisz tu od dwóch lub trzech dni i nie widziałeś, z czym walczą twoi bracia. To nie przelewki, w to możesz mi wierzyć.

Gdzieś w mieście zagrzmiała palba i chwilę później wystrzeliło działo. Z oddali dobiegło echo bitewnego okrzyku wrywającego się z setek gardeł. Abdul drgnął niespokojnie. Od kilku dni siedział tu jak na szpilkach. Miał wrażenie, że wszędzie wokół toczą się walki, a on marnuje czas, pilnując jakichś cholernych Polaków, o których nie wiadomo, czy są czemukolwiek winni. Musiał z nimi skończyć i ruszyć do boju z groźniejszym wrogiem.

– Poczekamy na armaty – zdecydował, zaciskając pięści. – Kiedy tylko przybędą, zniszczymy Polaków.

– Ty głupcze! – Papatya wierzgnęła wściekle.

Abdul zrobił krok w stronę derwiszki i wymierzył jej siarczysty policzek. Dziewczyna krzyknęła, gdy głowa odskoczyła jej w bok od siły uderzenia. Pan Michał warknął i szarpnął się w uścisku janczarów.

– Co z nim? – spytał któryś z piechurów.

– Chcę, by Polacy myśleli, że z nim paktuję, załatwmy go zatem po cichu. Powieście go na drzewie, które rośnie za rogiem.

Michał Piotrowski spojrzał w oczy janczarowi. Naprawdę miał go może nie za przyjaciela, ale za kompana. Abdul nie okazał jednak ani zmieszania, ani żalu. Popatrzył na rycerza bez najmniejszych emocji, nie poświęcając mu większej uwagi niż owadowi, którego trzeba rozgnieść.



## VIII

Śledziłem przekazy w sieci informacyjnej pasmo po paśmie, telepatyczne oddziaływania tworzyły bowiem liczne warstwy, głębsze i płytsze. Najpłytsza przenosiła podstawowe odczucia zmysłowe, wizje, głosy i zapachy, głębsza pozwalała na emisję emocji i tak zwanych uczuć wyższych, najgłębsza emulowała infopole i umożliwiała transfery pakietów danych, choć w ograniczonym zakresie. Trochę obawiałem się pośredniej warstwy, bo moja cielesność i słabości odziedziczone wraz z osobowością Talaza czyniły mnie podatnym na mocne i gwałtowne uczucia. Byłem chwiejny emocjonalnie, nazbyt empatyczny i czuły. To spora wada jak na demiurga dowodzącego operacją wymagającą bezwzględności i jasnego umysłu. Całe szczęście moi konkurenci do władzy chyba jeszcze tego nie odkryli. Z pewnością wykorzystaliby tę słabość, by sprowokować mnie do popełnienia błędu i zdyskredytować w oczach Wielojażni.

Wysłałem oficerów na pierwszą linię, każdego w inny obszar walk. Tylko Jasmine zostawiłem przy bioprosesorze, by przypilnowała chirurgów i zajęła się jeńcami. Ciągłe brakowało ciał do ukończenia urządzenia. Trzeba było je zebrać i zabezpieczyć w bezpośrednim sąsiedztwie maszyny. Istniało niebezpieczeństwo, że jeńcy się wyzwolą i zaatakują chirurgów lub zniszczą bioprosesor, zgromadziliśmy bowiem jeszcze około tysiąca więźniów, z których część stanowili żołnierze. To dlatego do ich pilnowania wyznaczyłem Jasmine.

Bezlitosna bestia, która w niej tkwiła, zasiała terror wśród jeńców, zamieniając ich w bezbronne, przerażone ofiary. By to osiągnąć, wykorzystwała kilka prostych sztuczek. Co jakiś czas w okrutny i widowiskowy sposób zabijała wybranych jeńców na oczach pozostałych. Wprowadziła tym samym element niepewności i ciągłego strachu. Jako że wśród jeńców następowała duża rotacja, bo chirurdzy nieustannie część z nich zużywali, a inwazerzy przysyłali nowych, musiała terroryzować ludzi na okrągło. Miała więc bez przerwy zajęcie, które sprawiało jej radość, a ja pozbyłem się krwiożerczej bestii i nie musiałem kłopotać tym, że jej wściekłość skieruje się przeciw mnie.

Podobnie starałem się wykorzystać innych dowódców. Zachłannemu i nienasyconemu Isubowi zleciłem zajmowanie i zabezpieczanie kolejnych ulic i obiektów. Analityczny i dociekliwy Hassan zajmował się planowaniem akcji uderzeniowych i dyslokacją naszych sił, tak by nieustannie wiązać wroga walką. Szalony bóg Val przeprowadzał akcje dywersyjne i punktowe ataki mające szerzyć chaos i nie dopuścić do tego, by wojska przeciwnika zdobyły się na skoordynowaną akcję odwetową. Miejscowi mieli bowiem ciągle sporą przewagę

liczebną i gdyby się zorganizowali, mogliby odbić zajęte tereny, a nawet przełamać nasze linie i zniszczyć bioprocessor. Na szczęście nie mieli pojęcia o jego istnieniu i o tym, jak ważny to obiekt.

Kiedy uda się uruchomić urządzenie i zainfekować lokalne infopole Wielojażnią oraz naszą realnością, proces inwazji znacznie przyspieszy. Dostaniemy wtedy do ręki kolejne narzędzia. Pojawi się możliwość korzystania z bardziej zaawansowanej technologii i prawdziwej sieci informacyjnej, a nie jej improwizowanej telepatycznej namiastki. Wtedy przeprowadzę atak na pałac sułtański i ukręcę łeb przywódcy. Pozwoli nam to na rozbudowanie zaplecza przy wykorzystaniu zasobów imperium i przejście do kolejnej fazy – zajęcia wszystkich pozostałych aglomeracji miejskich na planecie i wchłonięcia ich przez Wielojażń.

Nie zaprzątałem sobie na razie głowy tym, jak wpisanie w infopole zmieni realność i fizyczność planety. To było chwilowo nieistotne. Starłem się skoncentrować na bieżących problemach, ale ludzka część mojej osobowości ciągle wracała do tych obaw. Gdyby coś poszło nie tak i zostało naruszone któreś z fundamentalnych praw przyrody, zamiast spożytkować planetę, Wielojażń może ją niechętnie zniszczyć. Czym innym jest korzystanie z zasobów biologicznych zajętego świata, przekształcenie lokalnej cywilizacji w farmę niewolników-nosicieli informacji, a czym innym spowodowanie totalnej katastrofy.

Zaczęły mną targać wątpliwości. Może spowolnić inwazję? Zamiast konstruować i uruchamiać bioprocessor, można podobny efekt uzyskać, stopniowo powiększając bramę. Co prawda to, co uzyskalibyśmy jedną transmisją, zajmie kilka ziemskich lat, ale będzie bezpieczniejsze, bo stopniowy proces umożliwi kontrolę. Niestety rozkazy miałem inne, w dodatku niepodlegające dyskusji. Wielojażń oczekiwała natychmiastowych efektów i szybkiego przeniesienia, nawet za cenę ryzyka utraty tego świata.

Moją ludzką część coraz bardziej to gryzło i niepokoiło. Dlatego, by o tym zapomnieć, z taką pasją oddałem się przeglądaniu wszystkich warstw sieci informacyjnej. Pozwalało mi to zająć czymś umysł, zamiast tracić czas na daremne rozważania. I tak niespodziewanie natrafiłem na meldunek jednego ze zwiadowców, który donosił o zlokalizowaniu silnego zgrupowania piechoty w jednej z mniej istotnych *mahalli*. Coś mnie tknęło i kazałem mu przyjrzeć się temu dokładniej. Poleciałem też Isubowi, by przerzucił tam jednostkę uderzeniową. Zwiadowca zarejestrował liczbę janczarów odpowiadającą rozwiniętej orcie, w dodatku w ich kierunku zmierzał spory oddział formacji miejskich ciągnący potężne armaty. Wcześniej janczarzy zostali zignorowani, Isub założył bowiem, że to jedna z grup eskortujących dobytek uciekinierów. Rozbiliśmy już kilka takich sfor złożonych ze sług i niewolników, którzy wieźli wyposażenie pałaców i majątek jakiegoś uciekającego z miasta paszy.

Rozkazałem natychmiast utworzyć szpicę mającą rozbić to zgrupowanie. Nie

wiem, jak przegapiono znajdujący się tak blisko bioprocesora oddział nieprzyjaciela. Czyżby Hassan nie dostał żadnych danych o tej okolicy? Dlaczego sam nie wysłał tam zwiadu? Postanowiłem później dokładnie przyjrzeć się działalności mojego stratega, a na razie osobiście wyruszyłem na miejsce. Zaciekawilo mnie to zgrupowanie, poza tym chciałem, by jak najszybciej zostało starte z powierzchni ziemi.

Przeszedłem ulicami w towarzystwie kilku przybocznych oddelegowanych przez Jasmine. Wiedziałem, że uzbrojeni w żelazne haki i szpony olbrzymi są zasiedleni przez osobowości gadzich wojowników, jej pobratymców. Bardzo się o mnie troszczyła, skoro przydzieliła mi swoich najlepszych morderców. Chyba że chciała mieć mnie w garści, na wypadek gdybym popełnił jakiś fatalny błąd i Wielojażń kazałaby mnie zdegradować. Od razu wpadłbym w jej szpony.

Śmieszyły mnie te żalosne podchody i dziecinne intrygi moich oficerów. Nieco komplikowały mi zadanie, ale Wielojażń uważała, że świetnym pomysłem jest motywowanie siepaczy przez stworzenie im ułudy, że mogą zdobyć potęgę i władzę większą, niż mieli za swojego pierwotnego życia. A ci głupcy chłonili obietnice i zdawali wysiłki, by okazać zaangażowanie i jak najlepiej wywiązać się z zadań. Efektem ubocznym były próby pomniejszania zasług innych, szczególnie głównodowodzącego. Nie mogłem nawet otworzyć im oczu i oznajmić wprost, że sny o potędze to tylko czcze obietnice, złudne nadzieje i niepotrzebne prężenie mięśni. Tak naprawdę byliśmy jedynie potępionymi duszami, którymi wysługiwał się stary, wielki diabeł – Wielojażń.

Z rozmyślań wyrwało mnie dobiegające z bliska dudnienie. To dobosz walił w janczarski kocioł, dając sygnał na zbiórkę lub podnosząc alarm. Znaczyło to, że jestem blisko zignorowanego przez moich dowódców zgrupowania. Wezwałem telepatycznie Isuba i kazałem mu przedstawić sytuację. Odpowiedział obrazami z mapą taktyczną, jakby był unoszącą się nad *mahallą* mgławicą. Wracały dawne przyzwyczajenia; najlepiej czuł się jako luźna chmura gazów, a nie mały, białkowy twór.

Ujrzałem więc zabudowania oraz ulice z punktami oznaczającymi ludzi. Janczarska orta została podzielona mniej więcej na połowę, a obie części zamykały z dwóch stron jedną ulicę. Tak jakby planowali bronić tego, co się na niej znajdowało, a były to rozległe obiekty z masywnym piętrowym hanem oraz licznymi stajniami. To było ciekawe! W haniu prawdopodobnie też przebywali ludzie, ale zwiadowca tego nie sprawdził. Z jakiegoś powodu liczny oddział pilnował tych obiektów. Z jakiego? Co się w nich znajdowało?

Mogłem zgadywać, że zatrzymał się w nich któryś pasza i zażądał od wielkiego wezyra ochrony. Mogła to też być połowa siedziba seraskiera kierującego obroną miasta lub agi dowodzącego całym korpusem janczarskim. W każdym razie był to obiekt strategiczny, wysunięta placówka, z której być może

dowodzono. Słowem, miejsce, które aż się prosiło, by w nie uderzyć. Niszcząc je, uda się może zadać dotkliwy cios obrońcom miasta. To mogło być miłe zwieńczenie krótkiej kampanii przed uruchomieniem bioprocesora.

Nakazałem zatem przysłać Isubowi jeszcze jeden oddział uderzeniowy. Zarządziłem, by zaatakowano jednocześnie oba przyczółki janczarów. Otwarty, sygnalizowany atak od frontu, by odwrócić uwagę, a po nim desant z dachów na tyły wroga. W ten sposób rozbiliśmy już kilka janczarskich formacji. Dlaczego nie spróbować po raz kolejny?

Uzbroiłem się w dwa zdobyczne jatagany, którą to bronią jako Talaz nieźle robiłem, i tanecznym krokiem skierowałem się na czoło oddziału. Zamierzałem osobiście poprowadzić natarcie, to dobrze będzie wyglądało w raporcie. Niepyszny Isub, który widocznie chciał zawłaszczyć sobie chwałę zwycięzcy, ustąpił mi miejsca i zniknął w tłumie.

Telepatycznie wyemitowałem sygnał do ataku i ruszyłem pierwszy, ciągnąc za sobą dwustu inwazerów. Oczywiście po piętach deptało mi sześciu gadzich przybocznych, pobrzękując ciężkim uzbrojeniem. Jasmina ciągle miała mnie na oku. Nie zwracałem na nich uwagi. Krzyknąłem z całych sił i przyspieszyłem. Wybiegliśmy zza budynku prosto na plac pełen janczarów.

\* \* \*

– Są blisko! Szykują atak! – wrzeszczała Papatya odciągana na bok przez dwóch rosłych piechurów.

Abdul Aga nie zwracał na nią uwagi, patrząc na pana Michała, którego zabrano pod rozłożysty platan rosnący na środku placu. W tego typu publicznych miejscach często wykonywano wyroki, zdarzało się, że – tak jak pod Drzewem Janczarów przed pałacem – usypywano tam stosy z uszu odciętych pokonanym w bitwie wrogom lub wystawiano na pohańbienie ciała przestępców z odciętymi głowami położonymi u stóp. Tego typu widowiska zawsze przyciągały mnóstwo ciekawskich, ale tym razem prócz żołnierzy nie było nikogo. Janczarzy patrzyli z ciekawością na egzekucję, lecz zachowywali podziwu godną powściągliwość.

Pancerny został posadzony na swoim wierzchowcu, ręce związane mu za plecami, a na szyję założono pętlę. Wystarczyłoby po cichu poderżnąć mu gardło, ale Abdul stwierdził, że musi jakoś wynagrodzić piechurom długie godziny oczekiwania. Niech zobaczą, jak jeden z giaurów powoli dusi się na chwałę Pana. Śmierć niewiernych zawsze raduje serce wojownika. Tymczasem derwiszka postanowiła zepsuć przedstawienie. Ciągle próbowała nie dopuścić do powieszenia żołnierza, głośno protestowała przeciw takiemu bezprawiu i barbarzyństwu, aż wreszcie zaczęła krzyczeć, że opętani są blisko i planują atak, i to z kilku stron

jednocześnie. Abdul wykrzywił usta z niesmakiem. Zachowywała się niestosownie, posuwając aż tak daleko, by uratować tego rycerzyka. Podnoszenie alarmu tylko po to, by ocalić komuś życie? To żenujące. A tak lubił tę dziewczynę. Była naprawdę ładna, pełna energii i radości życia, którą wręcz promieniowała. Lubiała dzieci i wiernie wykonywała rozkazy *baby* derwiszów, aż doczekała się awansu w janczarskiej hierarchii. Byłaby doskonałą partnerką dla żołnierza i Abdul nieraz żałował, że należy do zakonu bektaszytów. Składali oni śluby czystości, co czyniło ją nieprzydatną do cielesnych uciech.

Aga dał znak, by pogonić konia Piotrowskiego i zakończyć sprawę. Pan Michał napiął mięśnie, szykując się na śmierć. Miał świadomość, że będzie powolna i bolesna. Gdyby choć obciążyli mu nogi, by szybciej się udusił, lub zrzucili z wysokości z pętlą na gardle, by sznur skrzył mu kark. Ale to byłoby okazaniem łaski. Wiedział, że nie ma co na nią liczyć, bo Abdul uczynił z jego egzekucji rozrywkę dla znudzonych janczarów. Rozumiał to i nawet nie potępił pohańca. Jako rotmistrz również zdawał sobie sprawę, jak niebezpieczna może być dla wojskowej dyscypliny przeciągająca się beczyność. Nie potępił również Abdul Agi za to, że kazał go zgładzić. Właściwie był o krok od przebaczenia swojemu oprawcy. Zamierzał odejść jak przystało na chrześcijanina, bez nienawiści, pogodzony z Bogiem. Tyle razy ocierał się o śmierć, że jej przybycie przyjął jako coś naturalnego. Próbował wyszeptać modlitwę, jednak sznur zbyt mocno go dławił. Spojrzał zatem ostatni raz w niebo, żegnając się ze światem.

I ujrzął skaczących po dachach opętanych. Co najmniej kilkunastu, uzbrojonych w błyszczące w słońcu ostrza, poruszających się szybko w kierunku placu. Nabrał powietrza, by krzyknąć, ale akurat odciągnięto spod niego konia i pętla natychmiast zacisnęła mu się na gardle.

Janczarzy, odwrócenych w kierunku drzewa, nie spostrzegliby chmury napastników, którzy wybiegli z bocznych uliczek, gdyby ich dowódca nie wydał bojowego okrzyku. Abdul na chwilę skamieniał, widząc nadciągający w milczeniu tłum łomoczący buciarami po bruku i pobrzękujący ryszunkiem. Na szczęście podoficerowie zareagowali natychmiast, podkuchenni i pomywacze rozdarli się na całe gardło. Gdyby tak niespodziewany atak spadł na zwykłą piechotę, w jej szeregach z pewnością wybuchłaby panika, ale janczarzy szkolili się w sztuce wojennej od dziecka. Poszczególne pododdziały były jak rodziny, a ich żołnierze jak bracia. W ciągu kilku sekund z beładnej hałastury utworzyli równe kolumny. Abdul ruszył na czoło, do grupy najbardziej wysuniętej w kierunku atakujących, ale nim zdążył do nich podbiec, janczarzy już utworzyli równą linię uniesionych do salwy muszkietów.

– Ognia! – wrzasnął w biegu zupowy, dobywając jatagana.

Rozległa się palba, w powietrze wystrzeliła chmura dymu. Opętani byli kilka kroków od piechurów i dym na chwilę całkiem ich pochłonął. Abdul wstrzymał

oddech, mając nadzieję, że kule zmasakrowały pierwsze szeregi wroga i zmniejszyły impet uderzenia.

Muszkietery cofnęli się o krok, robiąc miejsce dla uzbrojonych we włócznie towarzyszy. Ci nie zdążyli jednak pochylić drzewców, gdy z chmury po spalonym prochu wypadły dziesiątki rozpędzonych sylwetek. Niektórzy opętani broczyli krwią, mieli dziury po kulach w brzuchach lub piersiach, ale to ich nie powstrzymało. Runęli na przednią kolumnę janczarów, rozrywając ją w biegu na strzępy.

Abdul cofnął się do dalszych szeregów. Rozkazał też, by kolejne pododdziały muszkietarów dały kilka kroków w tył, licząc na to, że pierwsze szeregi wyhamują impet uderzenia wroga i uda się przejść do kontrnatarcia. Dostrzegł bowiem, że ma sporą przewagę liczebną, że opętanych są ledwie dziesiątki. On miał pięciuset piechurów na tym końcu ulicy i drugie tyle zamykających ją po przeciwnej stronie hanu.

Rozległy się straszliwe krzyki mordowanych, brzęk zderzających się ostrzy i chrzęst miażdżonych kości. Zupowy widział potwornie umięśnionych drabów obalających jego ludzi uderzeniami okutych pięści, widział drobnych i zwinnych jak węże opętanych, którzy skakali janczarom do gardeł, omijając ostrza jataganów i groty włóczni. Któryś miał zrobioną z żelaza dodatkową szczękę z długimi kłami, którymi rozrywał ludziom gardła, inni poprzyczepiane do ciała kościane lub stalowe kolce, haki i pazury. Atakowali, nie siląc się na szermierkę, ale niczym dzikie zwierzęta, bestie lub demony.

Gdzieś obok błysnęło i z hukiem dartego powietrza piorun uderzył w janczarów, rozrzucając kilku z potwornymi dymiącymi ranami. Przerażeni żołnierze zaczęli się cofać, choć w szyku.

– Wolny ogień! – krzyknął Abdul. – Strzelać bez komendy!

Doszedł do wniosku, że salwy w kotłującej się ciżbie nie mają sensu. Dopóki nie uda się oderwać od atakujących, położą pokotem więcej przyjaciół niż wrogów. Natychmiast rozległy się pojedyncze, suche trzaski muszkietowych wystrzałów, powietrze znów wypełnił smród palonego prochu. Zupowy z satysfakcją spostrzegł kilku leżących i przewracających się opętanych. Jednemu kula urwała kawałek głowy, inny oberwał prosto w gardło i chwilę bryzgał strumieniem krwi, aż wreszcie osłabł i padł trupem.

– Umierają! Umierają, skurwysyny! – ucieszył się Abdul. – Do ataku!

Sam skoczył w falujący w przód i tył tłum. Jakiś olbrzym z żelaznymi pazurami omal nie rozerwał mu barku, zawadzając o kaftan. Zupowy w locie chlasnął go po gardle, aż ostrze zazgrzytało na kręgosłupie, i dźgnął kolejnego szaleńca w oko. Janczarzy zawyli z entuzjazmem, po czym wznieśli okrzyk chwalać Pana:

– Allah agbar!

I ruszyli do ataku.

\* \* \*

Pan Michał poczuł ulgę, jakby nagle zaczął się wznosić. Nadal nie mógł oddychać i przed oczami krążyły mu mroczki, ale zrobił się lekki. Żył na czole i szyi mu nabrzmiały, a język sam wysunął się z ust. Oczy wyłaziły z orbit, gdy organizm rozpaczliwie walczył o oddech. Wtem się uniósł.

To tak wygląda śmierć? – pomyślał.

Wiedział, że dusząc się, wisielcy czasem zaznają spełnienia i tryskają nasieniem, ale nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Jego dusza zaraz oddzieli się od ciężkiego ciała i odleci do nieba.

– Trzeba go odciąć, szybko! – usłyszał ponagląjący głos Doroty.

I wtedy wreszcie zrozumiał, że ktoś trzyma go za nogi. To derwiszka i al-hakima podnosiły go, by się nie udusił. Dorota wydała polecenie swojej ślicznej niewolnicy. Jitka zeskoczyła z wozu, na którym dotychczas ciągle siedziała, i śmiało podbiegła do walczących. Kucnęła przy janczarze, któremu jeden z opętanych urwał głowę, i wyciągnęła z ręki trupa jatagan. Podbiegła do drzewa i rąbnęła w linę, którą Turcy przerzucili przez konar i przywiązali na dole. Węzła nie próbowała nawet rozplątywać, bo już na pierwszy rzut oka widziała, że zawiązano go zbyt mocno na jej siły. Na szczęście jatagan gładko przeciął linę. Pan Michał runął bezwładnie w ramiona kobiet, a te przewróciły się razem z nim.

Dorota chwyciła rycerza za włosy, bo wylądował twarzą w jej biuście. Odciągnęła go w tył, odsłaniając szyję, i drugą ręką poluzowała pętlę. Papatya zajęła się natomiast rozsznurowaniem związanych rąk. Pancerny złapał spazmatycznie powietrze, a po chwili rozkaszał się na całego. Rozejrzał się załzawionymi oczyma i krztusząc się, wskazał gdzieś w górę.

– Są na dachach – wychrypiał. – Musicie uciekać.

– Na wóz! – zdecydowała Dorota.

Wokół z krzykiem i brzękiem metalu przesuwwały się napierające i cofające kolumny walczących. Walały się trupy i zawodzący ranni, co chwilę okolicę spowijały chmury dymu z muszkietów i pistoletów. Al-hakima zdecydowała, że galopada dwukółką przez pobojuwisko może się udać i że warto spróbować. Lepsze to niż tkwienie w środku pola bitwy. Pociągnęły pancernego, ale ten po kilku krokach doszedł do siebie i wyzwolił się z ich uścisku. Sięgnął do szabli, którą ciągle miał u pasa.

– Zostaję – powiedział. – Muszę się przebić do swoich i ostrzec Gnińskiego. Nasi nie zdają sobie sprawy, co się dzieje. A wy zabierajcie się stąd, moje panie. Z podziękowaniem za odcięcie! – oznajmił i ucałował Jitkę w policzek. W porę

powstrzymał się za to przed zrobieniem tego Dorocie, widząc jej groźną minę.

Opętani zaczęli skakać z dachów na tyły janczarów. Rozległy się ostrzegawcze okrzyki i bijatyka wybuchła dosłownie wszędzie. Tymczasem po drugiej stronie, tam gdzie stały dwie polowe armaty, szyki janczarów rozsypały się i piechurzy rzucili się do ucieczki. Zakotłowało się na całej długości ulicy, nawet naprzeciw bramy do hanu.

Dorota popatrzyła na to ze zgrozą i stanęła na kozle, obwiązując sobie lejce wokół dłoni. Poczekała, aż Jitka wepchnie rozognioną Papatyę na pakę, i zacięła konia. Wóz pomknął, podskakując na trupach i przejeżdżając po czołgających się rannych. Jeden z opętanych skoczył im naprzeciw, ale nie zdążył zabiec drogi. Kobiety wyjechały z kotła.

\* \* \*

Gniński stał przy oknie na piętrze zajazdu i spod ściągniętych brwi lustrował pole bitwy. Kazał zamknąć bramy i nikogo nie wpuszczać, nawet błagających o litość. Wyglądało na to, że choroba przenosząca szaleństwo dotarła już tutaj i zarażeni właśnie zaatakowali janczarów. Poseł i jego doradcy oglądali dantejskie sceny, straszliwą, bezlitosną walkę, cofanie się i ponowne natarcia kolumn janczarów. Dobiegały ich krzyki i salwy muszkietowe, a nawet jeden wystrzał armatni, po którym kartacze ścięły kilku opętanych i drugie tyle janczarów.

– Nie powinniśmy wpuszczać nikogo, nawet gdy potyczka się skończy – powiedział ksiądz Lisiecki stojący za plecami posła. – Zaprawdę powiadam wam, czekajmy z zawartymi wrotami i pokładajmy nadzieję w Bogu. Janczarzy biją się dzielnie i wytłuką opętanych sami. Nie ma powodu wtrącać się w ich sprawy, jesteśmy tu wszak gośćmi. Trzeba nam czekać, a ja natenczas odprawię mszę w intencji naszego ocalenia.

– Dobry pomysł. Niech ksiądz łaskawie się pomodli, do tego jest najbardziej predysponowany – basowym głosem wtrącił pan Spendowski, szlachcic z Podola, tłumacz i doradca Gnińskiego. – W tematach wojennych lepiej się księdzu nie wypowiadać, bo słuchać hadko.

– A co waćpan radzi? Wesprzeć ich w boju i narazić się na zarażenie szaleństwem? – burknął ksiądz.

Tymczasem do komnaty niepostrzeżenie wszedł młody kasztelaniec. Tadeusz przecisnął się między zachmurzonymi dostojnikami i uklonił niezwracającemu na niego uwagi Gnińskiemu.

– Mości kanclerzu, tam został nasz przyjaciel, rotmistrz pancernych Piotrowski – powiedział. – Chłopcy się niepokoją, że nie ruszamy mu z pomocą.

Poseł z roztargnieniem spojrzął na młodzieńca i uśmiechnął się do niego



krzywo. Obiecał ojcu chłopaka, a swemu przyjacielowi, kasztelanowi Janieckiemu, że zaopiekuje się jego synem i pozwoli czerpać ze źródła swej mądrości. Niestety młodzieniec nie był zbyt bystry i nie rokował kariery politycznej i dyplomatycznej. Choć o dziwo zjednał sobie całą młodzież szlachecką, która towarzyszyła poselstwu, by poznawać świat i chłonać naukę. Chłopcy wybrali go na swego przywódcę i już kilka razy Tadeusz przemawiał do Gnińskiego w imieniu całej młodej kompanii.

– Nie możemy otwierać bram i ryzykować śmierci wszystkich, by ratować jednego żołnierza, który być może już nie żyje – oburzył się ksiądz Lisiecki. – To niepodobna!

– Nie zostawia się bliźniego w potrzebie – obruszył się Tadeusz. – W dodatku druha, z którym się wspólnie wojowało!

Gniński powstrzymał parsknięcie. Młodzieniec wziął u boku Piotrowskiego udział w awanturze na ulicach Sztambułu i już uważał się za jego towarzysza broni. To było wręcz rozczulające. Niestety musiał chłopcu odmówić.

– Rotmistrz to dzielny żołnierz i poradzi sobie sam, nie musisz się o niego turbować – powiedział. – Odszukamy go później, kiedy sytuacja się uspokoi. Teraz ryzykowalibyśmy zbyt wiele, nawet powodzenie całej naszej misji. Bądź cierpliwy, chłopcze, a najlepiej idź się pomodlić z ojcem Lisieckim.

Tadeusz chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zaczął się jękać i ksiądz odciągnął go na bok. Planował dać mu burę, nawet porządnie złać, ale chłopak bezczelnie wyrwał mu się i zbiegł na dół.

– Czekaj, bratku – wycodził Lisiecki ze złością. – Jeszcze za to odpokutujesz.

Chłopak przecisnął się między zaaferowaną bitwą czeladzią, minął rycerzy stojących na dziedzińcu haju i skręcił do szop z obrokiem. Czekają tam na niego dziesięciu rówieśników w bogatych żupanach, młodzież szlachecka. Prócz paniczów było jeszcze kilku koniuchów i sług mających opiekować się młodzieńcami. Wszyscy spojrzeli pytająco na chłopaka, a ten tylko wzruszył ramionami.

– Klecha i starsi namówili kanclerza, by czekać i się modlić – rzekł wreszcie.

Rozległy się westchnienia rozczarowania, któryś z nastolatków zaklął szpetnie, inny zaśmiał się pogardliwie.

– Mówiłem? Po nich niczego innego nie można było się spodziewać – prychnął przyszczaty Stefan Stawiński.

– Gdyby był z nami król, już byśmy szli w szarży – rozmarzył się pucułowaty blondyn Jędrzej Supełek. – Jego wysokość nie zostawiłby na pastwę demonów swego rycerza, a i pohańców kazałby bronić!

Chłopcy pokiwali głowami. Wszyscy należeli do miłośników Jana Sobieskiego i mieli dla monarchy wielkie poważanie. To na jego wzór domagali się

udziału w wyprawie, dowiedzieli się bowiem, że za młodu Sobieski podróżował z bratem po świecie, by poszerzać horyzonty umysłowe i poznawać różne ludy. To dlatego jego wysokość był tak świątły i sprawny w boju. Wszyscy młodzi chcieli, jeśli nie dorównać mu, to stać się w przyszłości godnymi króla dowódcami i politykami. Przyszły kwiat rycerstwa polskiego zgrzytał teraz zębami, przeklinał i spluwał na ziemię z pogardą dla zachowawczej i tchórzliwej postawy kanclerza.

– Gotowiście? – niespodziewanie spytał Tadeusz, kładąc dłoń na rękojeści szabli.

Chłopcy odpowiedzieli chórem, podniosłymi i podekscytowanymi głosami, by po chwili nawzajem się uciszać. Każdy zaprezentował broń – pistolety, szable, czekany, a wysoki młodzian z Włocławka, Dariusz Kawałko, wielki garłacz. Stajenni wskazali na otwarte drzwi stajni i okulbaczone konie. Jędrzej Supełek wielkopańskim gestem rzucił koniuchom po monecie. Potem młodzieńcy szybko dosiedli wierzchowców pod dachem, by nie rzucać się w oczy.

Chwilę później umówieni hajducy otwarli boczną, mniejszą bramę hanu prowadzącą do zaułka z rynsztokiem. Chłopcy wypadli ze stajni i pogalopowali do otwartego przejścia obserwowani przez zdumionych husarzy i niewtajemniczoną w ich plany czeladź. Ktoś próbował ich zatrzymać, ale kopnięty przez jeźdźca w pierś poleciał w tył i usiadł ciężko.

– Za mną! – wrzasnął podekscytowany Tadeusz, dobywając szabli.

Omał przy tym nie spadł z konia, ale zacisnął kolana i jakoś się utrzymał. Kilkunastu jeźdźców wypadło przez bramę na zewnątrz, przejechało nad rynsztokiem i wyjechało na zasłaną trupami ulicę.

– Bij! Zabij! – piskliwie krzyknął Stefan Stawiński.

– Uraaa! – zawtórowali mu chłopcy i runęli pomiędzy stłoczonych janczarów, wymachując szablami.

## IX

Na nic zdały się obietnice, które sam sobie składałem, że po przejściu ciała nie ulegnę jego fizyczności, emocjom i słabościom, że pozostanę zimnym i wyrachowanym taktykiem. Niemal natychmiast po objęciu dowodzenia grupą szturmową dałem się porwać bitewnej gorączce, zupełnie jakbym miał swoje pierwotne ciało. Choć właściwie nie miało znaczenia, w jakiej materialnej powłoce się znajdowałem. Teraz byłem Talazem Tayyarem, człowiekiem wyszkolonym w posługiwaniu się białą bronią i lubiącym walkę w zwarciu. Pozwoliłem, by pamięć ciała kierowała mną, jej odruchy zawładnęły każdym moim krokiem i gestem. Ezoterycznie podrasowane mięśnie, usprawniony układ wydolnościowy i nerwowy pozwoliły poruszać się szybciej od zwykłych ludzi, atakować precyzyjniej i znacznie silniej.

Kroczyłem wśród janczarów niczym sama śmierć. Moje jatagany zgrzytały na odcinanych kościach, przeszywały ciała niby stalowe błyskawice. Po każdym moim kroku w powietrze wystrzeliwały krwawe fontanny, strumienie juchy z pootwieranych żył i tętnic. Zostawiałem za sobą krzyk, zwykle urwany lub zakończony bulgotaniem, gdy krew z rozplątanych arterii wlewała się do przełyku ofiary. Każdy mój krok przynosił śmierć, a moją ścieżkę znaczyły kolejne wijące się w agonii ciała.

Okazało się, że Talaz jest arcymistrzem szermierczego tańca, prawdziwym wirtuozem zabijania. Wrzaski, strzały i krzyki zdawały mi się muzyką, w której rytm niesło mnie po polu bitwy. Nogi przesuwwały się płynnie i pewnie, omijając obalonych i porzuconą broń, przesadzając lekko kałuże krwi i płynnie robiąc uniki przed pchnięciami włóczni i cięciami szabel. Ręce w tym czasie również nieustannie tańczyły, niosąc dwie klingi z oszalamiającą prędkością, tak że patrzącym z boku wydawały się trzepoczącymi skrzydłami kolibra, stalową tęczą ciągnącą za sobą krople krwi, kurtyną ostrzy.

Dałem się ponieść poezji, sztuce wojny i zupełnie zapomniałem o obowiązkach. Powinienem nieustannie pozostawać na pasmach informacyjnych i śledzić meldunki z pola, ale po co, skoro mieliśmy miażdżącą przewagę? Potyczka nie była grą strategów, lecz prostym, bezlitosnym rąbaniem. Kto zabija skuteczniej i szybciej, ten wygra. Nie musiałem nadzorować poszczególnych oddziałów czy reagować rozkazami i zmianami taktyki, bo takiej nie było. Ze stratega, demiurga przewodzącego armii zmieniłem się na parę chwil w prowadzącego natarcie siepacza, w dowódcę polowego. Nie było w tym nic złego, wielu inwazerów pochodzących z bardziej prymitywnych ras nawet tego ode

mnie oczekiwało. Wódz musiał splamić się krwią, dowieść męstwa i pokazać, że walczy ramię w ramię z podwładnymi.

Ciągnąłem zatem natarcie i przebiegałem w miejsca, w których zwarte kolumny janczarów odpychały moich wojowników. Przełamywałem kontrnatarcie i już byłem gdzie indziej. Siłą rzeczy w końcu natknąłem się na dowódcę ludzi, a może to on natknął się na mnie?

– *Lala Tayyar!* – usłyszałem znany głos. – Co czynisz?

Odwróciłem się i ujrzałem znajomego oficera piechoty. Zupowy Abdul Aga należał do zaufanych ludzi Bahadırzade Arabacı Alego Paszy, przywódcy korpusu janczarów. Jako szpieg znałem prawe ręce paszów i wezyrów, wszak liczyła się znajomość nie tylko samych dostojników i ich rodzin, ale także ludzi, którymi się wysługiwali. Wiedziałem zatem, że Abdul to nie tylko żołnierz, ale też janczarski szpieg dowodzący całą siecią wywiadowców, uszu Arabaci Alego Paszy.

Widok znajomej twarzy w morzu krwi na chwilę mnie otrzeźwił. Zatrzymałem się i opuściłem broń. Okazało się, że serce łomocze mi jak oszalałe, a ciśnienie omal nie rozrywa tętnic. Doprowadziłem organizm na skraj wytrzymałości, narzuciłem zbyt wysokie tempo i rąbałem z maksymalną siłą, ignorując ból i zmęczenie. Poniosło mnie jak jednego z potworów rasy Jasminy. Już czułem, że nadwyrężyłem mięśnie i nadszarpnąłem więzadło w lewej nodze. Potrzebowałem paru chwil, by dojść do siebie i odzyskać sprawność.

– Jesteś po ich stronie? Co cię opętało? – spytał Abdul, zbliżając się z uniesioną bronią.

Zwinnie uchylił się przed atakującym inwazerem uzbrojonym w ciężki młot i, zdawałoby się, od niechcienia chlasnął go po oczach, oślepiając. Nawet nie odwrócił się, by dobić ofiarę, tylko ciągle się zbliżał. Musiał dostrzec, że atakujący podążają za mną, i słusznie założył, że nimi dowodzę.

– Czego chcecie? Kim jesteście? – spytał, napinając mięśnie do ataku.

Rozmowy z podbijaną rasą, która znajdowała się na tak niskim szczeblu rozwoju, nie miały sensu. Zresztą, czemu miałyby służyć? Czy lew dyskutuje z pożeranym koźlątkiem?

Odetchnąłem głęboko i wyszedłem mu naprzeciw. Zaatakowałem kolejno prawą, a potem lewą, prostymi rąbnięciami zadawanymi z łokcia. Sparował je bez wysiłku i natarł błyskawicznie. Z trudem udało mi się uratować przed utratą palców, bo za cel obrał moją dłoń. Jatagany nie miały kosza ani kabłąka chroniącego rękę, na szczęście w ostatniej chwili wykręciłem się i przyjąłem jego ostrze samym jalcem. Natychmiast ponowił natarcie, tym razem na szyję, a w końcu pchnął mnie w udo. Ostrze weszło w mięsień, o włos mijając żyłę, której przebicie skończyłoby się poważnym krwotokiem.

Po raz pierwszy cofnąłem się, bardziej zaskoczony niż rozgniewany. Rana pulsowała bólem, przypominając, że jestem w śmiertelnym ciele. Abdul

zaatakował, zadając precyzyjne ciosy, z których każdy mógł zakończyć moją egzystencję. Dyszałem coraz ciężiej, a ręce zaczęły mi omdlewać. Chyba zachowałem się jak amator, tak brutalnie eksploatując organizm, który dopiero co posiadałem. Nie znałem granicy wytrzymałości Talaza, ale przez pychę wydawało mi się, że dzięki ingerencji ezoterycznej jestem niepokonany i żaden zwykły człowiek nie jest w stanie zrobić mi krzywdy. Teraz broniłem się resztkami sił, a żyłem wyłącznie dlatego, że *lala* był prawdziwym mistrzem szermierki i jakimś cudem, dzięki wieloletniemu szkoleniu, udawało mu się odruchowo powstrzymać Abdula. Ten sukinsyn musiał szkolić się nie tylko w tańcu z szablami, ale w prawdziwych bojach.

Rozpaczliwie rozejrzałem się za przybocznymi przydzielonymi mi przez Jasmine. Otaczali mnie pierścieniem, nie spuszczać z oka, ale nie interweniowali. Udawali, że zajęci są odpieraniem ataków uzbrojonych we włócznie janczarów. Czyli, tak jak myślałem, byli tu wyłącznie po to, by w razie czego mnie ująć lub wykończyć na polecenie swej pani. Nie miałem co na nich liczyć.

Szkoda byłoby rozstawać się z życiem, pomyślałem, cofając się krok za krokiem. Co prawda Wielojażń z pewnością przechowywała moją kopię, zamrożoną osobowość zapisaną jako plik danych w jednym z klastrów infopola. Nie było to szczególnie pocieszające, zwłaszcza że teraz byłem Tayyarem, a tam spoczywała tylko część mnie zwana demiurgiem. Zatem ja jako ja byłem tylko jeden, niepowtarzalny. Nie pozostało mi nic innego jak walczyć o przetrwanie, zresztą taki był imperatyw wpisany w każdą żywą istotę, jej podstawowy instynkt.

Potknąłem się o leżące ciało i upadłem na plecy. Abdul natychmiast pochylił się, by przyszpilić mnie do bruku. Pozwoliłem mu na to, w ostatniej chwili upuszczając jeden z jataganów. Sztych broni janczara przebił mi kaftan i koszulę, przeszedł na wylot przez ciało i brzęknął o kamienie. Zimny dotyk stali w brzuchu był upiornym doznaniem. Powstrzymałem jednak panikę, złapałem prawą ręką ostrze, blokując je mocnym uściskiem i rozbijając w ten sposób przeciwnika. Ujrzałem strach w jego oczach. Pchnąłem lewą ręką. Mój jatagan wszedł w trzewia Abdula równie łatwo i lekko jak jego w moje.

Odepchnąłem przeciwnika kopnięciem, zostawiając broń w jego brzuchu. Wyciągnąłem ze swych trzewi zdobyte ostrze i chwyciłem jego rękojeść. Moja rana płonęła bólem, ale się tym nie przejmowałem. Wiedziałem, że jelita nie zostały rozprute, a wszystkie tętnice są całe, nie wykrwawię się więc zbyt szybko. Ezoterycznie pobudzony system odpornościowy już rozpoczął tamowanie krwotoku i produkcję przeciwciał, by nie dopuścić do zakażenia.

Stałem nad zwiniętym w kłębek Abdulem, uśmiechając się ponuro. Miałem zamiar poprawić kolejnym pchnięciem i zakończyć jego bytowanie, ale musiałem uskoczyć, bo omal nie rozjechał mnie wrzeszczący na całe gardło konny. Jakiś smarkacz w żółtym żupanie minął mnie klusem. Udało mi się odturlać,

unikając jego szabli.

Co to miało być? Poderwałem się, rozglądając z zaskoczeniem. Wokół pojawili się kolejni jeźdźcy, w których rozpoznałem Polaków. Było ich kilku, może kilkunastu, w dodatku lekko uzbrojonych, ale w pobliżu mogło być ich więcej. Wciągnąłem powietrze ze zgrozy. Husaria! Nieopodal mogła być husaria! Tylko gdzie jest i skąd właściwie wzięli się ci młodzi jeźdźcy?

Spojrzałem na piętrowy, otoczony murem han. Czemu Isub nie sprawdził, co się w nim kryje? I czego pilnują janczarzy? A może sprawdził i celowo podpuścił mnie do ataku na gniazdo, w którym czaiło się kilkuset zakutych w stal ciężkozbrojnych?

Przymknąłem oczy z wysiłku i krzywiąc się z bólu, aktywowałem połączenie z siecią informacyjną. Może jeszcze nie było za późno?

\* \* \*

– Dawać mi dowódcę warty! – wydarł się wściekły poseł Gniński. – Albo nie, pies go jebał. Jeśli przeżyje, wymierzyć cymbałowi sto kijów!

Kanclerz koronny musiał na kimś wyładować wściekłość. Dopiero co dowiedział się, że cała szlachecka młodzież, którą miał pod skrzydłami, opuściła zajazd i zaatakowała opętanych. Jak można było do tego dopuścić? Ktoś pozwolił tym młodym głupkom wyruszyć na pewne zatracenie, nie powstrzymał, nie przełożył kolejno przez kolano i nie sprął.

Dostojnik zbiegł po schodach i wypadł na dziedziniec. Po piętach deptali mu ksiądz Lisiecki i pan Spendowski, próbując przemówić do rozsądku i uspokoić. Na nic zdadzą się wrzaski – chłopcy przepadli i nic ich już nie zdoła ocalić. Nawet jeśli janczarzy nie zaatakowali ich, biorąc za nowych przeciwników, to sprawy dokonali potworni szaleńcy masakrujący sułtańską piechotę.

– Dalibóg, to nie waszmości wina! Stało się, popełnili głupotę, co zrobić! – Spendowski wymachiwał rękoma.

– Nie moja wina? A jak spojrzę w oczy ich rodzicom, hę? Powierzono mi te szczenięta z pełnym zaufaniem, nie lękając się o ich bezpieczeństwo. I przywiozę do Polski kilkanaście trupów w zalutowanych blaszanych trumnach, by zwrócić je ojcom i matkom zamiast żywych synów? Niedoczekanie! Trąbić na zbiórkę! Na koń, mości panowie!

Wśród kłębiących się na dziedzińcu husarzy wybuchły gwar i zamieszanie. Towarzysze i pocztowi, od dawna naszykowani i w pełnym rynsztunku, rzucili się do koni. To samo uczyniło kilkunastu obecnych w hanie pancernych. Reszta jazdy stacjonowała w stajniach po drugiej stronie ulicy, ale wystarczył sygnał trąbki, by i tam się zakotłowało.

– Nie, niech waść tego nie robi, bo wszyscy zginiemy! – przeraził się ksiądz Lisiecki.

Gniński uciszył go niedbałym machnięciem. Kazał przypiąć sobie napierśnik z ryngrafem przedstawiającym Matkę Boską. Za pas zatknął podaną przez giermka buławę. Na szczęście, ku uldze pozostałych dyplomatów, nie zamierzał prowadzić odsieczy, a jedynie uzbroił się, na wypadek gdyby opętani wtargnęli na teren hanu.

– Panie Błoński! – wezwał siedzącego w siodle krępego rycerza. – I panowie Kęsicy! Znacie młodego Janieckiego. Odnajdźcie go w ciżbie i przywieźcie mi żywego do zajazdu! To wasze zadanie, bardzo liczę, że się wywiążecie.

– Wedle rozkazu! – skinął Błoński.

Husarze nie uzbroili się w kopie i koncerze przydatne w starciach z kawalerią. Na rozkaz dowodzącego chorągwią Franciszka Pokrzywnickiego każdy dobył ciężkiej husarskiej szabli, bardziej przydatnej w walce z tłumem, w ciasnej ulicy. Ponad stu dwudziestu ciężkozbrojnych kawalerzystów ustawiło się czwórkami przed bramą. Za nimi już szykowałą się grupa pancernych oraz kolejna setka lekkiej jazdy. Czeladź, uzbrojona w co się dało, miała bronić hanu. Przy boku Gnińskiego została również cała towarzysząca mu szlachta, z górą dwustu waszmościów pobrzękujących szablami i gotowych w razie czego zmienić się w całkiem sprawne wojsko.

W budynkach po drugiej stronie ulicy szykowałą się kolejna cała chorągiew husarska i pełna chorągiew pancerna. Razem z czeladzią rozsianą po stajniach były to wszystkie siły, jakimi dysponował Gniński. Kanclerz doszedł do wniosku, że nie ma sensu ich oszczędzać. Wdrapał się na siodło i dobył buławy, a następnie wskazał nią kierunek natarcia.

– Naprzód! Bij w nich! – rozkazał.

Trąbki zagrały sygnał do ataku, wozy barykadujące bramę zostały odciągnięte, a wrota otwarte na pełną szerokość. Husaria wyjechała stępa i od razu przyspieszyła, choć nie rozwinęła się do galopu. Uniemożliwiały to sterty trupów zaścielających ulicę. Za to na widok nadciągającej w łopocie skrzydeł ciężkiej jazdy janczarzy rzucili się na boki i przylegli do ścian. Kawaleria wjechała w sforę opętanych i przeszła po niej, nie zwalniając. Szable uniosły się i opadły, odrabując głowy i uzbrojone w żelazne szpony ręce. Choć kilku potężnych opętanych uderzyło w konie opancerzonymi pięściami, powalając rumaki i miażdżąc jeźdźców, kolejne szeregi najechały na nich i rozsiekaly w locie.

Semen ciął przez łeb draba ze straszliwym miotaczem piorunów, którym chwilę wcześniej poraził jednego z husarzy, i dla pewności, widząc, że ten ciągle się chwieje, stanął w strzemionach dla nabrania większego zamachu. Powtórne rąbnięcie rozplątało czaszkę opętanego i ostatecznie go uśmierciło. Rycerz rozejrzał się uważnie, ściągając wodze. Po bokach miał kuzynów Kęsickich, osłaniających go na wszelki wypadek, widział też stłoczonych janczarów, którzy

nie byli jeszcze do końca przekonani, czy nie powinni bronić się przed Polakami.

– Widzicie gdzieś tego młodego głupka? – spytał kompanów.

– Dwóch szczeniaków stoi z janczarami, stracili tylko konie – odparł Jakub.

– Widziałem też jednego martwego, z rozerwanym gardłem, ale to nie był Tadeusz. Wydaje mi się, że nasza niemota przebiła się aż do placu na końcu ulicy, widzę tam jeźdźców.

– Ruszamy zatem dalej! W konie, mości panowie! – rozkazał Semen i wbił wierzchowcowi ostrogi, zmuszając do ruszenia z kopyta.

\* \* \*

Dorota wiedziała, że strach dodaje skrzydeł, ale nie spodziewała się, że młody konik, przerażony jazgotem, wrzaskami i rykiem opętanych, aż tak się rozpędzi. Musiała usiąść na koźle i obiema nogami zaprzeć się o pakę, by nie zlecieć. Próbowala ściągnąć lejce, by nieco wyhamować przerażone zwierzę, ale to nie reagowało. Nic zresztą dziwnego, co chwila bowiem mijali wyjących opętanych. Jeden z nich przejechał pazurami po boku konika, dotkliwie go kalecząc. Na szczęście nie zdołał się uczepić zwierzęcia i spadł prosto pod koło wozu.

– Musimy zawrócić lub chociaż skrócić! – gorączkowała się Papatya. – Jedziemy w kierunku siedziby obcych. W stronę okropieństwa, które budują z ludzkich ciał!

– Łatwo powiedzieć – wycedziła Dorota.

Koń toczył pianę, w dodatku krwawił coraz obficie, ale nie zwalniał. Al-hakima nie musiała się specjalnie wysilać, by zrozumieć, że zwierzę lada chwila padnie z przerażenia lub wycieńczenia. W dodatku prowadząca cały czas prosto ulica kończyła się rozwidleniem, ku któremu pędzili pełną prędkością.

– W lewo! – poradziła Papatya.

Dorota posłusznie pociągnęła lejce i o dziwo koń trafił we wskazaną uliczkę. Wóz zaterkotał na drobniejszym bruku wiodącym po pochyłości w dół.

– Nie w to lewo, idiotko! W to drugie! – wrzasnęła zrozpaczona derwiszka.

– O cholera, czasem mi się myli – bąknęła Dorota.

Coraz szybciej pędziły w dół. Koń wyczuł lekkość wózka i jeszcze bardziej przyspieszył. Jitka podpełzła na kolanach do przyjaciółek.

– Skaczymy? – zapytała.

– A moja skrzynia z resztą majątku? – oburzyła się Dorota. – Miałaś ją trzymać!

W tym momencie wóz podskoczył na wyboju i niepilnowana przez niewolnicę skrzynia grzmotnęła o ziemię, po czym rozpadła się na kawałki.



Mieszki z monetami rozsypały się razem z jedwabnymi hidżabami i spodniami al-hakimy.

– Nie! – wrzasnęła ze zgrozy Dorota i puściła lejce.

Koń poczuł jeszcze większą swobodę i pochylił łeb, by rzucić się w szalony cwał. Siły jednak go opuściły, przednie nogi ugięły się pod nim i runął z kwikiem prosto na łeb. Dwukółka obróciła się i przewróciła z rumorem na bok. Trzy kobiety potoczyły się po ulicy jak wystrzelone z procy i zaległy bez ruchu na ziemi.

Pierwsza odezwała się Jitka, jęcząc z bólu. Tyłek miała poharatany i obolały, ale poza tym nic się jej nie stało. Dorota również nie straciła przytomności, choć przez parę chwil nie mogła złapać oddechu. Leżała i spazmatycznie chwyciła małe łyki powietrza. Była przekonana, że żebra przebiły jej płuca i zaraz utonie we własnej krwi. Papatya nie dawała znaku życia. Jedna jej noga była wykręcona pod nienaturalnym kątem, a twarz skierowana do dołu, więc Dorota nawet nie widziała, czy przyjaciółka oddycha.

– Aaa! Uciekajmy! – pisnęła Jitka i zerwała się na równe nogi.

Przykuśtykała do Doroty i pomogła jej usiąść, zarzuciwszy sobie jej ramię na szyję. Wtedy al-hakima zobaczyła, czego tak wystraszyła się niewolnica. Wylot ulicy rozszerzał się na częściowo wyburzoną dzielnicę garbarzy. Na samym jej środku tkwiła straszliwa budowla – wielka jak piętrowa kamienica kula z pozszywanych ludzkich ciał. Taka sama, jaką Dorota widziała na karcie tarota. To jednak nie było tak przerażające jak kilka poruszających się szybko sylwetek, które dostrzegły katastrofę wozu i właśnie biegły w ich stronę.

To były cztery pajęczaste potwory. Miały humanoidalne sylwetki, ale po kilka rąk i nóg. Biegły, korzystając z kilku członków naraz, co wyglądało odrażająco i zapierało dech w piersiach. Dorota patrzyła na dziwne stwory z otwartymi ustami, nie mogąc wyjść z podziwu. Im były bliżej, tym bardziej dojrzewało w niej przekonanie, że dodatkowe ręce i nogi nie wyrosły im, ale zostały przeszczepione.

Dla medyczki było to niczym objawienie. Obcy potrafili dokonywać przeszczepów członków, a pewnie i organów. To było niezwykle i wstrząsające. Jaką niesamowitą wiedzą dysponowali? Co jeszcze potrafili? Al-hakima odetchnęła głębiej, zapominając o tym, że może mieć połamane żebra. Stała właśnie w obliczu niepoznanego, w obliczu istot dysponujących wiedzą, o jakiej nawet nie marzyła. Jak mogłyby uciec komuś tak mądrymu? Nie miały najmniejszych szans.

– Spokojnie – syknęła do Jitki. – Zachowuj się spokojnie. Może nas nie skrzywdzą.

Nie ruszając się z miejsca, uniosła ręce. Jitka usiadła obok niej, trzęsąc się z przerażenia i obrzydzenia. Pająki dopadły kobiet i pochwyciły je w swoje liczne ręce. Jeden ugryzł Dorotę w palec i chwilę smakował jej krew. Strasznie od niego śmierdziało trupami, tak samo jak od pozostałych. Ubrania i skórę miały pokryte

skrzepami i zaschniętym śluzem, a wokół ust rozmazaną świeżą juchę. Al-hakima poczuła strach. Zrozumiała, że ich mądrość nie idzie w parze z dobrocią. Nie idzie także w parze z ludzkim pojmowaniem świata.

Dłonie pociągnęły ją w górę, stawiając na nogach. Została brutalnie popchnięta i zmuszona do biegu. Gdy po kilku krokach zwolniła, jeden z oprawców trzasnął ją przez plecy stalowym biczem. Ból wstrząsnął całym ciałem Doroty, jakby jednocześnie przypiekano ją, obdzierano ze skóry i posypywano solą. Zadygotała i wrzasnęła z bólu, i to tak jak nigdy w życiu. Zrozumiała jeszcze jedno: że tortury, którym poddali ją lata temu opolscy inkwizytorzy, są niczym w porównaniu z tym, co spotka ją z rąk pająkowatych potworów.

\* \* \*

Pan Michał stracił konia po przejechaniu kilkunastu kroków. Jeden z opętanych rozplątał zwierzęciu brzuch, omal przy tym nie odcinając pancernemu nogi. Rycerz w porę zeskoczył z przewracającego się zwierzęcia i o dziwo został uratowany przed dobieciem przez janczarów. Piechurzy zaatakowali włóczniami bestię uzbrojoną w przyczepione do ramion dwa groźne haki i przyszpilili ją do ziemi. Pancerny doskoczył do stwora i ciosem szabli odrąbał mu łeb. W nagrodę któryś z piechurów poklepał go po plecach, co było nieformalnym przypieczętowaniem przymierza.

Ledwie przed paroma minutami chcieli go powiesić, a teraz stawali z Polakiem ramię w ramię. Piotrowski nie miał nic przeciw temu, nie żywił do pohańców urazy. Tak samo jak ich przerażało go i brzydziło to, w co zamienili się opętani, zatem w obliczu ich bezwzględności i okrucieństwa i potworności niedawna nieufność wobec Turków poszła w zapomnienie. Obecnie liczyło się dla niego tylko to, by przedrzeć się do hanu i powiadomić swoich o tym, co się dzieje.

Pokonał niewielki kawałek, przemykając między kolumnami janczarów, gdy dostrzegł wyjeżdżających z bocznej dróżki z rynsztokiem młodych jeźdźców, którymi dowodził Tadeusz. Widział z oddali, jak opętani zrzucają z siodła jednego, a potem kolejnego chłopca, jak rozrywają ich na strzępy, i nic nie mógł zaradzić. Wreszcie zaczął krzyczeć do Tadeusza i machać rękami, ale chłopak był tak zaaferowany swoją brawurą, że nie dostrzegał spieszonego pancernego. Robił szablą na lewo i prawo, tnąc każdego wyglądającego na odmieńca, z rozpędu przewrócił kilku cofających się janczarów i stratował konającego pechowca.

Pan Michał rzucił się, by przeciąć mu drogę, ale wpadł na nieludzko umięśnionego potwora wymachującego maczugą. Przeturlał się, unikając zmiżdżenia. Maczuga zrobiona z armatniej lawety i zaopatrzona w masywne żelazne nity gruchnęła o bruk tuż obok niego, sypiąc wokół odłamkami kamieni.

Jeden z ostrych odprysków rozharatał pancernemu policzek, na co Piotrowski zareagował odruchowym cięciem po nogach przeciwnika. Skaleczył tylko gołenie opętanego, wzbudzając jego wściekłość. Kolejne minuty rozpaczliwie ratował życie. Poderwał się i rzucił do tyłu, a potem odwrócił i ruszył biegiem przed siebie, klucząc między walczącymi i konającymi. Bestia z rykiem pędziła za nim, tratując wszystko na swojej drodze.

Dotarli tak aż do placu z drzewem, na którym dopiero co wieszano pana Michała. Przez głowę przemknęła pancernemu myśl, że jednak skona w tym miejscu, że nie wywinie się przeznaczeniu. Oparł się plecami o pień, dysząc ciężko. Kolczuga i upał dały mu w kość, w końcu miał już swoje lata. Fikanie koziołków było zdecydowanie zabawą dla młodszych.

Opętany miał ze dwa sążnie z hakiem wzrostu i pokaźne brzuszysko, twarz nabrzmiała i przeraźliwie brudną, a poruszał się jak wielki goryl, podpierając ręką i ciągnąc maczugę. Też sapał, ale sił wystarczyło mu, by po raz kolejny zamachnąć się bronią. Pan Michał skoczył w bok i z chrzęstem zbroi uderzył o ziemię. Maczuga zadudniła o pień, wrywając kawały kory i drewna, zupełnie jakby w drzewo uderzyła kula armatnia. Pancerny stęknął, próbując poderwać się do ucieczki, ale ostatecznie osłabł. Opętany natomiast zapał się, by wyrwać z pnia swoją broń i zadać ostatni cios.

I wtedy za jego plecami pojawił się Tadeusz. O dziwo chłopak ciągle trzymał się na koniu, cały i zdrowy, choć żupan miał podarty i zbryzgany juchą. Wychylił się w siodle i zadał znad głowy potężne cięcie. Nie trafił w głowę potwora, ale pióro szabli niczym lancet zagłębiło się w kręgosłupie opętanego i rozcięło kilka kręgów, przy okazji przerywając rdzeń. Bestia zadygotała spazmatycznie i spróbowała się odwrócić, ale układ nerwowy miała już niewładny. Grubas wierzgnął zatem tylko i zwałił się ciężko na bok.

Pan Michał podniósł się z trudem i podszedł do zwisającego z siodła chłopca. Tadeusz stracił bowiem równowagę i trzymał się teraz grzywy kręcącego się w kółko z gniewnym prychnięciem wierzchowca. Pancerny podsadził młodzieńca i uścisnął mu ramię.

– Dobra robota, paniczu – powiedział. – Tuszę, że kanclerz nie został powiadomiony o twoim planie wzięcia udziału w bitce?

– Został, ale nie przyjął go do wiadomości – rzekł chłopak z uśmiechem. – Uznaliśmy z kompanią, że to niehonorowo zostawiać swoich w potrzebie. A nawet i pohańców!

– Niehonorowo, ale politycznie – mruknął rycerz. – Będziemy musieli popracować nad twoją wizją świata, młodzieńcze. A teraz spróbujemy przebić się do hanu.

– Wystarczy poczekać, husaria już ruszyła. Słyszałem trąbki. Zaraz skrzydlaci rozjadą opętanych i będzie po sprawie – rzekł lekko Tadeusz. – A na

razie możemy udzielić pomocy sojusznikowi. Widziałem rannego w brzuch Abdul Agę, leżał tam, na środku ulicy. Zda się, że to waćpana kompan.

– Owszem, choć były – rzucił pan Michał, marszcząc czoło.

Ruszył jednak za chłopakiem, a musieli przemieszczać się szybko, bo na placu znów zrobiło się gorąco. Opętani cofali się pod naporem nadjeżdżającej z łomotem polskiej kawalerii. Rotmistrz Piotrowski zdziwił się, jak mógł nie dostrzec swoich. Husaria zajmowała całą szerokość ulicy i zgarniała wszystko na swojej drodze. Prócz stawiających opór opętanych tratowała także zbyt wolno uciekających janczarów.

Abdul Aga siedział zgięty wpół, trzymając oburącz wbity w brzuch jatagan. Pan Michał podbiegł do niego i złapał za ramię, a w tym czasie Tadeusz zeskoczył z konia i chwycił rannego za drugą rękę. Wyjącego z bólu odciągnęli pod mur, gdzie przycupnęli. W samą porę zresztą, bo husarski walec właśnie nadciągał, zamieniając wszystko na swojej drodze w krwawą miazgę. Na szczęście opętani byli zajęci stawianiem oporu husarzom i sunącym za nimi kolejnym chorągwiom jazdy i nie zwracali uwagi na pętające się niedobitki.

– Witaj, Abdulu, ty zdradziecki sukinsynu – rzekł pan Michał do bladego jak trup zupowego.

Ten uśmiechnął się nieznacznie, nie puszcżając trzymanego oburącz ostrza. Wiedział, że rotmistrz nie jest mściwy, przegadali bowiem niejedną wieczór przy ognisku w czasie podróży do Stambułu i poznali się całkiem dobrze.

– Wyjąć ci to żelazo z kiszek? – zaproponował usłużnie pancerny, zerkając na przesuwające się wojsko, które z łomotem i chrzęstem miażdżyło opętanych, spychając ich coraz szybciej w dół ulicy.

– Nie w tej chwili, jeśli łaska. Dopiero w obecności medyka – odparł janczar. – Celowo trzymam je tak, jak utkwilo. To hamuje krwotok i może dzięki temu głównie z przebitych kiszek nie wypłynie mi do brzucha.

– To liczysz jeszcze na uzdrowienie? – prychnął Polak. – Widziałem konających na ropną gorączkę od drobniejszych ran. A z przebitymi kiszkami zajdziesz wyłącznie na cmentarz. Tego się nie da uleczyć.

– Nie znasz naszych chirurgów, Michale. Ale nie pora o nich i o moich ranach, to wszystko drobiazgi. Teraz trzeba powiadomić wielkiego wezyra, co tu się dzieje, i przekonać go, że nie jesteście w zмовie z opętanymi – wysapał Abdul Aga, kuląc się i dygocząc z bólu. – Musicie mnie czym prędzej zawieść do pałacu, inaczej Kara Mustafa każe ostrzelać was z armat i wybić do nogi.

– Dopiero co sam chciałeś to zrobić – rzucił rycerz.

– Teraz wiem, że to był błąd. Tak jak powieszenie ciebie. Nie dąśaj się jak niewydymana panna, wszak to była wojenna omyłka. Zdarza się. Muszę zapobiec kolejnym nieporozumieniom, zdobądź więc wóz i zawieź mnie do pałacu, nim tu skonam!

Pan Michał podrapał się po czole. A co, jeśli janczar nalega na to tylko po to, by jak najszybciej trafić w ręce sultańskich medyków? I w nosie ma Polaków? Po dotarciu do pałacu może kazać zgładzić poselstwo, choćby dla świętego spokoju, by zmyć hańbę swojej nieudolności. Kto wie, co tak naprawdę chodzi mu po głowie?

– Tadeuszu, słyszałeś? – pancerny wreszcie zwrócił się do chłopaka. – Potrzebujemy wozu, by zawieźć zupowego do pałacu. Wezwij swoich kompanów, niech zdobędą jedną z podróżnych karet ze stajni hanu.

Tadeusz uśmiechnął się i skinął głową. Wetknął dwa palce w usta i zagwizdał przeciągle.

## **Stambuł**

### **17 dżumada II Anno Hegirae 1088**

### **17 sierpnia Anno Domini 1677**

Jitka przyciskała do piersi lekarską torbę niczym tarczę. Zawsze nosiła ją za al-hakimą jak przystało na osobistą, zaufaną służącą. Teraz nieodłączny ekwipunek przydał się jak nigdy. Niewolnica zasłaniała się nim przed pająkowatymi bestiami, a te obwąchiwały skórzaną torbę i odchodziły, zostawiając dziewczynę w spokoju. Tak stało się również, gdy trzeci raz te obrzydliwe istoty wtargnęły do szopy, w której stłoczono jakieś pół tysiąca jeńców. Opętani obwąchiwali, nadgryzali i szarpali histeryzujących, na wpół oszalałych ze strachu ludzi, po czym wyciągali z ciżby dwie lub trzy ofiary, by powlec je na straszliwe męki.

Dorota obserwowała uważnie ich zachowanie, ale nie odkryła schematu, którym się posługiwali. Raz do szopy wpadły bestie niemające przeszczepionych groteskowo członków i te wybrały całkiem przypadkowych jeńców, by powoli i okrutnie, na oczach wszystkich, wypruć nieszczęśnikom flaki. Oczywiście było, że zrobiły to na postrach, by wprowadzić wśród uwięzionych jeszcze większą grozę. Dorota stwierdziła, że mogły sobie darować – jeńcom wystarczało to, co słyszeli przez ściany i widzieli przez szpary między deskami.

Trzecia segregacja ominęła Dorotę i Papatyę, pajęczaki bowiem wytypowały ofiary, zanim zbliżyły się do dwóch kobiet. Kiedy sobie poszły, ciągnąc wrzeszczące i szamoczące się ofiary, al-hakima spytała przyjaciółkę, jak się czuje, ale derwiszka nie odpowiedziała. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem

w przestrzeń i nie reagowała. Wcześniej Dorota nastawiła jej złamaną nogę, poza tym nie odniosły większych obrażeń. W dodatku Papatya odmówiła przyjęcia leku zmniejszającego ból, twierdząc, że musi pozostać przytomna. Podśluchiwała widmowe rozmowy obcych, jak nazywała opętanych, i musiała mieć czysty umysł.

– Jesteśmy dla nich niczym hodowlane bydło, a może nawet i to nie – powiedziała w chwili przytomności. – Ciało ludzi, które przejęli, używają jak ubrań. Muszą je nosić w naszym świecie, bo swoje stracili, ale nie darzą nas przez to najmniejszym szacunkiem. Jesteśmy ledwie narzędziem, które wykorzystują. Beznamiętnie i przedmiotowo. To dlatego pajęczaki wydają się okrutne. Tymczasem nie dręczą ludzi przez złośliwość czy nienawiść, lecz przez zupełny brak zrozumienia dla naszych uczuć. Nie znają współczucia, nie rozumieją cierpienia innych. Są inni, obcy...

– Wszyscy są tacy? – spytała czujnie Dorota. – Zauważyłam, że różnią się wyglądem i zachowaniem.

– Masz rację. Pochodzą z różnych krain i ludów – przyznała derwiszka. – Wcielono ich do armii inwazyjnej i wykorzystano. Są sługami, może nawet więźniami potężnej istoty. Szatana? Upadłego boga? W każdym razie czegoś przerażająco żarłocznego i bezwzględnego.

– Po co budują tę potworność? – Dorota kiwnęła głową w kierunku północnej ściany więzienia.

W nocy miała okazję napatrzeć się na ten koszmar, zresztą i tak nie dało się zasnąć w tych warunkach. Okaleczeni nieszczęśnicy rozpięci na żelaznym, kulistym stelażu nieustannie zawodzili lub skamleli z bólu. Płakali też pechowcy uwięzieni w szopie, w tym dużo kobiet i dzieci, które nie zdołały uciec przed szybką ofensywą obcych. Niestety pająki nie zwracały uwagi na płeć i wiek ofiar i czasem brutalnie wyciągały z rąk matek dzieci, by parę chwil później żywcem przeprowadzać na nich okrutne zabiegi. Dorota zapanowała jakoś nad grozą tego wszystkiego i starała się patrzeć na to, co ją otacza, oczami człowieka nauki, badacza i medyka. Beznamiętnie.

– To urządzenie, którym posługują się do wezwania swego upadłego bóstwa. Połączone układy nerwowe ludzi, przez które przepuszczą burzliwe strumienie danych, utworzą coś, co nazywają osobliwością informatyczną – wyrecytowała Papatya. – Rozumiesz coś z tego? Powtarzam ci myśli ich przywódcy.

– Przywódcy? Możesz się z nim porozumieć?

– Nie wiem. Trochę się boję do niego zwrócić, na razie tylko podśluchuję. Przywódca jest częściowo człowiekiem i w głowie płaczą mu się swojskie obrazy i uczucia. Pólludźmi są też jego oficerowie. Odkryłam, że knują przeciw niemu i pragną jego zguby. Wiele więcej się nie dowiedziałam, nie przeszkadzaj zatem, bo słucham!

Dorota zostawiła przyjaciółkę, choć zaniepokoiło ją zbytnie

rozgorączkowanie i pobudzenie rannej. Al-hakimę martwiło również, że derwiszka nie czuje bólu paskudnie połamanej nogi. Ją samą bolały wszystkie gnaty i obtarcia, tylko głód jej nie doskwierał, a to dlatego, że panujący wokół smród odbierał apetyt. Poza tym wystarczyło wyjrzeć przez szparę w ścianach szopy, by stanowczo odechciało się jeść. Niedaleko bowiem piętrzyła się góra odpadów z nieudanych i odrzuconych przeszczepów – ludzkie zwłoki, na których żerowały pająkowate bestie. Obrzydliwość!

– Słuchaj, w torbie mamy coś, co je odstrasza albo obrzydza... – szepnęła jej na ucho Jitka. – Już trzy razy się nią zasłoniłam i te paskudztwa zostawiły mnie w spokoju.

Al-hakima kazała jej zdjąć torbę. Niewolnica mogła zauważyć coś naprawdę ciekawego, więc koniecznie musiała to sprawdzić. Sama spostrzegła, że pajęczaki przed wybraniem ofiary najwyraźniej wachają i smakują towar. Zachowują się jak kupcy na targowisku przebierający w produktach w poszukiwaniu najświeższego i najcenniejszego. Sama w podobny sposób oglądała „ciała” na targach niewolników, zaglądała im w usta, obmacywała mięśnie. Szukała śladów choroby lub innych defektów mogących uczynić niewolnika nieprzydatnym.

Wysypała rzeczy z torby: lancet i nóż, szczypce, nożyce, kolce do upuszczania krwi i przecinania wrzodów, zwitki czystego materiału, zioła i maści, kilka gotowych mikstur w buteleczkach. Która z nich odstrasza pajęczaki? Łączą ludzi, wywlekając na wierzch ich nerwy, cienkie włókna niosące ból po całym ciele – tak przynajmniej mówiła Papatya. Zatem pająki odrzucać może coś, co niekorzystnie wpływa na układ nerwów. Ale co to takiego? Chwilę grzebała w słoiczkach i flakonikach. Coś, co spowalnia działanie nerwów, czyli uśmierza ból!

– Mam! – Dorota triumfalnie uniosła buteleczkę. – To laudanum. Już wcześniej uratowało Papatyę przed mocą tych sukinsynów, właśnie ono tak ich odrzuca. Czyni człowieka nieprzydatnym, a może wręcz szkodliwym!

Rozejrzała się czujnie, szybko odzyskując panowanie. Wokół wszak tłoczyli się jeńcy i nie wszyscy byli pogrążeni w skrajnej rozpacz. Trafiali się też tacy, którzy się jeszcze nie poddali. Przyglądało się jej kilku siedzących w milczeniu typów: dwóch garbarzy, jakiś starzec i kucający przy nim młodzieniec. Nie wiadomo, czy słyszeli, co powiedziała, ale z pewnością dojrzeli wyraz triumfu na jej twarzy i to, jak przycisnęła buteleczkę do piersi. Z pewnością domyślili się, że ma coś nadzwyczaj cennego.

Dorota przeklęła własną głupotę. Na szczęście mężczyźni nie próbowali od razu odebrać jej skarbu, tylko dalej ją obserwowali. Wydarła się więc na Jitkę i uderzyła ją w twarz, wyzywając od głupich dziewczuch. Kazała jej pozbierać leki, udając, że dorzuca do nich buteleczkę. Wsunęła ją jednak do kieszeni. Teraz musi odczekać, aż wszyscy zapomną o incydencie. Wtedy wypije łyk laudanum i każe to

samo zrobić Jitce oraz Papatyi. Będzie dozowała lek ostrożnie, niewielkimi dawkami sprowadzającymi jedynie błogość i lekkie otumanienie. Wiedziała, że tyle wystarczy, by zahamować odczuwanie bólu. Rozpuszczone w alkoholu opium być może dostatecznie otępią układ nerwowy. Chyba właśnie o to chodziło!

Może to uczyni je niewidzialnymi dla pajęczaków?

\* \* \*

Całe poselstwo polskie zostało wpuszczone przez Bramę Imperialną na teren pałacu Topkapi i zatrzymało się na rozległym *Alay Meydanı* – Dziedzińcu Janczarów. Goście nie zostali jednak wprowadzeni dalej, przez Bramę Środkową, na drugi dziedziniec. Musieli rozbić namioty w rozległym parku otoczonym przez liczne zabudowania gospodarcze, stajnie i magazyny dla zaopatrujących siedzibę imperatora kupców. Kanclerz koronny kazał rozstawić swój namiot pod słynnym Drzewem Janczarów, tam gdzie zwykle układano wojenne zdobycze i przywiązywano skazańców.

Tłumy mieszkańców, czeladzi i niewolników gapily się na przybyłych z okien okalających park zabudowań. Za to bramę prowadzącą w głąb pałacu obsadziła wzmocniona załoga złożona z białych eunuchów i kilkunastu janczarów. Husaria nic sobie z tego nie robiła – wszyscy zbrojni ciągle podekscytowani byli wczorajszą wygraną bitwą. Gniński kazał nawet wydać wojsku gorzałki i miodu, przez co wielu rycerzom szumiało jeszcze we łbach. Oglądali się zatem na ukryte pod burkami damy, które przyszły ich obejrzyć. Szybko też doszło do konfrontacji, aż wezwano pana Spendowskiego, by pomógł zagaić rozmowę z tureckimi pannami.

Tymczasem poseł udał się znowu na obiad do wielkiego wezyra, ale tym razem nie jako petent ciągnący wóz z prezentami, lecz jako partner do rozmów. Na przyjęciu spotkali się członkowie Dywanu, którzy nie uciekli z miasta natychmiast po wyjeździe sułtana, oraz przedstawiciele liczących się sił, czyli mistrzowie cechów rzemieślniczych, dowódcy wojskowi i przywódcy religijni, a nawet reprezentanci mniejszości na czele z Ormianami, Grekami oraz Żydami.

Gniński czuł się wśród nich dziwnie, trochę zagubiony i przytłoczony. Towarzyszyło mu dwóch husarzy w zbrojach i lamparcich skórach oraz ksiądz Lisiecki, za tłumacza zaś robił imperialny dragoman. Poseł został szybko wywyższony i posadzony obok Kara Mustafy, bo to Polacy jedyni odnieśli miażdżące zwycięstwo w starciu z opętanymi.

Rozpoczęły się trudne i strasznie długie rozmowy, bo każdy miał coś do powiedzenia. Część debatujących radziła ewakuować mieszkańców i opuścić miasto, część zdecydowanie optowała za walką o każdą chałupkę i ulicę.



Zastanawiano się, co zrobić z uchodźcami, z grożącym miastu głodem i epidemią od walających się trupów. Któryś pasza domagał się od wielkiego wezyra podania terminu, w którym przybędą z odsieczą oddziały imperialnej armii. O dziwo Kara Mustafa nie uniósł się gniewem, ale spokojnie wytłumaczył, że w tak krótkim czasie mało kto w ogóle wie, że coś złego dzieje się w stolicy. Wezwano już wsparcie, ale na jego przybycie trzeba będzie poczekać.

– Moi rycerze radzą, by uderzyć natychmiast, całymi siłami, jakie są do dyspozycji, i zgnieść wroga, zanim otrząśnie się po porażce – przemówił pan Gniński, gdy udzielono mu głosu. Wskazał siedzącego obok Semena Błońskiego, który wiercił się niecierpliwie na niskim zydelku. – Obecni tu zbrojni szli na czele natarcia i są zdania, że opętani nie mają szans z szybko przeprowadzonym atakiem zwartej masy wojska. Poza tym uważają, że wrogowi doskwiera nie tylko brak zgrania i dyscypliny, ale też niska liczebność. Wystarczy przeprowadzić jednocześnie kilka koncentrycznych ataków z różnych kierunków, by zwyczajnie zmiażdżyć to plugastwo.

Kiedy dragoman skończył tłumaczyć, wybuchł gwar dostojników przytakujących Polakowi, choć nie brakowało również głosów radzących nie słuchać giaurów. Szczególnie imam sprawiał wrażenie niezadowolonego i przypominał, że rady udzielają nie tylko innowiercy, ale i zaprzysiężeni wrogowie imperium. Ich sugestie mogą być podyktowane złą wolą, lepiej więc otoczyć teren zajęty przez zarazę i poczekać na przybycie spahisów pod dowództwem Şeytana Ibrahima Paszy. Niech zarazę wygniecie armia pod zielonym sztandarem Proroka, która zniszczy zło z imieniem Pana na ustach. Pojawienie się opętanych to wszak kara za grzechy i zniszczenie ich powinno zostać okupione krwią tureckich żołnierzy, a nie przybyszów.

– Ale ja wcale nie zamierzam wysłać ludzi do walki z opętanymi – zauważył Gniński. – Oczywiście, jeśli poprosicie, udzielimy wam pomocy, ale przypominam, że jesteśmy tu wyłącznie gośćmi. Nie przyjechaliśmy do Stambułu zdobywać chwały w boju, ale domagać się od padyszacha wysłuchania naszych postulatów.

Dragoman przełożył słowa posła i gwar wybuchł po raz kolejny. Kara Mustafa obserwował to z nieodgadnią miną, nie zareagował też, gdy któryś z wojskowych pogroził pięścią Gnińskiemu.

– Może jeszcze zażyczycie sobie opłaty za udzieloną pomoc? – gorączkował się oficer. – Zniesienia haraczów i oddania południowej Ukrainy i Kamieńca Podolskiego w zamian za zniszczenie opętanych? To doprawdy zaczyna śmierdzieć prowokacją! A co, jeśli to wszystko wasza sprawka? Celowo wywołaliście zarazę, by ją teraz uśmierzyć w zamian za polityczne ustępstwa?!

– Nie wracajmy do tego po raz kolejny – odezwał się wreszcie wielki wezyr. – Moi zaufani ludzie przysięgają, że to nie sprawka Polaków, możemy zatem skończyć z pomówieniami.

Sam jednak nie sprawiał wrażenia do końca przekonanego. Kazał służbie wnieść dania, które stawiano na podłodze, bezpośrednio przed zebranymi. Dominowało pieczone ptactwo i najróżniejsze sałaty, które Turcy bardzo lubili. Semen nawet ich nie tknął, uważając takie jedzenie za niegodne wojownika, spróbował za to daktyli w miodzie i chałwy. Tą ostatnią był wręcz zachwycony.

Przyjęcie ciągnęło się godzinami, obrady nie ustawały nawet w trakcie posiłku. Błoński wiercił się coraz bardziej, zirytowany tym bezproduktywnym sejmikiem. W tym czasie można byłoby przygotować ofensywę i do wieczora rozprawić się z opętanymi. A tu zanosilo się, że stanie na otoczeniu terenu i zablokowaniu opętanych pierścieniem wojsk. Wreszcie obrady zaczęły zmierzać ku końcowi i w pewnej chwili, gdy część dostojników już opuściła komnatę, wielki wezyr zwrócił się wyłącznie do Gnińskiego:

– Liczę, że pana słowa nie były czczymi obietnicami. Proszę trzymać oddziały w pogotowiu – powiedział. – Widzi pan, gdybym musiał słuchać doradców, nigdy byśmy najeźdźców nie pokonali. Ale tak jest na całym świecie: jeśli dasz władzę grupie mędrców, będą gadać latami i nic z tego nie wyniknie. To dlatego upadły republiki i starożytne demokracje. Ale tego chyba nie muszę panu tłumaczyć, sam pan wie, co znaczą sejmy i sejmiki. Całe szczęście u nas panuje tradycyjny, zdrowy despotyzm. Tak się składa, że sułtan mianował mnie seraskierem i mogę robić, co zechcę, nie słuchając tych gadających głów. Kiedy tu radziliśmy, pospolite ruszenie podciągnęło porzucone wczoraj armaty z baterii nadbrzeżnych. Zostały wycelowane w dzielnicę garbarzy. Przed zachodem słońca rozpoczniemy ostrzał, który potrwa do rana. O świecie zgniotę wroga atakiem z kilku kierunków, tak jak pan radził.

– Jeśli pojawią się kłopoty, będziemy do dyspozycji. – Gniński uklonił się. – O świecie moje trzy ciężkie chorągwie i dwie lekkie będą gotowe do walki. Bez zobowiązań, wyłącznie jako honorowe wsparcie.

– To chciałem usłyszeć. – Kara Mustafa uśmiechnął się. – Nie przewiduję niespodzianek, ale lubię mieć zabezpieczenie. Dysponuję jedynie niewielkim oddziałem spahisów, którzy przebywali w mieście na urlopach, poza tym mam wyłącznie piechotę i artylerię. Dziesięć ciężkich kolubryn i drugie tyle dział z baterii nadbrzeżnej jest już na stanowiskach, kolejnych dwadzieścia armat polowych podciągnę na miejsce przed wieczorem. Do tego dysponuję dwoma tysiącami gwardii pałacowej, tysiącem piechoty morskiej, dziewięcioma janczarów i blisko pięćdziesięcioma pospolitego ruszenia.

– To potężna siła – stwierdził Gniński. – Będziemy jednak czekać na wezwanie.

Dyplomaci uścisnęli sobie dłonie i każdy ruszył w swoją stronę. Kanclerz wyszedł z pałacu i skierował się do Bramy Szczęśliwości. Ksiądz Lisiecki, który sprawiał wrażenie oburzonego, nie odstępował go na krok.

– Przypominam waćpanu, że król przysłał nas tu, byśmy negocjowali ustępstwa na korzyść Rzeczypospolitej i wykupili z niewoli rodaków – zauważył dobitnie. – Nie było mowy o tym, by poświęcać życie naszych rycerzy w interesach imperium Osmanów! Pana działania to balansowanie na krawędzi zdrady! Powinniśmy zdecydowanie odmówić udzielenia pomocy pohańcom i zażądać, by odeskortowali nas do granicy. Pomaganie im to wszak wzmacnianie wroga, czyli działalność na szkodę Polski! Wysługują się nami, bezbożnicy, a waść im jeszcze przyklaskujesz i składasz obietnice bezinteresownego wsparcia. To zdrada, zaprawdę zdrada!

– Licz się, klecho, ze słowami! – warknął Semen Błoński. – To żadna zdrada, ale honorowe wyjście, iście rycerskie i chrześcijańskie. Godnie reprezentujemy w ten sposób Rzeczpospolitą! Biliśmy opętanych, by pokazać, że polski żołnierz to nie byle chłystek, lecz prawdziwy rycerz, a pan prawisz o zdradzie? Łąłem już po gębie za mniejsze kalumnie...

– To groźba? Reprezentuję tu kongregację wiary, jestem nie tylko kapłanem, ale dostojnikiem kościelnym. Śmiesz unieść na mnie rękę? Ojciec święty obłoży cię...

– Dość! – syknął Gniński. – Obaj po trosze macie rację, mości panowie. Umknęło wam jednak coś jeszcze. A co, jeśli wybuch zarazy to tylko początek czegoś większego? Jeśli zagłada grozi nie tylko temu miastu, ale całemu światu? Co wtedy powinniśmy zrobić? Pomagać bezinteresownie i ryzykować życie, ratując innych, czy uciec, by czym prędzej ostrzec swoich?

Zapadła cisza. Nawet Lisieckiemu zabrakło na chwilę języka w gębie.

– No właśnie. Już drugi dzień się nad tym zastanawiam – skwitował Gniński.

## X

Siedziałem na dachu domu z widokiem na zatokę. Widok morza mnie uspokajał i dodawał otuchy. Jako Talaz zawsze je lubiłem, wydawało mi się tak czyste i piękne, a jednocześnie groźne i tajemnicze. Jadłem wędzoną rybę i biały ser z ziołami, żywność zagarniętą na zajętym dwa dni temu targowisku. W przeciwieństwie do inwazerów pozbawionych ludzkiej części osobowości nie było mi obojętne, czym się posilam. Większość moich podwładnych jadła to, co zostało im podsunięte przez Vala, który zajmował się kwatermistrzostwem, lub tak jak chirurdzy, posilała się surowym mięsem zabitych. Ja nawet nie mogłem na to patrzeć. Przeszkadzał mi również ich smród i kompletny brak dbałości o czystość. Jako Talaz uchodziłem wszak nie tylko za przystojnego, ale też niezwykle zadbanego. Łażnię odwiedzałem obowiązkowo co drugi dzień, lubiłem również kąpiele w morzu. Niestety musiałem zapomnieć o tych przyjemnościach.

Jadłem w samotności, przyglądając się słońcu, które powoli chyliło się ku wodnej tafli. Im bliżej było horyzontu, tym bardziej jego blask słabł i przesuwał się w widzialnym widmie ku czerwieni. Ogarnęła mnie melancholia, a z nią potrzeba zatańczenia. Odłożyłem więc niedokończoną rybę i zacząłem tańczyć na dachu w rytm pstrykanego na palcach taktu – w pierw powoli, przesuając stopy i uginając kolana niczym szermierz, potem coraz szybciej. Rana brzucha bolała, ale już niezbyt dotkliwie. Niemal całkiem się zasklepiła, lecząc się tak jak pozostałe kontuzje odniesione w potyczce. Ruch poprawiał ukrwienie i przyspieszał gojenie, ruszałem się zatem, nie zważając na rwanie i ciągnięcie uszkodzonych tkanek.

Och, to żałosne – mówiła podstawowa część mojej osobowości – znów ulegasz zasiedlanemu ciału, dajesz się porywać jego emocjom, wspomnieniom i przyzwyczajeniom. I popełniasz błędy, których demiurg popełniać nie może.

To prawda. W idiotyczny sposób dałem się podpuścić Isubowi i poprowadziłem atak na janczarów, nie podejrzewając, że to pułapka. Oczywiście moi oficerowie wiedzieli, że w budynkach ukrywa się kilkuset ciężkozbrojnych Polaków, ale zataili tę informację. Pozwoliłem, by poniosło mnie upodobanie do walki, i wdałem się w bijatykę, zamiast kontrolować rozwój sytuacji. Finał był taki, że dałem się kompletnie zaskoczyć, straciłem niemal dwie drużyny szturmowe, ponad pięciuset wojowników, i sam omal nie zginąłem.

Wiem, że zostanie mi to wypomniane, że zapłacę za błędy. Wielojazn rozliczy mnie z każdego zmarnowanego ciała, z każdego potknięcia i słabości. Zdawałem sobie sprawę, że kara wiąże się z cierpieniem, gdyż już jej doświadczyłem. Podobnie jak teraz uległem cielesności i pragnieniu życia. Po

dokonanym podboju uciekłem, odmówiwszy cyfryzacji, czyli sczytania zapisu mózgu i likwidacji ciała. Nie chciałem zginąć, porwałem transporter i rzuciłem się do najbliższego wormhola, by uciec na drugi koniec galaktyki. Nie udało mi się jednak przetrwać nawet jednego cyklu – moi dowódcy, wysłani w pościg, dopadli mnie i okrutnie zamordowali. Prócz cielesnych tortur Wielożaźń przygotowała dla mnie jeszcze wirtualne piekło, w którym niczym potępioną duszę więziono mnie wiele cykli. Na koniec zaś umieszczono w pakiecie danych, z programem podtrzymującym świadomość, bym mógł rozpamiętywać grzechy.

Poczułem niepokój i ucisk w okolicach skroni, jakby niewidzialna ręka trzymała mi głowę. To ktoś próbował telepatycznie nawiązać kontakt, i to na głębokim paśmie, przeznaczonym do połączeń prywatnych lub tajnych. Mimo to nie otworzyłem umysłu. Teraz musiałem być ostrożniejszy, niewykluczone, że moi oficerowie przygotowali kolejną prowokację. Przestałem jednak tańczyć i stopniowo uspokoiłem oddech, a potem usiadłem, by dokończyć posiłek. Musiałem się zastanowić, ale ucisk na czoło nie ustępował.

Zdawałem sobie sprawę, że mam coraz mniej czasu na uruchomienie bioprocesora. Jeśli nie uda się tego zrobić w ciągu najbliższych godzin, inwazja może skończyć się haniebną porażką. Ludzie przejdą do ofensywy i zniszczą konstrukcję. Dobrze znałem przeciwnika, a konkretnie prawą rękę sułtana – Kara Mustafę. Byłem wszak jakiś czas jego kochankiem.

Wiedziałem, że wielki wezyr jest człowiekiem czynu lubiącym przejmować inicjatywę. Tego należało się obawiać, choć na szczęście należał też do polityków zachowawczych i ostrożnych, a jego słabością było upodobanie do wygody i zbytków. Liczyłem, że poczeka na posiłki z garnizonów za miastem, poza tym będzie się starał odwlec zmasowany atak, by nie ryzykować zniszczenia kilku dzielnic. Właściciele utraconego mienia mogą się zwrócić o rekompensatę, a tego wezyr z pewnością będzie chciał uniknąć. Sułtan może bowiem kazać mu pokryć kosztą z jego kiesy.

Założyłem zatem, że mam jeszcze co najmniej dobę. Chirurgom czas dany na uruchomienie bioprocesora upłynął w połowie dnia i musiałem zdegradować ich przywódcę, dziewczynkę o wielu dłoniach. Kolejny odpowiedzialny za budowę obiecał uruchomienie urządzenia do północy. Z tego, co wiedziałem, rzucił się do pracy, poganiając kompanów neurobiczem, cholernie bolesnym narzędziem kaźni. Teraz z pewnością pajęczaki szatkowały dawców dziesiątkami i dopasowywały ich do układu jak leci, nie rozdrabniając się i nie przebierając w środkach. Bioprocesor nie musiał wszak żyć wiecznie – miał pracować przez czas potrzebny do wytworzenia osobliwości i zasiedlenia lokalnego infopola.

Skończyłem wreszcie i skierowałem się do krawędzi dachu, by zeskoczyć i obejść wszystkie posterunki. Planowałem odegrać się na którymś z oficerów. Za zabezpieczenie terenu odpowiedzialny był Isub. Jeśli znajdę najmniejszą lukę

w formacji, jakieś zaniedbanie czy niedopatrzenie, natychmiast go zdekapituje, i to tak, by pozostali dowódcy dobrze się temu przyjrzeni. Zabawa się skończyła.

Spojrzałem po raz ostatni na morze zalane szkarłatem zachodzącego słońca i wciągnąłem głęboko rześkie powietrze. To było takie cudowne! Szkoda, że w ten sielankowy obraz brutalnie wkroczy Wielojazń.

Kątem oka dostrzegłem błyski wśród zabudowań, a chwilę później dotarły do mnie głuchoe tąpnięcia. Bum! Bum! Bum! Poczulem ciarki przebiegające po grzbiecie i obróciłem się tam, skąd dobiegał hałas. Stojące na wzniesieniu domy, pomiędzy którymi błyskało, ogarnęły chmury dymu. Za to powietrze przeszył gwizd, im bliższy, tym niższy. Skuliłem się, nawet kucnąłem, choć kule armatnie pomknęły wysoko nad moją głową, by z łomotem gruchnąć gdzieś w dzielnicy garbarzy, wyrzucając w powietrze tumany pyłu i gruzu.

Pomyliłem się! Mustafa postanowił zaatakować. Jednak nie tak, jak zakładałem, ale nadal w swoim stylu, zachowawczo. Zamiast poprowadzić zmasowany atak, kazał wstępnie zbombardować nasze pozycje. I to od razu ciężkimi działami oblężniczymi miotającymi żeliwne, lite kule. Zdecydował się zaryzykować gniew właścicieli nieruchomości i zrównać całą okolicę z ziemią.

Znalazłem się w opałach. Teraz muszę się wykazać zmysłem dowódcy lub będę skończony. Zeskoczyłem z dachu, odbiłem się lekko i pogałem w kierunku bioprocesora. Trzeba go uruchomić, teraz albo nigdy!

\* \* \*

Głowa ciążyła Dorocie, jakby była z ołowiu, a powiek nie mogła unieść bardziej niż do połowy, choć się starała. Zmuszała się do wykrzesania z siebie energii, ale kilka łyków laudanum zadziałało mocniej, niż się spodziewała. Jitka, która wypila połowę tego, co ona, całkiem straciła przytomność i leżała z twarzą ku ziemi w chmurze rozrzuconych włosów. Al-hakima pochyliła się, by nią potrząsnąć, ale widok jasnych, niemal płowych włosów na tle brudnego klepiska wydał jej się tak piękny i wzruszający, że zastygła w bezruchu, oddając się kontemplacji.

Wokół szalało piekło. Wielorękie diabły wdarły się całą chmarą do szopy, by łapać kogo popadnie i wywlekać na zewnątrz. W locie, podając sobie nieszczęśników z rąk do rąk, obdzierały ich ze skóry, nacinały pazurami i spomiędzy drgających obnażonych mięśni wyłuskiwały zwoje nerwowe. Operowani żywcem wrzeszczeli z niewyobrażalnego bólu i przerażenia, próbowali się wyrwać, a niektórzy nawet walczyć. Pajęczaki śpieszyły się tak bardzo, że nazbyt opierających się na miejscu uśmiercały i natychmiast łapały następną osobę. Tym razem obcy nie przebierali w jeńcach, choć każdego wstępnie nadgryzali

i w zależności od wyniku, wymieniali się ofiarą. Wstępnie przygotowaną biegiem nieśli do koszmarnej konstrukcji, na której konały tysiące okaleczonych. Oprawcy nie zamykali już drzwi szopy, nie patyczkowali się też z nikim – wyglądało na to, że nadeszła chwila ostatecznej rozprawy ze wszystkimi jeńcami.

Dorota na szczęście zdążyła opić się laudanum i próbowała wmusić stosowną dawkę w Papatyę. Derwiszka jednak stanowczo odmawiała, twierdząc, że musi pozostać przytomna, bo od tego zależy być może ratunek dla ludzkości.

– Nawołuję go, ale nie odpowiada – powiedziała jakiś czas temu. – Wysyłam do niego myśli, prośby i ostrzeżenia, ale wpadają w otchłań. Demiurg w ogóle nie słucha.

– Może robisz coś źle? – zastanawiała się coraz bardziej otumaniona Dorota.  
– Może w tym widmowym świecie wizji trzeba głośniejsz krzyknąć, by zostać wysłuchanym? Myślisz odpowiednio głośno?

– Módl się – poradziła chwiejąca się Jitka. – Gorąca modlitwa może mieć siłę sprawczą, można się nią porozumieć nawet z Bogiem. Oczywiście, jeżeli istnieje. Szkoda, że tak naprawdę go nie ma. Czy gdyby był, pozwoliłby na to wszystko? – Rozłożyła ręce i się rozplakała, a chwilę później padła twarzą na ziemię i tak została.

Nie słyszała narastającego gwizdu kul armatnich i łomotu wybuchów. Ściany szopy zadygotały, gdy jeden z pocisków trafił sąsiedni budynek i rozwalił go na kawałki. Pająki zaczęły się poruszać jeszcze szybciej, wymachiwały rękoma i syczały na siebie gniewnie, a jeden z nich, chudzielec o czterech rękach, wywijał długim metalowym batem. Okładał nim po plecach kogo popadnie, a ból musiał zadawać ogromny, bo trafieni się wili.

Dorota zadrżała, widząc tę potworność, i przypomniała sobie, że sama też dostała biczem. Tylko raz, ale ciągle czuła pieczenie na plecach, które nie mijało nawet po zażyciu opium. Cóż to musiało być za cholerstwo! Gdyby udało się wydrzeć pajęczakom tajemnice ich broni i umiejętności! Ach, szkoda, że wszyscy tu zginą.

Przez jakiś czas kule spadały sto czy dwieście kroków od celu, obracając w perzynę połowę dzielnicy. Może znosił je wiatr, może artylerzyści nie mogli się wstrzelić? Z pewnością nie widzieli celu, strzelali z grubsza w pozycje obcych. Dorota nasłuchiwała spadających kul, opierając ręce na ziemi i wczuwając się w drgania, gdy pocisk uderzał. Przyglądała się też nieustannie leżącej jak popsuta zabawka Jitce, coraz bardziej odpływając na skutek działania opium. Słowa odzywającej się czasem Papatyi docierały do niej jak zza ściany. Derwiszka mówiła coś o niebezpieczeństwie grożącym demiurgowi i o tym, że trzeba go przed nim ostrzec dla dobra całej ludzkości.

Ktoś kopnął al-hakimę w bok i popchnął na klepisko. Przewróciła się niezwykle wolno, jakby zanurzała się w falach ciepłej, lepkiej cieczy. Starzec

i młodzieniec, którzy przyglądali jej się wcześniej, pochylili się nad nią, by odebrać buteleczkę z laudanum. Chciała ich powstrzymać, próbowała powiedzieć, że to dla przyjaciółki, ale starzec spoliczkował ją i wyrwał buteleczkę z dłoni. Papatya wyrwała się z letargu i ruszyła Dorocie na pomoc, ale młodzieniec rzucił się na nią z krzykiem.

Zamieszanie i szarpanina zwróciły uwagę pajęczaka z biczem. Dał potężnego susa w stronę walczących i trzasnął chłopaka przez plecy. Młodzieniec wrzasnął rozdzierająco, miotając się w drgawkach. Dorota poczuła szarpnięcie, gdy koniec bicza uderzył ją w dłoń, ale z leniwym zdumieniem stwierdziła, że nie czuje bólu. Zaległa bez ruchu na plecach, tak jak przewrócili ją napastnicy. Tymczasem do pajęczaka dołączyły dwa kolejne. Jeden bez ceregieli chwycił wijącego się chłopaka i wbił mu zęby w kark. Ofiara natychmiast zwiótczała, bestia zaś wetknęła ją pod jedną z pach i pognęła do wyjścia.

Przywódca pajęczaków pochylił się nad Dorotą i powąchał ją, by natychmiast przestać zwracać na nią uwagę. Przeszedł nad Jitką, ją również ignorując, i złapał Papatyę za włosy, po czym polizał ją po twarzy. Dziewczyna zadrżała z obrzydzenia, ale szybko się opanowała i nie stawiała oporu. Widziała, że miotających się jeńców pająki natychmiast okaleczają, i wołała tego uniknąć. Została podniesiona i rzucona w ramiona czekającego z tyłu potwora. Uzbrojony w bicz pajęczak zwrócił się do starca, który niespodziewanie się zakrzuszył i zaczął głośno kasłać. Przycupnął wcześniej w kącie i próbował wlać w siebie zawartość buteleczki, ale zachłysnął się mocnym alkoholem. Opętany doskoczył do niego, chwycił za kark i polizał po twarzy tak samo jak Papatyę. Wykrzywił się z niesmakiem i jedną ręką, zdawałoby się od niechcenia, zmiażdżył mu krtań. Truchło odrzucił niedbale w kąt i wrócił do selekcji jeńców. Tych zostało już niewielu, ledwie garstka, w dodatku rozproszona pod ścianami szopy.

Dorota uniosła głowę, choć przyszło jej to z ogromnym trudem. Miała wrażenie, że zapada się w klepisku, miękkim i ciepłym jak słoma, w której sypiała, będąc dziewczynką. Krzyki dręczonych, gwizd spadających kul i łomot walących się ścian zwały się w jeden tętent, przeistoczyły w porykiwanie bydła i kwik zarzynanych świń. Zza okna dobiegało nawoływanie ojca, a błyski stały się łunami pożarów. Znów jakaś armia najeżdżała śląskie wioski. Habsburgowie? Szwedzi? Sasi? Polacy? Co za różnica, najeźdźcy zawsze zachowywali się podobnie. Skądkolwiek by przybyli.



## **XI**

### **Stambul**

#### **18 dżumada II Anno Hegirae 1088**

#### **18 sierpnia Anno Domini 1677**

Do świtu pozostały dwie lub trzy godziny. Było naprawdę niewiele czasu i robiłem się coraz bardziej poirytowany.

Moja obecność wprowadzała wśród chirurgów sporą nerwowość, zauważyłem jednak, że przynajmniej zrezygnowali z uctowania na stercie odpadów i zajęli się gorączkowymi pracami przy budowie bioprocesora. Nie wiem, czy nie marnowali przy tym więcej materiału i czy ich beładna bieganina przynosiła pożądany efekt, ale rusztowanie wreszcie zapełniło się ciałami. Zostało im tylko połączenie układów nerwowych wszystkich dawców w sieć.

Zostawiłem ich z tym zadaniem i wybrałem się na sprawdzenie posterunków. Moich dowódców nigdzie nie było widać. Najwyraźniej pochowali się przed bombardowaniem, sprawdzając, jak poradzę sobie z ostatnim etapem przed uruchomieniem. Znalazłem jednak Jasmine trwającą na barykadzie wśród swoich gadzich przybocznych. Zbyła moje pytania powarkiowaniem i transmisją komunikatów na najpłytszej płaszczyźnie informacyjnej. Zaczyły one tylko tyle, że ma swój odcinek pod kontrolą i nie przepuści ludzi, choćby pojawili się tysiącami. Jak na zawołanie w oddali, pomiędzy ciemnymi kłocami budynków rozbłysły ognie licznych pochodni i latarń. Ludzie zbierali się, czekając na zakończenie ostrzału, by zaatakować.

Przeszedłem na północną część naszych umocnień, gdzie dowództwo sprawował Hassan. Przedpole usłał ostrymi odłamkami gruzu i żelaznymi kolcami, a swoich inwazerów umieścił w stanowiskach ogniowych pośród rumowisk. Wielu uzbrojonych było w proste generatory plazmy, broń energetyczną, którą dało się skonstruować, korzystając z lokalnego zaplecza technicznego, czyli kilku zajętych kuźni i ludwisarni. Na podorędziu mieli również granaty zapalające, trochę prostych ładunków wybuchowych i miotacze ognia. To było zupełne przeciwieństwo taktyki, jaką prezentowała Jasmina, nastawiona na brutalną siłę

mięśni, ostrza i haki. Dla niej liczyła się skuteczność, a nie finezja, nie wtrącałem się jednak, dopóki ich działania przynosiły założone efekty.

– Och, jak boli, jak boli. Gdzie jesteś, demiurgu? Ocal nas, wysłuchaj nas, prosimy cię, nawołujemy cię – uderzyło mnie nagle z głębokiego pasma.

Aż się zachwiałem i musiałem przystanąć przy murze. Kilka kroków ode mnie z głuchym tąpnięciem żeliwna kula uderzyła o bruk i podskakując gwałtownie, pomknęła ulicą, by uderzyć w ścianę domu. Odprowadziłem ją bezwiednie wzrokiem, ale myślami byłem przy nadającym do mnie osobniku. Kim był, u licha? Z pewnością nikim z inwazerów! Ktoś z zewnątrz włamał się do naszej sieci? Niemożliwe! W tym świecie nie ma istot posługujących się tak zaawansowaną techniką!

To on wcześniej próbował nawiązać ze mną kontakt, co odczułem jako parcie na skronie. Teraz, gdy połączyłem się z siecią, znów uderzył, topornie i brutalnie zalewając mnie ciągiem myśli, zamiast przesłać konkretne informacje w postaci zwartych plików lub obrazów. Znaczyło to, że nie umie zachować się w wirtualu, nie zna procedur przekazywania informacji.

– Boże, chwała tobie. Ty jesteś Światłem niebios i ziemi. Ty jesteś prawdą! Obietnica Twa jest prawdą! Słowo Twoje jest prawdą! Spotkanie z Tobą jest prawdą! Raj jest prawdą! I Ogień jest prawdą! – przemawiała do mnie słowami islamskiej modlitwy.

Ona! To była kobieta. Zaczynałem ją widzieć i czuć. Cierpiała straszliwie i bała się, ale nie ustawała w próbach nawiązania kontaktu. Wiedziała coś ważnego. Wysłałem jej słowa otuchy, obiecałem, że przyjdę ją wysłuchać.

To mogła być kolejna pułapka, próba zdyskredytowania mnie przez dowódców. Podsunęli mi człowieka, którego wcześniej ukształtowali na ofiarę? Chcieli pokazać, że działam emocjonalnie, okazuję współczucie i troskę, miast zajmować się wyłącznie chłodnym dowodzeniem? No cóż, mieli rację. Nie potrafiłem zlekceważyć dawki emocji, jakimi uderzyła we mnie kobieta. Papatya. Kwiatek o białych płatkach. Ktoś powyrywał mu listki, okaleczył go.

Dziwne obrazy przemykały mi przed oczyma, gdy biegłem w stronę bioprocesora. Przeskakiwałem nad dymiącymi ruinami, przebijałem chmury pyłu, a tuż obok przetoczyła się rozgrzana do czerwoności żeliwna kula. Powietrze wypełniał smród spalenizny, gnijących trupów i siarki. Ja jednak miałem w głowie tylko cierpienie Papatyi, derwiszki z 99. dywizji janczarów. Kiedy miała sześć lat, rodzina oddała ją do zakonu w ramach wdzięczności Allahowi za ocalenie w czasie zarazy. Jej życie miało stać się posługą ku chwale Pana, pracą dziękczynną, szerzeniem jego Światła. I tak się stało – całe życie Papatya służyła innym. Opiekowała się chorymi, porzuconymi dziećmi, karmiła głodujących i bezpańskie koty. Na koniec zrobiła wszystko, by powiedzieć mi, że uruchomienie bioprocesora będzie równoznaczne z moim końcem.

Tak. Zniszczę nie tylko ludzkość, ale i siebie. Widziała i słyszała raporty przekazane do infopola przez oficerów i odczytała rozkaz Wielojaźni. Moje połączenie z Talazem Tayyarem uznano za nieudane i wymagające natychmiastowego skasowania. Dla dobra misji pozwolono mi dowodzić do chwili wytworzenia osobliwości. Potem miałem zostać scyfryzowany i zastąpiony innym demiurgiem.

Udała im się prowokacja z husarzami, pokazała ludzką stronę mojej osoby i to, że jej zbyt mocno ulegam. Nie dało się ukryć, że jestem bardziej człowiekiem niż obcym. Powinienem sam zgłosić się do skasowania, ale nie mogłem. Właśnie ta ludzka strona mi na to nie pozwalała. Błąd systemu, źle przeprowadzona kompilacja jaźni – oto, kim byłem.

– Tu jestem! – powiedziała Papatya.

Przystanąłem przed bioprocesorem. Kula drgającego mięsa górowała nade mną niczym upiorny sen szaleńca. Tysiące okaleczonych, krwawiących ciał w wielkim rozlewisku zakrzepłej krwi. To było chore i potworne. Dlaczego wcześniej tego nie dostrzegłem? Ależ dostrzegałem to, widziałem od samego początku. Jak mogłem do tego dopuścić? Bo byłem żądnym zaszczytów i łaski Wielojaźni sukinsynem.

Znalazłem dziewczynę trochę z boku. Przymocowano ją na szczęście na wysokości mojej głowy, tak że bez trudu mogłem jej dotknąć. Chirurdzy usunęli jej ręce w łokciach, ale precyzyjnie wypreparowali nerwy aż do dłoni. To nimi połączyli Papatyę z resztą układu, z wiszącym z lewej strony, głową w dół janczarem i z połową kwilącego dziecka przymocowanego z prawej. Dziewczyna była pojedynczym modulem, tranzystorem szeregowo wpiętym w procesor.

– Panie, jesteśmy gotowi. – Pajęczak z neurobizem w garści, niedawno mianowany przeze mnie nowym dowódcą, ukłonił się. – Możemy zacząć.

Skinąłem z roztargnieniem głową i odgoniłem go. Wyciągnąłem rękę i oparłem ją o czoło dziewczyny. Kontakt fizyczny był najlepszym i najszybszym sposobem połączenia. Natychmiast uderzyła mnie fala uczuć i wspomnień, w jednej chwili wszedłem w życie dziewczyny.

Stało się. Zyskałem część jej jaźni, zapisałem ją i opatuliłem, by chronić i pielęgnować. Dopóki będę żył, pozostanie najważniejszą częścią mnie, moim dobrym duchem.

Ująłem ją oburącz za szyję i przekręciłem mocno. Kark dziewczyny trzasnął i momentalnie zwiotczała. Pocałowałem ją w czoło na pożegnanie. Śpij dobrze, kwiatuszku\*.

\* \* \*

Całym mym ciałem wstrząsnął paraliżujący ból. Osunąłem się na kolana, dygocząc i mrugając, by usunąć białe plamy, które wykwitły mi przed oczyma. Neurobicz! Mogłem się tego spodziewać. Chirurg powiadomił o wszystkim dowódców, a ci kazali mnie zlikwidować. Zniszczyłem moduł bioprocesora, udowadniając swoją ludzką naturę.

Oberwałem po raz kolejny. Tarzałem się w skrzepach, limfie i krwi ciekącej lepкими strugami z konstrukcji, wylem i skomlałem. Pajęczak nie miał litości – bił mnie raz za razem, szatkując mój system nerwowy wyładowaniami elektrycznymi, które docierały do ośrodka bólu w mózgu. Tak więc miała wyglądać moja egzekucja? Skonam z bólu, wijąc się w obrzydliwościach i własnych odchodach?

Musiałem choć spróbować, walczyć do końca. Tylko jak? Nie mogłem opanować skurczów mięśni i przeszywającego bólu, który wypalał mnie od środka. Wiedziałem, że serce, nawet ezoterycznie wzmocnione, nie wytrzyma tego wysiłku. Chyba że mój mózg wcześniej spali się w płomieniach bólu.

I wtedy nagle wszystko ustało. Pajęczak zostawił mnie w spokoju? Nie, to Jasmina odepchnęła go, szczerząc groźnie zęby. Oficer, którego brałem za żądne krwi bydlę, stanął w mojej obronie? Wbrew rozkazom Wielojaźni? Leżałem bez sił, dygocząc i jęcząc. Bestia stała nade mną, ale nie patrzyła ani na pajęczaka, ani na mnie. Z błogim uśmiechem wlepiała oczy w bioprocesor.

Zmusiłem się do skupienia wzroku. Brama, przygasająca stopniowo w ostatnich dniach, rozblęsnęła jasnym światłem. Anomalia ciągle tkwiła, zakotwiczona w czasoprzestrzeni, jakieś pięćdziesiąt kroków od konstrukcji. Teraz znów się aktywowała, emitując skoncentrowaną wiązkę danych. Energia informacji trafiała w sam środek bioprocesora. Potrząsnąłem głową i dopiero wtedy do mnie dotarło, że jęki i zawodzenie ofiar tworzących urządzenie w jednej chwili ucichły.

Przez sieć, jaką tworzyły ich układy nerwowe, płynęły strumienie danych w postaci bodźców elektrycznych o ogromnej częstotliwości. Mózgi dawców połączyły się w jeden organ, który lawinowo zaczęła wypełniać skoncentrowana informacja. Każdy neuron przekazywał impulsy, synapsy posłużyły za magistrale do przesyłania danych. To Wielojaźń wkraczała w tę rzeczywistość i wypełniała sobą wpierw umysły bioprocesora, wypierając z nich wszelką wiedzę.

Użyliśmy mózgów istot inteligentnych, czyli biologicznie bardzo rozbudowanych i zapewniających ogromne możliwości gromadzenia i przetwarzania danych. Tylko dzięki wykorzystaniu tej własności można utworzyć osobliwość informatyczną, czyli lokalnie nieskończone zagęszczenie informacji. Otworzy to infopole wygenerowane na drodze naturalnej ewolucji przez umysły inteligentnych istot zasiedlających tę planetę i umożliwi wtargnięcie Wielojaźni do tego świata. To bardzo praktyczny sposób przemieszczania się nawet między galaktykami, znacznie korzystniejszy ekonomicznie niż otwieranie wormholi i ekspediowanie przez nie floty. Mamy tu do czynienia z inwazją informatyczną

realizowaną przez przetrzucanie danych w niematerialnym wymiarze zwanym infopolem. Jest ono wytwarzane samoistnie przez byty dysponujące świadomością i budujące własne cywilizacje. Wielojażń wykorzystuje je jako swoją przestrzeń życiową i rozprzestrzenia się w nich niczym rak, trawiąc i niszcząc wszystko.

Zastanawiając się nad tym, co widzę, odzyskałem jasność umysłu. Zacząłem powoli, by nie wzbudzić zainteresowania Jasminy, odczołgiwać się, byle dalej. Niestety mięśnie miałem jeszcze porażone i nie panowałem nad ciałem. Zamiast więc dyskretnie się skradać, miotałem się jak ryba wyrzucona na brzeg. Jasmina podeszła do mnie i stopą przycisnęła moją głowę do ziemi, unieruchamiając mnie.

Zatem jednak nie była moim przyjacielem, nie wypowiedziała posłuszeństwa Wielojażni. Po prostu przejęła dowodzenie, a pajęczaka odepchnęła, by przedwcześnie ze mną nie skończył i nie pozbawił jej przyjemności wymierzenia mi kary. Zaległem więc bez ruchu z twarzą częściowo wbitą w krwawą breję. Tymczasem bioprocessor coraz bardziej się rozgrzewał. Ciała, które go tworzyły, drgały w upiornie jednostajnym rytmie skurczów. Musiały też bardzo się rozgrzać, bo nad kulą unosiły się smugi pary. Oczy jednej z ofiar nagle eksplodowały, inna bryznęła z nosa wrzącym strumieniem krwi. Po kolejnych paru chwilach ich skóra zaczęła przeświecać, wnętrzości promieniowały krwawym blaskiem.

Wiedziałem, że zagęszczenie informacji jest krytyczne, że wypełniła już ona mózgi i włókna nerwowe ofiar do granic możliwości. Kula zmieniła się w jarzącą się krwawo gwiazdę; z daleka z pewnością musiała wyglądać jak wschodzące wśród ruin słońce. Świeciła coraz mocniej i mocniej, zamieniając noc w krwawy dzień.

Tureccy artylerzyści wreszcie widzieli, gdzie mają strzelać. Zwrócili działa w kierunku źródła światła i zaczęli bić raz po raz. Już po chwili żeliwna kula pacnęła w krwawe błoto ledwie kilka kroków ode mnie i z młaśnięciem w nim utkwiała. Jasmina nawet nie drgnęła ciągle wpatrzona w bioprocessor, który właśnie wytworzył punktowo, w samym swoim środku, osobliwość informatyczną. Poczulem ją w głowie. To było coś takiego, jakby w ciemności ktoś nagle zapalił światło. W jednej chwili nie było nic, a potem czułem już obecność potężnej świadomości.

Wielojażń wtargnęła do tego świata i zaczęła wypełniać jego infopole, oddziałując także na rzeczywistość. Objawiła się jako boska istota, nadświadomość mająca moc kreacyjną. Natychmiast też przystąpiła do dalszej części inwazji. Musiała rozbudować zajęty przyczółek i stworzyć sieć rozrzuconych po całej planecie bioprocessorów, które połączone utworzą jeden organizm.

Odetchnąłem z ulgą. Jej pojawienie się nie naruszyło żadnego z fundamentalnych praw tego świata, nie uszkodziło jego fizyczności. Objawienie się boskiej istoty nie wybiło planety z orbity, nie zmieniło biegunów magnetycznych, nie odrzuciło atmosfery ani nie rozerwało jej przez oddziaływanie

grawitacyjne. Prócz czerwonej iluminacji, która luną zabarwiła niebo nad miastem, nie działo się nic niepokojącego. Brama ostatecznie zgasła i się zamknęła, bo nie była już potrzebna. Etap używania ezoteryki został zakończony, teraz przechodziliśmy do technologii i kreacjonizmu.

Nagle jedna z pięćdziesięciofuntowych kul zdolnych samodzielnie zatapiać okręty trafiła w bioprocesor, aż zadudniło. Kilkanaście ciał zostało dosłownie rozsmarowanych na miazgę, drugie tyle pokaleczonych i porozrywanych. Z przerwanych połączeń sypnęły strugi iskier. Jasmina ryknęła gniewnie i wyszczerzyła zęby w stronę, skąd padały strzały. Wreszcie zapomniała o mnie i kilkoma susami dopadła do bioprocesora. W tej chwili część urządzenia była już połączona z osobliwością i tylko na poły materialna. Kobieta wniknęła w cyberprzestrzeń.

Wiedziałem, że teraz Wielojażn nagrodzi ją, przydzieli nowe zadania i wyznaczy kolejne cele. Z pewnością także zmodyfikuje ciało oficera, być może w nagrodę odtworzy pierwotne. Tak czasem postępowano, to zresztą zależało od fizyczności danego świata, a ten zdecydowanie nadawał się do tego, by żyły na nim wściekłe, drapieżne gady.

Miałem parę minut, by się ratować. Lada chwila przybędą tu żołnierze oczekujący na odzyskanie swoich ciał. Pajęczaki już nieśmiało zbliżały się do bioprocesora, licząc na łaskę. Za moment kulę opuści nowa, odmieniona Jasmina. Wolałbym wtedy być jak najdalej stąd lub przynajmniej nie żyć.

Leżałem niby bez ruchu, ale cały czas poruszałem nieznacznie kończynami, ćwicząc mięśnie. W pewnym stopniu wróciło mi czucie i panowanie nad ciałem. Wymacałem rękojeść jatagana i powoli wyciągnąłem go z pochwy. Wydawało mi się, że nikt nie zwraca na mnie uwagi, wokół przecież walały się setki, a może i tysiące trupów w różnym stopniu okaleczenia i rozkładu.

Kolejna kula uderzyła w bioprocesor, krzesząc krwawe iskry i miażdżąc kilkanaście ciał dawców. Pajęczaki zaskrzeczały z oburzenia, a ja wykorzystałem tę chwilę, by poderwać się i rzucić do biegu. Udało mi się pokonać kilkanaście kroków, gdy kątem oka zobaczyłem sukinsyna z biczem. Brał zamach, by ciąć mnie po nogach. Tym razem jednak byłem gotowy. Kiedy rozległ się świst, skoczyłem szczupakiem, przepuściłem bicz pod sobą i wylądowałem na rękach. Nie upuściłem jatagana. Przetoczyłem się i poderwałem na nogi. Jeden taneczny zwód, nieco koślawy przez pewną niewładność, i ostrze odrąbało rękę z biczem w nadgarstku. Pajęczak syknął. Zrobiłem już nieco bardziej poprawny piruet i wykonałem kolejne trzy cięcia, szybkie niczym uderzenia błyskawicy. Pajęczak runął na plecy z rozplatanym gardłem i trzewiami wylewającymi się z brzucha. Strzepnąłem krew z ostrza i nie chowając go, rzuciłem się do ucieczki.

Nikt mnie nie gonił. Mijani inwazerzy spieszyli do źródła mocy po swoją nagrodę – łaskę przebudzonego boga.

\* \* \*

Jakub Kęsicki odwrócił się w siodle, by po raz ostatni spojrzeć na wielką Bramę Imperialną oddzielającą sułtański pałac od miasta. Młody husarz z trudem panował nad twarzą, musiał cały czas się pilnować, by nie wykrzywił jej bojaźliwy grymas. Był wszak polskim rycerzem i strachu okazywać mu nie uchodziło. Wolałby zostać za solidnymi murami strzeżonymi przez doborowe oddziały gwardii wsparte armatami ściągniętymi z portowych fortec, zamiast błąkać się po ogarniętym szaleństwem mieście, cóż jednak było robić? Pretensji nie mógł mieć do nikogo, bo sam zabiegał o możliwość wzięcia udziału w misji. Kiedy dowiedział się od Semena, że szykuje się przejażdżka po mieście, usilnie go prosił o przydział do drużyny. Nie mógł darować takiej okazji – to była jedyna szansa, by w ogarniętym chaosem Stambule odszukać zaginioną Jitkę.

W nocy nikt oka nie zmrużył, bo od zmierzchu do świtu nieustannie grały działa, bombardując szançe opętanych. Od wschodu słońca nad miastem słychać było niemilknące odgłosy toczonej bitwy, suche trzaski muszkietowych wystrzałów i echa chóralnych okrzyków „Ałła! Ałła!”, gdy piechota ruszała do boju. Nikt nie wiedział, na którą stronę przechyla się szala, choć gońcy nieustannie krążyli między pałacem a oddziałami. Kara Mustafa dowodził rozparty wygodnie na poduszkach rozłożonych przy fontannie w sułtańskim ogrodzie. Sojuszników nie informował jednak o postępach w zwalczaniu nadnaturalnego buntu. Semen twierdził, że tureccy dostojnicy sprawiają wrażenie zmieszanych całą sytuacją i starają się ją bagatelizować. Ciągłe nie mogą się pogodzić z faktem, że jakaś nieznana siła obróciła w perzynę fragment miasta i wymordowała mnóstwo mieszczan. To było coś niewyobrażalnego i ze wszech miar oburzającego. Takie rzeczy przecież nie miały prawa się dziać! W dodatku niemożność pokonania przeciwnika świadczyła o nieudolności i bierności władz. Nic dziwnego, że wielki wezyr udawał, że to tylko coś w rodzaju lokalnego buntu biedoty i sytuacja lada chwila zostanie opanowana.

Wokół pałacu było tłoczniej niż zwykle, bo ze wszystkich stron ciągnęli uchodźcy chcący schronić się w otoczeniu padyszacha. Zapychali przejścia, kłębili się na placykach przed minaretami i wokół studni. Liczne patrole janczarów nie były w stanie uregulować przepływu ludzi, choć starały się skierować uchodźców do innych części Stambułu. Przecież wszyscy i tak nie mogli się zmieścić na terenie pałacu, a nikt nie zamierzał wpuścić na jego teren byle motłochu! Wielki wezyr kazał ogłosić, że ludzie mają wracać do domów, a ci bardziej strachliwi udać się do portu. Imperialna flota kursowała na jego rozkaz na drugą stronę zatoki i wywoziła uchodźców do Galaty. Nie wspomniano, że na miejscu marynarze

segregowali uciekinierów i wywozili jedynie niedołęźnych i zbyt młodych. Każdy zdolny do noszenia broni natychmiast wcielany był do oddziałów pospolitego ruszenia.

Jeszcze nie wydało się, że monarcha wyjechał z miasta, choć tłum powtarzał najróżniejsze pogłoski, w większości nieprawdziwe. Dochodziło do licznych bójek i przepychanek, a nawet napaści, bo uciekinierzy zabrali z domu tylko najcenniejsze rzeczy. Na jednym z targowych rynków wyznaczony przez wezyra *kadi* sądził ujętych awanturników, a towarzyszący mu janczarzy natychmiast wykonywali wyroki. Jakub ze zgrozą ujrzał piętrzący się pod drzewem stos odciętych głów i stojących obok dwóch umięśnionych, rozebranych do pasa katów. Czekali na następnego nieszczęśnika kulącego się jeszcze u stóp łajającego go sędziego.

Młody husarz tak się zapatrzył na widowisko, że na chwilę został w tyle. Dopiero gdy kuzyn syknął na niego ponaglająco, spał konia i dołączył do oddziału. Wyprawa złożona była z tuzina pancernych, których prowadził Michał Piotrowski z jadącym u jego boku sułtańskim gwardzistą dzierżącym wezyrski buńczuk – włócznię zakończoną kulą i zaopatrzoną w pięć przymocowanych do poziomej żerdzi końskich ogonów. Miało to dać wszystkim spotkanym po drodze żołnierzom do zrozumienia, że Polacy jadą przez miasto z rozkazu lub za zgodą Kara Mustafy. Za pancernymi, a właściwie w ich otoczeniu, jechał ksiądz Lisiecki. Następnie były trzy puste wozy, a pochód zamykał tuzin uzbrojonych po zęby husarzy – czterech towarzyszy i ośmiu pocztowych.

Gwardzista wrzeszczał i potrząsał buńczukiem, na którego widok pośpiesznie schodzono jadącym z drogi. Tylko dzięki temu poruszali się tak szybko wąskimi, zapchanymi uliczkami. Po kilkunastu minutach kluczenia ruch zmałał, a potem niemal całkiem się wyludniło. Na jednym z placów, gdzie łączyło się kilka ulic, napotkali jeszcze starego nosiwodę i kilku przemykających z tobołami szabrowników, którym ten pierwszy, zdaje się, przewodził. Oddział nieco zbliżył się do okolicy objętej działaniami wojennymi. Odgłosy walki były tu wyraźniejsze i głośniejsze. W niebo biły kolumny dymu z pożarów, od czasu do czasu grzmiały działa. Jakub zauważył, że artyleria osłabła lub może po prostu wstrzymała ogień, by nie razić swoich piechurów, którzy zwarli się z opętanymi.

Zbrojni z lewej strony mieli wybrzeże. Od wyjścia z pałacu nieustannie przesuwali się wzdłuż niego, morze zaś od czasu do czasu pojawiała się między domami i na końcu ulic. To było trochę niepokojące, bo gdyby opętani przerwali okrążenie i uderzyli na polski oddział, ten mógłby zostać zepchnięty na brzeg, skąd nie było ucieczki. Widok ciągnącej się po horyzont wodnej dali nie budził entuzjazmu. Na szczęście po kolejnych kilku minutach ujrzeni górującą nad okolicą *Yedikule* – Twierdzę Siedmiu Wież. Okazało się, że podróż do niej z pałacu nie zajmuje nawet dwóch kwadransów. Dobrze, że wezyr przydzielił im gwardzistę za



przewodnika. W mieście, w którym poseł Gniński naliczył trzysta tysięcy ulic, mogliby się błąkać całymi dniami, nim trafiliby do celu.

Ksiądz Lisiecki również odetchnął z ulgą. Wyraźnie też poprawił mu się humor, bo zagaił do pana Michała, którego wszak miał za szaraczkowego, niewartego splunięcia szlachciurę. Pancerny wzruszył jednak tylko ramionami i odburknął coś niegrzecznie. Nie przepadał za klechą i nie było czemu się dziwić. Odwrócił się za to do Semena i machnął mu znacząco. Dowódca husarzy skinął głową i skierował konia w prawo, w kierunku miasta. Jakub przełknął ślinę i ruszył za rycerzem. Skrzydlaci jeźdźcy nie mieli skryć się w murach twierdzy, tylko przejechać ulicami w okolice walk.

– A dokąd to, panowie? – Lisiecki odwrócił się i zauważył, że połowa jego eskorty odłącza się i odjeżdża.

Pan Michał chwycił jego konia za uzdę i bez ceregieli pociągnął za sobą.

– Nie księdza interes – mruknął.

– Jak to nie mój? Kanclerz przydzielił mi husarię jako obstawę, jest mi potrzebna, by zapewnić bezpieczeństwo. Ja protestuję! To samowola! – oburzył się duchowny.

– Stul łaskawie gębę, klecho! – wycedził zirytowany pancerny, nie chcąc, by gwardzista zwrócił uwagę na oddalających się Polaków. – Wykonują rozkazy, nie trza im wadzić. Pilnuj swego nosa i swoich powinności.

Ksiądz zagotował się z gniewu i już nabrał powietrza, by zaoponować, ale gdzieś niedaleko rozległ się trzask jakby walącego z jasnego nieba pioruna, a po chwili powietrzem wstrząsnął ryk gromu. Lisiecki skulił się w siodle i pogonił konia, by jak najszybciej znaleźć się za grubymi murami twierdzy. Pancerni już go nie obchodzili. Pan Michał odprowadził ich wzrokiem aż do wylotu ulicy i ruszył za księdzem.

Rozkazy od kanclerza dostali wczesnym rankiem, kiedy bitwa o miasto trwała w najlepsze. Gniński wezwał rotmistrza pancernych do swego namiotu. Gdy pan Michał tam wszedł, zastał rozmawiającego z dyplomatą Semena Błońskiego. Husarz wręcz uradował się na jego widok. Po ostatniej potyczce pancerny uważany był za wyjątkowo sprawnego wojaka, a w dodatku szczęściarza. Wyszedł bez szwanku z sytuacji gardłowej i jeszcze uratował z kabały młodego kasztelańca Tadeusza. Drugi raz w ciągu kilku dni popisał się umiejętnościami i hartem ducha, teraz już nikt nie odważyłby się więc z niego kpić.

– Dobrze, że waść jesteś – zdawkowo przywitał go Gniński. – Przejdźmy od razu do rzeczy, bo szkoda czasu. Oto plan Stambułu narysowany z pamięci przez Spendowskiego, mego tłumacza, który trochę zna miasto.

Na stole zajmującym sporą część namiotu rozłożono kartkę z orientacyjnym szkicem, na którym tłumacz narysował kształt półwyspu z przecinającą go zatoką. Zaznaczył na niej kilka kluczowych obiektów, ale ani jednej ulicy czy bramy. Pan

Michał zdziwił się, że poseł nie posiada żadnego planu Stambułu. Zaskakująco dobrze się wyekwipował na wyprawę do stolicy wroga, a zapomniał o tak ważnej i przydatnej rzeczy?

– Pewnie tak jak ksiądz Lisiecki zdziwiliście się, że zaoferowałem wezyrowi wsparcie naszych chorągwi, nie żądając nic w zamian, co? – odezwał się Gniński. – To były pozory, by nie wyjść przy tureckich dostojnikach na żebrzącego łachmytę, ale nie zapomniałem o tym, po co mnie tu przysłał jego wysokość. W kularach rozmowy nadal trwały. Niestety nie udało się znieść haraczu, ale uzyskałem przynajmniej zwolnienie jeńców. I to bez wydawania na to fortuny. O świcie Kara Mustafa przysłał gońca z pismem. Pan Spendowski odcyfrował te pogańskie zawijasy: to akt ułaskawienia wszystkich polskich więźniów trzymanyh w Twierdzy Siedmiu Wież.

Wręczył tubę panu Michałowi, który nie bardzo wiedział, co z nią zrobić. On po turecku czytać też nie potrafił, oglądanie pisma zatem miało się z celem.

– Weźmiecie to, mości panowie, i przywieziecie tu nieszczęśników, którzy wpadli bisurmanom w łapy i siedzą w lochu. Do twierdzy poprowadzi was gwardzista przydzielony przez wezyra – wyjaśnił poseł. – Tym zajmie się jeden z was. Który? Pozostawiam to wam. Drugi będzie miał inne zadanie. Pod pozorem towarzyszenia w eskorcie opuści pałac i w stosownym momencie oddali się ze swoimi ludźmi.

Obaj rycerze spojrzeli na siebie, ale nie przerywali Gnińskiemu. Nie zadawali mu również zbędnych pytań, cierpliwie czekając na wyjaśnienia.

– Kara Mustafa nie gości nas tu wyłącznie z przyjaźni i dobrej woli. Chce mieć nas na oku i w ostateczności użyć do obrony miasta. Jestem przekonany, że choćby ofensywa skończyła się dla Turków klęską, nie wycofa oddziałów ani nie opuści Stambułu. Będzie walczył do końca, bo ocalenie stolicy to dla niego być albo nie być. Jeśli miasto padnie, wezyr będzie skończony. Co za tym idzie, z pewnością dopilnuje, by wszyscy walczyli do upadłego, żeby pokonać wroga. Obawiam się, że zamknął bramy i odesłał statki na drugą stronę zatoki, by nie dopuścić do ucieczki mieszkańców. Dziś każdy mieszczanin, niezależnie od uzdolnień, stanie się częścią pospolitego ruszenia i będzie musiał się bić, chce tego czy nie. A ja nie zamierzam poświęcić życia zarówno swojego, jak i moich podwładnych w walce o karierę i powodzenie wielkiego wezyra. Kiedy sytuacja będzie wskazywać na zbliżającą się klęskę, opuścimy pałac i to nieszczęsne miasto.

– A zamknięte bramy? – nie wytrzymał Semen. – Mamy je zdobyć?

– Jeśli będzie trzeba, owszem – przytaknął Gniński. – Jeden z was zatem uwolni jeńców, a drugi, korzystając z okazji, wyruszy na podjazd. Sprawdzi możliwości opuszczenia miasta i rozezna się w postęпах walk. Kiedy uzna, że trzeba szybko się zabierać, i odkryje drogę ucieczki, natychmiast wróci. Jeśli będzie trzeba, wywalczymy sobie wyjście z tego piekła.

Obaj rycerze pokiwali głową, przyjmując rozkazy do wiadomości. A potem Semen poprosił Gnińskiego, by to jemu zlecił trudniejszą część misji.

– Mości Piotrowski wykazał się już odwagą i bitnością, ja nie miałem okazji zajrzeć do paszczy lwa – mówił. – Kanclerzu, pozwól mi dowodzić podjazdem.

Pan Michał nie zgłaszał pretensji, właściwie bowiem nigdy się nie palił do wykazywania w boju szaleńczą odwagą, a jeśli już mu się to zdarzało, to wyłącznie przez przypadek. Nawet jako młodzieniec starał się unikać wariackich wybryków i wszelkich awantur.

Kiedy husarze znikli w oddali, miał jednak wyrzuty sumienia. Wyruszyli na podjazd bez przewodnika, nie znając miasta i języka. Co prawda po Stambule rozeszła się już wieść, że Polacy uratowali przed rozgromieniem oddziały janczarów, a nawet wybili całą hordę opętanych. Wielu uchodźców pozdrawiało ich i machało przyjaźnie, więc na atak tłumu dwunastu husarzy nie będzie narażonych. Nie zaatakują ich także sultańscy żołnierze, ale nie znając miasta, mogą tak czy inaczej wpakować się w kłopoty. Zamiast wyznaczyć drogę ucieczki dla całego poselstwa, po prostu zgubią się w płątaninie uliczek.

Przejeżdżając przez bramę twierdzy, pan Michał zastanawiał się, dlaczego ma wrażenie, że jemu poszłoby lepiej. To on powinien wyruszyć na podjazd, bo i tak ujdzie cało. Wczoraj zaczął wierzyć, że dopisuje mu niebywałe szczęście. Jego anioł stróż musiał władać potężną mocą. Może był archaniołem, skoro tyle razy wyciągnął podopiecznego ze śmiertelnych oparów?

\* \* \*

Dorota miała wrażenie, że głowa zaraz pęknie jej z bólu. Szła, zataczając się i potykając, miejscami zaś podpierając się o ściany domów. Nie mogła zebrać myśli, potwornie chciało jej się pić, a gdy zamknęła oczy, od razu widziała koszarne obrazy – pająkowate bestie i tysiące trupów. W dodatku osobnik, który niósł Jitkę, poganiał ją, i to używając dość niepochlebnych określeń. Przeszli tak przez dymiące gruzowisko, cmentarzysko domów, w którym co chwila z tumanów pyłu wynurzał się szkielet budynku, ocalała ściana z oknem, sterczący samotnie komin lub drzwi trzymające się kamiennej futryny.

Warczący przekleństwa, ale przy tym niezwykle przystojny mężczyzna kazał nazywać się Talazem i twierdził, że jest bliskim przyjacielem Papatyi. To ponoć derwiszka ubłagała go o pomoc w ratowaniu swoich przyjaciółek. Dorota jak przez mgłę pamiętała, że wywlekl je z szopy, ciągnąc jedną i drugą za ręce. Potem obie naraz zarzucił sobie na plecy i tak obładowany, przebiegł kilkaset kroków, aż znalazł kryjówkę w częściowo zawalonym domu. Musiał być niezwykle wprost silny i wytrzymały, choć na to nie wyglądał.

Spędziły dwie lub trzy godziny, śpiąc jak zabite, a co robił wtedy Talaz, trudno powiedzieć, pewnie obserwował okolicę. Kiedy próbował je obudzić, tylko Dorota okazała się na tyle przytomna, by ustać na nogach. Jitka spała głębokim opiumowym snem i siłacz po prostu wziął ją pod pachę. Potem była bieganina od gruzowiska do gruzowiska, rynsztokami i w tumanach dymu między płonącymi domami. Omijali zwarte w straszliwym boju oddziały, brodzili pośród trupów i konających, ciągle jakimś cudem unikając wpakowania się na opętanych. W końcu przedostali się w rejon miasta niespustoszony jeszcze bojem. Dorota nie była jednak w stanie rozpoznać ulic ani budynków, zbyt mocno bolała ją głowa.

Wreszcie stanęli przy studni, a Talaz zaczerpnął wiaderko wody, by natychmiast wylać ją sobie na głowę. Przetarł brudną, pokrytą zaschniętą krwią i błotem twarz i okazało się, że nie tylko jest przystojny, ale też niezwykle urodziwy. Podarte i uwalane nieczystościami ubranie nieco kalalo jego chłopięcą urodę, ale mimo to wyglądał naprawdę nietuzinkowo. A z nieprzytomną Jitką na rękach, delikatną pięknnością, sprawiali wręcz wrażenie postaci z kościelnego obrazu.

Dorota łapczywie napiła się wody z ponownie napełnionego wiadra, a potem ochlapała twarz niewolnicy. Jitka jęknęła i w końcu zaczęła się budzić. Wykrzywiła się przy tym z niesmakiem i sycząc z bólu, złapała za głowę. Dorota wiedziała, że przez jakiś czas dziewczyna będzie niezdalna do myślenia i samodzielnego działania. Za to sama zaczęła powoli odzyskiwać jasność myśli, i to mimo paskudnego samopoczucia.

– Co się stało z Papatyą? Gdzie ją spotkałeś? – spytała przystojniaka.

– Znalazłem ją przyłączoną do maszyny zbudowanej przez obcych – powiedział po chwili wahania. – Przykro mi, ale derwiszka nie żyje. Udało mi się sprawić, by nie cierpiała.

Dorota nie poczuła nic, ani żalu, ani smutku. Chyba opium ciągle jeszcze działało, nie dopuszczając złych emocji. Zmrużyła oczy, przyglądając się mężczyźnie. Znała go skądś, gdzieś widziała, ale nie mogła sobie przypomnieć gdzie. Z pewnością nie wśród derwiszów, zupełnie bowiem nie pasował na mnicha. Nie był też jej pacjentem, nawet raz, gdyż wszystkich pamiętała. Może widziała go wśród handlarzy niewolników?

Po krótkim odpoczynku kazał im wstać i ruszyć w dalszą drogę. Dorota na tyle odzyskała siły, że mogła podtrzymywać Jitkę. Była zakonnica jęczała z bólu, ale rozejrzała się w miarę przytomnie i spytała, jakim cudem uciekły pajęczakom. Al-hakima szeptem wypytała ją, czy nie zna skądś Talaza, czy kojarzy go jako towarzysza któregoś z pacjentów lub może widziała w sierocińcu Papatyi. Jitka jednak tylko pokręciła głową, mówiąc, że widzi go pierwszy raz w życiu.

– Dokąd idziemy? – spytała Dorota po przejściu kolejnej uliczki.

– Do Balatu, to kilka kroków stąd – odparł. – Mam tam kilku znajomych,

w tym bogatego handlarza końmi, który winien jest mi przysługę. Zabiorę mu trzy ręce wierzchowce i prowiant. Pozwoli to nam szybko opuścić miasto. Do wieczora powinniśmy dotrzeć do Arnavutköy, gdzie będziemy bezpieczni przynajmniej przez kilka dni. Tyle mogę dla was zrobić przez wzgląd na Papatyę, potem będziecie musiały radzić sobie same.

– Opuszczenie Stambułu to chyba dobry pomysł – powiedziała Dorota. – Po tym, co widziałam, wolałabym być jak najdalej od tej potworności. Ale z drugiej strony chyba powinnam wpieryw wypełnić zobowiązania wobec władz. Muszę zameldować, co widziałam, pewnemu oficerowi janczarów.

– Szkoda fatygi, to i tak nic nie da – odrzekł ponuro Talaz. – Jeśli chcesz pożyć jeszcze rok lub dwa, lepiej po prostu wyjedź jak najdalej, al-hakimo. Z twoimi zdolnościami i sprytem poradzisz sobie nawet na końcu świata. Uwierz mi, janczarzy nie powstrzymają zagłady, twoje meldunki na nic im się nie zdadzą. Za kilka miesięcy wszystko, co znacie, nie będzie istniało, większość ludzi stanie się niewolnikami lub posłuży za budulec do konstruowania kolejnych żywych maszyn. Upadną imperia, a Ziemię zasiedlą bestie na czele z niematerialnym potworem z połączonych umysłów miliardów istot. Wasza cywilizacja posłuży za fundament, a ciała za materiał do budowy kolejnej twierdzy, jednej z tysięcy rozsianych po wszechświecie.

– Coś ci się stało w głowę? – burknęła Dorota. – A może jesteś prorokiem?

– Niestety nie jestem mędrce ani nawiedzonym jasnowidzem – westchnął Talaz i pomasaował skronie.

Dorota puściła Jitkę, a dziewczyna natychmiast osunęła się po ścianie na ziemię. Al-hakima tymczasem oburącz złapała za rękojeść jatagana zatkniętego za pas mężczyzny, zaparła się nogą o jego biodro i wyrwała mu broń. Talaz był tak zaskoczony, że nawet nie drgnął. Wbił zmęczone i znużone spojrzenie w kobietę, która dorównywała mu wzrostem. Dorota uniosła klingę, gotowa zadać śmiertelne cięcie. Nie przeszkadzało jej, że ma do czynienia z siłaczem. Była medykiem i wiedziała, gdzie w ludzkim ciele znajdują się łatwo dostępne żyły i tętnice, których przecięcie powali każdego olbrzyma. Mierzyła w szyję, gotowa poszatковать swego wybawcę, gdyby tylko drgnął.

– Skąd znasz Papatyę?

– Znam wielu janczarów, jestem sułtańskim *lalq* – odparł.

– Skąd się wziąłeś w sercu wrogiego obozu i jak nas w nim znalazłeś? W dodatku wyprowadziłeś, unikając opętanych, od których wkoło aż się roilo. Jak ci się to udało? – pytała Dorota.

– Mówię przecież, że jestem *lalq*, gwardzystą padyszacha i jednym z jego najlepszych szpiegów. Umiem podkradać się cicho niczym cień – rzekł niezmiyszany. – Uczono mnie od dziecka, jak znaleźć się w każdej sytuacji i wyczuwać wroga, zanim się pojawi.

– Nie czaruj mnie! – warknęła Dorota. – Przechylasz głowę i nasłuchujesz. Myślisz, że nie widzę? To samo robiła Papatya, tylko ty robisz to dyskretniej. Mówiła, że słyszy ich rozmowy, rozumie myśli obcych. Moc najeźdźców poraziła ją i omal nie zmieniła w opętanego, to dlatego derwiszka potrafiła podglądać na jawie ich wizje i jeszcze je rozumieć. Myślę, że masz tę samą umiejętność. To dlatego tak sprawnie wyprowadziłeś nas z kotła, omijając wszystkie bestie i miejsca starć.

– Myślisz, że jest ich szpiegiem? *Lala*, który zdradził sultana i służy obcym? – jęknęła Jitka, prostując się i poprawiając włosy. – To po co wyprowadzałyby nas z piekła, zamiast rzucić na pożarcie pajęczakom?

– Właśnie próbuję się dowiedzieć – mruknęła Dorota. – Czemu nas ocaliłeś? I kim naprawdę jesteś? Gadaj!

Uniosła wyżej jatagan, napinając mięśnie. Talaz, który przed chwilą wyglądał na zrezygnowanego, nagle uśmiechnął się ze smutkiem.

– Kim jestem? Jednym z nich – powiedział. – Przywódcą najeźdźców, który połączył się w jedną istotę z Talazem Tayyarem. Papatya uratowała mnie w chwili zdrady, a ja w podzięcie wchłonąłem jej duszę. Wasza przyjaciółka przetrwa we mnie, przynajmniej póki będę żył. To ona skłoniła mnie do tego, bym was uratował i zapewnił bezpieczeństwo. I nadal szepcze mi do ucha, bym nie robił ci krzywdy, a powiedział całą prawdę.

Dorota zamrugała zaskoczona, ale szybko nad sobą zapanowała. Cofnęła się o krok, przyglądając obcemu.

– A więc opętałeś Talaza i pożarłeś duszę mojej przyjaciółki. A teraz wiesz nas diabli wiedzą dokąd i gadasz o nadchodzącej apokalipsie – podsumowała.

– Jesteś opętany? – Jitka potrząsnęła głową, próbując pozbyć się bólu i szumów. – Dlaczego chcecie nas zgładzić?

– Byłem opętany, panno Janackova. – Z gracją uklonił się niewolnicy. – Nazywano mnie demiurgiem i miałem zapewnić odpowiednie warunki na przybycie Wielojaźni. Tak w skrócie nazywamy demona o miliardach dusz, który pożre Ziemię. Dowodziłem zastępami jego potępieńców, którzy zagarnęli ciała mieszkańców Stambułu. Zostałem jednak zdradzony i skazany na śmierć. Papatya mnie ocaliła, a ja się jej odwdzięczam. Chciałyście znać prawdę, więc proszę bardzo. A teraz przejdźmy do rzeczy. Niedługo ruszy za mną w pościg prawdziwa bestia, nie byle opętaniec, tylko wyjątkowo złośliwy i inteligentny gad. Moja niedawna podwładna Jasmina. Jeśli zdołam jej umknąć, prędzej czy później Wielojaźń wyśle za mną oddział pościgowy, który w końcu mnie dopadnie i okrutnie unicestwi, a potem wyssie mi duszę i wrzuci ją do cyfrowego piekła. Chciałbym odwlec ten moment i nacieszyć się cielesnością. Oddychać, jeść, śmiać się i czuć podmuchy wiatru na twarzy. Choć przez kilka dni. Niczego więcej nie

pragnę, nikomu też nie będę szkodził. Potem, cierpiąc w wirtualnej otchłani niebyt i samotność, rozpamiętywał będę te piękne chwile. Nie każcie więc tracić mi ich na niepotrzebną gadaninę, w dodatku tak blisko moich prześladowców. Zdobądźmy konie i czym prędzej wyjedźmy z miasta. Każda zmitrężona chwila skraca nasz czas i zmniejsza moje szanse na wymknięcie się pościgowi.

Dorota opuściła broń, ale ciągle się wahała.

– Mówisz, że są w tobie Talaz i Papatya, że mówią ci, co masz robić?

– Mniej więcej, choć to uproszczenie. Talaz jest integralną częścią mnie, dzielimy tę samą świadomość, choć pod moją dominacją. Papatya została tylko przeze mnie przeczytana i zapamiętana. Nie ma wpływu na moje decyzje, przynajmniej nie bezpośrednio...

– Dobra, dobra! I tak niewiele z tego rozumiem – burknęła Dorota. – W każdym razie skoro siedzi w tobie wierny sługa sułtana, dlaczego choć nie spróbuje ratować miasta? Czemu nie pójdzie do dowódców tureckiej armii, by zdradzić im tajemnice wroga? Może uda się powstrzymać zagładę? *Lala* powinien chociaż spróbować ocalić miasto, nawet jeśli miałby przy tym zginąć!

– Koniecznie chcesz pomóc Turkom? Jaki masz w tym interes, al-hakimo? Znam cię dobrze, a przynajmniej Papatya cię znała. Nigdy nie działasz z porywu serca i bezinteresownie. I nagle, zamiast uciekać, chcesz bronić imperium? – zdziwił się Talaz. – Wiesz, że wielki wezyr jest bardzo dociekliwy. Byłaś tam, tuż przy maszynie z ludzkich ciał. Widziałas serce wrogiej twierdzy. Kara Mustafa będzie przesłuchiwał również ciebie, i to nie przebierając w środkach, by upewnić się, czy nie kłamiesz i czegoś nie przemilczasz. Oddasz się dobrowolnie na męki, mimo że tortury snią ci się po nocach, odkąd uciekłaś świętej inkwizycji? Zrobisz to dla dobra przybranej ojczyzny? Jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

Dorota pokiwała głową, przyznając mu rację. Nie pomyślała, że może paść ofiarą dociekliwości i asekuranctwa wezyra. Nie znała Kara Mustafy tak dobrze jak Talaz, założyła, że jest podobny do Şeytana Ibrahima Paszy, jej wielkiego przyjaciela. Stary dowódca, choć surowy i bezwzględny, był też sprawiedliwy i dla ludzi pomocnych niezwykle łaskawy. Wszak wszystko, co osiągnęła, zawdzięczała właśnie tej wielkopańskiej łaskowości Şeytana. Przed laty, gdy przyjechała do Mołdawii jako cyrulik i kochanka mołdawskiego kupca, osmański wielmoża przypadkiem znalazł się na jej drodze. Jego syn uległ ciężkiemu poparzeniu wrzącą oliwą i konał w męczarniach. Żaden z medyków nie był w stanie ocalić mu życia ani nawet specjalnie złagodzić cierpień. Kiedy ją wezwano, nie załamywała rąk, nie kazała zakopywać chłopaka w gnojówce, przystawiać mu pijawek czy zdzierać czerwonej skóry. W tę, która już zgniła, włożyła larwy much, pojąc chłopca makowym mlekiem, a potem, gdy zepsuta tkanka została usunięta przez owady, zastosowała ziołowe okłady i kojące maści na bazie niedźwiedziego łożu. Młodzieniec został wyleczony, przed Dorotą zaś otworzyła się droga do lekarskiej

kariery i bogactwa. W dzień, w którym syn paszy wstał z łóżka, awanturница z Polski otrzymała tytuł al-hakimy, ponadto od tamtej pory w rocznicę owego wydarzenia Şeytan przesyłał jej kosztowny podarek. Dorota z kolei traktowała chłopca jak kogoś w rodzaju chrzestnego syna i przy różnych okazjach przekazywała mu prezenty. Ostatnio, na jego trzydzieste urodziny, sprezentowała mu rumaka zakupionego na targu w *mahalli*, w której właśnie się znajdowali.

– Nie ma co liczyć na łaskę Kara Mustafy? – upewniła się jeszcze.

Talaz pokręcił głową. Z całą pewnością al-hakimy nie spotkają zaszczyty i bogactwo. Zostanie wykorzystana i odsunięta przez dumnego wielmożę, który pogardzał poturczeńcami i motłochem. Nie mogła ufać, że w nagrodę za pomoc w walce z najeźdźcą odzyska utracony majątek.

Dorota westchnęła i oddała jatagan.

– Papatya nie wahałaby się i zrobiła wszystko, by ratować miasto – powiedziała Jitka.

– Poświęciła życie, by ratować was i... mnie – przyznał *lala*.

– Jesteśmy zatem jej coś winni – kontynuowała coraz bardziej zacierzwiona Jitka. – Jej poświęcenie nie może pójść na marne. Musimy zaryzykować i stanąć do walki o miasto. Nie możemy teraz tak po prostu uciec. Jeśli nie chcecie, sama pójdę do wezyra i opowiem mu wszystko, co widziałam. Nawet jeśli miałby mnie potem obedrzyć ze skóry, by dowiedzieć się jeszcze więcej.

– Przestań, głupia. Papatya nie chciałaby, żebyś się dała obedrzyć ze skóry – mruknęła Dorota. – Opuścimy miasto razem z Talazem, pojedziemy do Edirne. Z całą pewnością sułtan uciekł właśnie tam, to druga stolica imperium. Z pewnością też przyjedzie do niego Şeytan Ibrahim Pasza, wtedy postaram się o widzenie z nim i wszystko mu opowiem. Tutaj nic po nas. Straciłam majątek, moja kariera legła w gruzach. Nic mnie tu już nie trzyma.

– Myślę jednak, że... – nie poddawała się Jitka.

– To nie myśl! – ucięła Dorota, zirytowana dodatkowo przez potwornego kaca.

Odwróciła się, by ruszyć w drogę, gdy na ulicę przed nimi wybiegło kilku oberwańców. Najstarszy z wyrostków miał góra trzynaście lat, wszyscy byli wychudzeni, o mocno śniadej cerze, czarnych oczach i włosach. Cyganie z Balatu! Zamieszkiwali tę dzielnicę od pokoleń, zajmując się głównie handlem końmi i drobnym rzemiosłem. Nie wszyscy jednak przyjęli wiarę Proroka, poza tym asymilowali się z Turkami w bardzo małym stopniu, tworząc zamkniętą społeczność.

Na widok chłopców uzbrojonych w noże i pałki Talaz uśmiechnął się i wsunął jatagan za pas. Rozłożył ręce i wyszedł im naprzeciw. Dorota obróciła się, słysząc tupot za plecami. Z zaułka za nimi wybiegła kolejna grupa brudnych



obdartusów. Widocznie korzystając z anarchii, która ogarnęła miasto, biedacy próbowali sobie dorobić tradycyjnymi metodami – grabiąc i napadając na słabszych.

– Selam! Jestem przyjacielem króla Öğöna Grubego! Raz nawet ściągnąłem go z szafotu, jest mi więc winien przysługę krwi. Gdzie on jest? Prowadźcie do niego, i to rychło! – rzucił Talaz gromkim głosem.

– Gruby uciekł z miasta, zabierając tabun i wszystkie żony – powiedział najstarszy chłopiec. – Teraz miasto jest moje, ja jestem nowym cygańskim królem. I nie znam cię, Turku. Dawajcie złoto i jedzenie, a puszcę was wolno!

– Nie mamy złota – odezwała się Dorota, rozglądając się.

Małych rozbójników było kilkunastu i z całą pewnością nie zawahaliby się zadźgać intruzów. Widocznie większa część społeczności cygańskiej wyjechała, a na miejscu zostały jedynie szumowiny.

– Dzieci, natychmiast przestańcie! Idziemy z bardzo ważną misją. Od jej powodzenia może zależeć istnienie świata! – powiedziała Jitka, rozkładając ręce niczym Madonna z ołtarza. – Puśćcie nas wolno, to nie pora za zbytki. Obiecuję, że zrobię wszystko, byście zostały rychło nakarmione, a teraz wskażcie nam, gdzie znajdziemy stajnię, która nie została jeszcze opróżniona. Och, chłopcze, wyglądasz na rannego. Pozwól mi zobaczyć.

Zanim Dorota zdążyła ją powstrzymać, dziewczyna podeszła do samozwańczego króla i z uśmiechem sięgnęła do głowy nastroszonego Cygana. Talaz położył dłoń na rękojeści jatagana i zrobił krok do przodu. Przeczuł, co się wydarzy – szczeniak musiał podkreślić swoje panowanie nad bandą i zajętą dzielnicą. Nie mógł pozwolić, by drobna dziewczka traktowała go jak dziecko. Pchnął ją zatem nożem w brzuch.

\* Papatya – (tur.) rumianek.

## XII

Nie spodziewałem się takiego obrotu spraw. Zakładałem, że najbliższą walkę stoczę ze ścigającymi mnie inwazerami lub samą Jasmimą, w jej prawdziwej postaci. Zamiast tego ruszyłem w szermierczy taniec, rzezając jataganem brudne, wygłodzone dzieciaki. Obracałem się, tnąc na lewo i prawo, krocząc między wrzeszczącymi złodziejaskami niczym sama śmierć. Przeciwnik nie był specjalnie wymagający, ale trzeba przyznać, że odważny i zdesperowany. Cyganie rzucili się na mnie całą gromadą i gdyby nie szermierczo-taneczne przeszkolenie oraz nadludzka siła, z pewnością zadźgali by mnie w parę chwil. Stało się jednak inaczej.

Każde cięcie rozplątywało jedno drobne ciało, ostrze przecinało młode kości bez wysiłku i zgrzytu. Broń nawet na mgnienie oka nie zostawała w ciałach zabijanych, pozwalając mi na płynność i zachowanie szybkiego, morderczego rytmu. Raz, dwa, obrót, trzy, cztery, zwód, odepchnięcie, pięć, sześć, obrót i na koniec krwawy piruet bryzgający kroplami krwi ze zbrozonego ostrza. Kilka uderzeń serca i na ziemi wiło się dwanaście ciał, w tym rozpruty od podbrzusza do gardła samozwańczy cygański król.

Jitka siedziała na ziemi, trzymając się za brzuch. Zbladła jeszcze bardziej, ale nie płakała ani nie jęczała z bólu. Al-hakima zachowała zimną krew – natychmiast zdarła z najmniej brudnego trupa koszulę i zwinęła ją w rulon. Władczym tonem kazała rannej się położyć i uniosła jej koszulę, a potem założyła opatrunek uciskowy. To tyle, jeśli chodzi o zatamowanie krwotoku na zewnątrz, nie wiadomo natomiast było, jak duże spustoszenie nóż uczynił w brzuchu dziewczyny. Jeśli przebił otrzewną, szanse na przeżycie i tak miała niewielkie. Cóż z tego, skoro niedługo i tak ten świat przestanie istnieć, a ci nieszczęśnicy staną się budulcem lub niewolnikami. Może dziewczyna miała szczęście i nie zobaczy tych okropności?

Wziąłem ją na ręce i ruszyliśmy dalej. W tej dzielnicy nie mieliśmy czego szukać. Trzeba pomyśleć o innych sposobach ucieczki. Spojrzałem na południe i natychmiast tam skierowałem kroki. Dorota zerknęła na mnie pytająco.

– Port – powiedziałem krótko. – Najpewniej uniknę pościgu, wyruszając za morze. Spróbuję przedostać się do Galaty i złapać jakiś statek do Afryki.

Całe północne wybrzeże, Egipt i Sudan stanowiły kolonie imperium osmańskiego. Talaz i tam miał swoje agentury oraz kontakty. Kilka punktów zaczepienia i źródło pieniędzy, którymi mogę sfinansować wyprawę w głąb Czarnego Łądu. Ucieknę przed Wielojaznią w ostępy tego ogromnego, dzikiego kontynentu. Przetrwam tam wiele lat, nawet po całkowitym podboju planety. Mogą

upłynąć dekady, nim zostaną odnalezione. Utrzymam cielesność dłużej niż dotychczas. Warto spróbować.

– Uciekajcie ze mną – powiedziałem. – Wiem, że ciągnie cię do swoich, na północ, ale to będzie następny cel. Wielojażń najpierw zaatakuje wszystkie większe aglomeracje miejskie, gdzie gromadzą się nosiciele i gdzie infopole jest najgłębsze. Zajmie je szybciej i sprawniej niż Sztambuł i zbuduje w nich podobne maszyny. Już nie tak improwizowane, za to z pewnością większe i trwalsze. Europa z masą miast i miasteczek stanie się doskonałym kąaskiem. Jeśli chcesz przetrwać, musisz razem ze mną uciec na pustkowia, tam gdzie zagęszczenie ludności jest najmniejsze albo wręcz żadne. Afryka będzie ku temu najlepsza, choćby ze względu na klimat i dostępność pożywienia. Tam zagłada dotrze na końcu.

Al-hakima spojrzała na mnie z ponurą miną. Jej toporna plebejska uroda komponowała się z brudem, śladami krwi i sadzą na twarzy. Wyglądała nawet dość pociągająco, o ile ktoś lubi dzikość i prymitywizm. Niczym jakaś prasłowiańska bogini-wojowniczką zboczona krwią złożonych jej w ofierze. Zdecydowanie nie sprawiała wrażenia bystrej i sprytnej, raczej silnej, topornej baby. Dziwne, ale lubiłem ją, i to nie tylko przez wspomnienia Papatyi. Talaz również uważał ją za kogoś wartościowego i tak naprawdę godnego zaufania.

Nagle złapała mnie za ramię i pociągnęła w bok. Usłyszałem to chwilę później, stukot kopyt na bruku. Akurat mijaliśmy dom o wyrwanych przez szabrowników drzwiach – Dorota właśnie tam mnie wciągnęła. Wpadliśmy do zrujnowanego pomieszczenia i przycupnęliśmy z dwóch stron okna. Jitka westchnęła boleśnie, ale natychmiast zacisnęła zęby. Trzymając ją ciągle na rękach, ostrożnie wyjrzałem przez okno. Okazało się, że ulicą niespiesznie posuwa się oddział kawalerii. Jeźdźcy w błyszczących pancerzach, z lamparciami skórami przerzuconymi przez ramiona i czarnymi skrzydłami z sępicich piór przytroczonymi do siodeł – znowu husaria! Skąd, u licha, wzięli się tu Polacy i czego szukali?

– Musisz się jej bardzo bać – szepnęła Dorota.

– Kogo? – syknąłem, w pierwszej chwili nie wiedząc, o czym mówi. – Ach, Wielojażni? Owszem, widziałem, jak wchłania całe cywilizacje, i to znacznie potężniejsze od waszej – powiedziałem. – Jest zupełnie pozbawiona litości, jest niczym rosnący guz, którego rozwoju nie da się powstrzymać.

– Ale guz można wyciąć – odparła al-hakima. – Nie zawsze się udaje, czasem organizm przy tym ginie, ale spróbować warto. Jestem lekarzem i nigdy się nie poddaję, jeśli jest najmniejsza szansa na uzdrowienie pacjenta. Nie możesz oczekiwać, że ucieknę, zostawiając ciężko chorego na pewną śmierć, w dodatku wiedząc, że ta sama choroba kiedyś przyjdzie i po mnie. Nie miej zatem pretensji...

Poderwała się i jednym susem wyskoczyła przez okno. Zabiegła Polakom drogę, wrzeszcząc na całe gardło w ich języku i wymachując rękoma. Przekląłem tę kopniętą babę i delikatnie położyłem Jitkę na ziemi. Kiedy się wyprostowałem,

kilku husarzy zeskoczyło z koni i z szablami w garści ruszyło do budynku. Nim zdążyłem wyciągnąć jatagan, byli w środku. Prowadził ich niski, krępy rycerz z wąsem w lewym ręku trzymający pistolet. Wymierzył go w moją pierś i wrzasnął coś ostrzegawczo. Kolejnych trzech zbrojnych było już przy mnie, pióro szabli jednego z nich oparło się o moją szyję, a następny złapał mnie za nadgarstek ręki trzymającej jatagan.

Sytuacja nie była beznadziejna, mogłem jeszcze z nimi walczyć. Kopniak w pistolet z jednoczesnym wymykiem spod szabli. Obrót na palcach lewej stopy i pociągnięcie rycerzyka trzymającego mnie za rękę. Potem puściłbym w tan swoje ostrze i raz-dwa wyciął całe to wąsate towarzystwo.

Nie zrobiłem tego jednak. Pozwoliłem się rozbroić i skrępować. Kiedy wyciągnęli mnie na zewnątrz, uśmiechnąłem się do Doroty. Może miała rację? Czy zamiast uciekać, nie zabawniej będzie spróbować wyciąć ten guz? Nawet jeśli przyspieszy to zgon chorego?

\* \* \*

Pan Michał towarzyszył księdzu Lisieckiemu pocieszającemu uwolnionych jeńców. Klecha robił na miejscu listę uratowanych, a rotmistrz wskazywał im miejsca na wozach. Musieli się nieco stłoczyć, by wszyscy weszli. Okazało się bowiem, że jest ich więcej, niż się spodziewali, w dodatku nie byli to wyłącznie wojskowi wzięci do niewoli przez Turków w czasie ostatnich starć, ale także kobiety i duchowni złapani przez tatarskie zagony. Jeńcy znajdowali się w różnym stanie, ale wszyscy byli wychudzeni i odarci niemal do cna. Kilku nosiło ślady pobicia, zdarzali się również tak wycieńczeni chorobami i głodem, że trzeba było ich wynieść z cel. Od samego patrzenia na nich pan Michał zaczął zgrzytać zębami.

Naczelnik sułtańskiego więzienia liczył na sowite zyski, a dostał wyłącznie rozkaz Kara Mustafy nakazujący zwolnić wszystkich bez opłat. Był wściekły i rozczarowany, zachowywał się więc niegrzecznie, a nawet przy wszystkich wymierzył kopniaka jednemu z prowadzonych, potykających się więźniów. Pan Michał doskoczył do Turka i nim janczarzy zdążyli zareagować, złapał go za rękę i wcisnął w nią brzęczący worek pełen monet. Dostał go od Gnińskiego, który słusznie mniemał, że w imperium bez wręczania na lewo i prawo łapówek nie można liczyć na załatwienie czegokolwiek w godny sposób. Ciężar złota rzeczywiście zadziałał. Choć nie był to cały kufer dukatów, urzędnik natychmiast się uspokoił. Westchnął tylko boleśnie i odszedł do swej kwatery.

Uwolnieni płakali ze szczęścia i całowali księdza po rękach, wieszali się też na szyi rotmistrza i tulili do niego jak do odnalezionego po latach brata lub syna. Pan Michał znosił to ze stoickim spokojem, sam wszak też był w tureckiej niewoli

i wiedział, co to znaczy. Większość tych ludzi nie liczyła na to, że kiedykolwiek odzyska wolność, widzieli na własne oczy, jak jeńcy umierają zagłodzeni lub skatowani. W dodatku ostatnimi dniami strażnicy straszili ich, że rzucą na pożarcie opętanym. Nic dziwnego, że gdy zobaczyli polskich żołnierzy w sercu tego koszmaru, wielu z nich się rozkleiło.

W końcu wozy załadowano, jak policzył Lisiecki, stu dziewięćdziesięcioma ludźmi i pan Michał dał znak do wyjazdu. Brama się otworzyła i mała karawana opuściła Twierdzę Siedmiu Wież żegnana ponurymi spojrzeniami strażników, którzy musieli się obejść bez haraczy.

– Jest ksiądz zadowolony z wyprawy? – Pancerny podjechał do Lisieckiego pocieszającego jednego z jeńców.

– Bogu będę dziękował w modlitwach, nawet odprawię mszę w dziękczynnej intencji. – Cysters skinął głową. – Wielu zacnych mężów wybawiliśmy od galer, już bowiem mieli zostać przykuci do wioseł, a gdyby do tego doszło, nigdy byśmy ich nie odnaleźli. Spójrz, waszmość, tamten niepozorny jegomość to ojciec Budzanowski, pleban z Podola, obok siedzi ksiądz Mroczkowski, dominikanin. Na tym samym wozie major artylerii Posadowski, porucznik rajtarów Fogiel, panowie Bielecki i Grylf. Wszyscy znamienici chrześcijanie!

– A tamte kobiety? – Pan Michał wskazał ostatni wóz.

– Same szlachcianki. Wieśniaczki uprowadzone w jasyr od razu były sprzedawane na targu i rozeszły się po imperium. Te szlachetnie urodzone trzymano w kupie w nadziei na sowity wykup. Poszczyło się nam, że uwolniono je za darmo.

– Nie tak znowu za darmo. Zapłaciliśmy za nie krwią. To wszak po naszym boju z opętanymi wezyr podarował Gnińskiemu jeńców – zauważył pan Michał.

Ksiądz zbagatelizował wysiłek zbrojnych niedbałym wzruszeniem ramion i skupił się na rozmowie z jednym z uwolnionych księży. Pan Michał wysunął się na czoło karawany, doganiając tureckiego przewodnika. Gwardzista trzymający buńczuk zdecydowanie nie był tak rozmowny jak Abdul Aga, właściwie nie zamienił z Polakami ani słowa, mimo że pancerny zagadywał go po turecku. Wyniośle milczał, z dumą patrząc przed siebie, skupiony na dzierzeniu symbolu wezyrskiej władzy. Rotmistrz musiał zatem skupić się na oglądaniu okolicy.

Czekał ich jakiś kwadrans jazdy przez wyludnioną, bo leżącą stosunkowo blisko terenów walk *mahallę*. Pan Michał zerkał ciekawie w wyloty mijanych ulic prowadzących na północ, raz nawet dojrzał na końcu jednej z nich przemieszczającą się grupę piechoty. Poza tym działa umilkły, tak samo jak muszkietowe salwy i przetaczające się pod niebiosami chóralne okrzyki oraz dudnienie bębnow. Tylko od czasu do czasu słychać było przewracające trzewia basowe ryki gromów i łomot walących się budynków. Niebo ciągle zasnuwały dymy pożarów, a w nozdrza uderzał ohydny zapach palących się zwłok.

Albo Turcy wreszcie zgnetli opętanych i teraz trwały tylko walki z niedobitkami, albo nastąpiła przerwa w boju i czasowe zawieszeni broni. Tak czy inaczej, brak mrozających krew w żyłach odgłosów przynosił ulgę i uspokajał. Dawał nadzieję, że to wszystko wkrótce się skończy.

– Kici, kici – pan Michał zawołał do siedzącego na murku kota.

Zwierzak rzecz jasna nie zareagował, za to obok niego pojawiły się dwa kolejne. Jeden z nich miauknął z wyczuwalną pretensją. No tak, nikt nie dokarmiał bezpieczeństwa kotów, co musiało je irytować, przyzwyczajone wszak były do regularnych posiłków serwowanych przez bogobojnych muzułmanów. Rotmistrz pokręcił głową – w Polsce rzeczą niepodobną było takie rozpasanie. Co prawda wielu rozpieszczało ulubione psy, ale koty? To tylko sierściuchy łapiące szkodniki.

Przejechali wzdłuż całą szeroką ulicę, nie napotykaając nawet szabrowników. Zamiast jeszcze bardziej poprawić to pancernemu humor, tylko go to zaniepokoiło. Tłumne miasto, które tak drastycznie się wyludniło, sprawiało upiorne wrażenie. I jeszcze ta cisza. Zorientował się, że teraz nie słyszy nawet pojedynczych strzałów, tylko stukot kopyt, łomot kół na bruku i rozmowy oraz histeryczne wybuchy śmiechu uwolnionych. Do tego dołączył tylko szum. Dziwny, niekojarzący się z niczym znajomym, za to stopniowo narastający. Pan Michał rozejrzał się niespokojnie, kładąc dłoń na rękojeści szabli. Tknięty przecuciem uniósł głowę.

Nad dachami pobliskich domów przelatywał obiekt wielkości piętrowej kamienicy. Kształt miał obły i podłużny, a kolor czarnego, matowego żelaza. Z jego boków sterczały nieregularne wypustki i kolce, z przodu zaś widniały kanciaste zgrubienia kojarzące się z łbem, przez co przypominał unoszącego się w powietrzu niezgrabnego żelaznego owada. Z bzyknięciem, od którego jeżyły się włosy na głowie, przeleciał nad ulicą, po czym przechylił się na bok, by zawrócić.

– Potwór! Latająca bestia! – krzyczeli jadący na wozach.

Książd Lisiecki przeżegnał się z rozmachem, koń któregoś z pancernych zaczął wierzgać, omal nie zrzucając jeźdźca. Tymczasem na boku obiektu, którego pan Michał nie spuszczał z oka, rozsunęły się wrota i w otworze stanął zakuty w zbroję siłacz dzierżący oburącz niezgrabne urządzenie do miotania piorunów.

– To pojazd! Latająca maszyna! – krzyknął rotmistrz i sięgnął do olstra po pistolet.

Pojazd zszedł niżej, szykując się do lądowania na drodze. Jego korpus wypełniał całą szerokość ulicy. Nie dotknął jeszcze ziemi, gdy z wnętrza poczęły wyskakiwać opętani. Pan Michał spostrzegł, że wszyscy noszą pancerze i hełmy z wystającymi przewodami oraz kolcami. Ich uzbrojenie nie było już tak prymitywne jak przy poprzednim starciu, choć nadal wyglądało na improwizowane. Kilku miało wyrzutnie piorunów, inni włócznie i miecze, ale też tarcze, sieci i długie bicze. W dodatku dowodziła nimi bestia niebędąca człowiekiem. Była pękata, z potężnie umięśnionymi nogami i o wielkim łbie

z szeroką szczęką. W sięgających ziemi łapach trzymała jakieś dziwne, wyglądające złowrogo przyrzędy. Do opętanych dołączyły zatem demony z piekła rodem.

– Zawracać! – krzyknął rotmistrz.

Obrócił przerażonego konia, ale w tej samej chwili zobaczył na niebie jeszcze dwa żelazne owady, w dodatku schodzące coraz niżej. Wyglądało na to, że odetną Polakom drogę ucieczki. Na korpusie bliższego z nich siedział ogromny, ohydny pajęczak o długich łapach poruszający szczękoczułkami i łypiący czterema czarnymi oczami, z których każde było wielkie jak arbuza. Stwór był czarny jak latający pojazd, ale poruszał się nerwowo, aż wreszcie dał ogromnego susa i wylądował na ostatnim wozie. Tym, na którym jechały uwolnione kobiety.

Pan Michał ryknął ze zgrozy i wściekłości. Wiódł tylko dwunastu zbrojnych, a musiał ochronić blisko dwie setki wycieńczonych ludzi przed hordą dziwnych bestii. Nie miał najmniejszych szans. Wymierzył z pistoletu do najbliższego przeciwnika i strzelił. Pancerni poczęli robić to samo – każdy miał po dwa pistolety przy siodle i prał z nich, a to do latających bestii, a to do opętanych. Ci odpowiedzieli piorunami. Przeróżający ryk gromów przeszył powietrze. Zapachniało jak po burzy, tylko ostrzej i nieprzyjemniej.

Krzyk przerażonych ludzi, kwik rannych koni, trzaski i gromy. Wszyscy wpadli w panikę i nie sposób było nad czymkolwiek zapanować. Pan Michał ujrzał, jak z siodła spada gwardzista z buńczukiem, a w jego plecach zieje dziura, przez którą dałoby się przełożyć rękę. Tego było za wiele. Pancerny spiął konia i runął do ataku. Przejechał jednak tylko kilka kroków, gdy piorun trzasnął w pierś jego wierzchowca. Nogi załamały się pod koniem i rotmistrz, przeleciawszy przez jego łeb, z rumorem i chrzęstem upadł na bruk. Poturlał się pod ścianę domu i zaległ przy niej bez ruchu. Nie był w stanie się ruszyć, nie miał sił, by kontynuować walkę.

Bolały go wszystkie gnaty, przez parę chwil miał nawet trudności z zaczerpnięciem powietrza. Nie stracił jednak przytomności i widział, jak opętani rozbijają jego niewielki oddział, masakrując pancernych. Nie krzywdzili natomiast pozostałych, rzucali tylko na nich sieci, które skrząc się i iskrząc, paraliżowały ofiary. Potem ładowali nieruchomych jeńców do latających machin. Operacja odbywała się niezwykle sprawnie i szybko.

Obok przeszedł opętany, postukując włócznią, która zamiast grotu miała pełgający płomień. Pan Michał wstrzymał oddech, udając martwego. Słyszał oddech potwora, widział elementy jego pancerza poruszającego się wraz z oddechem nosiciela, jakby był żywą istotą. Wiedział, że mógłby niepostrzeżenie wstać i rąbnięciem od tyłu rozplątać łeb sukinsyna razem z żywym hełmem. Zamiast tego poderwał się i rzucił szczupakiem między uchylone okiennice domu, przy którym zaległ. Wylądował z łomotem na podłodze w ciemnym

pomieszczeniu, przekościłkował i natychmiast poderwał się na nogi. Przemknął przez pokój, wpadł do kuchni i tylnymi drzwiami wybiegł na podwórko. Przesadził płot, stratował rachityczny ogródek i przemknął przez kolejną chałupę, aż wreszcie wybiegł na inną uliczkę. Rzucił się do panicznej ucieczki na oślep, nie odwracając się.

## **Stambul**

**19 dżumada II Anno Hegirae 1088**

**19 sierpnia Anno Domini 1677**

Na szczyt minaretu prowadziły schodki niewygodne i wysokie, wijące się nieskończonym ślimakiem. Gdy w końcu kanclerz Gniński się tam wdrapał, był tak zasapany, że ledwo mógł złapać oddech. Towarzyszył mu Michał Piotrowski popychający przed sobą Talaza Tayyara skutego w nadgarstkach łańcuchem. Jeniec jako jedyny nie sprawiał wrażenia zmęczonego wspinaczką, pierwszy wyszedł na wąski balkonik i nabrał głęboko powietrza w płuca. Wydawał się zachwycony widokiem i wysokością.

Wieża, z której muezzin wzywał wiernych do modlitwy, stała przy meczecie znajdującym się na terenie pałacu Topkapi i wejść na nią mógł każdy chętny, wystarczyło tylko wręczyć duchownemu kilka akcze w ofierze. Pieniądze znikły w rękawie mężczyzny, a on sam udawał, że nie interesuje go, czego dwa gjaury szukają na szczycie minaretu i dlaczego ciągną ze sobą skutego łańcuchami niezwykle brudnego Turka.

– Patrzcie, jakie to piękne. – Talaz odwrócił się tyłem do miasta, kierując spojrzenie na Złoty Róg i Bosfor.

Od morza wiał przyjemnie chłodny wiatr. Fale kołysały się uspokajająco, delikatna mgiełka pary wodnej zasnuwała domki, pałace i meczety stojące na wzgórzach po przeciwnej stronie zatoki. Wzdłuż brzegu łopotały na wietrze setki żagli statków, barek i rybackich łodzi. Obrazek był wręcz sielski, trochę nierealny w porównaniu z tym, co widać było, gdy przeszło się po balkoniku na drugą stronę. Pan Michał nie pozwolił jeńcowi długo napawać się widokiem, chwycił go za kark i stanowczo pchnął na przeciwną stronę wieży. Gniński szedł za nimi, modląc się przez zęby. Starał się nie patrzeć w dół, w pustkę i na maleńkie ludziki stojące wokół minaretu. Ze złością zastanawiał się, czemu bisurmany nie zbudowały



wokół balkonu barierki. Wystarczy, by powiało mocniej, a człowiek się zachwieje i amen. Już po nim!

Kiedy stanęli po drugiej stronie, wiatr uderzył w nich zapachem ginącego miasta, spalenizną, smrodem śmierci i zniszczenia. Jakby w jednej chwili znaleźli się w innym świecie, w innej opowieści. Miasto przed nimi dogorywało w dziesiątkach pożarów, w oddali, tam gdzie niedawno mrowiły się tysiące domów, zabudowań i kamienic, ciągnęło się czarne pogorzelisko. Tylko gdzieś w niebo mierzyły ostre szpice minaretów i towarzyszące im pękate dachy meczetów. Pośrodku miasta znajdowało się coś zupełnie obcego i drastycznie tu niepasującego. Pośród ruin wyrastało potężne czarne drzewo o skręconym spiralnie pniu szerokim na jakieś sto kroków, może znacznie więcej – z takiej odległości trudno było to oszacować. Na samym jego dole, w środku pnia, jaśniała czerwonią kulą, pulsując, jakby była sercem potworności. Zamiast konarów ku niebiosom sterczały wijące się czarne macki, po których co chwila pełzały błękitne i białe pioruny wyładowań. Drzewo wyginało się i falowało, a jego ramiona wyciągały się coraz wyżej i wyżej, jakby szukały czegoś w pustce. Do tego wokół drzewa i ponad nim unosiły się w powietrzu mechaniczne owady z czarnego żelaza. Krążyły nad konarami, opadały nad miasto i po chwili wznosiły się z powrotem ku niebiosom.

Pan Michał zadrżał. Skoro latające pojazdy były wielkie jak kamienica, drzewo musiało być wysokie przynajmniej na trzy staje. Z pewnością było widoczne z drugiej strony zatoki, nic zatem dziwnego, że żaden statek nie kwapił się, by zawrócić po uchodźców lub wieści z miasta. Kto o zdrowych zmysłach pchałby się w miejsce, w którym znajdowało się coś takiego?

– Myślę, że kiedy wstało słońce i wszyscy w mieście mogli zobaczyć to cudo, uchodźcy sforsowali bramy i zwiali – powiedział poseł Gniński. – Pewnie nogę dała też część pospolitego ruszenia. Wiadomo, że taka zbieranina nigdy nie utrzymuje pola w obliczu niebezpieczeństwa. Spytaj pohańca, co to takiego i czemu kazał mi tu wleźć.

Pan Michał przetłumaczył słowa kanclerza na turecki. Właśnie dlatego znalazł się z tymi dwoma na górze. Miał służyć jednocześnie jako ochrona i tłumacz. Spendowski ani żaden z dragomanów nie został poproszony, bo nie byli żołnierzami, a poseł potrzebował przy rozmowie kogoś, kto dobrze daje sobie radę w bitce. Na wypadek gdyby pojmany Turek zaczął rozrabiać.

Po tym, jak wczoraj rotmistrz jako jedyny powrócił z wyprawy, część rodaków uznała go za bohatera i niebываłego szczęściarza, a część za podejrzenie często wychodzącego cało ze starć z potężnymi. Za plecami niektórzy pachołkowie nazywali go zdrajcą i sługusem przeklętych. Mówiono nawet, że pewnie sprzedał potępionym jeńców na zatracenie, że już dawno przehandlował diabłu duszę i teraz spłaca długi. Na szczęście kanclerz nie słuchał tych bzdur,

a gdy mu je powtórzono, popukał się tylko w głowę. Ufał Piotrowskiemu i uważał go za świetnego żołnierza, a to, że rotmistrz jedyny uratował się z kolejnej opresji, tylko potwierdzało jego niebywałe umiejętności. Przy kimś takim mógł się czuć w miarę bezpiecznie, stojąc z pojmanym opętanym na wąskim balkoniku nad przepaścią. Miał przynajmniej nadzieję, że się nie myli.

– Chciałem, byście w całej krasie zobaczyli, z czym właściwie macie do czynienia – powiedział Talaz, wysłuchawszy pytania pana Michała. – To na dole, czerwona kula zrobiona z ludzkich ciał, nazywane jest w uproszczeniu bioprocesorem. To dość skomplikowane urządzenie, którego zadaniem jest pobranie strumieni informacji transmitowanych przez bramę, skompresowanie ich i wykonanie jako rozkazów. Te rozkazy sprowadzają się do wpisania danych w lokalne infopole...

– Nic nie rozumiem – powiedział pan Michał z zachmurzoną miną. – Nie mam pojęcia, jak to przetłumaczyć na polski. Mów, pohańcu, jaśniej albo nie wytrzymam i poczęstuję cię kopniakiem, po którym wylądujesz na drugim brzegu zatoki.

Pancerny był obolały i poirytowany. Nie wykonał powierzonej mu misji, stracił wszystkich podkomendnych i uwolnionych jeńców. Czuł się paskudnie, przygniatały go wina i bezsilna złość.

– Powiedz, jak to zabić. Gównu mnie obchodzi, co to takiego! – warknął na dokładkę.

– Jak sobie życzysz. Spróbuję jaśniej. – Talaz uklonił się z gracją, na jaką pozwalały mu łańcuchy. – To nibydrzewo to materialne echo, coś jak odbicie w rzeczywistości postaci boga, który wdarł się do waszego świata. Jego umysł i dusza znajdują się w świecie duchowym, który nazywam infopolem. Przebywają w nim dusze, a właściwie nie dusze, lecz pamięć, ślad, jaki swoim istnieniem zostawiły wszystkie istoty myślące, które żyły na Ziemi. Wielojażń, czyli obcy bóg, chce wypełnić sobą świat duchów, a je wszystkie wchłonać i zrobić z nich część swego umysłu. Żeby mu się to w pełni udało, musi opanować też świat materialny. Chce użyć ludzi do skonstruowania z nich maszyn podobnych do bioprocesora, używa też ciał jako materiału do tworzenia swoich żołnierzy, którzy podbiją dla niego ten świat.

Pan Michał westchnął i przetłumaczył jego słowa Gnińskiemu.

– Ciągle nie wiem, po co chciałeś tu wleźć – ostrzegł Gniński. – I jak to cholerstwo unicestwić.

– Chciałem, byście zobaczyli to w całej krasie, żeby pojąć rozmiar i rozmach tej istoty. Widzicie kolosa, który góruje nad największym na świecie miastem, a w ciągu dwóch, góra trzech dni wchłonie je i uczyni swoją fortecą, przyczółkiem na tym świecie. I nie będzie to dla niego żaden wysiłek. To cielsko to tylko zestalona informacja, która przekroczyła gęstość krytyczną i uzyskała materialną

masę. Osobliwość informatyczna, która została wzbudzona i ukształtowana wyłącznie siłą woli Wielojażni. To drzewo to znikomy ułamek jej możliwości, jak już wspomniałem, ledwie cień. Mam nadzieję, że zrozumiecie dzięki temu to, co chcę powiedzieć. Tego nie da się zabić.

– Cóż więc nam zostaje? – spytał Gniński, wysłuchawszy tłumaczenia. – Uciekać do kraju i zacząć budować fortece?

– Na wiele się nie zdadzą. Nie powstrzymają powstającej armii. Na początku kradliśmy wasze ciała, w taki sposób zresztą stałem się Talazem Tayyarem. Kiedy udało się uruchomić bioprocessor i Wielojażń wtargnęła do tego świata, od razu zdobyła niemal boską moc. Wykorzystując osobliwość, posiadała moc kreacyjną, zdolność kształtowania materii siłą woli – mówił Turek, nie spuszczać wzroku z wijącego się czarnego drzewa rozświetlanego krwawym pulsowaniem. – Następnym jej posunięciem będzie obdarzenie części armii autentycznymi ciałami. Z czasem pojawi się w jej szeregach więcej groteskowych potworów, demonów z piekielnych wizji. Coraz łatwiej będzie im tworzyć zaplecze techniczne, znaczy się konstruować maszyny i broń. Używają wyłącznie zajętych kuźni, ludwisarni oraz warsztatów, ale wykorzystując znalezione w nich proste narzędzia, w ciągu kilku dni zbudowali broń energetyczną, udało im się też uzyskać pierwsze biopolimery do budowy aktywnych pancerzy i egzoszkieletoów. Skonstruowali również kilka silników impulsowych wykorzystujących pole magnetyczne planety. To one napędzają latające transportery. W ciągu kilku miesięcy, o ile uda im się dotrzeć do materiałów, czyli metali rzadkich, pokładów węgla i rud zawierających pierwiastki promieniotwórcze, będą dysponowali pełnym zapleczem technicznym. Działa grawitonowe, plazmotrony na baterie nuklearne, łączność satelitarna, sieć informacyjna z prawdziwego zdarzenia, wreszcie cybernetyka i budowa serwerów ostatecznie ujarzmiających infopole. Za rok Wielojażń opanuje kontynent, a za pięć lat resztę planety.

– Znów gadasz niezrozumiale! – warknął pan Michał. – Co to za armaty grawitonowe?

– Nieważne. Mówię tylko, że w walce z tym czymś nie macie najmniejszych szans. Kawaleria, muszkietery i pikinierzy, kolubryny i kartauny z dnia na dzień będą stawały się coraz mniej niebezpieczne dla najeźdźców i łatwiejsze do zniszczenia – kontynuował Talaz.

– Cóż zatem mamy robić? Zostaje nam jedynie modlitwa? A może od razu skoczyć na łeb z tej wieży? – zirytował się kanclerz.

– Nie wiem. Ciągle się zastanawiam – mruknął Talaz. – Zabić się tego nie da, bo nie można uśmiercić czegoś, co jest nieżywe. Hmm...

Gniński wysłuchiwał tłumaczenia i pokiwał głową. Trudno było przejść do porządku dziennego nad tym, co właśnie usłyszał. Nigdy nie uwierzyłby w podobne bzdury, gdyby nie widział tych wszystkich okropieństw na własne oczy.

Domyślał się już, dlaczego Talaz nalegał, by wszedł z nim na wieżę i dokładnie obejrzał sobie, z czym mają do czynienia. On wiedział, jak pokonać potwora, ale z jakiegoś powodu nie chciał tego zdradzić od razu. Może obawiał się, że po wyjawieniu planu stanie się niepotrzebny, a może oczekiwał od sojuszników determinacji w walce z wrogiem. Pragnął, by zrozumieli zagrożenie i byli skłonni przychylić się do jego planu niezależnie od tego, jak bardzo wydawałby się szalony.

– Jesteś w połowie jednym z nich – odezwał się pan Michał. – Wiesz, jak zbudować broń, którą się posługują? Jak skonstruować latające maszyny i działa grawitonowe?

– Jestem żołnierzem, oficerem polowym i strategiem. – Talaz rozłożył ręce. – Mam pobieżną wiedzę. Wszak ty też nie znasz tajemnic rusznikarzy i ludwisarzy odlewających armaty, nie wiesz, skąd się bierze składniki prochu i jak działają młyny prochowe. Podobnie jest ze mną. Wiem, jak używać tej broni, ale sam nie potrafiłbym jej zrobić.

Pancerny patrzył podejrzliwie na rozmówcę, ale właściwie musiał przyznać mu rację. Kanclerz nie odzywał się jakiś czas, z coraz większym niepokojem wpatrując się w Wielojaźń. Wyobraził sobie, że kolejne takie drzewa, zbudowane z ludzi obdartych żywcem ze skóry, wyrastają w Warszawie, Krakowie, Gdańsku, a nawet w jego kochanym Lwowie. Że pokrywają cały kraj i świat czarnym, ohydny lasem.

– Zgoda – powiedział nagle. – Będzie, jak chcesz, powiedz tylko, co trzeba zrobić, by to powstrzymać.

Talaz pokiwał głową w pochwałę roztropności posła.

– Trzeba pozwolić mu się rozprzestrzenić i rozbudować zaplecze techniczne – powiedział. – Należy poświęcić to miasto i może jeszcze kilka kolejnych, najlepiej oddać je bez walki. Ewakuować możliwie najwięcej mieszkańców, wycofać ludzi poza zasięg Wielojaźni. To spowolni jej wzrost, ale nie zahamuje budowania własnych wytwórni broni i urządzeń. A właśnie one są potrzebne, by zadać cios bestii. Dopiero gdy inżynierowie skonstruują serwery z interfejsami umożliwiającymi cyfryzację, to znaczy przenoszenie do przestrzeni wirtualnej rozbudowanych pakietów danych, w których można ukryć algorytmy, atak na Wielojaźń stanie się możliwy.

– Jaśniej – zażądał Gniński.

– Można zrobić krzywdę temu bożkowi, ale wyłącznie w infopolu, w świecie duchów. Aby tego dokonać, muszę mieć dostęp do urządzeń, które zbudują śludzy Wielojaźni. Trzeba dać im czas, pozwolić myśleć, że zwyciężyli. Kiedy będą uganiać się za niewolnikami, nowymi dawcami ciał, zaatakujemy. Najlepszy byłby zmasowany atak kilku armii. Wyłącznie po to, by związać siły Wielojaźni i odwrócić jej uwagę. Pod osłoną bitwy wraz z oddziałem szturmowym

przedostaną się do serca wrogiej twierdzy i opanują interfejs, a potem za jego pomocą zadam bestii cios, który rzuci ją na kolana.

– Zabije ją? – spytał Gniński. – Mówiłeś, że to coś nie jest żywe.

– I dlatego nie jestem w stanie tego unicestwić, ale mogę wymazać z infopola. Usunąć ze świata duchów, wygnać tam, skąd przyszło.

Kanclerz pokiwał głową, świdrując Talaza wzrokiem. Wystarczyłby jeden krótki rozkaz posła, by pancerny pchnął Turka i zakończył to przedstawienie. Wszyscy trzej zdawali sobie z tego sprawę i zamarli, czekając na decyzję dyplomaty.

– Gdzie jest kruczek? – spytał Gniński po dłuższej chwili.

– Turcy, a konkretnie Kara Mustafa, nie zgodzą się na taką taktykę. Musieliby poświęcić stolicę i wielką część armii. Będą woleli walczyć do końca, rzucając do ataku wszystkie siły, stosować sprawdzone manewry, nawet jeśli w starciu z takim przeciwnikiem są bez szans – odparł Talaz. – Moim zdaniem muszą oddać stolicę, a może całą prowincję i natychmiast błagać wszystkich sąsiadów o wsparcie. Sąsiadów, a nawet wrogów...

– Polska nigdy nie wsparłaby nieprzyjaciół wiary – westchnął Gniński. – Chyba żeby piekło zważyło nam się na głowy, co właściwie jest niewykłuczone. Potrzebowalibyśmy zgody Kościoła, a ta byłaby możliwa jedynie, gdyby wiara znalazła się w niebezpieczeństwie. Wiara, jeszcze bardziej jednak majątki i głowy biskupów oraz kardynałów. Przydałoby się napędzić stracha papieżowi, wtedy z pewnością ogłosiłby krucjatę przeciw Wielożadni.

– Jeśli wystarczy nam czasu, to doskonały pomysł. – Talaz potrząsnął łańcuchami. – Musimy uciec ze Stambułu wbrew woli wielkiego wezyra i dotrzeć do Edirne. Dajcie mi porozmawiać z sułtanem i Şeytanem Ibrahimem Paszą, wtedy wszystko się zmieni. Z pomocą sandżakbejów można zorganizować wielki exodus i zabrać ludzi z prowincji. To da nam czas, by ściągnąć wojsko z całego imperium. Liczę też na twoje wsparcie, kanclerzu. Może przemówisz do rozsądku choć hetmanom z południa kraju. Każdy żołnierz będzie potrzebny.

Gniński uśmiechnął się nieznacznie. Plan dawał przynajmniej jakąś nadzieję. To było lepsze niż oczekiwanie nie wiadomo na co lub marnotrawienie energii na modlitwy. Należało wiać ze Stambułu i powiadomić króla o tym, co się dzieje. W pierwszej kolejności trzeba też było zabrać stąd Talaza – to mógł być jedyny człowiek na Ziemi zdolny powstrzymać istotę obdarzoną niemal boskimi mocami.

Kanclerz wyciągnął rękę do Turka i przypieczętował przymierze. Obiecał, że na dole poleci go rozkuć. Ciągle jednak musiał on pozostawać w ukryciu, w namiotach. Wielki wezyr nie mógł się dowiedzieć, kogo pojмали Polacy. Od tego mogło zależeć bardzo wiele.

### XIII

Zszedłem na dół, pobrzękując łańcuchami. Całą drogę zastanawiałem się, po co to wszystko. Czemu pozwoliłem Dorocie, by wydała mnie husarzom, i dałem im się pojmać. Powinienem wybić wąsaczy i zrealizować swój pierwotny plan, uciec hen, w głąb Afryki, i przez jakiś czas cieszyć się życiem. Tak postąpiłbym jako demiurg, zamiast tego jednak uległem imperatywowi wpisanemu w Talaza. Ludzka część mnie po prostu nie mogła znieść świadomości, że zostawiłbym wszystko i uciekł z podkulonym ogonem, trzęsąc się przed Wielojażnią i jej potworami. Uległem ludzkiemu pierwiastkowi, w dodatku nie dało się ukryć, że zrobiłem to z dumą i chyba z ulgą. Zanim Wielojażń uczyniła mnie swoim podnóżkiem, byłem wszak wojownikiem, odważnym i dzielnym. Z czasem zmieniłem się w bojaźliwego sługę, u którego posłuszeństwo i respekt wobec władcy zastąpiły pierwotne cechy. Pora to zmienić! Tym razem nie będę uciekał, a posunę się krok dalej – podniosę rękę na swego prześladowcę.

Zadowolony z podjętej decyzji wyszedłem z minaretu wprost na czterech wielkich eunuchów z obnażonymi krzywymi pałaszami. Prócz nich czekali na nas dwaj oficerowie gwardii i dragoman. Byłem tak samo zaskoczony jak pan Michał i poseł Gniński, szczególnie że czekający na nas husarze i dworzanie siedzieli na ziemi, rozbrojeni i otoczeni przez kilkudziesięciu mierzących do nich z muszkietów janczarów. Wśród Turków dostrzegłem imama, który za drobną ofiarą pozwolił nam wejść na wieżę. Nietrudno było się domyślić, że to on powiadomił kogo trzeba, doniósł, że Polacy chowają w obozie tajemniczego więźnia.

Dragoman zaczął wygłaszać patetyczną, pełną dyplomatycznych zwrotów mowę o tym, że goszczące na terenie pałacu poselstwo będzie musiało złożyć broń i bezwzględnie podporządkować się władzy wielkiego wezyra. Od tej chwili wchodzi bowiem w życie nowe rozporządzenie o stanie wojny. Gniński natychmiast zgłosił protest, a co było dalej, nie słyszałem, bo eunuchy pochwyciły mnie i bez ceregieli powiodły w kierunku bramy prowadzącej na drugi, wewnętrzny dziedziniec. Wszystko odbyło się tak szybko, że Polacy nie zdążyli się przeciwstawić, zresztą i tak nie mieli jak. Zostałem wepchnięty do niewielkiego pomieszczenia, w którym oskarżeni czekali na wyrok sądu. Znajdowało się ono tuż za bramą, obok sali obrad. Umieszczeni w nim zwykle nie opuszczali go żywi, bo wyrok wykonywany był natychmiast po ogłoszeniu. Poczulem więc pewien niepokój – sytuacja się komplikowała.

Po jakiejś godzinie przyszło trzech eunuchów-dusicieli, oprawców, których dobrze znałem, a jednego nawet osobiście szkoliłem. Zdziwili się, rozpoznawszy

w niemożliwie brudnym, skutym łańcuchami nieszczęśnika swego niedawnego przełożonego. Natychmiast też najstarszy z nich popędził powiadomić o tym Kara Mustafę. Już po paru minutach zostałem rozkuty i odprowadzony w głąb pałacu. Powiedziano mi do prywatnych pomieszczeń sułtana, które pod jego nieobecność zajął wielki wezyr.

Dobrze znałem jego upodobanie do zbytków i wygody, więc nie zaskoczył mnie widok Kara Mustafy leżącego na jedwabnych poduszkach i karmionego przez dwie półnagie nałożnice podające mu owoce wprost do ust ze złotych sułtańskich tac. Na mój widok strapił się, odesłał też dziewczęta niedbałym machnięciem i uniósł się z legowiska, by mnie uściskać. W porę jednak się powstrzymał, poczuwszy smród, który ode mnie bił.

– Już cię pochowałem, chłopcze – powiedział ze łzami w oczach. – Jak się cieszę, że cię widzę. Co oni ci zrobili? Ta krew, ten straszny stan, kajdany! Każę ściąć wszystkich przeklętych giaurów!

– To nie Polacy – odparłem. – Poza tym nic mi nie jest, trochę tylko się pobrudziłem. Wybacz, panie, moją odrażającą powierzchowność. Nie miałem okazji się umyć...

– Dobrze, nic nie mów. Przejdziemy do łaźni, tam mi wszystko opowiesz – rzekł i zaklaskał głośno, wzywając eunuchów.

Nie minęło wiele czasu, a tkwiłem nago na stołku, szorowany i polewany wodą przez trzy dziewczęta z haremu wezyra. Potem wylądowałem w sułtańskim basenie zbudowanym z najszlachetniejszych marmurów, z barwną mozaiką na dnie. Kara Mustafa siedział i mi się przyglądał, zadając krótkie, precyzyjne pytania. Oczy miał półprzymknięte, przez co wyglądał niczym leniwy stary kocur. Wiedziałem jednak, że słucha bardzo uważnie i nie spuszcza mnie z oka. Nie umknęło też mojej uwagi, że w rogach pomieszczenia stoi czterech białych eunuchów uzbrojonych w pałasze. Niby z okazji stanu wojny, ale podejrzewałem, że wystarczy jedno uniesienie brwi wezyra i moja głowa wyląduje na dnie basenu.

Starając się jak najmniej zmyślać, opowiedziałem z grubsza prawdę o postępach inwazji. Nie przyznałem, rzecz jasna, że Talaz został opętany i jest tylko częścią istoty, którą tworzy z obcym najeźdźcą. Lepiej, by Kara Mustafa nie wiedział, że ma do czynienia z byłym dowódcą wrogiej armii. Pamiętałem, że potrafi być bezwzględny i okrutny.

– Radzisz więc, byśmy czym prędzej opuścili Stambuł? – powiedział. – Ech, wiesz, że to niemożliwe. Sułtan zostawił mi jasny rozkaz. Mam ocalić jego stolicę, nie mogę zatem poddać miasta, a tym bardziej z niego uciec. Musimy znaleźć inny sposób na pokonanie wroga, koszta są nieważne.

Nawet nie mrugnąłem, spodziewając się właśnie takiej odpowiedzi. Ciekaw byłem, co takiego planuje razem z bejami. Kolejną ofensywę z użyciem armat? Podejrzewałem, że więcej zniszczeń i pożarów spowodował ostrzał artyleryjski niż

działania inwazerów, ale informowanie o tym wezyra nic by nie zmieniło. Wysyłając kolejne hordy pospolitego ruszenia do samobójczych ataków, jedynie dostarcza Wielojazni materiału na budowę oraz niewolników. Stwierdziłem, że gdy tylko przywróci mnie do służby, zacznę planować, jak uciec z pałacu razem z Polakami.

Kiedy porządnie się wymoczyłem, przyniesiono mi nowe ubranie. Spodnie i koszulę. Dwóch służących trzymało ją, bym mógł wygodnie włożyć ręce w rękawy. Kara Mustafa przyglądał się temu z nieodgadnioną miną. Wsunąłem się w podane ubranie i wtedy poczułem, że na moich nadgarstkach znów zatrząskują się ciężkie żelazne okowy. Służący wykręcili mi ręce za plecy, a dwa pierścienie szybko połączyli sznurem.

– Chcę ci kogoś pokazać – rzekł wezyr i ruszył przodem.

Popchnięto mnie brutalnie, co nie wróżyło niczego dobrego. Cholera, ktoś musiał mnie widzieć wśród opętanych i doniósł wezyrowi. Teraz mają mnie za szpiega. Kara Mustafa udawał gościnnego i przyjacielskiego, by wybadać moje zamiary. Może sprawdzał moje oddanie i szczerłość? Nie napomknąłem słowem o swoich związkach z Wielojaznią, więc potraktował mnie jak wroga. Skoro radziłem mu ucieczkę, tylko utwierdził się w postanowieniu, by twardo bronić miasta. Znów schrzaniłem! Chyba żaden ze mnie demiurg, popełniam zbyt wiele błędów!

Przeszliśmy do mniej wystawnych budynków pałacowych i znaleźliśmy się w cichej, przytulnej komnacie. Stało w niej łóżko, w którym leżał blady i mimo chłodu panującego w pomieszczeniu, spocony Abdul Aga.

Przeżył! Byłem przekonany, że się wykrwawił lub stratowali go husarze. Co za niedopatrzenie z mojej strony. I to kolejne.

Chyba syknąłem na widok zupowego, bo wezyr aż się uśmiechnął. Jeden z towarzyszących nam eunuchów złapał mnie za kark i zmusił do ukłęknięcia. Bardzo niezgrabnie i topornie – chyba nigdy nie ćwiczył ze mną sztuki posługiwania się dłońmi.

– To niezwykle, że Allah nagroził mnie w taki sposób – cicho powiedział dowódca janczarów. – Oddał w moje ręce zdrajcę, który zadał mi śmiertelną ranę. Cóż mam teraz zrobić, Talazie? Pragnę wbić ci nóż w kiszki i rozpruć je, byś cierpiał tak jak ja. Tylko że już raz cię pchnąłem, a nie widać, byś odniósł jakąkolwiek ranę. Nie tylko walczyłeś razem z opętanymi, ty jesteś jednym z nich. Nie zabiję cię więc, choć starczyłoby mi jeszcze sił, by wydrzeć ci serce gołymi rękoma. Muszę poświęcić ten wspaniały dar wezyra dla dobra ojczyzny. Oddam cię na męki, byś wszystko nam ładnie wyśpiewał. A może chcesz zacząć gadać od razu, bez zbędnego angażowania w to katów i chirurgów?

Pokiwałem głową. Cóż miałem do stracenia? Zdecydowałem się powiedzieć im całą prawdę. I tak nie uwierzą w moje dobre intencje i będą mnie torturować,



ale przynajmniej zyskam kilka chwil. Może uda się oswobodzić ręce i uciec? Na moje ramiona opadły łapy dwóch wielkich eunuchów, unieruchamiając mnie w stalowym uścisku.

Nie mogłem nawet drgnąć. Pozostało mi tylko mówienie.

## **Stambuł**

### **20 dżumada II Anno Hegirae 1088**

### **20 sierpnia Anno Domini 1677**

Dorota nie mogła zmrużyć oka. Leżała w namiocie na posłaniu z rozłożonego bezpośrednio na ziemi koca i nasłuchiwała. Jitka oddychała cicho i spokojnie – spała jak zabita i nie przeszkadzały jej dobiegające zewsząd podekscytowane głosy Polaków, kroki, pobrzękiwanie rynsztunku, rzenie koni, szумы i trzaski. Rana od noża okazała się niespecjalnie głęboka, ostrze nie uszkodziło żadnego organu, przeszło tylko przez skórę i mięśnie. Nie ropiała i szybko się zasklepiła, dziewczyna miała zatem szczęście. W ciągu kilku dni powinna odzyskać siły.

Przez płótno przebijały białe błyski i migotanie. Ich źródłem było upiorne czarne drzewo, ogromna obrzydliwość górująca nad miastem. W ciągu dnia urosła dwa razy, w dodatku nocą świeciła, tak jak cały fort obcych, który powstał u jej podnóża. Stambuł lśnił zatem w ciemności, na wyludnionych ulicach było jasno niczym w dzień. Tak samo jak na dziedzińcach pałacu, na których kłębiło się od ludzi. Niemal nikt nie spał, wszyscy czekali na szturm armii odmieńców i obserwowali przemiany, jakim ulegała obrzydliwość. Dorota, która po oddaniu się pod opiekę Polaków nadal korzystała z ich gościny, uparła się, że wreszcie się prześpi. Musiała odpocząć, czuła, że inaczej zwariuje ze strachu i przejmującego żalu po utracie majątku. Nie powinna przejmować się obcymi. Gdyby wszak odmieńcy chcieli zgnieść obrońców pałacu, już by to zrobili. Nie sądziła, by obawiali się hufców wezyrskich. Bardziej prawdopodobne było, że skupili się na swoich sprawach, zostawiając sobie ludzi na później. To, co na razie chcieli osiągnąć, już osiągnęli – rozbili szturmujące ich teren oddziały, wyparli janczarów i uzbrojoną hołotę na obrzeża miasta. Ponoć od czasu do czasu ich latające maszyny atakowały większe skupiska uchodźców, by wyłapywać jeńców. Widocznie na razie im to wystarczało.

Spać się jednak nie dało, bo atmosfera w obozie była nadzwyczaj nerwowa. Janczarzy próbowali zmusić Polaków, by oddali im całą broń, na co podgolone łby za nic w świecie nie chciały się zgodzić. Omal nie doszło do krwawej rozprawy, bo w czasie rozmów Gnińskiego z dragomanem świta poselska utworzyła z kilkuset zgromadzonych na dziedzińcu wozów obóz warowny, który obsadziła uzbrojonymi w broń palną. I tak oto wewnątrz obleżonej twierdzy pojawiła się kolejna obleżona twierdza, a oblegani oblegali swoich gości. Sytuacja była dziwaczna i nie wróżyła niczego dobrego.

Nagle zaszeleścił materiał przy wejściu do namiotu. Al-hakima usiadła na posłaniu i sięgnęła pod zwinięty pled służący jej za poduszkę. Trzymała pod nim pistolet подарowany przez Semena Błońskiego w nagrodę za przekazanie cennego jeńca. Ktoś próbował dostać się do środka, ale Dorota zapobiegliwie zasnurowała starannie poły. Kucnęła przy posłaniu Jitki i potrząsnęła nią. Dziewczyna usiadła natychmiast z szeroko otwartymi z przerażenia oczyma, a potem syknęła z bólu. Wcale zatem nie spała tak spokojnie, jak się wydawało. Poruszyła się zbyt gwałtownie i rana dała jej się we znaki.

Al-hakima odciągnęła kurek pistoletu.

– To ja, Jakub Kęsicki – odezwał się głośno intruz. – Przysłał mnie sam kanclerz Gniński. Jest waćpani wzywana, by udzielić doktorskiej pomocy. Ważna sprawa.

Dorota jednym szarpnięciem rozsnurowała wejście. Młody husarz wpadł do środka i uklonił się obecnym w pas. W panującym półmroku, rozjaśnianym co chwila białymi błyskami piorunów pelzających po czarnym drzewie, starał się dostrzec Jitkę. Nieskładnie zameldował coś o palącej potrzebie ratowania ранego oraz o tym, że powinny się pakować, bo lada chwila może paść rozkaz odjazdu.

– *Turci nás uvolní z paláce?* – spytała Jitka.

– W pewnym sensie. Właściwie tylko niektórzy nas uwolnią, pozostałym uciekniemy – wyjaśnił nieprecyzyjnie rycerz, po czym rzucił się do nóg siedzącej dziewczyny. – Czy bardzo waćpanna cierpi? Jak mógłbym jej ulżyć w niedoli? Pozwól, że wyniosę cię z tego zamętu na rękach, byś nie musiała znosić mąk wędrówki.

Wcześniej, gdy husarze znaleźli obie kobiety w ruinach i młodzieniec ujrzał zakrwawioną Jitkę, omal nie zarąbał szabłą Talaza, wzięwszy go za sprawcę jej ran. Potem dowiózł niewolnicę do obozu, trzymając ją przed sobą na koniu. Dorota musiała iść za husarzami. Teraz pokręciła tylko głową, widząc miłosny obłęd w oczach żołnierza. Nie zwracając uwagi na młodych, sięgnęła po swoją torbę lekarską – jedyny majątek, jaki jej pozostał z gromadzonego latami bogactwa. Sprawdziła, czy lancety są na swoich miejscach, tak samo jak fiołki i słoiczki z maściami. Chirurgiczne ostrza i szczypce zostały wykonane na zamówienie z najlepszej stali, w dodatku rękojeści skalpeli i nożyków opracowano w kość

słoniową. Prawdziwe cacka, warte tyle co tuzin dziewic lub sześć doświadczonych kucharek. I pomyśleć, że w ciągu dwóch dni straciła dorobek całego życia. Tyle lat pracy, wyrzeczeń, brutalnej walki o przetrwanie w świecie zdominowanym przez mężczyzn i... puf! Wszystko znikło, rozwiało się jak dym.

Jakub musiał zostawić Jitkę. Ucałował jej dłonie i nalegał, by odpoczywała, obiecał również, że będzie się za nią modlił. Ślicznotka zatrzepotała rzęsami i gdy wychodził, rzuciła mu powłóczyście spojrzenie. Jak zawodowa ladacznica, pomyślała z roztargnieniem Dorota. Musiała się napatrzeć na sztukę uwodzenia w czasie szkolenia niewolnic lub po prostu ma to we krwi i czaruje go zupełnie intuicyjnie.

W końcu przeszła przez obozowisko za husarzem. Tłoczno tu było niczym na stambulskim targowisku w godzinach szczytu. Warowny obóz musiał być mocno ściśnięty, by zmieściło się w nim całe poselstwo razem z końmi i służbą. Niby część Polaków odpoczywała w namiotach, ale właściwie większość kręciła się podeksycytowana między namiotami a wozami. Trwały nieustające dyskusje i spekulacje, każdy był też w coś uzbrojony, nawet kucharze i podkuchenni chłopcy dzierżyli w rękach noże i tasaki. Tylko w jednym miejscu dostrzegła klęczących i w skupieniu oddanych modlitwie. Mszę odprawiał jeden ze spowiedników towarzyszących poselstwu, młody ksiądz, który zastąpił zaginionego Lisieckiego.

W końcu husarz wprowadził ją do namiotu samego kanclerza. Paliły się w nim oliwne lampki, na środku znajdował się składany stolik z rozłożonym planem. Zgromadziło się tu kilku dostojników, wojewodowie i stolnicy w żupanach, stało także czterech janczarów, ale uwagę przyciągali nie oni, lecz przystojny, choć okrutnie okrwawiony i poobijany Turek leżący na noszach. Janczarzy musieli być tylko tragarzami, którzy go przynieśli, bo grzecznie wycofali się pod ścianę. Dorota dygnęła nieznacznie przed Gnińskim, a ten z zafrasowaną miną wskazał jej leżącego półnagiego mężczyznę.

– To jedyna osoba, która wie, jak powstrzymać obcych – powiedział krótko.  
– Proszę za wszelką cenę utrzymać go przy życiu.

Dorota na końcu języka miała pytanie, jak wysoka jest cena jego życia, bo jej usługi też sporo kosztują. Zmilczała jednak, w myślach odnotowując sobie, że jeśli wyjdzie z tego żywa, powinna doliczyć tę usługę do końcowego rachunku, który wystawi Polakom. Tymczasem uklękła przy rannym i położyła dłoń na jego czole. Otworzył oczy i dopiero wtedy go poznała.

– Talaz Tayyar! – syknęła. – Przekazałam cię Polakom w dobrej wierze, nie sądziłam, że tak cię spiorą. Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale cholernie mi przykro. W końcu uratowałeś mi życie, wynosząc z samego piekła. Teraz czuję się, jakbym to ja cię tak urządziła.

– Ech, to nic takiego – wychrypiął Talaz. – I nie Polacy mnie sprali. To efekt rozmowy z wezyrem i janczarami. Nie jest źle, nie połamali mi gnatów, tylko mnie

chłostali, posypywali solą i przypalali żelazem. Pokiereshowali mi jedynie skórę, żadne narządy wewnętrzne nie są naruszone. Wytrzymaj mnie i przemyj jakimś antyseptykiem...

– Czym?

– Tym, czym zwykle przemywasz rany – jęknął. – Niech przygotują mi coś pożywne do jedzenia. Potrzebuję dużo energii, by się szybko zregenerować. Przeszawię metabolizm na wyższy bieg, dojdę dzięki temu do siebie w ciągu doby, może dwóch. Muszę dużo jeść, by to się udało.

– Potrafisz przyspieszyć leczenie ran? – Dorota aż zadrżała.

Znów poczuła palącą falę ciekawości, zadrgała w niej żyłka naukowca i badacza. Rzuciła tylko przez ramię, by przyniesiono wody w misce oraz czyste kawałki płótna i by kucharz szybko dał z zapasów coś tłustego i pożywne, najlepiej bulion z mięsem. Potem skupiła się na pacjencie. Jej ręce poruszały się szybko i sprawnie, obmacując go i badając uszkodzenia.

– Potrafię w pewnym zakresie wpływać na wydolność organizmu. Ciało Talaza zostało odmienione w chwili, gdy je zasiedlałem. Nie jest to zatem zdolność przyrodzona czy wyuczona, ale udostępniona za pośrednictwem zaawansowanej technologii.

– Używasz słów niezrozumiałych nawet dla mnie, choć nie jestem w ciemną bita – mruknęła Dorota. – Musisz brać poprawkę na to, że posługujemy się innym systemem pojęć. Mówimy tym samym językiem, ale pochodzimy z innych światów. Musisz uprościć wypowiedź, dostosować ją do mojego poziomu.

– Dobrze. Po prostu, gdy się skupię, mogę być trochę silniejszy, szybszy i zwinniejszy niż zwykły człowiek. Ach, i pośpiesz się z tym opatrywaniem, mamy mało czasu. Za godzinę ruszamy.

– Ruszamy? Jesteśmy otoczeni i zamknięci w strzeżonej twierdzy.

Talaz uśmiechnął się i nic nie powiedział. Dorota spostrzegła jednak, że coś się dzieje. Wszyscy wyszli z namiotu, a po chwili usłyszała szelest i ujrzała, że jego ściany się opuszczają. Służba zaczęła zwijać siedzibę kanclerza, nie zwracając uwagi na al-hakimę i jej pacjenta. Kiedy Dorota skończyła go bandażować, po namiocie nie było już śladu, wokół zaś panował jeszcze większy harmider, zaprzęgano konie do wozów i rychtowano wierzchowce. Dostojnicy i poselstwo ładowali się do karet, pokrzykując na zbrojnych i służbę, a ci darli się na parobków i koniuchów. Wśród kłębiących się Polaków widać było białe kaftany i wysokie czapy janczarów. To ostatnie szczególnie zaintrygowało kobietę.

– Janczarzy połączyli siły z Polakami? – bąknęła. – To niemożliwe.

– Kosztowało mnie to sporo bólu, ale chyba udało mi się zaaranżować to przymierze – stwierdził Talaz.

Nagle przy noszach znów pojawili się czterej janczarzy. Chwycili je i unieśli, po czym szybko podbiegli z nimi do otwartego wozu, na którym ulokowano już

innych rannych, a konkretnie Jitkę i jakiegoś bladego jak trup janczara w oficerskim mundurze. Dorota aż syknęła, ujrawszy go tutaj. To był jej oficer prowadzący, drań, który skłonił ją do szpiegowania – zupowy Abdul Aga.

Obok wozu stało kilku tureckich żołnierzy i Jakub, który dyskutował zawięciem z siedzącym w siodle Michałem Piotrowskim. W końcu rotmistrz pancernych wydarł się na młodzieńca i wskazał mu formującą się chorągiew husarską. Jakub pochylił głowę niczym zbity szczeniak, ale zanim odszedł, by dołączyć do oddziału, rzucił jeszcze Jitce tęskne spojrzenie.

Pan Michał podjechał do Doroty i skinął jej głową na powitanie.

– Spotkał mnie zaszczyt eskortowania tego wozu – oznajmił z ponurą miną. Chyba nie był tym zadaniem zachwycony. – Bo znam turecki i mam dobre kontakty z bisurmanami. Odpowiadam głową za to, by rannym nic się nie stało. Ci dwaj Turcy są niezwykle cenni. Waćpani łaskawa będzie otoczyć ich opieką medyczną, a ja wam wszystkim zagwarantuję bezpieczeństwo. Znów dostałem na tę okoliczność tuzin pancernych pod dowództwo, a do tego pięćdziesięciu janczarów. Może tym razem nie dopuszczę, by moich podopiecznych porwali obcy, a jeśli już do tego dojdzie, przynajmniej dam się zabić...

Dorota wdrapała się na wóz, zerkając na naburmuszonego pancernego. Widocznie nadal doskwierało mu to, że stracił blisko dwie setki odzyskanych jeńców i cały oddział. Zanim jednak zdążyła rzucić mu coś na pocieszenie, zabrzmiały trąbki i warowny krąg wozów rozjechał się, formując kolumnę. Gdzieś z przodu, przy bramie pałacu rozległy się krzyki i pojedyncze strzały. Dorota ze zgrozy wbiła palce w burtę wozu – strzały znały, że Polacy opuszczają Topkapi wbrew woli wezyra. Za chwilę mogło dojść do krwawej rozprawy między chwilowymi sojusznikami.

Z chrzęstem i łomotem poselstwo ruszyło z kopyta. Już po chwili wóz, podskakując na ciałach zabitych, przejechał przez bramę i wypadł na zewnątrz. W przelocie Dorota dostrzegła janczarów walczących z gwardzistami, by umożliwić Polakom ucieczkę. Na murach trzasnęło kilka muszkietów, ranny koń zaczął wierzgać i kwiczeć trafiony w bok. Na koniec grzmotnął głucho armatni wystrzał. Kartacze zadzwoniły na bruku i uderzyły w jedną z karet, wrywając fontanny drzazg i wbijając się w drewno. Z kozła spadł zabity na miejscu woźnica, ale lejce przejął jego pomagier, tylko lekko ranny w nogę. Chwilę później kolumna wozów i jeźdźców zniknęła między domami, zostawiając pałac z tyłu.

Al-hakima zorientowała się, że Jitka, nie przejmując się kołysaniem i podskakiwaniem wozu, zajęła się ciężko rannym Abdul Agą. Ocierała mu czoło wilgotną ścierką. Talaz tymczasem usiadł i posilał się kawałem białego sera z kminkiem, który dostał od podkuchennego. Cała trójka zachowywała się, jakby nie działo się nic przerażającego.

– To byli twoi ludzie? – Dorota zwróciła się do zupowego. – Dlaczego

zdecydowałeś się nas wypuścić? To przecież bunt! Wypowiedziałeś wierność seraskierowi, obedną cię za to żywcem ze skóry!

– Nie wiadomo, czy dożyję – odparł janczar. – Podjąłem ryzyko, zawierzyłem Talazowi, a raczej istocie, w którą się przemienił. Nakłoniłem też do tego pozostałych agów z pułku. Do Edirne będziecie zatem mieli silną eskortę. Na wypadek gdybym nie przeżył podróży, niech kanclerz powtórzy sułtanowi, że zrobiłem to dla niego i dla imperium. Nie mogłem patrzeć, jak wielki wezyr skazuje moich ludzi i mieszkańców Stambułu na śmierć w bezsensownej, pozbawionej szans na zwycięstwo walce. Zdecydowałem się darować Talazowi nawet to, że mnie uśmiercił. Niech w ramach zadośćuczynienia unicestwi boga, który zniszczył miasto.

Dorota pokiwała głową, a potem wbiła się w kąt wozu, by przeczekać galopadę uliczkami miasta. To samo kazała zrobić Jitce – usiąść spokojnie obok i wstrzymać się z pomocą rannym do wydostania się z miasta. Dopóki go nie opuściły, w każdej chwili mogli zaatakować opętani.

– Spokojnie, wiem, gdzie są. Ciągle jeszcze korzystają z ezoterycznej sieci informacyjnej, posługują się telepatią – odezwał się Talaz. – Dopóki nie przejdą na łącze kwantowe, będę odbierał meldunki oficerów i rozkazy dowództwa. Niestety część szturmowców i inwazerów przeszła na łączność radiową, a ci, których Wielojazń nagrodziła odtworzeniem ich oryginalnych ciał, kontaktują się ze sobą, korzystając z przyrodzonych zmysłów. Pajęczaki i owadopodobne używają znaczników chemicznych i zapachów, krzemoorganiczne golemu posługują się drganiami ziemi i wysokoenergetycznym promieniowaniem, skrzydlaci rozmawiają infradźwiękami. Widocznie nie został jeszcze mianowany nowy demiurg i w armii przeciwnika panuje niejaki chaos. To nasza szansa, by zwać.

Jadący tuż przed wozem rotmistrz Piotrowski obrócił się w siodle i spojrzał groźnie na Talaza. Nie ufał mu i nie wierzył w jego obietnice wygnania potworów. W razie jakichkolwiek kłopotów zamierzał w pierwszej kolejności przystawić pistolet do głowy byłego *lali* i wpakować mu w nią ołowianą kulę. Talaz, zupełnie nieświadomy tych myśli, uśmiechnął się szeroko do pancernego i spytał, czy ten nie ma przypadkiem w bukłaku wina lub jakiegoś innego pożywnego napoju. Jak na świeżo wyrwanego z łap oprawców trzymał się zaskakująco dobrze, sprawiał wręcz wrażenie zadowolonego z życia. Rotmistrz sięgnął bezwiednie po bukłak i podał go Talazowi. Ten wypił kilka tęgich łyków, nawet nie narzekając, że to jednak tylko woda.

Kolejne minuty były dla Doroty wiecznością. Poselstwo rozciągnęło się na długość dwóch ulic, w dodatku poruszało głośno, z łomotem i chrzęstem, nawołując się w ciemnościach i pokrzykując. Niektórzy pacholkiwie zapalili pochodnie, choć mrok i tak rozjaśniały pioruny. Białe, zimne światło rzucane przez koszarne drzewo zalewało ciemne przesmyki między domami upiornym

blaskiem. Wszystko rzucało długie, czarne cienie, poruszające się gwałtownie, nieludzkie i mroczne. Dorocie kojarzyły się ze skradającymi się i szykującymi do ataku opętanymi, co chwila miała wrażenie, że za moment skoczą ku nim całą hordą, by rozrywać na strzępy lub, co gorsza, powieść ku piekielnej obrzydliwości.

Drzewo kołysało się nieustannie, górując nad miastem, nad dachami i wieżami minaretów. Po jego konarach i pniu bez przerwy spływały białe pioruny, niczym żyły wielkiej żywej istoty. I te dźwięki: szum, szelest i dobiegające z oddali zawodzenie, jakby wrzask tysięcy ludzi. Nic dziwnego, że Polacy robili hałas – chyba głównie po to, by zagłuszyć tę upiorność.

Początkowo posuwali się równolegle do brzegu zatoki, a po minięciu Twierdzy Siedmiu Wież skierowali ku północy, gdzie rozpoczynał się trakt do Edirne, przez chrześcijan zwanego Adrianopolem. Po jakimś czasie Dorota poddała się jednostajnemu rytmowi wozu, a by nie widzieć koszmaru górującego nad miastem, zamknęła oczy. Wreszcie oparła głowę na ramieniu Jitki. Niewolnica wtuliła się w nią, przykrywszy obie kocem. Brak snu i przemęczenie w końcu zwyciężyły i al-hakima zapadła w sen.

## **XIV**

### **Lüleburgaz**

**23 dżumada II Anno Hegirae 1088**

**23 sierpnia Anno Domini 1677**

Przyszła do mnie nocą, właściwie nad ranem. Miała długą, najeżoną setkami zębów paszczę i kolczasty grzebień na wyciągniętym gadzim łbie. Jej żółte oczy z pionowymi źrenicami lśniły niemą groźbą, zdawały się zupełnie pozbawione emocji, przez co były jeszcze bardziej przerażające. Czułem, że Jasmina pragnie wbić zęby w moje trzewia i rozszarpać mnie, a potem pożreć kawałek po kawałku. Była blisko, czułem jej oddech ohydnie śmierdzący zgnilizną i krwią. Jej wielkie skrzydła łopotały na wietrze, zasłaniając całe niebo. Leciała po mnie, była coraz bliżej.

Zerwałem się z krzykiem, budząc zwiniętych na posłaniach janczarów. Któryś z nich przeklął plugawie i pogroził mi pięścią. Przeprosiłem ich grzecznie, bo okazało się, że dopiero świta. Trzy dni szybkiego marszu nie zmęczyły ani przywykłych do wysiłku tureckich piechurów, ani jadących konno Polaków, ale zdecydowanie wyczerpały ich nieustający niepokój i poczucie zagrożenia. Po drodze natknęliśmy się bowiem na wypalone ruiny wielkiego karawanseraju, co dowodziło, że obcy robią rajdy daleko poza miasto, by łapać niewolników i ofiary. Dzień później dostrzeżono na niebie kilka podłużnych kształtów, lecz na szczęście skierowały się one na południe. W każdej chwili spodziewaliśmy się zatem, że opętani mogą dosłownie spaść nam na głowy.

Na domiar złego dwa dni temu straciłem łączność telepatyczną. W płaszczyźnie astralnej zapanowała cisza, co świadczyło o tym, że obcy wykorzystywali teraz inne, z pewnością bardziej zaawansowane technologicznie medium. Nie miałem przez to podglądu ich systemu dowodzenia i nie wiedziałem, co planują. Gdybym choć wiedział, kim jest nowy demiurg! Znałem ich wszystkich, walczyłem z nimi ramię w ramię i przy odrobinie wysiłku byłbym w stanie przewidzieć ich sposób działania. Nic jednak z tego.

W dodatku system telepatyczny ożył w chwili, w której się tego nie



spodziewałem. Jasmina aktywowała go na wszystkich pasmach, nawet tych najgłębszych, wysyłając po całej płaszczyźnie astralnej ów paskudny koszmar ze sobą w roli głównej. Nie padało ani jedno słowo, był tylko obraz, wizja, w której nadlatuje, a do tego mrozący krew w żyłach przekaz emocjonalny. Groźba i obietnica mordy.

Wyszedłem przed zajazd i skierowałem się do studni, by połać się zimną wodą. Może, jeśli będzie czas, uda się później skorzystać z miejscowej łaźni? Och, ile bym dał za porządny masaż i nacieranie wonnymi olejkami! Potem zrobiłbym sobie delikatny makijaż oczu i włożył miękkie, pachnące stroje... Uśmiechnąłem się do siebie, a właściwie do Talazowej części mojego ja. To były oczywiście jego pragnienia. Nie widziałem w nich nic złego, zdążyłem już w zupełności pogodzić się ze sobą. Osiągnąłem równowagę w swoim łączącym dwa ego bycie.

Nabrałem wody w kubełek, umyłem dłonie i spryskałem twarz. Potem wykonałem kilka prostych ćwiczeń, by rozruszać mięśnie, a przede wszystkim ukrwić skórę. Siniaki już znikły, zostały tylko różowe pręgi po biczach i strupy po poparzeniach. Za tydzień nie będzie śladu, że tak mnie skatowano. Nie miałem żalu o tortury ani do Kara Mustafy, mojego dawnego kochanka, ani do Abdul Agi, który pałał żądzą zemsty. Bicie przykre było tylko dla Talaza, dla właściwego mnie stanowiło wyłącznie niedogodność. Gdyby ci żałośni kaci wiedzieli, co zniosłem w poprzednich wcieleniach, na ile sposobów mnie zabijano i dręczono! Rozpadałem się na kawałki od twardego promieniowania, pożerały mnie setkami lat wewnętrzne pasożyty, siekano mnie neurobiczami, gotowano mikrofalami, topiono w morzach wrzącego kwasu siarkowego, a mój ból scyfryzowano i zapisano w pamięci, by uczynić mnie twardszym i bardziej posłusznym. Czym przy tym było przypalanie żelazem? Ledwie łaskotkami.

Dopiero świtało, ale w obozowisku trwał już ruch. Sługi i kuchciki zwlekli się z posłań i zabrali do pracy. Zaczęto rychtować konie, szykować obrok dla zwierząt i śniadanie dla panów z poselstwa. Znaczyło to, że Gniński postanowił czym prędzej ruszać w dalszą drogę. Zatem łaźnia przepadła, ale z drugiej strony to dobrze. Sen wskazywał, że Jasmina dostała od Wielojaźni swoje ciało i właśnie wyruszyła na polowanie. Musiałem zniknąć. Jeszcze za wcześnie było na konfrontację, w tej chwili nie miałem z nią najmniejszych szans.

Z budynku wyszła również al-hakima i natychmiast skierowała się w stronę pałacu po przeciwnej stronie drogi. To tam ulokowali się panowie szlachta, korzystając z gościnności miejscowego efendiego. Lekarka miała przeruconą przez ramię lekarską torbę, a kilka kroków za nią dreptała ze skwaszoną miną Jitka. Niewolnica nadal cierpiała, ale mogła już swobodnie się poruszać i towarzyszyć swojej pani.

Na mój widok Dorota skinęła głową i przystanęła, nad czymś się zastanawiając. Podeszedłem i wykonałem z gracją taneczny ukłon, trochę jeszcze

w ramach ćwiczeń rozciągających.

– Przyśnił nam się smok – powiedziała bez wstępów. – Obie obudziłyśmy się z krzykiem, w tej samej chwili. Właściwie to była smoczyca, wielka i zła jak sto diabłów. Co to mogło być?

– Ech, to była wiadomość dla mnie – odparłem nieco zaskoczony. – Jasmina, moja niedawna podwładna, zamierza mnie zgładzić. Wysłała ostrzeżenie, czy raczej coś w rodzaju ryku wściekłości. A to, że i wy dwie go odebrałyście, jest bardzo ciekawe. Sen był telepatycznym impulsem rozesłanym po płaszczyźnie bez wskazania konkretnego odbiorcy, bo Jasmina nie wie, gdzie się znajduję. Dlaczego i wy odebrałyście przesłanie? Byłyście więzione bardzo blisko otwartej bramy, z której ciągle sączyło się promieniowanie ezoteryczne. Widocznie zostałyście uczulone, porażone mocą...

– To samo spotkało Papatyę. Napromieniowanie – stwierdziła Jitka. – Zaczęła słyszeć głosy, zachowywała się jak szalona, a w końcu nie chciała ratować życia i dała się rozerwać na strzępy. Nas też to czeka?

– Nie wiem, co was czeka, ale tylu głosów co Papatya nie będziecie słyszały, bo kanał telepatyczny został zamknięty – powiedziałem uspokajająco.

Ruszyłem do pałacu razem z kobietami, licząc na to, że może da się tam dostać coś do jedzenia. Głodny bowiem byłem jak wilk, mój organizm pracował na pełnych obrotach i domagał się energii.

– Mam rozumieć, że Jasmina wygląda teraz jak smok z koszmaru? – spytała Dorota.

– Niestety właśnie taką ma oryginalną cielesność. Wielojażń potrzebowała aż czterech dni, by zbudować jej ciało. Podejrzewam, że jako budulec nie została użyta zestalona informacja, lecz ciała jeńców – stwierdziłem. – To dlatego trwało to tak długo.

– Szuka cię wielka smoczyca? – zdumiała się Jitka. – Dziwne, ale po tym, co widziałam, nawet już nie mam siły się bać...

– Właśnie wyruszyła na polowanie. Ale nie lękajcie się, zadanie ma mocno utrudnione – powiedziałem lekko. – Przede wszystkim nie wie, gdzie jestem, a nie sądzę, by przyszło jej do głowy, że zmieniłem front i stanąłem po stronie ludzi. Nigdy dotychczas nie zdradziłem Wielojażni, najwyżej przed nią uciekałem, by chronić swą cielesność. Nie będzie więc atakowała zgrupowań wojskowych.

– A psy gończe? Obcy nie dysponują czymś takim? – spytała Dorota. – Nie mogą cię wywęszyć?

– Owszem, pająkowaci chirurdzy zapamiętali mój zapach i mogą dołączyć do poszukiwań, o ile nie mają ważniejszych zadań, a obecnie z pewnością zajmują się głównie obsługą i podtrzymywaniem czynności życiowych bioprocesora, który ciągle napędza Wielojażń. Poza tym nie chwyciliby tropu tak łatwo, wszak ze Stambułu uciekły setki tysięcy ludzi!

– Uff, trochę mi ulżyło – westchnęła Jitka. – Smoczyca polata zatem nad miastem i okolicą, może się zmęczy i da spokój. Nie ma sposobu, by odnaleźli cię w inny sposób? Korzystając ze snów lub czegoś takiego?

– Mogliby wyśledzić mnie, korzystając ze wzorca osobowościowego. Każda istota myśląca produkuje informacje, które zostawiają ślad w infopolu. Coś jak odcisk stopy na piasku lub smuga kondensacyjna na niebie. Niektórzy, o umyśle dostatecznie silnym, zostawiają głębsze i trwalsze ślady, szczególnie gdy tworzą idee, teorie lub wynalazki, które potem żyją w umysłach innych ludzi. Wtedy na wieki odciskają piętno w lokalnym infopolu. Wracając do rzeczy, gdyby nowy demiurg zdobył dokładny zapis mojej osobowości, mógłby wytropić mnie w infopolu i zlokalizować w trójwymiarowej przestrzeni. Na szczęście takiego zapisu nie ma – uspokoilem bardziej siebie niż kobiety.

Do pałacu wpuszczono nas dopiero, gdy Dorota przedstawiła się jako al-hakima udająca się do rannego oficera. Dwóch eunuchów odprowadziło nas pod same drzwi komnaty, w której odpoczywał zupowy, nie dając mi szans, by zniknąć w poszukiwaniu kuchni. Musiałem zatem znów patrzeć na nieszczęśnika, którego dźgnąłem.

Abdul Aga wyglądał coraz gorzej, wyraźnie słabł z dnia na dzień. Na mój widok tylko zmarszczył brwi, ale nie miał sił oponować. Dorota sprawnie zdjęła opatrunek z jego brzucha i podała przesiąkniętą ropą bandażę Jitce. Spojrzałem al-hakimie przez ramię. Brzuch zupowego wyglądał naprawdę źle. Rana była zaogniona, sączył się z niej różowy płyn. To było osocze wydzielane przez przebitą otrzewną. Mój jatagan z pewnością naruszył też jelita zawierające bardzo bogatą florę bakteryjną. Niemal na pewno spowodowało to infekcję i rozwijający się stan zapalny. Bez silnych antybiotyków i przede wszystkim porządnego zaszycia jelit i otrzewnej nie było co marzyć o uzdrowieniu. Niestety Dorota, mimo że należała do najlepszych medyków w tym świecie, nie miała bladego pojęcia o istnieniu bakterii ani o leczeniu takich ran. Ocierała jedynie i przemywała ranę skóry oraz wmuszała w Abdula ziółka łagodzące ból. Więcej i tak nie mogła zrobić. Wypytywała go jeszcze o dodatkowe dolegliwości i o to, czy jadł zapisane przez nią lekkostrawne potrawy.

– Jadłem, ale po nich kiszki bołą mnie nie do wytrzymania. I mam krwawy stolec – przyznał zupowy.

Dorota pokiwała głową. Z pewnością wiedziała, co to znaczy: jelita janczara były pokiereszowane i ich treść sączyła się do brzucha. Abdula czekał bolesny, paskudny i prawdziwie smrodliwy koniec. Podała mu zwinięty pęk szypulek konopi do żucia, ale oficer nie chciał ich wziąć.

– Mam po nich paskudne sny – powiedział. – Dziś nad ranem widziałem smoka. Wolę być przytomny.

– Jeśli chcesz podróżować z nami, musisz chronić się przed bólem –

powiedziała. – Inaczej nie zniesiesz kołysania i podskakiwania wozu na wybojach.

– Dam radę. To ja dowodziłem eskortą, która przywiodła Polaków do Stambułu, i ja odstawię ich do granicy – stwierdził z uporem. – Powiedz lepiej, ile czasu mi zostało.

Dorota wzruszyła ramionami.

– Takie rzeczy wie tylko Pan – mruknęła.

Kiedy wyszliśmy, nie sprawiała wrażenia zadowolonej. Chyba nie lubiła beznadziejnych przypadków. Może cierpiała, tracąc pacjentów, a może po prostu nie znosiła bezsilności? Na tyle, na ile ją znałem, pewnie raczej chodziło o to drugie.

– Też śnił o smoczycy – zauważyła Jitka, kiedy już wyszliśmy.

– Widocznie jedną nogą jest już po tamtej stronie – powiedziałem. – We snach ociera się o płaszczyznę astralną. Istoty na granicy życia i śmierci zawsze są bardziej podatne na oddziaływanie pozazmysłowe.

– Masz na wszystko wytłumaczenie – warknęła Dorota. – Jesteś taki mądry, że chce się rzygać. Zamiast pieprzyć niezrozumiałe androny, powiedziałbyś, jak go uratować lub chociaż przedłużyć mu życie! Musi żyć, kiedy dojedziemy do Edirne, i przekonać sułtana do rozprawy z najeźdźcą według twojej taktyki.

A jednak nie chodziło jej o dobro pacjenta, nawet nie interesowało jej, jak złagodzić jego cierpienia. Chciała wyprzeć obcych, by wrócić do swoich interesów lub jeszcze lepiej, zarobić coś na całej awanturze.

– Czemu tak bardzo zależy ci na powodzeniu operacji? – spytałem wprost.

– Nie chcę stać się ofiarą taką jak Papatya – odparła. – A wszystkich nas to czeka, jeśli nie wykopimy ich na tamten świat. Poza tym muszę dowieźć do Polski posła Gnińskiego, by powiedział hetmanowi polnemu, że wykonałam jego polecenia. Wtedy ten wypuści z celi mojego głupiego braciszka, pozwoli mu w spokoju uprawiać ziemię i robić kolejne durne bachory, które będą uprawiały pańszczyznę, gdy my już położymy się w grobie. No właśnie, po co ja to właściwie robię?

Była chyba zła z niewyspania, stresu i przemęczenia. Nie mogłem jej winić, że nie potrafi utrzymać emocji na wodzy. Każdemu po jakimś czasie puściłyby nerwy. Nie wdąłem się zatem w pyskówkę, tylko wdzięcznie ukloniłem, zawinąłem na pięcie i znikłem, podążając za zapachem dochodzącym z pałacowej kuchni. Mimo że ubrany byłem jak ostatni łachmyta, ciągle miałem urodę wyróżniającą mnie spośród mężczyzn, nie sprawiło mi więc najmniejszego kłopotu oczarowanie kucharek i wyłudzenie solidnej porcji. Pochłonałem ją w drodze do wozów, które w tym czasie naszykowano do drogi.

Zastałem przy nich Michała Piotrowskiego. Pancerny już nieco się uspokoił i po trzech dniach wędrówki nie sprawiał wrażenia siedzącego nie w siodle, lecz na rozpalonych węglach. Opanował jakoś trawiący go fatalizm, choć wiedziałem, że

sumienie ciągle obarcza mu utrata dwustu osób, za które był odpowiedzialny. Na szczęście przekuł gniew na siebie w bojowy nastrój przeciw całemu światu.

– Czego?! – warknął na mój widok.

– Musimy się przygotować na wypadek wizyty mojej dawnej znajomej – powiedziałem lekkim tonem.

– Chcesz pachnideł i jedwabiu? – prychnął. – Pomyliłeś się, nie jestem właścicielem lupanaru.

– Taką mam nadzieję. Znajomą trzeba będzie powitać nieco inaczej. Powiedz mi łaskawie, rotmistrzu, czy w poselstwie macie jakiegoś puszkarza. Przydałby się też sprawny rusznikarz.

Pancerny spojrział na mnie ze zdziwieniem, ale po chwili zastanowienia skinął głową i kazał iść za sobą. Chodziło o broń, to go uspokoiło. Obaj odnieśliśmy wrażenie, że robimy coś sensownego.

## **Edirne**

### **27 dżumada II Anno Hegirae 1088**

### **27 sierpnia Anno Domini 1677**

Pan Michał oparł się o karete, splatając ręce na piersi. Odprowadził wzrokiem oddalającą się w kierunku sułtańskiego pałacu świętą poselską złożoną z polskich dyplomatów i grupy janczarów niosących na noszach Abdul Agę. Po chwili znikli za bramą strzeżoną przez sułtańską gwardię. Rotmistrz zerknął na swoich podkomendnych, skupionych wokół i udających, że krzątają się przy wierzchowcach. Towarzysze pancerni udawali zrelaksowanych i spokojnych, ignorowali przyglądających im się miejscowych, ale każdy miał w zasięgu ręki gotową do użycia broń.

Twardość burty ciężko załadowanej landary dodawała Piotrowskiemu pewności i poczucia, że znajduje się na swoim miejscu. Nie peszył go widok setek tureckich żołnierzy kręcących się po wielkim placu i spode łba zerkających na Polaków. Splunął nawet pogardliwie na widok baszybuzuków, cieszącej się paskudną sławą cudzoziemskiej lekkiej jazdy złożonej głównie z Albańczyków, Czerkiesów i Kurdów. Wśród dziko wyglądających jeźdźców sporo było czarnoskórych i śniadych wielkoludów o gębach wykrzywionych co najmniej niechęcią do chrześcijańskich żołnierzy. Wiedział, że to coś w rodzaju polskich

lisowczyków, oddziałów przystosowanych do szybkich rajdów i nękania wroga tam, gdzie się tego nie spodziewa. Powoływano ich do służby okresowo, na czas wojny lub w razie zagrożenia. Skoro znajdowali się u boku sułtańskich oddziałów, znaczyło to, że trwa pospieszna mobilizacja.

Nie dziwiło to pana Michała – trudno było nie traktować zagrożenia poważnie. Nawet z tej odległości widać było wroga. W niebo na południowym wschodzie mierzyła czarna szpica i za dnia błyskająca piorunami. W nocy ćwierć horyzontu rozświetlała migocząca poświata. Widocznie czarne drzewo było już wielkie jak góra, sięgało wysoko ponad chmury. W dodatku do drugiej stolicy imperium nieustannie docierali przerażeni uchodźcy opowiadający o potworach w latających powozach oraz o zniszczeniach i pożarach w Stambule.

Ponoć w Edirne powtórzyły się sceny z Konstantynopola. Ludzie zebrali się, by się modlić, błagać padyszacha o działanie lub protestować przeciw bezczynności władcy. Zaczęły się pochody rozmodlonych i pragnących boskiej pomocy, szukano winnych i powodów zesłania tak dotkliwej kary boskiej. Zanim jednak doszło do linczów i zamieszek, imperator zaprowadził porządek. W centrum rynku przed pałacem piętrzyła się piramida z odciętych głów. Na jeden stos rzucano łby szabrowników i awanturników oraz fundamentalistów religijnych i dezertów, którzy uciekli ze Stambułu. W mieście natychmiast się uspokoiło, szczególnie że pojawiły się w nim liczne oddziały wojska, wjechali nawet spahisi, ciężkozbrojne islamskie rycerstwo.

Pan Michał poklepał burtę karety, w której ukryto muszkiety, proch i coś jeszcze. Miał tu dodającą otuchy niespodziankę, broń zaprojektowaną przez Talaza, a wykonaną przez dwóch puszkarzy, którzy znaleźli się wśród ludzi kanclerza. Sklecali to przez trzy kolejne wieczory, na postojach przed nocnym odpoczynkiem. Nie mieli okazji, by broń wypróbować, ale samo jej istnienie dodawało otuchy. Coś, co wyglądało tak groźnie, musiało być zdolne do siania prawdziwego spustoszenia wśród wrogów, nawet potrafiących konstruować latające pojazdy i maszyny z ludzkich ciał. Już nie mógł się doczekać, kiedy podziękuje im za upokorzenia i porażki.

Na razie trzymali broń pod ręką, czekając na efekt rozmów na dworze sułtana. Gdyby Turcy znów postanowili rozbroić i uwięzić poselstwo, broniliby się. Gniński dał im wolną rękę, a pan Michał długo się nie zastanawiał. Zresztą żaden członek poselstwa nie zamierzał oddać się dobrowolnie do niewoli. Niestety nie mogli wszyscy przybyć pod pałac – świta została ulokowana w znajdującym się kilka uliczek dalej hanie. Za poselstwem przyjechały na rynek tylko karety z polskimi dostojnikami i nieliczna, bo ledwie pięćdziesięcioosobowa eskorta.

Audiencja u imperatora mogła potrwać nawet kilka godzin, więc pan Michał po chwili zastanowienia wsiadł do karety i rozparł się obok tajnej broni. Każda okazja, by się przespać, była dobra. Jedyne niewygodę stanowiła panująca

w landarze duchota, ale nawet do gorąca pancerny zaczął się przyzwyczajać. Opuścił głowę i niemal natychmiast zasnął.

## XV

Dopuszczono mnie przed oblicze imperatora, ale nie pozwolono na swobodną rozmowę. Pomyślałem, że sytuacja jest zbyt oficjalna, szczególnie że w spotkaniu uczestniczył sam wielki chan Tatarów krymskich oraz jacyś mołdawscy przedstawiciele hospodara. Padłem zatem twarzą do stóp sułtana i giąłem się w ukłonach, robiąc zwykły pokaz służalczości i oddania. Liczyłem na to, że potem wezwie mnie na poufną rozmowę – wszak Talaz Tayyar był jego ulubionym szpiegiem. Kiedy jednak zaczęło się oficjalne przesłuchanie, zrozumiałem, że nic z tego. Mehmed IV patrzył na mnie surowo, bez śladu zwyczajowego uśmiechu. Sam nie odezwał się nawet słowem, w jego imieniu przemawiał *reis efendi*, dyplomata odpowiedzialny za rozmowy z obcymi. Znaczyło to, że potraktowano mnie jak obcego, a to nie wróżyło dobrze.

Przesłuchany zostałem pobieżnie, widocznie szczegółowe pytania miały paść później. Zrozumiałem, że spotka mnie to samo, co zgotował mi Kara Mustafa – dyskusja w towarzystwie oprawców z kańczugami i rozżarzoną żelazem. Niestety równie nieuprzejmie potraktowano Abdul Agę. Położono go przed sułtanem, a *reis efendi* spytał go, czemu zdradził seraskiera i opuścił walczącą stolicę. Zupowy odparł, że tylko z troski o władcę i kraj. Chciał jak najszybciej zameldować o sytuacji sułtanowi i przestawić plan kontrataku. W odpowiedzi wyłącznie przypomniano mu o obowiązku bezwzględnej posłuszeństwa wobec dowódcy i wykonywania rozkazów. Nikt nie oczekiwał od zwykłego janczara planów strategicznych, powinien trwać przy wielkim wezyrze i jeśli trzeba, zginąć u jego boku.

Po tej surowej przemowie odprowadzono nas na bok. Stałem przy noszach z Abdulem, a otaczało nas dziesięciu gwardzistów z obnażoną bronią. Zrozumiałem, że może się obyć bez długotrwałych przesłuchań. Niewykluczone, że po przemówieniach zostaniemy zdekapitowani jako zdrajcy, a nasze głowy wylądują na kupie razem z czerepami innych dezertów.

Audiencja odbywała się w rozległych ogrodach na tyłach sułtańskiego pałacu. Dygnitarze siedzieli w półokręgu na stołkach ustawionych wzdłuż rzucających miły cień drzew. Z jednej strony usadowionego na tronie sułtana siedział chan Selim I Girej, z drugiej wołoscy gospodarowie, dostojnicy sojusznicznych kraików. Polacy i my dwaj, w niełasce, musieliśmy tkwić w palącym słońcu naprzeciw całego tego towarzystwa. Gnińskiemu nawet nie przyniesiono stołka, co było jawną obrazą, zmuszając go do stania w obecności monarchy.

Kanclerz koronny wygłosił płomienne przemówienie o braterstwie dwóch



wielkich państw i dobrej woli okazania pomocy znajdującym się w potrzebie. O tym, że gotów jest jak najszybciej udać się na Podole i błagać hetmana polnego koronnego o niezwłoczne wyruszenie z pomocą Turcji. Oczywiście Gniński natychmiast powędruje do Warszawy, by o to samo błagać króla.

Nie dano mu nawet skończyć. Wielki chan parsknął śmiechem i rzucił kilka złośliwych uwag o polskich szalbierstwach, zerwanych paktach i chęci odzyskania zajętych przez Turcję terenów. Wołosi, którzy raz byli sojusznikami Turcji, a raz Polski, roześmiali się na całe gardła, przyklaskując Tatarom. Sułtan siedział z nieruchomą miną i się nie odzywał, jakby myślami był gdzie indziej lub w ogóle nie obchodziły go te niegodne jego majestatu rozmowy.

– Przyznaj, pośle, że za bratnią pomoc będziesz chciał coś wyłudzić! – ciągnął beczelnie chan. – Zniesienie haraczy buczackich i żurawińskich? Oddanie Ukrainy? A może rekompensatę w złocie, hę? Chytrzy jesteście jak lisy, mości panowie.

– Chcemy jedynie sułtańskiej obietnicy, że nigdy już nie najedziecie Rzeczypospolitej – rzucił zdenerwowany Gniński. – Zwrot naszych terenów owszem byłby wielkim gestem przyjaźni, ale nie czas o tym rozmawiać...

– A dlaczego nie? – prychnął jeden z wezyrów siedzących w drugim rzędzie. – Już teraz możemy powiedzieć, byście wybili to sobie z głowy, panowie Polacy. Nie ma u nas zwyczaju, by oddawać ziemię, na której stanęło tureckie kopyto. Nie ma i nigdy nie będzie!

Wypowiedź wezyra spotkała się z aplauzem dygnitarzy, nawet okupowanych przez Turcję Wołochów. Wytrawnemu dyplomacie, jakim był Gniński, zaczęły puszczać nerwy. Widziałem, że w swoim czerwonym żupanie gotuje się z gorąca i złości. Nie mogłem jednak się wtrącić, bo gdy tylko drgnąłem, dwóch gwardzistów położyło łapy na moich ramionach, a na plecach poczułem zimny dotyk szpiczastego ostrza jatagana.

Abdul Aga leżał obok niczym trup. Słońce paliło go, potęgując cierpienia, ale nawet nie jęknął. Spojrzał tylko na mnie zbolałym wzrokiem i szepnął, bym dał spokój.

– I tak obu nas zetną. I to jeszcze przed obiadem – powiedział cicho.

To się nazywa ironia losu! Chciałem im pomóc, zostać sojusznikiem w walce z Wielożażnią, a co mnie spotyka? Poluje na mnie wielka smoczyca i armia inwazerów, ale zamiast z ich ręki polegnę od katowskiego pałasza trzymanego przez grubego eunucha. To żalodne.

Tymczasem poseł Gniński wreszcie stracił panowanie nad sobą i podniósł głos. Kategoriecznie oświadczył, że nie będzie prowadził paktów w obecności plugawych i pazernych Tatarów, którzy potrafią tylko najeżdżać bezbronne wsie, by łapać niewolników. Jak chan ośmiela się zarzucać kłamliwość Polakom, skoro sam para się zwykłym rozbójnictwem, a jego wojsko specjalizuje się w nocnych

napaściach na bezbronnych? Ktoś tak pozbawiony honoru i przyzwoitości zarzuca rycerstwu zrywanie paktów? To szczyt bezczelności!

Obserwowałem to ze sporym zaskoczeniem. Gniński, wytrawny dyplomata, prawie krzyczał, rzucając wielkiemu chanowi w twarz wyjątkowo ostre oskarżenia. Widocznie przeszedł ostatnio zbyt wiele i ordyńcy ostatecznie wyprowadzili go z równowagi. Zaczął im nawet wygrażać pięścią, obiecując krwawą rozprawę, jeśli jeszcze raz ośmielią się przekroczyć polską granicę. Na odpowiedź chana nie trzeba było czekać. Zerwał się z rykiem ze stołka i sięgnął po broń, połączaną ozdobną szablę. Dołączyli do niego bejowie, ale ci już z gołymi rękami, przed oblicze sułtana bowiem nie dopuszczano zbrojnych gości, a szabla chana była bardziej elementem jego bogatego stroju niżli nadającym się użytku narzędziem. Polacy z otoczenia Gnińskiego zbili się wokół kanclerza, szykując do boju na pięści.

To było coś niebywałego. Takie zachowanie w obliczu padyszacha musiało ściągnąć jego gniew na wszystkie strony konfliktu. Nie przypominałem sobie podobnego incydentu w czasach, gdy służyłem jako szpieg na sułtańskim dworze. Zaskoczenie Talaza zdominowało naszą wspólną świadomość i przez chwilę gapilem się na to widowisko, zapominając o własnej nieciekawej sytuacji. Zanośli się na regularną bijatykę przed imperatorskim obliczem, bo z jakiegoś powodu gwardia nie kwapiła się z interwencją. Wreszcie spostrzegłem, że jej kapitan nie spuszcza wzroku z sułtana. I wtedy dotarło do mnie, że władca nie daje znaku do przerywania awantury, bo dobrze się bawi. A miałem Mehmeda IV za pozbawionego poczucia humoru!

W ostatniej chwili w pustą przestrzeń między Tatarami a Polakami wbiegł z podniesionymi rękoma Wielki Dragoman, pierwszy *reis efendi* na dworze, Alexander Mavrocordatos. Grek, niemający jeszcze czterdziestki, ale niesłychanie zasłużony dla imperium, poruszał się energicznie, a głos miał donośny. Krzykiem kolejno po turecku, tatarsku i polsku nakazał wszystkim natychmiast się uspokoić i odstąpić. O dziwo, obie grupy w porę się opamiętały, a może postawna postać odzianego na czarno Greka wzbudziła w nich respekt. Mamrocząc pod nosem groźby, Tatarzy cofnęli się o kilka kroków, to samo zrobili Polacy.

Dragoman znalazł się sam na skąpanym w słońcu placu. Skonfliktowane grupy cofnęły się jeszcze bardziej, wysłuchując głośnych upomnień. Jego głos dudnił niczym dzwon, gdy wygrażał zarówno jednym, jak i drugim. Przypomniawszy im, gdzie się znajdują i że sułtański pałac to nie miejsce karczemnych bójek.

– Jesteśmy w wyjątkowo trudnej sytuacji. Zaatakował nas nieznany wróg, który niszczy wszystkich niezależnie od wyznania czy narodowości! Powinniśmy zapomnieć o głupiej dumie, zranionym honorze i dawnych zaszłościach! Polski poseł złożył ofertę współpracy, a padyszach właśnie ją rozważa i w stosownym czasie da odpowiedź. Głupotą byłoby skakanie sobie do gardeł, gdy w każdej chwili może spaść na nas nieszczęście...

Tak też się stało. Gdy to mówił, usłyszałem rosnący szum. Nie zdążyłem unieść głowy, kiedy niczym czarny cień z nieba runął na nas potwór. Smoczyca złożyła skrzydła i spadła z dużej wysokości jak pocisk. Rozłożyła je dopiero w ostatniej chwili, by z potężnym podmuchem poderwać w powietrze tumany pyłu. Zanim uderzyła w nas jego chmura, dostrzegłem, jak dragoman ginie zmiażdżony jej łapami. Nie zdążył choćby krzyknąć, chyba nawet nie spostrzegł zagrożenia. Jasmina wylądowała na placu, drąc ziemię pazurami i łopocząc skrzydłami.

Była wielka jak pałacowy budynek. W jej paszczy z powodzeniem mógł zniknąć cały człowiek, może nawet jeździec z rumakiem. Widziałem tylko jej zasnutą żółtym pyłem sylwetkę, ale to wystarczyło, bym przypomniał sobie, z kim mam do czynienia. Odwróciłem się do gwardzisty, który przystawiał mi jatagan do pleców, złapałem go za nadgarstek i wykręciłem rękę, rozbijając. Chwyciłem zdobyczną broń, choć do walki ze smokiem długi sztylet nie mógł mi się przydać, i płazem trzepnąłem oficera gwardii, by wyrwać go ze stuporu.

– Zabierzcie stąd zupowego, to rozkaz! – ryknąłem.

Spojrzał na rannego, a potem na mnie, po czym sam chwycił nosze. Chyba dotarło do niego, że pretekst, by się ulotnić, jest w obecnej sytuacji najlepszym wyjściem. Nie oglądając się zatem na Abdul Agę, ruszyłem biegiem w kierunku smoka. Wokół panował już chaos. Jasmina ryknęła, rzuciła głową w przód, przegryzła jednym chapnięciem na pół któregoś eunucha i cisnęła jego szczątki w biegający tłum. Obróciła się i machnęła ogonem, kosząc nim kilku nadbiegających gwardzistów oraz dwóch czy trzech uciekających Wołochów. Ich ciała poleciały na wszystkie strony jak wystrzelone z armaty. Smoczyca znów ryknęła, szukając mnie w pierzchającym tłumie.

Wiedziałem, kto jest jej prawdziwym celem. To nie był przypadkowy atak. Jakimś cudem wyczuła, że jestem w pobliżu. Znaczy, że ślad zostawiany przez mój umysł w infopolu został rozpoznany i namierzony. Muszą jednak mieć mój wzorzec osobowy, tylko skąd? – myślałem gorączkowo, zbliżając się do potwora. Zanim udało mi się podejść dostatecznie blisko, Jasmina łapami wbiła w ziemię atakujących ją włóczniami eunuchów, a potem porwała w pysk któregoś z dygnitarzy. Oby nie sułtana! – przemknęło mi przez głowę. Na szczęście to był tylko jeden z wezyrów. Jego nogi wierzgały chwilę, gdy zatopiła zęby w jego trzewiach, a gdy skonał, wypuściła truchło na ziemię. Wylądowało z ohydny mlaśnięciem tuż obok mnie. Spojrzałem na wykrzywioną grozą twarz zabitego – to był Elmas Mehmed Paşa, Wielki Aga janczarów, dowódca korpusu.

Cisnąłem oburącz jataganem. Broń przeleciała po łuku, obracając się w powietrzu, by pacnąć ręką w bok smoczy. Nawet tego nie zauważyła, zajmując się masakrowaniem biegających Turków. Skoczyła w kierunku pałacu, w którym schroniła się większość dygnitarzy, i wsadziła łeb przez drzwi. Przebiła je, jej szyja zaś z chrzęstem łusek trących o kamień rozsadziła otwór. Kiedy

poruszyła głową, cała frontowa ściana pałacu zawałała się z rumorem, wzbijając kolejną chmurę pyłu. Nie wiedziałem, czy sułtan zdołał uciec. Smoczyca pyskiem wygarnęła ze środka kilku nieszczęśników, by po chwili wypluć z niesmakiem ich zmasakrowane ciała. To był jeden z tatarskich bejów, dwaj słudzy oraz wołoski gospodar. Niezadowolona Jasmina trzepnęła ogonem w budynek, obracając w stos ruin całe skrzydło. Huk był ogłuszający. Ludzie krzyczeli z przerażenia i bólu, ale od strony dziedzińca przed pałacem zaczęły padać muszkietowe strzały – janczarzy wreszcie otworzyli ogień. Ołowiane kule odbijały się jednak od łusek z głuchymi pacnięciami.

Rozejrzałem się za drogą ucieczki. Wspaniale – jedna z pałacowych wież runęła, ścięta smoczym ogonem, ale nie rozpadła się na kawałki, tylko wbiła w okalający siedzibę mur, częściowo go zawałając. Pognałem w jej stronę, mijając smoczycę demolującą pałac i wyłapującą z ruin żyjących jeszcze nieszczęśników. Wskoczyłem na przewaloną wieżę i przebiegłem po niej, mijając mur pałacu. Musiałem zwabić jakoś Jasminę na dziedziniec – to była jedyna szansa, by ocalić przed jej wściekłością miasto.

Kiedy byłem w połowie długości wieży, otworzyłem zamknięty kanał telepatyczny i rzuciłem jej emocjonalne wyzwanie. To był tylko impuls, błysk, w którym pozwoliłem jej ujrzeć świat moimi oczami. Mogła mnie dzięki temu zlokalizować. Przygotowałem się, że szybko odpowie, ale jej reakcja i tak nieco mnie zaskoczyła. Odwróciła się w moim kierunku tak gwałtownie, że rozpruła kilka pałacowych ścian, sypiąc na wszystkie strony gradem cegieł. A potem skoczyła w moją stronę, rozkładając skrzydła. Runęła na mnie pędząca kilkudziesięciotonowa masa, bestia w chmurze fruwającego gruzu.

Odbiłem się i w trzech wielkich susach przesadziłem resztę wieży, po czym skoczyłem na oślep, wprost na ulicę. W ostatniej chwili, sekundę później bowiem na przewaloną budowlę spadł potwór, rozbijając ją na kawałeczki. Czułem, jak jeden czy dwa odłamki uderzają mnie w plecy, a kolejny w udo, ścinając z nóg. Przeturlałem się i natychmiast poderwałem. Musiałem biec, i to naprawdę szybko.

Michał Piotrowski mnie jednak nie zostawił. Dobrze oceniłem tego jegomościa: miał naprawdę mocne nerwy, był dobrym żołnierzem. Stał na landarze, trzymając zapalone łuczywo. Dziedziniec był niemal wyludniony, mieszkańcy uciekli z krzykiem, a tureccy żołnierze wycofali się w mniejszym lub większym porządku. Na placu został tylko wóz polskiego poselstwa. Na szczęście pancerni, zgodnie z moją radą, odwiązali od niego konie. Te na widok monstrualnego potwora wpadły w panikę i pognały ulicą, tratując uciekających. Została sama karetka z panem Michałem, reszta pancernych na rozkaz rotmistrza wycofywała się właśnie biegiem w kierunku najbliższej uliczki.

Pognałem w stronę landary. Pędziłem, wkładając w to wszystkie siły. Czułem, jak mięśnie naciągają się do granic możliwości, a serce wali mi w piersi

jak oszalała. Tuż za mną o bruk zazgrzytała smocza łapa. Jasmina próbowała pacnąć mnie jak kot mysz. Po chwili kolejne uderzenie zatrzęsło ziemią, mijając mnie o włos. Dałem susa nad porzuconym wózkiem handlarza, by sekundę później usłyszeć, jak z trzaskiem zostaje wgnieciony w ziemię. Nie próbowałem się odwracać. Wystarczyło wszak jedno potknięcie i byłoby po mnie.

– Jeszcze nie! Czekać do końca! – wrzasnąłem do pancernego.

Pan Michał nerwowo skinął głową i poklepał stojącą w karecie armatę. Był to smukły falkonet, lekka armatka z długą lufą, zwykle nabijana kulami wielkości niedużego jabłka. Polacy zwali tę broń śmigownicą lub, pieszczotliwie, sokolikiem. Poselstwo na moją prośbę odkupiło ją od efendiego z Lüleburgaz, a puszkarze przystosowali do jednorazowego, ale solidnego strzału. Teraz lufa nie ziała czarnym otworem – założono na nią blaszaną konstrukcję w kształcie ostro zakończzonego stożka.

Zbliżałem się do niepozornej armatki, czując smoczy oddech na plecach. Pędziłem wprost na nią, nie spuszczać wzroku z uniesionej nieco lufy. Jeszcze krok, jeszcze dwa.

– Pal! – wrzasnąłem.

Pan Michał podpalił lont i rzucił się do ucieczki. Tak kazałem mu zrobić. Miał całe trzy sekundy, by się oddalić. Ja tymczasem gnałem wprost na śmigownicę, w duchu odliczając czas do strzału. Niemal całą smukłą lufę wypełniliśmy ubitym prochem, którego wybuch nie tylko wypchnie zamontowany na końcu ładunek, ale i rozerwie działo.

Jasmina zawadziła mnie pazurami. Poczulem szarpnięcie, które wybiło mnie z rytmu. Przewróciłem się z wrzaskiem. I wtedy działo gruchnęło. Stożek z blachy był ładunkiem kumulacyjnym, najprostszą do wykonania w tych warunkach bronią, jaka przysłała mi do głowy. Puskę również wypełniał ubity proch, ale nie całkowicie. W jej wnętrzu znajdował się pusty miedziany stożek. Siły eksplozji układały się w taki sposób, że miażdżyły go, zamieniając w grot, który mknął przed siebie z ogromną siłą. Taki kawałek miedzianej blachy mógł przebić nawet gruby na łokieć stalowy pancierz.

Mógł też przebić smoczą łuskę – przynajmniej taką miałem nadzieję. Przeturlałem się na plecy, by ujrzeć, że ładunek zadziałał. Grot trafił Jasminę w pochyloną szyję, akurat gdy chciała mnie pożreć. Wbił się w smocze gardło, prując żyły i ścięgna, aż utkwiał gdzieś głęboko w torsie bestii. Jasmina próbowała ryknąć, ale tylko chlusnęła krwią z pyska, bulgocząc obrzydliwie z rany.

Nie przyglądałem się jej agonii. Robiłem wszystko, by odsunąć się jak najdalej, żeby nie zgmiotła mnie swym wielkim cielskiem. W końcu wturlałem się pod landarę. Z jej dna wystawały żeliwne odłamki, fragmenty rozerwanej wybuchem śmigownicy. Odetchnąłem tam z ulgą, obmacując się w pośpiechu. Wyglądało na to, że pazury Jasminy rozdarły mi gacie, ale nawet mnie nie

drasnęły. Miałem dużo szczęścia.

Wyrząłem spod wozu po paru chwilach. Gadzina leżała na boku, a w jej żółtych ślepiach gasła świadomość. To był piękny widok.

\* \* \*

Abdul Aga czołgał się między trupami przez zawalone gruzem, dymiące pobojowisko. Chciało mu się straszliwie pić, pragnienie było tak wielkie, że zagłuszyło nawet nieustający ból śmiertelnej rany brzucha. Czuł, że trzewia mu nabrzmiały i płoną od ropnej gorączki, wiedział, że zostały mu tylko minuty życia. I teraz pragnął jedynie kilku łyków wody. Za kubek zimnego wina z kolei bez wahania oddałby duszę.

Nie interesował się tym, jak udało się pokonać smoka. Wiedział, że bestia zginęła, widział, jak wali się na ziemię, miota w agonii, a potem zastyga. Jej koszarne cielsko górowało nad okolicznymi domami i częściowo zrównanym z ziemią pałacem. Wokół konali lub wyli z bólu nieszczęśni, którzy znaleźli się w zasięgu smoczy, ale nic nie obchodzili zupowego. Zamierzał przed śmiercią doczołgać się do studni, którą widział na dziedzińcu przed pałacem. Gwardziści porzucili nosze z nim już za murem sułtańskiej siedziby, nie miał zatem daleko. W końcu wyczołgał się z rumowiska i walcząc z niemocą, przysiadł na kupie gruzu, by się rozejrzeć.

Smok spoczywał przed nim w całej okazałości, wielkim żółtym okiem o pionowej źrenicy wpatrując się w pustkę. Przy jego głowie krzątał się człowiek, którego Abdul rozpoznał niemal natychmiast. Pochylił się i złapał kawałek drewna z leżącego obok zmiżdżonego straganu. Strzaskana żerdź nadawała się na laskę. Podpierając się nią, zupowy ruszył w kierunku Talaza Tayyara.

Kiedy wreszcie do niego doczłapał, niemal tracąc po drodze przytomność z wycieńczenia, zastał go pochylonego nad siedzącym przy zniszczonym wybuchem wozie zbrojnym. Tego też poznał – rotmistrz jazdy pancernej Michał Piotrowski tkwił w kałuży krwi. Obok niego leżał żeliwny odłamek większy od męskiej dłoni, który sądząc po śladach w dziurawej kolczudze, musiał sobie wyciągnąć z boku. Polak jednak nie sprawiał wrażenia ciężko rannego, przeciwnie, pił coś z własnej misiurki, trzymając ją oburącz przy ustach.

– Och, dobrze, że jesteś, zupowy! – Talaz ucieszył się na widok Abdul Agi.

Abdul usiadł ciężko obok pancernego i uśmiechnął się blado. Jeszcze nie tak dawno wszyscy trzej próbowali się wzajemnie pozabijać, teraz zaś siedzieli razem na pobojowisku jak starzy druhowie. Pan Michał wyszczerzył się przyjacielsko do zupowego, prezentując usta i zęby umazane czerwoną ciecżą.

– Macie wino? – z nadzieją spytał Abdul Aga. – Bardzo chce mi się pić.

– To coś lepszego od wina – odparł Talaz. – Zaraz ci przyniosę, słusznie ci się należy. Jestem ci zresztą winien ratunek.

Dawny sułtański *lala* odebrał misiurkę od pancernego i podbiegł z nią do smoczycy. Wrócił i podał zupowemu hełm pancernego napełniony po brzegi parującą, niemal czarną cieczą. Abdul spojrzął na niego pytająco.

– Smocza krew? – spytał słabo.

– Pij, póki gorąca – odparł uśmiechnięty Talaz. – Ja opilem się już jej po dziurki w nosie. Ma niezwykle działanie. Zawiera unikatowe składniki morfotyczne, szczególnie dla ciebie przydatne będą smocze leukocyty i limfocyty. Zwalczą infekcje bakteryjne i spowodują błyskawiczną regenerację uszkodzonej tkanki. Wielozajń wyposażyla dodatkowo gada w nanoboty zwiększające wydolność mięśni i szybkość reakcji, czyli usprawniające układ nerwowy. Czuję ich metaliczny smak z nutą migdałów i cytrynową kwaśnością.

– To ocali mi życie? – spytał Abdul, zerkając na pancernego pochłoniętego oglądaniem rany w boku, która przestała już krwawić.

– Wyleczy cię i da potężną moc. Ale trzeba przyjąć tę krew, póki jest świeża. Jej składniki mają wysoką swoistość, znaczy działają wyłącznie w określonych warunkach temperaturowych i środowiskowych. Jeśli ostygną, obumrą i nici z zabawy. Smoczą krew trzeba pić wprost z rozprutej żyły zabitej bestii, a najlepiej z jej otwartego serca – wyjaśnił Talaz.

Abdul przestał słuchać. Po pierwsze, niewiele rozumiał, po drugie, usychał z pragnienia i wypiłby wszystko, co mu dają. Przechylił naczynie i wlał do gardła parującą ciecz. Przelykał ją łapczywie, nie zważając na to, że parzy mu podniebienie i język. Czuł, że jest ostra i piekąca, ale nawet przez chwilę się nie wahał. Poczł jej moc niemal natychmiast, zupełnie jakby wypił bardzo mocny alkohol. Gorąco rozkwitło mu w żołądku, rozlewając się po całym ciele. Wraz z nim pojawiły się euforia i relaksujące poczucie siły. Opadł obok pancernego, rozumiejąc już, skąd na ustach pana Michała tak błogi uśmiech.

## **Jassy**

### **3 radżab Anno Hegirae 1088**

### **1 września Anno Domini 1677**

Jitka leżała wtulona w Jakuba Kęsickiego i nasłuchiwała jego

uspokajającego się oddechu. W świetle księżycy wpadającego przez uchylone okno widziała profil kochanka, dumny i zadziorny, ale jeszcze chłopięcy i mimo wszystko łagodny. Młody husarz był uroczy, taki szlachetny i rycerski – koniecznie chciał ją uwolnić z bisurmańskiego jarzma i pojąć za żonę. Już kilka razy ofiarował Dorocie sowity wykup, w pewnej chwili posunął się nawet do grożenia al-hakimie. Nie wiedział, głuptasek, że niedługo po opuszczeniu Stambułu Dorota jednym gestem zwróciła jej wolność. Jitka nadal jednak pozostawała na jej służbie, tym razem z własnej woli, tylko udając przed polskim rycerzem niewolnicę.

Kiedy w ciągu ostatniego miesiąca wędrowali do Polski, coraz bardziej ulegała chłopakowi, aż w końcu nie wytrzymała i na jednym z postojów zaciągnęła go do łożnicy. Inaczej nigdy nie doczekałaby się spełnienia tego romansu – musiałaby pozwolić mu się wpierw pojąć za żonę, na co nie miała najmniejszej ochoty. Nie zamierzała dopuścić, by wywiózł ją hen, w głąb Polski, osadził w dworku gdzieś na pustkowiu i robił jedno dziecko po drugim. Co z tego, że kochał? Nie chciała spędzić reszty życia jako rozplodowa klacz. Znów by się stała więźniem, tyle że we dworze jakiejś ziemiańskiej rodziny. Paradoksalnie najwięcej swobody miała, będąc niewolnicą Doroty. Al-hakima miała ciężki charakter, ale traktowała Jitkę jak młodszą siostrę. Bez wyższości i pogardy, przekazując jej swoją mądrość i życiowe doświadczenie. A co najważniejsze, życie u jej boku było naprawdę ciekawe.

Dziewczyna upewniła się, że chłopak śpi, i to mocno. Uniosła się ostrożnie i wstała z łoża, a przed odejściem z czułością okryła husarza wełnianym kocem. Naprawdę go lubiła – był czuły i delikatny, a choć w łóżku niezbyt obyty, potrafił okazać sporo entuzjazmu i energii. Całe szczęście, że pozwoliła mu zerwać jej wianek. Przynajmniej zaznała prawdziwej, fizycznej miłości. Nie mogła wszak dłużej czekać. Świat stał na skraju zagłady, a ona nadal była dziewicą. No i po co?

Wsunęła stopy w botki z miękkiej, delikatnej skóry zapewniającej bezszelestne stawianie kroków. Ubrała się szybko w ciemną kieckę i ukryła jasne włosy pod czarną burką. Po zasłonięciu chustą twarzy była w ciemności niemal nie do zauważenia. Podeszła do drzwi i przyłożyła do nich ucho.

Znajdowali się w komnacie na parterze dużego gmachu wchodzącego w skład siedziby hospodara mołdawskiego Antoniego Ruseta. Formalnie nadal przebywali na terenie podległym imperium osmańskiemu, ale było już stąd bardzo blisko do południowych granic Rzeczypospolitej. Nie wyczuwało się tu wielkiego uwielbienia dla sułtana, a Turcy byli traktowani trochę jak goście, którzy się zasiedzieli. Oczywiście gospodarz był jak najbardziej oddany i wierny Porcie, a mimo to Polaków ugościł z radością i służalczo. Odpoczynek w stolicy Mołdawii zaczynał się przeciągać. Niby Gniński śpieszył się z całych sił do kraju, ale z jakiegoś powodu poselstwo gościło u hospodara już trzecią dobę.

Jitka ostrożnie uchyliła drzwi i bezszelestnie wysłiznęła się na korytarz.



Pałac był dobrze strzeżony, z poselskiej świty dopuszczono do środka jedynie dostojników z otoczenia Gnińskiego oraz jego świtę przyboczną. Od jakiegoś czasu służbę tę pełnił porucznik Semen Błoński z grupą swoich zaufanych husarzy. Było to Jitce bardzo na rękę, Jakub bowiem również znajdował się w tej drużynie. Wyprosił sobie nawet osobną izbę, małą komnatę pod schodami na piętro, udając, że jest chory i potrzebuje odpoczynku. Al-hakima, pełniąca w poselstwie funkcję medyka, oczywiście poparła jego prośbę. Gniński machnął ręką, stracił już bowiem zbyt wielu ludzi, by ryzykować wybuch epidemii w oddziałach. I tak Kuba dostał własny pokój, do którego od dwóch nocy sprowadzał Jitkę. Przekupywał Wołochów miedziakami, wiodąc ją przez kolejne warty, a strażnicy tylko się śmiali, widząc, że jurny Polak, mimo iż chory, sprowadza sobie dziewczkę.

Jitka przemknęła korytarzem i wbiegła szybko po schodach na piętro. Usłyszawszy idącego sługę, przywarła niczym cień do filaru. Mężczyzna nawet nie spojrzął w jej stronę, tak dobrze stapiała się z ciemnością. Na palcach pomknęła dalej, do drzwi komnaty, z której dobiegały podniesione głosy. Rozpoznała kanclerza Gnińskiego, drugi mężczyzna mówił z wyraźnym obcym akcentem, wtrącając słowa mołdawskie i tureckie. Niezwykle ciekawiło ją, z kim poseł rozmawia w środku nocy, i to tak żywiołowo. Próbowwała podejrzeć przez dziurkę od klucza, ale nic nie dostrzegła. Pobiegnęła zatem dalej, obawiając się wpadki.

Pokonała jeszcze jedne schody, po czym szybko odnalazła właściwe drzwi. Nikt nie pilnował sypialni i gabinetu Gnińskiego, wszak znajdowali się w sercu dobrze strzeżonego pałacu. Nikt tu nie bał się szpiegów, jeśli już, to straż nieustannie patrzyła w niebo, szukając na nim latających maszyn i wielkich smoków. Drzwi były otwarte, a przez okno wpadała wystarczająca ilość księżycowego blasku, by przeszukać pomieszczenie. Jitka dopadła natychmiast do stołu zasłanego papierami i zaczęła sprawną kontrolę. Robiła to samo już wczoraj, dziś wypatrywała zatem wyłącznie pism wyglądających na nowe lub niedokończone.

Kanclerz prowadził bardzo ożywioną korespondencję. Od wyjazdu poselstwa z Edirne wysłał dziesiątki gońców oraz szlacheckich posłańców w najróżniejsze strony. Dorota była przekonana, że Jan III Sobieski ze szczegółami zdążył już się dowiedzieć, co wydarzyło się w Turcji, a kanclerz w jego imieniu nawiązywał dyplomatyczne stosunki z podległymi Porcie hospodarami, hetmanami kozackimi, tatarskimi bejami i wołoskimi bojarami. Nie wiadomo tylko ciągle było, co właściwie Polacy knują. Oficjalnie byli w trakcie pospiesznego powrotu do ojczyzny, by błagać króla o pomoc dla złupionego Sambułu. Po pokonaniu smoka przez polskiego pancernego i uratowaniu Edirne sułtan potraktował ich nader łaskawie. Obdarował kosztownościami i pozwolił odjechać z wszelkimi honorami, pod janczarską eskortą. Zapewnił sowite zapasy jedzenia i obroku dla koni, nalegał nawet na przydzielenie Polakom licznych sług i speców mających ułatwić oraz

zabezpieczyć długą podróż. Wśród nich, jako naczelny lekarz z ramienia Porty, znalazła się Dorota Falak.

Nietrudno było spostrzec pisma jeszcze niezłożone i niezamknięte pieczęcią – leżały na samym wierzchu. Jitka wzięła je do ręki i podeszła do okna, by odczytać zamaszty nagłówek pierwszego – uniwersału wojewody chełmińskiego Jana Gnińskiego do kanclerza wołoskiego Mirona Kostryna. Odłożyła pismo i odczytała kolejne – list tajny dla posła krymskiego Ajwasz Beja. Ach, to tak! Widziała kręcących się po pałacu tatarskich dostojników, ale nie sądziła, że Polacy wymieniają się z nimi oficjalnymi pismami. Przecież byli ze sobą na noże, ponoć w Edirne mało co nie pobili się z wielkim chanem na pięści. A tu proszę, Gniński w piśmie zwraca się do chana per „mój miłościwy panie i przyjacielu”. Ech, ta polityka! Nic, tylko piach w oczy, kłamstwa i potajemne przymierza.

Przebiegła list wzrokiem, ze zdumieniem odkrywając, że Gniński zaprasza w nim Tatarów na rozmowy celem nawiązania współpracy w wypadku klęski padyszacha. Jeszcze bardziej zdumiała ją kolejne pisma – do byłego hospodara Mołdawii i Wołoszczyzny Jerzego Duki oraz do kanclerza Siedmiogrodu Michała Telekiego. Obaj byli zaprzysiężonymi sługami Turcji, choć ten pierwszy kilka lat temu popadł w niełaskę, gdy okazał niedostateczne zaangażowanie w czasie najazdu na Polskę. A teraz po cichu wahał się z Polakami! To zakrawało na zdradę!

Na korytarzu rozległy się ciężkie kroki. Jitka jednym susem doskoczyła do biurka i odłożyła pisma na miejsce. Rozejrzała się po komnacie, by wbić się w kąt za wielką podróżną skrzynią. Kucnęła przy niej, wtapiając się w ciemność. Miała nadzieję, że to tylko jeden ze zbrojnych patrolujących nocą korytarz. Po pobrzękiwaniu rynsztunku sądząc, nie był to żaden ze służących posła, na przykład niosący mu szkandele wypełnioną węgielkami do ogrzania łoża. Na nieszczęście jednak drzwi się otworzyły i do środka wszedł mocno zbudowany rycerz. Nie miał łuczywa, lampki czy choćby świeczki. Tak jak dziewczyna przyszedł tu w całkowitej ciemności, po drodze nawet się nie potykając. Stanął na środku pomieszczenia i wciągnął nosem powietrze. Jitka wstrzymała oddech, zamierając w bezruchu.

Rycerz odwrócił się gwałtownie i spojrzał w jej stronę. W świetle księżycy rozpoznała go. To był Smokobójca, rotmistrz Michał Piotrowski. Odkąd strzałem z armaty zabił potwora, stał się chodzącą legendą. Rycerze traktowali go z najwyższym szacunkiem, młodzież szlachecka łowiła każde jego słowo i gest, proszono go o opowieści i słuchano z przejęciem, każdy chciał też mieć jakąś pamiątkę po rotmistrzu, choćby strzępek jego szaty lub oczko z kolczugi. Jitka trochę się go bała, bo po tamtym dniu stał się bardziej wybuchowy i narwany, urósł, zdawało się, i czasem zachowywał nieprzyjemnie. Teraz skamieniała na widok jego twarzy skąpanej w zimnym księżycowym blasku. Patrzył wprost na nią,

choć nie mógł jej przecież widzieć.

Wtem ruszył w jej kierunku, pochylił się i szarpnięciem wyciągnął zza skrzyni. Pisnęła z przerażenia, czując mocny uścisk wielkiej dłoni pancernego miażdżący jej ramię. Została postawiona na nogi, a pan Michał kolejnym szarpnięciem zerwał jej burkę z twarzy.

– Wywąchałem cię, wścibska myszko – powiedział po turecku niby lekko, ale w jego gardle kotłował się gniew. – Teraz jest już jasne, dlaczego Ibrahim Pasza tak bardzo się upierał w imieniu sultana, by przydzielić poselstwu swoich ludzi. Zwyczajnie nas szpiegujecie!

– I co w tym dziwnego? Zaskoczony? – Dziewczyna wierzgnęła. Bała się, ale nie znosiła, gdy mężczyźni nią pomiatali. Od razu wtedy zmieniała się w małą furię.

– Trochę tak. Spodziewałem się, że przyłapię tu któregoś Turka, szpiega i skrytobójcę udającego sługę, a nie chrześcijańską niewolnicę! – huknął rycerz. – Dziewczyno, czemu to robisz? Grozili ci? Zmusili do współpracy, mówiąc, że inaczej cię zgładzą? To świnie!

– Puść mnie, do cholery! – Szarpnięciem wyrwała się z uścisku. – Świnie! I kto to mówi?! Przecież sami zmusiliście Dorotę do współpracy, grożąc śmiercią jej bratu. Poza tym nikt mnie nie zmuszał, robię to z własnej woli. Oddaję przysługę władcy, którego jestem poddaną.

– Coś takiego. Chrześcijanka wysługująca się bisurmanom. – Pan Michał pokręcił głową. – I co ja mam z tobą zrobić, he? Powinienem na miejscu ukręcić ci łeb, ale czy to by wiele zmieniło? Z pewnością nie działasz sama. Już wiem, kto cię przekabacił i zmusił do wysługiwania się poganom. To ta cholerna poturczynka. Idziemy!

Znów złapał Jitkę, ale tym razem za kołnierz na karku. Pchnął ją przed sobą do drzwi. Dziewczyna szła potulnie, z opuszczoną głową. Starła się sprawiać wrażenie pogodzonej z porażką. Kiedy jednak stanęli na szczycie schodów, nie odwracając się, kopnęła rycerza piętą w goleń, po czym wyszarpnęła się i skoczyła w dół. A przynajmniej próbowała. Chwycił ją w pasie, nim zdążyła dać susa, powstrzymał jedną ręką, i to bez najmniejszego wysiłku. Próba ucieczki skończyła się dla niej wyłącznie bólem pięty, okazało się bowiem, że pan Michał gnaty ma chyba z żelaza.

Wyciągnął ją z pałacu i ignorując zaskoczonych strażników, poprowadził do zabudowań na tyłach, przeznaczonych dla służby i mniej znaczących gości. Nie wahając się ani chwili, skierował kroki ku pomieszczeniu, z którego okna sączyło się światło świec. Nie pukając, szarpnął za kłamkę i kopniakiem otworzył drzwi. Pchnął Jitkę do środka, tak że wyładowała na kolanach u stóp Doroty, która poderwała się od stołu.

Al-hakima wymierzyła w natręta pistolet. Pan Michał zatrzymał się po

przekroczeniu progu i rozejrzał po jej kwaterze. Prócz łóżka i skrzyni na ubrania znajdował się tu duży stół zavalony papierami i oświetlony blaskiem przynajmniej dziesięciu świec tkwiących w świecznikach lub po prostu na blacie. Naprzeciw miejsca zajmowanego przez Dorotę siedział Talaz Tayyar, ciągle z piórem w dłoni. Nie przerwał szkicowania jakiegoś skomplikowanego planu, zerknął tylko na pana Michała i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Uspokójcie się i usiądźcie – powiedział pojednawczo.

– Oczekuję wyjaśnień! – warknął rotmistrz. – Ta mała dziwka uwiodła Jakuba wyłącznie po to, by mieć dostęp do gabinetu Gnińskiego. Szpiegujcie na rzecz imperium osmańskiego!

– Nie wszyscy, tylko one – łagodnie rzekł Talaz. – Dziwi mnie twoje oburzenie, rotmistrzu. Przecież to oczywiste, że sułtan wysłał z Polakami szpiegów. A co ty byś zrobił na jego miejscu? Jedna sprawa to pokonać nowego wroga, a druga mieć na oku starych. Wydaje ci się, że Gniński tego nie wie? Podejrzewam, że zostawiane przez niego na wierzchu papiery są przygotowane specjalnie dla szpiegów. Widać, że waść jesteś żołnierzem, a nie politykiem. Nie ma się co gorączkować, uwierz. Siadaj lepiej, waćpan, i coś sobie wyjaśnijmy.

Wskazał krzesło przybyszowi, a Dorota opuściła pistolet i pomogła podnieść się Jitce z podłogi. Pan Michał usiadł przy stole, choć w odległości zapewniającej swobodę ruchów, na koniec zaś oparł lewą dłoń na rękojeści szabli. Talaz nalał mu do kubka wina z kamionkowej butelki.

– Mołdawskie, słodkie i pożywne – zachęcił, ale Piotrowski nawet nie wziął kubka do ręki. – Słuchaj, waćpan, prawda jest taka, że Porta zdaje sobie sprawę, że wszyscy jej wrogowie będą próbowali skorzystać na osłabieniu imperium. Wiadomo, że Polacy będą namawiać kogo się da, by pod pozorem udzielania pomocy najechać Turcję i ostatecznie ją zniszczyć. Jeśli imperium straci armię, można będzie wyzwolić Bałkany i Grecję spod tureckiego jarzma i umocnić pozycję Rzeczypospolitej na południu na długie lata. To rozwiązałoby wiele problemów. Można rzec, że najazd obcych to dla nich wszystkich jak prezent niebios. Nie zdają sobie jeszcze sprawy, że obcy nie ograniczą się do zajęcia Stambułu, że zamienią całą planetę w piekło. To się jednak szybko zmieni. Wielojażń na razie buduje zaplecze techniczne, sprowadza do rzeczywistości swoich poddanych, właściwie nie rozpoczynając ofensywy. Pojedyncze latające okręty, które widuje się na niebie i które znikają w górach lub gdzieś za morzem, to patrole inżynieryjne szukające cennych złóż kopalnych. Metali promieniotwórczych i ziem rzadkich, czegoś, czego ludzkość jeszcze nie zna i nie umie wykorzystać. Dopiero po ich znalezieniu Wielojażń zacznie powiększać strefę wpływów, zajmować kolejne obszary, by zdobywać niewolników, zarówno jako budulec biomaszyn, jak i siłę roboczą. Kiedy wykona kolejny ruch, jej żołnierze spadną na następne duże miasta, by zrobić z nimi to samo co ze

Stambułem. Obawiam się, że dopiero wtedy wielcy tego świata się obudzą i zrozumieją, że muszą zjednoczyć siły do walki ze wspólnym wrogiem...

– Ale co to ma wspólnego ze szpiegowaniem Gnińskiego? – prychnął pan Michał.

– Kiedy ludzkość przejrzy na oczy, będzie już za późno, niestety nie da się tego zmienić – powiedział Talaz. – Zrozumiałem więc, że zamiast przymierza trzeba spowodować globalny konflikt. Jedyna szansa na powstrzymanie obcych to jedna walna bitwa, która pozwoli mi zbliżyć się do Wielojazni. Do jej przeprowadzenia będą potrzebne wielkie armie, które zgromadzą się pod Stambułem. Nie sposób nakłonić chrześcijańskich władców do wsparcia islamskiej Turcji, zatem najlepiej będzie sprowokować ich do tego, by ją zaatakowali lub przybyli ze zdradziecką „pomocą”. Kiedy dowódcy przybyłych wojsk ujrzą to, co zrobiła Wielojazń, i na własnej skórze przekonają się, co znaczy kontakt z obcą cywilizacją, z pewnością dojdą do wniosku, że jednak trzeba stanąć nie przeciw, ale wraz z Turcją do walki z najeźdźcą. Muszą tylko przybyć ze swoimi wojskami...

– I na tym polega nasza robota – wtrąciła al-hakima, wskazując papiery. – Ibrahim Pasza, mój wielki przyjaciel i opiekun, poprosił, bym szpiegowała dla niego Polaków. I owszem, robię to, ale także po to, byśmy zachowali kontrolę nad nadchodzącym konfliktem. Wiemy już, że Gniński spróbuje sprowokować bunt bojarów w Jassy przeciw marionetkowemu gospodarowi. Polacy chcą przywrócić na mołdawsko-wołoski tron Jerzego Duce. Jednocześnie próbują się dogadać z księciem Siedmiogrodu, by udając pomocną wyprawę, wsparł ich w walce z Turcją. Poza tym Gniński nawiązał kontakty z Habsburgami, usiłuje również namówić do przymierza Tatarów. Słowem, Polacy szykują wielką operację przeciw Porcie. Udając pomoc, wtargną w głąb imperium wieloma armiami. I o to nam wszystkim chodzi.

– Nie rozumiem ciągle, po co szpiegować Gnińskiego, skoro on wie, że jest szpiegowany. Przecież zostawia wam lipne listy... – Pan Michał westchnął, a potem chwycił kubek i pociągnął tęgi łyk.

Talaz odłożył pióro do kałamarza i przeciągnął się z westchnieniem.

– Jako sułtański *lala* przez lata byłem jednym z ważniejszych oficerów wywiadu imperium, a jako demiurg jednym z najwybitniejszych strategów w całym zgrupowaniu galaktyk – powiedział. – Uwierz mi, żołnierzu, gromadzenie i obrót informacjami to skomplikowana operacja. Informacja jest jak broń, którą łatwo się samemu zranić. Wiem jednak, jak precyzyjnie nią operować, by dopiąć swego. Gniński zdaje sobie sprawę, że jest obserwowany, ale musi prowadzić grę dalej, a Turcy muszą go śledzić, by się przerazić i podwoić swe wojska, przygotowując się na zagrożenie z północy. Bo oni też jeszcze się nie obudzili i wydaje im się, że poradzą sobie z Wielojaznią sami. Większość ich dowódców nie widziała piekła,

które obcy zrobili w Stambule, nie zdaje sobie sprawy ze skali zagrożenia i rozmachu przeciwnika. Na tym stole są zarysy zawiłego planu, który ma doprowadzić do zgromadzenia u bram Stambułu potężnych wojsk. Zrozum, że to jedyna szansa na przetrwanie tego świata. Muszę spowodować ogromny konflikt albo wszyscy staniecie się częściami biomachin lub niewolnikami harującymi gorzej niż galernicy.

Pan Michał wypił wino i odstawił kubek. Dorota bez słowa napełniła mu go ponownie, a rotmistrz w podziękowaniu kiwnął jej głową.

– Czyli w tej komnacie jest jedyna nadzieja na ratunek dla całego świata? – spytał pancerny, spoglądając to na Talaza, to na Dorotę. – Zniewieściały tancerz opętany przez demona z innego świata i zbisurmaniona handlarzka niewolnikami? W waszych rękach jedyny ratunek?

Dorota zmarszczyła groźnie brwi.

– Lepsze to, niż oddać szansę na ocalenie świata w łapy wścazy o podgolonych, ale zupełnie pustych łbach! – warknęła. – Zdecyduj, waćpan, czy zamierzasz zrobić awanturę i utrudnić nam życie, czy stanąć po naszej stronie. Możesz ogłosić alarm i kazać nas aresztować, ale wtedy plany Talaza nie wypalą i świat zostanie pożarty przez niemal boską istotę z innego świata. Możesz też się do nas przyłączyć i stanąć ramię w ramię w walce o ocalenie ludzkości.

– Masz mnie za głupca, zielarko? – Rycerz pochylił się do Doroty.

Kobieta zacisnęła zęby, by nie wybuchnąć. Miała rotmistrza za niegłupiego, ale okazało się, że to taki sam jak reszta twarogłowy, pozbawiony wyobraźni służbista. Niech go lichu!

– Widziałem, do czego on jest zdolny. – Pan Michał wskazał Talaza. – Jak wielką ma wiedzę i co potrafi. Wiem też, pani, że naprawdę zasługujesz na swój tytuł mędrca. Oboje jesteście bezwzględni i wiedzą przewyższacie resztę ludzkości. Myślę, że nie ma lepszych kandydatów do ocalenia świata niż wasza dwójka. Z radością będę wam służył.

Zapadła pełna skrępowania cisza. Dorota trawiła nietypowy komplement, Talaz tylko się uśmiechał. Rotmistrz wypił wino i nadstawił kubek. Tym razem napełniła mu go Jitka. Dorota niespodziewanie sięgnęła do rękawa i wsypała do naczynia pana Michała szczyptę białego proszku.

– To odtrutka – powiedziała. – Do pierwszego kubka wsypałam ci truciznę. Wypij, a nic ci nie będzie. I wybacz, musiałam się zabezpieczyć, na wypadek gdybyś nie chciał współpracować.

– Nic nie szkodzi. Od razu poczułem coś dziwnego, ale wiedziałem, że i tak nic mi się nie stanie – odparł lekko rycerz. – Odkąd opilem się smoczej krwi, czuję się właściwie niepokonany.

Talaz uśmiechnął się do obojga z zadowoleniem. Odkąd trzy tygodnie temu zawarł przymierze z Dorotą, nieco mu ulżyło. Miał wreszcie powiernika, kogoś,

kto uważnie słuchał i był niesłuchanie wprost żądny wiedzy. Al-hakima dobrze się sprawdzała jako adiutant demiurga i jego cierpliwy uczeń. Na tyle, ile umiał, uczył ją medycyny, która najbardziej ją interesowała, jednak przede wszystkim próbował jej przybliżyć teorię strategii oraz wojskowości. Dorota traktowała przymierze jako szansę na zdobycie wiedzy i dalszą karierę, Jitka z kolei pomagała im wyłącznie z żądy przygód. Talazowi ciągle wszakże brakowało oficera operacyjnego. Pan Michał nadawał się tu wprost idealnie.

Jitka usiadła przy stole i nalała też wina dla siebie. Cała czwórka przyglądała się sobie bez słowa. Potem pochyłili się nad papierami i Talaz zaczął wszystko wyjaśniać Piotrowskiemu.

## **XVI**

### **Stambuł**

#### **11 radżab Anno Hegirae 1088**

#### **9 września Anno Domini 1677**

Nowy demiurg wspiał się po Wielojaźni, a właściwie po jej materialnej wizualizacji wypłutej przez bioprocessor. Informacja zagęszczona tak bardzo, że osiągnęła masę i wykwitła jako monstrualne czarne drzewo, zdążyła już się ustabilizować i zastygnąć. Pień, szeroki na kilkaset kroków, otaczała płatanina przewodów i modułów pełniących funkcję kondensatorów, cylindrycznych obiektów osłoniętych kutą stalą i wysokich jak dwupiętrowy dom. Demiurg był jednak wyżej, zwinnie wspiał się po wijących się wokół pnia zastygłych mackach na wysokość kilkuset metrów, niby by sprawdzić powierzchnię obiektu i jego bezpieczeństwo. Tak naprawdę nic mu nie zagrażało, a demiurg po prostu miał ochotę w spokoju pomyśleć. Przez godzinę przeskakiwał z konaru na konar, napawał się ruchem i wysokością, wciągał głęboko do płuc chłodne powietrze, by wreszcie zmusić się do zejścia z drzewa do czekających na niego podwładnych.

Dostał swoje pierwotne ciało, to, w którym się urodził przed tysiącami cykli gdzieś w innym świecie. Wzmocniono je i nieco zmodyfikowano, ale z grubsza pozostał sobą, tylko nieznacznie scyborgizowanym. Poruszał się na dwóch nogach, w wyprostowanej pozycji, chyba że akurat skakał lub się skradał – wtedy sunął zwinnie na czterech łapach. Znacznie przewyższał wzrostem przeciętnego człowieka, był jednak szczuplejszy, a do tego omiatał ziemię długim, puszystym ogonem. Ruda sierść porastała całe jego ciało, łącznie z pyskiem zaopatrzonym w czuciowe wąsy. Dla obserwujących go niewolników był trochę niczym poruszający się na dwóch nogach kocur. Demiurg był drapieżnikiem z planety w całości porosłej dziką i groźną dżunglą. On sam również najlepiej czuł się w płataninie wysokich drzew, w której mógł skakać z konaru na konar. To dlatego tak lubił wdrapywać się na punkty widokowe – czuł się wtedy niemal jak w domu.

Na dole czekał na niego Val, dowódca inwazerów odpowiedzialny teraz za szykowanie nowych podbojów na planecie. Wśród cylindrów kondensatorów



demiurg dostrzegł również Isuba. Mgławicowy stwór, ciągle osadzony w ciele człowieka, przyglądał mu się z jawną wrogością, z pewnością szykując jakieś świństwo lub pułapkę, jak na jego poprzednika. Demiurg wiedział, co stało się z jego pierwszym ja. Uległo zbyt mocnemu zespoleniu z ludzkim dawcą ciała i zaczęło popełniać błędy. Przynajmniej oficjalnie, nieoficjalnie bowiem inwazyści mówili co innego. Zanim uciekł, pierwszy demiurg został wystawiony i wrobiony w idiotyczną katastrofę, przez co popadł w niełaskę Wielojażni. Pozwolił się zniszczyć podwładnym, a to nie świadczyło najlepiej o jego umiejętnościach.

Mimo to Wielojażń dała mu drugą szansę i przydzieliła nowe ciało. Aż trudno było uwierzyć, że dwaj kolejni demiurgowie są tą samą osobą. Może niezupełnie, obecny bowiem został wpisany w rzeczywistość z kopii zapasowej właściwego demiurga przechowywanej w infopolu. Tym razem nie zespolił się z człowiekiem – podarowano mu pierwotne ciało, by nie dopuścić do powtórki scenariusza. Wielojażń doszła do wniosku, że najlepiej sprawuje się, gdy stanowi pojedynczą, pierwotną osobowość. Wszelki wpływ obcych umysłów stępiał jego pierwotne, dzikie instynkty wojownika.

– Udało nam się namierzyć twoją nieudaną kopię, demiurgu – jak zwykle służalczo i pochlebco oznajmił Val.

Demiurg wyprostował się na pełną wysokość, spoglądając na niego z góry. Z chęcią ukręciłby dwulicowemu draniowi łeb, ale nie mógł tego zrobić bez powodu. Niszczenie oficerów już osadzonych w rzeczywistości zostałoby potraktowane przez Wielojażń jako niepotrzebna rozrzutność. Wpisanie w rzeczywistość nowej kopii osobowości oficera to spory wydatek energetyczny, na który w fazie inwazyjnej nie ma sensu niepotrzebnie się porywać.

– Gdzie on jest? – spytał więc tylko.

– Zostawił ślad w infopolu mniej więcej tysiąc kilometrów stąd. Tak jak poprzednim razem wykorzystaliśmy twój profil osobowościowy, by go zlokalizować. Rozprzestrzenia jakąś wiedzę lub ideę, którą zaraża kolejne ludzkie umysły. To dlatego odbił się echem w infopolu i znów dał namierzyć. Ma dopiero kilkoro wyznawców, ale ich liczba z pewnością będzie rosła. Myślę, że założył sektę lub ogłosił się prorokiem, może nawet bogiem...

– Ty byś tak zrobił, Val. Ale ja jestem inny, nie zależy mi na władzy nad ludźmi – odparł demiurg, poruszając dłońmi wyposażonymi w pazury z biopolimerów wspomaganych nanobotami. – Myślę, że dawny ja nie stanowi poważnego zagrożenia. Wszystko wskazuje na to, że ucieka, stara się znaleźć poza zasięgiem Wielojażni. Tak jak zrobiłem poprzednim razem. Może będzie chciał się przyczaić i uderzyć, gdy zbudujemy już silne zaplecze techniczne. Ale jeśli to robi, to wyłącznie po to, by zagrabić transporter i skorzystać z bramy. Chce uciec jak najdalej. Na drugi koniec galaktyki, co i tak nie ustrzeże go przed karą.

– Mogę wysłać szwadron patrolowców, by go zdjęły – rzucił lekko Val. –

Tak na wszelki wypadek. Wiemy, że dysponuje jakąś bronią. Załatwił Jasmine w jej oryginalnej postaci, musi zatem mieć do dyspozycji coś naprawdę mocnego.

– Jasmine – prychnął demiurg. – W oryginalnej postaci jest tylko bestią ulegającą pierwotnym instynktom, a nie strategiem. Nic dziwnego, że moje drugie ja dało sobie z nią radę i bez technicznego zaplecza. Nie zapominaj, że nawet tamten ja, nieco ułomny przez swoje człowieczeństwo, jest doświadczonym dowódcą. Zdziwiłbym się, gdyby nie dał sobie rady z tym durnym gadem. A tak na marginesie, gdzie ona znów się podziewa? Nie melduje się co trzy godziny, jak nakazałem.

Nie przerywając rozmowy, demiurg ruszył w kierunku budynku zaadaptowanego na sztab i kwatery oficerów oraz adiutantów. Z okolicy usunięto ciała i nieczystości zostawione przez pająkowatych chirurgów, oczyszczono również z gruzu przedpole wokół drzewa, budując wysoki wał otaczający centrum. Demiurg spojrzął za siebie, na pnącego się wysoko w niebo molocha. Materialna reprezentacja Wielojąźni wyglądała oszałamiająco w swoim ogromie. Nie była prawdziwym ciałem, lecz ogromnym serwerem, w którym zgromadzono kolosalne ilości informacji – umysły poszczególnych członków Wielojąźni, ich wspomnienia i uczucia, a do tego miliardy prostych programów obsługujących i porządkujących to morze danych. W każdym podbitym świecie Wielojąźń budowała taki swój awatar i wypełniała go swoją samodzielną kopią. Zapewniała sobie w ten sposób niezniszczalność i powieliała się na coraz więcej planet. Demiurg wiele razy obserwował ten proces, wiele razy też nim kierował. Za każdym razem z coraz większym strachem i pokorą wobec tego ogromnego tworu.

– Jasmina usilnie stara się zmyć z siebie hańbę – powiedział Val. – Po tym, jak dała się zabić ludziom, pała do nich straszliwą nienawiścią. Myślę, że skoro nie pozwoliła jej brać udziału w rajdach rozpoznawczych i zaczepnych, poluje na niedobitki ludzi w ruinach Stambułu.

– Co nie zwalnia jej z wykonywania moich rozkazów – mruknął demiurg. – Chcę wiedzieć, co robi, bo wydaje mi się zbyt nieobliczalna, by pozwalać jej działać samodzielnie.

– Wiem, gdzie jest – niespodziewanie odezwał się Isub, który od paru chwil szedł kilka kroków za nimi. – Znalazła ludzkiego przywódcę i teraz zadrecza go pod pretekstem przesłuchania.

Demiurg spojrzął na niego z zaskoczeniem. Nie spodziewał się po mgławicowym tworze niczego ponad niechętnie wykonywanie rozkazów. Isub był groźnym i zdolnym dowódcą, ale nie rozumiał pojęć lojalność i przyjaźń. Skoro zdecydował się zdradzić niesubordynację Jasmine, musiała to być z jego strony taktyczna gra. Demiurg wyczuł też falę irytacji, która ogarnęła ciągle sprzymierzonego z Jasminą Vala. Mogło to znaczyć, że ten wiedział o wybrykach gadziej bestii i krył ją z jakiegoś powodu.

– Prowadź – rzucił krótko.

Isub skinął głową i ruszył biegiem, nie oglądając się za siebie. Demiurg uruchomił łączność i wezwał drużynę gwardzistów. Nim pokonał kilkadziesiąt kroków, przy jego boku pojawiło się ośmiu kotopodobnych inwazerów, tak jak demiurg noszących na futrach aktywne, doskonale dopasowane pancerze. Wszyscy uzbrojeni byli, prócz pazurów, w krótkie miotacze niskotemperaturowej plazmy. Kiedy demiurg dowiedział się, że jego poprzednik nie stworzył nawet gwardii przybocznej, natychmiast naprawił to niedopatrzenie, a na dodatek kazał ją sformować ze swoich pobratymców, żołnierzy tej samej rasy i przebywających w oryginalnych ciałach. Miał dzięki temu wierny oddział, który chronił go w czasie operacji bojowych i nie tylko. Lepiej było się ubezpieczyć na wypadek kolejnej zdrady lub ataku z własnych szeregów.

Okazało się, że Isub prowadzi ich do czekającego transportera z pilotem za sterami. Wskoczyli do środka, a pojazd natychmiast wzbił się, pchnięty strumieniami grawitonów z dwóch skierowanych w dół dysz silników. Napęd bzycał i buczał głośno – był to skutek pospiesznego wykonania maszyny z dostępnych materiałów. Ważne jednak, że lekko się uniósł i na wysokości wierzchołków drzew pomknął nad miastem. Rozsuwane drzwi po obu stronach zostały uchylone, inwazerzy z radością chłonęli bowiem pęd i wysokość. Demiurg patrzył w zamyśleniu na przesuwane się szybko pod nimi morze ruin. Przez całą, trwającą kilka minut podróż ani Isub, ani Val nie odezwali się słowem.

Transporter wylądował przy jednym z pałaców lub świątyń, demiurg nie był w stanie ich odróżnić. Obiekt wyszedł z działań wojennych właściwie nietknięty, nic zatem dziwnego, że nowa Jasmina wybrała go sobie na siedzibę. Inwazerzy wyskoczyli z transportera, zanim jeszcze zdążył dotknąć ziemi. Pobiegli przodem zabezpieczyć teren, a demiurg przez system kazał im wdrzeć się do budynku, nie przebijając w środkach. Nie zdziwił się zatem, gdy chwilę później w pałacu rozległ się wściekły ryk, a potem suche trzaski wyrzutni plazmowych. Gdyby przypadkiem również Jasmina stawiała opór i została zastrzelona, byłby to naprawdę szczęśliwy zbieg okoliczności. Niestety inwazerzy starli się tylko z jej czterema sługusami o ciałach ludzi. Przyboczni o jaszczurzych umysłach próbowali powstrzymać intruzów, choć widzieli, z kim mają do czynienia, zostali więc zgładzeni. Jeden z kocich gwardzistów został przy tym ciężko ranny, ale to nie miało dla demiurga żadnego znaczenia.

Okazało się, że Jasmina przebywa w pałacowych ogrodach. O dziwo nie wściekła się, jak to miała w zwyczaju. Czekwała na nich rozparta wygodnie na leżance, a czterech ludzkich niewolników chłodziło ją, machając dostojnie wielkimi wachlarzami. Demiurg mimowolnie poczuł podziw dla jej tupetu. Uśmiechnęła się bowiem na jego widok i pomachała mu, zachęcając, by podszedł. Wiedział, że to zachowanie zawdzięcza nowemu nosicielowi.

Na życzenie demiurga, po utracie smoczego ciała, jej kolejna kopia została wpisana w ludzkiego nosiciela. Złośliwie wybrał dla niej starszego mężczyznę, w dodatku chrześcijańskiego kapłana, którego wiedza nie mogła jej się do niczego istotnego przydać. Mimo to gadzia bestia jakoś dograła się i zgodnie współdzieliła jaźń z pierwotnym właścicielem ciała. Do demiurga uśmiechał się zatem wiekowy jegomość z siwą bródką, do niedawna ksiądz Wawrzyniec Lisiecki.

Naprzeciw jego czy też jej leżanki w palącym słońcu umieszczono krzyż z rozpiętym na nim mężczyzną. Jeniec wyglądał na wycieńczonego, poza tym wymierzono mu chłostę i poważnie poturbowano. Całe, niemal nagie ciało zbryzgane było krwią, a na głowę założono mu obręcz z suchego, ciernistego krzaka kaleczącego czoło. Na widok kocich bestii dręczony uniósł głowę i spojrzał ze zgrozą na inwazerów. Był zatem jeszcze w nienajgorszym stanie, choć kolejne kilka godzin rozmowy z Jasmimą z pewnością wyprawiłoby go na tamten świat.

– Urządziłaś sobie wygodną kwatere, Jasmino – stwierdził demiurg.

– Uległam podpowiedziom mojego ludzkiego ja – odparła, po raz kolejny zaskakując dowódcę. Zazwyczaj mówiła bardzo niechętnie, wołała ryczeć, a ze światem porozumiewała się emocjonalnymi transmisjami lub telepatycznym przekazem. – I wołałabym, byś zwracał się do mnie per ojciec lub księżę, w ostateczności mości Lisiecki.

Demiurg zignorował niewolnika, który gnąc się w ukłonach, podsunął mu tacę z naczyniami pełnymi napoju. Podszedł do księdza Lisieckiego i kopnięciem przewrócił go razem z leżanką. Jednocześnie wypuścił pazury, by w razie czego rozerwać go na strzępy. Właściwie tylko czekał na gwałtowniejszą reakcję przeciwnika. Jasmima jednak rozłożyła ręce, nie ruszając się z ziemi. Widocznie ludzki nosiciel miał na nią większy wpływ, niż demiurg to przewidział.

– Złamałaś dyrektywę Wielojaźni o zwierzchności służbowej, nie wykonując rozkazu – powiedział powoli. – W dodatku ukrywasz tu ważnego jeńca. Wytłumacz się natychmiast lub odeślę cię w niebyt.

– Nie możesz tego zrobić z tak błahego powodu. – Jasmima-Lisiecki wstał z godnością i otrzepał szatę, długi turecki kaftan, który musiał znaleźć w pałacu. – Wielojaźń nie byłaby zachwycona, gdybyś kasował kolejnych oficerów tylko przez osobistą niechęć. Łączność zawiesiłam na czas przesłuchania, potrzebowałam bowiem spokoju i skupienia. A jeńca zamierzałam przekazać pajęczakom dopiero po wydobyciu zeń cennych informacji. Gdy chirurdzy wezmą go w obroty, zwyczajnie zwariuje, miast zdradzić, co wie.

– Dowiemy się wszystkiego, co wie. Wystarczy zasiedlić go umysłem inwazera...

– Och, nie doceniasz ludzi, strategosie. Niektórzy mają umysły i osobowości znacznie przerastające to, czym możemy ich zasiedlić. Przypomnij sobie tylko pierwszego demiurga, który połączył się z Talazem Tayyarem. Jak to się

skończyło? Dominacją ludzkiej osobowości i zdradą demiurga – oznajmił Jasmina-Lisiecki z lekkim uśmiechem. – To dlatego przedsięwzięłam pewne środki ostrożności. Ten jegomość to wielki wezyr Kara Mustafa Pasza, bardzo inteligentny i sprytny przywódca ludzi. Próbuje wydobyć z niego, czemu nie opuścił miasta, tylko ukrywał się w nim z niedobitkami armii. To wszak nie miało sensu, widział przecież, jak miażdżymy jego wojowników i obracamy miasto w perzynę. Powinien zabrać się stąd zaraz po swoim władcy. Co chciał osiągnąć, dysponując tylko garstką żołnierzy? Czemu nie uciekł? Co planował? Może wie o czymś, co mogłoby nas zainteresować? Może działa w porozumieniu z demiurgiem, który nas zdradził?

– I co? – mruknął demiurg.

Jasmina-Lisiecki wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– Na razie wygląda na to, że zrobił to zwyczajnie ze strachu – stwierdził wreszcie. – Jest przekonany, że za utratę miasta grozi mu śmierć z rąk swoich. Postanowił więc zostać i walczyć do samego końca, licząc, że wydarzy się jakiś cud, który pozwoli mu pokonać najeźdźców.

– Nie jest jednak specjalnie inteligentny, skoro wierzy w coś takiego – zauważył demiurg. – Myliłeś się zatem, Jasmino. Nie jest wiele warty, a jego wiedza o armii przeciwnika też na wiele się już nam nie przyda. Miejscowi nie stanowią dla nas zagrożenia. Mimo to zabieram go, a tobie udzielam ostatniego ostrzeżenia. Jeszcze jedno złamanie choćby drobnej dyrektywy lub naruszenie dyscypliny, a zostaniesz ostatecznie zgładzona. Bez prawa do remisji w kolejnej kopii.

Jasmina-Lisiecki skinął sztywno głową, przyjmując do wiadomości decyzję dowódcy. Demiurg odwrócił się i wyszedł, wydając rozkazy na paśmie łączności. Kazał zabrać wezyra i udzielić mu pierwszej pomocy, następnie usunąć księdza z pałacu, a budynek zrównać z ziemią. Na miejscu polecił urządzić lądowisko dla transporterów lub coś równie prozaicznego.

W drodze powrotnej do centrum dowodzenia, siedząc na pokładzie transportera, przyglądał się skulonemu w kącie wezyrowi. W końcu zaczął do niego przemawiać i przeprosił za złe traktowanie, tłumacząc je okrutnym charakterem Jasminy-Lisieckiego. Wielmoża w końcu się rozluźnił i przestał dygotać z przerażenia, a kiedy dostał leki przeciwbólowe, zaczął odpowiadać na pytania. Gdy wylądowali koło drzewa Wielojaźni, wysiadł z transportera o własnych siłach i z podziwem przyglądał się z bliska nikiem wysoko w chmurach molochowi.

– Oszczędzicie mnie, panie? – spytał wreszcie demiurga. – Mogę wam służyć równie wiernie i oddanie, jak wcześniej służyłem padyszachowi. Teraz wiem, że jego władztwo się skończyło, a wy jesteście prawdziwym Cieniem Boga na Ziemi. Powiedzcie, czego chcecie, a zrobię to z radością.

Demiurg z zadowoleniem pokiwał głową.

– Chcę, byś pozostał mi wierny i skupił się na zniszczeniu Jasminy-Lisieckiego – rzucił krótko. – To twoje pierwsze zadanie.

– Uczynię to z radością – odrzekł Kara Mustafa i się uklonił.

Demiurg poprowadził go zatem w kierunku ledwie pełgającej bramy, którą jednak ciągle można było transmitować dane z infopola i która nadal pałała ezoterycznym promieniowaniem. Kazał wezyrowi przygotować się bez lęku na przemianę, która uczyni go silniejszym. Następnie uruchomił procedurę przeniesienia i polecił wpisać wybraną osobowość w wezyra. Uśmiechał się w myślach do siebie, obserwując przemianę nosiciela, to, jak w jego oczach wpraw gąśnie, a potem na powrót rodzi się świadomość. Trwało parę chwil, nim przemieniony oprzytomniał. Najpierw rozległo się głośne, wściekle ryknięcie. Wyszczrzył zęby, warcząc i rozglądając się. Jego mięśnie dygotały, gdy nowa, połączona jaźń przejmowała władzę nad ciałem.

– Poznajesz mnie? Wiesz, co masz robić? – Demiurg położył ręce na jego ramionach i spojrzał mu w oczy.

– Taaak – wycedził niedawny wezyr, a teraz istota powstała z połączenia tego pierwszego z kolejną kopią Jasminy. – Zniszczyć ją... I służyć ci wiernie, demiurgu.

Dowódca pokiwał z zadowoleniem głową. O to właśnie chodziło. Nikt nie będzie większym zagrożeniem dla Jasminy niż ona sama. Wystarczyło tylko poszczuć ją na siebie, wykorzystując ofiarę, którą sama stworzyła. To skutecznie odwróci jej uwagę od knucia przeciw demiurgowi, wykorzysta za to jej agresywność i żądzę zabijania.

Jasmina-Mustafa dochodził powoli do siebie, już gotując się z wściekłości na Jasminę-Lisieckiego. Pamiętał doskonale tortury i bezlitosne okrucieństwo bestii, która go pojmała i dręczyła. Pamiętał też łaskawość i dobrą wolę demiurga, który go uratował i obdarzył zaufaniem. Musiał odpłacić swojej dręczycielce, potem zastanowi się nad stosunkiem do dowódcy. Ważne, że miał cel i ofiarę, którą musiał zabić. Reszta nie miała na razie znaczenia.

## **Chocim**

### **2 października Anno Domini 1677**

Dorota już niemal zapomniała, jak nieprzyjemna potrafi być polska jesień. Co prawda znajdowała się na południowych rubieżach Rzeczypospolitej, ale nawet

tu deszcz i chłody potrafiły być dotkliwe. Szczególnie gdy mieszkało się w namiocie rozstawionym w dawnym wojskowym obozie otaczającym chocimską twierdzę, która w ostatnich latach kilka razy przechodziła z rąk polskich do tureckich i odwrotnie. W końcu po upadku Stambułu armia turecka wycofała się z południowej Ukrainy, by ratować imperium. Polacy skwapliwie wykorzystali tę sytuację i wrócili do dawnych fortec, na czele z pobliskim Kamieńcem Podolskim.

Mimo nieprzyjemnej aury i tego, że znajdowała się w dawnej ojczyźnie, al-hakima nie zrezygnowała ze swojego ulubionego tureckiego stroju. Nadal nosiła bufiaste spodnie, koszulę i kaftan z długimi rękawami, a włosy kryła pod hidżabem. Tak było wygodniej i poręczniej, niż męczyć się w noszonych przez polskie baby ciężkich wełnianych kieckach, pod które i tak wdzierał się wiatr. Nawet Jitka przekonała się do tureckiego stroju, choć na kaftan zakładała futerko podarowane przez Jakuba Kęsickiego.

Dorota wyszła z namiotu i z niechęcią spojrzała w niebo. Pokrywały je ciężkie ołowiane chmury, z których nieustannie siąpił drobny deszczyk. Przynajmniej nie wieje – pocieszyła się i ruszyła przez obóz w kierunku kuźni, których cały kompleks rozciągał się za bramami twierdzy. Mijała grupy obozowych ciur, parobków i giermków, którzy mimo wczesnej pory kręcili się wokół namiotów. Tylko niektórzy, ci, co pojawili się w ostatnich dniach wraz z przybywającymi do Chocimia oddziałami, przyglądali jej się z ciekawością. Pozostali doskonale wiedzieli, kim jest bisurmańska lekarka, i nie ważyli się zbyt ostentacyjnie na nią gapić czy wygłaszać jakichś uwag. Kilka razy bez ceregieli wyrznęła w pysk zbyt rozszczekanego ciurę, raz też interweniował w obronie jej czci pan Michał. To wystarczyło, by otoczyła ją aura groźnej i wpływowej. Większość czeladzi zatem natychmiast schodziła jej z drogi, a niejeden kłaniał się al-hakimie z szacunkiem.

Brama do zamku stała otworem i nikt jej nie pilnował. Nie było po co – całe przedpole zajmowało kilka tysięcy wojska rozlokowanego w dziesiątkach namiotów okolonych szańcami i okopami. Za radą Talaza hetman kazał na szańcach i wieży umieścić wymierzone w niebo śmigownice ze stożkowatymi ładunkami w lufach. Artylerzyści mieli nimi powitać latające pojazdy obcych, gdyby te pojawiły się nad twierdzą. Na razie jednak żadnego w okolicy nie dostrzeżono, nieskończone, słabo zaludnione stopy Ukrainy zupełnie nie interesowały najeźdźców.

Dorota zastała Talaza w jednej z kuźni, którą przerobił na warsztat. Puszkarze i rusznikarze, których gonił do roboty, nie pojawili się jeszcze, choć dwóch parobków już rozpałiło w paleniskach, szykując pracownię do całodziennej roboty. Al-hakima z przyjemnością przez kilka chwil patrzyła na stojącego na tle ognia wysokiego Turka ubranego wyłącznie w koszulę i spodnie. Tayyar był nie tylko przystojny i piękny niczym Apollo, ale też silny i mocno zbudowany. Stracił

gdzieś swoją zniewieściałość, smocza krew zmieniała także jego zachowanie – potrafił być agresywny i gwałtowny. Jakaś nieokiełznana dzikość i dudniąca w jego żyłach moc pociągały Dorotę. Niekiedy zdarzało mu się wybuchnąć i krzyknąć wściekle na parobka, czasem potrząsnął nierozgarniętym puszkarem i choć zawsze potem przeproszał i zrzucał winę na wypełniającą mu żyły smoczą krew, wyglądał dla Doroty jak prawdziwy mężczyzna. Lubiła takich, ładnych i wściekłych jednocześnie. Rzadko się trafiali, nic więc dziwnego, że Talaz jawił jej się niczym rodzynek, na który miała coraz większą ochotę. Nie obchodziło jej nawet, że właściwie nie jest człowiekiem. A przynajmniej nie do końca.

– Już jesteś, to świetnie! – ucieszył się na jej widok i powitał szczerym uśmiechem.

Czuła, że jego radość nie jest fałszywa czy grzecznościowa, naprawdę ją lubił. Tylko ona potrafiła go słuchać i usiłowała naprawdę zrozumieć. Pozostali, nawet najmądrzejsi spośród doradców hetmana Jabłonowskiego z nim samym na czele, ciągle tylko unosili brwi i czochrali się po brodach, próbując zrozumieć cokolwiek z proponowanych przez niego rozwiązań technicznych i taktycznych, które trzeba zastosować w walce z armią inwazyjną obcych, by mieć jakiegokolwiek szanse. Nieustannie też traktowali go z podejrzliwością i z trudem ukrywaną niechęcią. Przecież nie dość, że był bisurmanem, to jeszcze w połowie pochodził z innego świata.

– Spójrz, to ostateczna wersja smoczego koncerza – powiedział, łapiąc za broń leżącą na stole.

Podał jej ciężką, długą rurę z drewnianą rękojeścią, zakończoną charakterystyczną stożkową bulwą z blachy. Koncerz miał dobre cztery łokcie długości i oparty o ziemię przewyższał Dorotę o głowę. Wzięła go pod ramię, jak husarze trzymają kopię. Teraz co innego, dało się nim jakoś operować, nawet siedząc w siodle. Właśnie o to chodziło – zostaną przytroczone w miejscu, w którym husaria zwykle woziła koncerze, bardzo długie miecze do przebijania zbroi. Ta straszliwa broń, coś w rodzaju samopałów zaopatrzonych w pociski kumulacyjne mogące dziurawić mury i przebijać pancerze inwazerów oraz latających maszyn obcych, miała je zastąpić.

– Słyszałam, że wieczorem testowaliście mieszankę prochową – powiedziała Dorota, obracając koncerzem. – Pół obozu zerwało się na równe nogi, waliło, aż się ziemia trzęsła.

– Odpaliliśmy kilka pocisków w obecności hetmana i mości panów. – Talaz skinął głową. – Rozwaliliśmy w drobny mak kilka skał i wóz załadowany workami z piaskiem. To zrobiło wrażenie na szlachcicach. Wszyscy gładzili się po wąsiskach, klepali po brzuchach, żegnali się i całowali ryngrafy z Matką Boską. A tak w ogóle teraz w koncerzach jest nie tylko proch czarny, choć materiał zawiera jeden z jego składników, saletrę. Poza tym to ziemia okrzemkowa, której



złóże znaleźliśmy kilka dni temu w pobliżu, i najważniejszy składnik, otrzymany przez pigularzy z tłuszczu zwierzęcego potraktowanego mocnym kwasem. To najprostszy materiał wybuchowy możliwy do wytworzenia w tych warunkach, za to dziesiątki razy mocniejszy i szybciej się spalający od prochu. Tego ostatniego używamy tylko jako zapalnika...

– Wybuch tego czegoś nie rozsądzi całego smoczego koncerza?

– Rura powinna wytrzymać dwa, może trzy strzały. To dlatego husarze będą zaopatrzeni w jeden ładunek już założony i drugi umieszczony w olstrze przy siodle zamiast puffera\*. Teraz zostało nam tylko wyprodukowanie kilku tysięcy takich cacek i możemy ruszać.

– Och, cudownie, już marzę o Stambule, słońcu, świeżych owocach, gwarze i harmidrze, a nawet o męczących żebrakach i wszędobylskich kotach. Nawet za smrodem tej metropolii zaczęłam tęsknić. Liczę, że z twoją pomocą uda się wygnać obcych i odbudować moje miasto – powiedziała, wystawiając dłonie do ognia.

Do zimy było jeszcze daleko, ale wolałaby ją spędzić na terenie Turcji niż w starym kraju. Już tak bardzo stała się al-hakimą, że nie wyobrażała sobie powrotu do dawnego życia. Nawet polski klimat wydawał jej się nieprzystępny, zdecydowanie za zimny.

– Zrobimy co się da, a teraz zajmijmy się pracą. Trzeba przygotować przepisy dla faktorii, które będą wytwarzały materiał wybuchowy. Skład jest w moich zapiskach, po turecku. Musisz przełożyć go na polski, i to jak najjaśniej, by wykonawcy nie mieli wątpliwości, co robić, a potem sporządzić powiedzmy tuzin kopii. Usiądź tu, blisko pieców, będzie ci ciepło i wysuszysz sobie ubranie.

Uśmiechnęła się, słysząc troskę w jego głosie, a gdy przechodziła do wskazanego stołu, otarli się o siebie. Talaz aż westchnął, zaskoczony reakcją swojego ciała na dotyk kobiety. Sprawiał wrażenie skonfundowanego, chyba toczył jakąś wewnętrzną walkę. Wreszcie zerknął na krzątających się parobków i kazał im narąbać więcej drewna. Kiedy wyszli, podszedł do siedzącej Doroty i położył dłonie na jej ramionach. Odgięła się do tyłu, nadstawiając na trochę niewygodny w tej pozycji pocałunek. Obojgu niewiele to jednak przeszkadzało – gwałtownie i namiętnie wpili się w siebie ustami. Dorota nagle znalazła się w objęciach Talaza, krzesło, na którym przed chwilą siedziała, poleciało z hukiem pod ścianę. Kochanek podniósł ją, jakby była piórkiem, i wtulił w siebie. Ze stołu posypały się na podłogę zepchnięte papiery, grzmotnął kałamarz. Dorota z impetem uderzyła plecami o blat. Uśmiechnęła się, szarpnięciem rozsznurowując kubrak.

– Wybaczcie, ale muszę wam przerwać! – rozległ się głos pana Michała.

Smokobójca gwałtownie wpadł do kuźni i zatrzymał się dopiero, widząc splecioną i pośpiesznie obnażającą się parę. Talaz odwrócił się do niego, szczerząc zęby i gardłowo warcząc, na szczęście jednak natychmiast się opanował. Rotmistrz pancernych uniósł uspokajająco ręce.

– Jitka została uprowadzona – wyjaśnił. – Przez tego młodego głupca, którego od dawna mami. Doigrała się, głupia siksa. A mówiłem jej, by dała mu spokój!

Dorota poprawiła rozchełstane odzienie i zeszła ze stołu. Myślała, że nieobecność dziewczyny w namiocie jest spowodowana odwiedzinami u kochanka. I właściwie się nie myliła, tylko że ten wreszcie postanowił wziąć sprawę w swoje ręce i zrobić to, co od dawna obiecywał – pojąć ją za żonę.

– Jeśli spróbuje zaciągnąć ją przed ołtarz, może go to drogo kosztować – powiedziała. – Trzeba powstrzymać tego narwańca, zanim dojdzie do tragedii. Wiesz, waść, w którą stronę ją uprowadził?

– Semen twierdzi, że odjechał z nią drogą na Żwaniec. W wiosce jest cerkiew, więc niewykluczone, że właśnie tam zamierza ją pojąć – stwierdził pan Michał.

– Jedźcie oboje – zdecydował Talaz. – I zróbcie z tym wreszcie porządek. Ja muszę zarządzać produkcją broni.

Od miesiąca, po kilku rozmowach z hetmanem Jabłonowskim Talaz działał jako jego zaufany dowódca. Poręczył za niego osobiście kanclerz Gniński, zanim wyjechał do Warszawy. Przekazał hetmanowi cenny skarb, jakim był posiadający niezwykłą wiedzę wojownik i demiurg armii obcych. Największe wrażenie zrobiła na hetmanie nie sama osoba Talaza, ale przywiezione z Turcji smocze łuski, które przebiła broń wymyślona przez demiurga, a których ostrzał z muszkietów nie był w stanie nawet zarysować. Hetman polny był nie w ciemę bity i szybko zorientował się, jak cenna może być współpraca z dziwnym osobnikiem. Obdarzył go sporym zaufaniem i dał wolną rękę, przynajmniej jeśli chodzi o prace nad bronią. Armia i tak musiała czekać na decyzje króla i postanowienia sejmu, co mogło trwać nawet całą zimę. Tak czy inaczej, Talaz zajął się przezbrajaniem oddziałów. Tolerowano nawet jego asystentkę, ciągle trzymając ją w szachu groźbą stracenia jej brata.

Dorota wybiegła z kuźni za panem Michałem i po chwili siedziała już w siodle jednego z koni należących do pancernych. Wodze podał jej kasztelaniec inowrocławski Tadeusz Janiecki, który za pisemną zgodą ojca wstąpił do chorągwi pancernej jako pocztowy samego rotmistrza. Chłopak poczytywał sobie służbę w rycerskim poczcie za zaszczyt, szczególnie że Piotrowski stał się najpopularniejszym rycerzem w Rzeczypospolitej. Ponoć już nawet w Małopolsce sprzedawano jako pamiątki „prawdziwe” smocze pazury i łuski potwora ubitego przez pana Michała.

Pogalopowali przez obozowisko we trójkę, z Dorotą w środku. Wypadli na północną drogę wiodącą prosto do Żwańca i pognali nią na tyle, na ile dało się gnać rozmiękłym od deszczów traktem. Tadeusz dwa razy omal nie spadł w błoto, ciągle nieprzyzwyczajony do kolczugi i misiurki na głowie. Dorota skłęta w myślach

Jitkę, szczególnie że już po pierwszym kwadransie jazdy boleśnie obila sobie pośladki i otarła uda. Powinna machnąć ręką na tę sikse, ale oczywiście nie potrafiła tak po prostu zostawić jej w potrzebie. Choć zwróciła dziewczynie wolność, ciągle traktowała ją jak swoją podopieczną. Trochę jak młodszą siostrę, trochę jak przyjaciółkę. Zacisnęła więc zęby i galopowała dalej.

W Żwańcu jednak młodych nie znaleźli. Pop urządzający się na powrót w opuszczonej przez Turków cerkwi, która islamistom służyła za meczet, zaklinał się, że nie widział husarza z dziewczyną. Na szczęście kozacki podjazd patrolujący okolice miejscowej fortecy zameldował panu Michałowi, że owszem, napotkał towarzysza husarskiego w towarzystwie dziewczyny jadących w kierunku Kamieńca. Dorota wysapała przekleństwo, masując się po bolącym tyłku, i pogoniła konika. Pokonali kolejną milę lub dwie po grząskiej drodze, gdy usłyszeli dudnienie, dzwonienie i skrzypienie kół. Z lasu wyjechała szpica kilkutyśięcznego oddziału ciągnącego na południe pod łopoczącymi czerwonymi sztandarami z Pogonią, godłem Litwy. Awangarda, złożona z lekkiej jazdy, na widok trójki jeźdźców natychmiast pogalopowała w ich stronę. Pan Michał uniósł rękę w pozdrowieniu i głośno się okrzyknął.

Porucznik dragonów, który ich powitał, natychmiast powiódł spotkanych w kierunku wozów i karet, którymi musiał jechać ktoś znaczny. Rotmistrz Piotrowski uważnie przyglądał się zarówno żołnierzom i szlachcie, jak i sztandarom. Widząc wojsko dobrze wyekwipowane i utrzymujące porządek, szybko zrozumiał, z kim będzie miał zaraz do czynienia.

– Nie chwalcie się, że akuratnie służymy pod dowództwem hetmana Jabłonowskiego – powiedział półgłosem do Doroty i Tadeusza. – O Gnińskim też lepiej byłoby milczeć. Jedziemy po prostu do Kamieńca z przydziałem do wzmocnienia obsady twierdzy. Wymieniamy pozdrowienia i tyle. W razie czego udajemy głupców, o niczym nie wiemy i nikogo nie znamy.

– Po co te podchody? – spytał Tadeusz.

– To wojsko hetmana wielkiego litewskiego Michała Paca i obawiam się, że on sam z nim podróżuje. Pac nienawidzi Sobieskiego i zwalcza go, jak tylko może i kiedy tylko może. Hetman Jabłonowski i kanclerz Gniński to z kolei wierni druhowie króla Jana, a my, jako ich podwładni, jesteśmy niejako z definicji po ich stronie barykady – wyjaśnił rotmistrz. – Może nam się zatem przydarzyć coś złego, łącznie z tragicznym zaginięciem bez wieści. Trzymaj więc chłopcze język za zębami, wy też móści pani.

Dorota skinęła głową. Nienawidziła Jabłonowskiego za to, że więził jej brata i był bezwzględny draniem, ale zdawała sobie sprawę, że Pac jest prawdopodobnie jeszcze gorszy. Ten pierwszy szantażował ją i zmuszał do niegodnych czynów, by chronić granice i interesy Rzeczypospolitej, ten drugi za to dopuszczał się łajdactw wyłącznie z ambicji, by umocnić swoje wpływy i osłabić

króla. Ponoć nawet wahał się z Moskwą i Brandenburgią, naturalnymi wrogami Polski, byle tylko dopiec Sobieskiemu.

Obawy pana Michała się potwierdziły – zaprowadzono ich do odkrytej karety, w której siedział hetman wielki. Był mężczyzną po pięćdziesiątce, o pociągłej twarzy i wysokim czole. Sumiaste wąsy nadawały mu wygląd strapionego i zmęczonego. Obrzucił ich smutnym spojrzeniem i westchnął ciężko. Dorota skamieniała w siodle, bo w karecie, naprzeciw hetmana, siedziała Jitka. Dziewczyna sprawiała wrażenie nieco skonfundowanej, ale minę wciąż miała hardą.

– Czyżby następni uciekinierzy z obozu Jabłonowskiego? – spytał hetman. – A może jego szpiedzy? Ten sprytny uczeń Czarnieckiego ostatnio coś nie w formie. Wpierw ucieka mu husarz, wiodąc Turczynkę, która twierdzi, że jest Czeszką, a chwilę później kolejnych dwóch jego zbrojnych z następną Turczynką.

– Jestem Polką – oznajmiła Dorota.

– O, to już jakiś postęp. A czemu, jeśli można wiedzieć, przebrała się waćpani za bisurmankę?

– Od dwudziestu lat jestem poddaną Porty. Al-hakima Dorota Falak. Obecnie na służbie hetmana Jabłonowskiego – rzekła, wiedząc, że to lepsze, niż zostać posądzoną o szpiegowanie dla sułtana.

– Zawsze miał ciągoty do parania się parszywą robotą, szpiegowania, knucia i jątrzenia – burknął hetman wielki. – Werbowanie poturczeńców i rozsyłanie ich po kraju to jednak przesada. Nie mogę dopuścić, byście samopas wędrowali na tyłach moich wojsk. Zatrzymuję was wszystkich do wyjaśnienia.

– Jestem rotmistrz Michał Piotrowski – odezwał się pancerny. – Oficer w służbie królewskiej. Nie możesz mnie, hetmanie, bez powodu przetrzymywać.

– A kto mi zabroni? Zrobię, co zechcę, ja tu jestem panem! – Ostatnie słowa Pac wykrzyczał i dla ich podkreślenia trzasnął pięścią w podłokietnik karety.

Jitka skuliła się przestraszona, a koń Doroty prychnął i zastrzygł uszami. Kareta cały czas się przesuwiała i rozmawiający musieli poganiać wierzchowce, by za nią nadążyć. Dragoni hetmana nie spuszczała jeńców z oka, gotowi w razie czego interweniować. Pan Michał zerkał na nich spode łba, zastanawiając się, czy zwyczajnie nie spróbować ucieczki, ale domyślił się, że ci tylko na to czekają.

– Słyszałem o was, acan – mruknął Pac. – Ustrzeliliście wielkiego jaszczura, który omal nie pożarł sułtana. Nie mogliście poczekać, aż go przełknie?

– Nie miałem czasu na zastanowienie...

– Pewno. Zawsze działacie pochopnie, gorące głowy! – prychnął hetman wielki. – No nie łyp waść tak groźnie, nie jestem waszym wrogiem. Powiedźcie mi jeno, co się tu wyprawia, a puszczę was wolno.

Kiedy pan Michał pokrótce opowiedział o uprowadzeniu Jitki, Pac uśmiechnął się szeroko. Machnął ręką, jakby opędzał się od muchy.

– Nie wierzę wam, to zbyt głupie i trywialne – prychnął. – Nie mam jednak czasu na podchody i przesłuchania, nie jestem taki jak ten lis Jabłonowski. Lubię stawiać sprawy jasno, przybliżcie się zatem, bo mam dla was propozycję...

Dorota spojrzała na rotmistrza, unosząc brwi, ten wzruszył ramionami w odpowiedzi. Zgodnie z rozkazem hetmana wielkiego podjechali jeszcze bliżej do karety. Pan Michał kazał oddalić się Tadeuszowi, by nie mieszać chłopaka w brudy polityki. Młodzieniec posłusznie wstrzymał konia i zrównał się z dragonami.

– Wiem, że w obozie Jabłonowskiego przebywa turecki oficer, który jest jednocześnie hetmanem obcych wygnanym przez nich za jakieś zbrodnie. Wiem też, że to on skonstruował broń, którą rotmistrz Piotrowski upolował smoka. Ha, widzicie? Mam uszy i oczy nawet po osmańskiej stronie granicy – z zadowoleniem stwierdził Pac. – Jestem rzutkim i sprawnym wodzem, wyruszyłem z Wilna, gdy tylko dowiedziałem się, co zaszło, zabierając całą siłę, jaką udało mi się na poczekaniu zgromadzić. Chcę ugrać na tej awanturze ile się da. Mam wielkie plany i ogromne możliwości, by je zrealizować, potrzebuję jednak ludzi, na których mógłbym polegać, stronników i godnych zaufania rycerzy. Razem możemy zwojować naprawdę wiele. Składam wam więc propozycję: przejdźcie do mojego obozu. – Spojrzał w pierw w oczy panu Michałowi, a potem Dorocie. Do niej nawet się uśmiechnął.

– Jak to mam rozumieć, hetmanie? Mam dla ciebie szpiegować? – obruszył się rotmistrz. – A może dźgnąć Jabłonowskiego w plecy?

– Wystarczy, że przystąpisz do moich oddziałów i poprzecz mnie swoimi umiejętnościami. Mianuję cię rotmistrem mojej przybocznej chorągwi, a gdy zwyciężymy, zostaniesz strażnikiem wielkim koronnym. To wysoka dworska funkcja, która otwiera drzwi do godności hetmańskich – odparł Pac.

– Strażnika wielkiego mianować może jedynie król – zauważył Piotrowski.

– Chyba właśnie o to hetmanowi chodzi – spostrzegła Dorota. – Chce sięgnąć po koronę, a my mamy mu w tym pomóc.

– To kuriozalne mrzonki! Krotochwila zupełnie nie na miejscu! – znów oburzył się rotmistrz.

– Ależ przeciwnie, chwila jest ku temu najlepsza z możliwych. Najazd obcych diametralnie zmieni rozkład sił na kontynencie i umożliwi rzeczy, które wcześniej były niemożliwe – zauważył hetman. – Przede wszystkim w pył może się obrócić potęga turecka, ale nie tylko ona. Sobieski nie przepuści okazji, by się popisać, sięgnąć po płochą chwałę i sławę jako obrońca ludzkości, Kościoła i diabli wiedzą czego jeszcze. Tylko patrzeć, jak zjedzie tu ze wszystkimi chorągwiami, jakie da się zgromadzić, a mimo że jest skąpcem, nie zawaha się sfinansować dodatkowych oddziałów. Dobrze go znam, znam też jego zamiłowanie do popisywania się i awantur. Są zatem szanse, że noga mu się w końcu powinie i stanie się coś złego. Obcy nie mają honoru, są demonami z otchłani, nic zatem

dziwnego, że mogą zgładzić króla, jakby to był zwykły pacholek. Liczę, że tak się w końcu stanie. Od dawna na to czekam.

– I liczysz waćpan, że zajmiesz jego miejsce? A co z elekcją? – mruknął pan Michał.

– Radziwiłłów i Potockich mam już od dawna pod butem, a szlachta z Korony mnie nie interesuje. Jeśli będą się zbyt szarogęsić, załatwię sprawę inaczej. Wielkopolskę i Dolny Śląsk oddam Brandenburgii, a Małopolska i Górny Śląsk przypadną Świętemu Cesarstwu Rzymskiemu. Wielki elektor i Leopold Habsburg sprawnie zrobią porządek z warchołami zamiast mnie. Najważniejsze w tym kraju i tak są Litwa, Ukraina i Podole, reszta to tylko wylęgarnia ambarasów i hołoty.

Pan Michał wyglądał na wstrząśniętego. Oczywiście zdawał sobie sprawę z niechęci wielkiego hetmana do króla, ale nie podejrzewał, że Pac ma aż tak wielkie ambicje i gotów jest posunąć się do zdrady, a nawet wydania części kraju w obce ręce. Czuł, że krew w żyłach zaczyna mu się gotować, z chęcią rozrąbałby łeb zdrajcy, i to bez kłopotania się konsekwencjami. Był jednak odpowiedzialny za Dorotę i Jitkę, poza tym musiał powiadomić Jabłonowskiego o planach Paca. Zacisnął więc pięści i pochylił głowę, udając, że zastanawia się nad propozycją.

– A co ofiarujesz mnie za przystąpienie do twojej frakcji, hetmanie? – spytała Dorota.

– Szlachectwo wraz z posiadłością w wybranym rejonie Rzeczypospolitej Ziemi, ile tylko sięgniesz wzrokiem, do tego dwór i tysiąc, nie, dwa tysiące złotych czerwonych rocznie przez dziesięć lat – rzucił hetman bez zastanowienia. – Twoim zadaniem będzie przekabacenie na naszą stronę hetmana obcych. Chcę go mieć w swoim obozie, jego broń i wiedzę. Tę sprawę, niebagatelną, złożę w twoje ręce.

– Dziesięć tysięcy czerwieńców z góry, do tego zamek i włości w południowej Ukrainie – powiedziała Dorota. – Dla Jitki też coś będziesz musiał wymyślić, wasza miłość. I uwolnić jej durnego absztyfikanta.

– Stawiał się nieco i chłopcy lekko go obili. Jedzie związany w taborach, ale co do uwolnienia, to jeszcze muszę się zastanowić – stwierdził lekko hetman. – A dziewczyna dostanie bogate stroje, klejnoty i pięknego konia. Będzie miała na wiano.

Jitka poruszyła się i wyduła usta w niechętnym grymasie, ale rozsądnie się nie odezwała.

– Dorota, ty chyba nie zamierzasz... – oburzył się pan Michał.

– Zamierzam! – syknęła i spojrzała na niego gniewnie. – I nikt nie będzie mi mówił, co mam robić, ani czy to dobre, czy złe! Mam dość wysługiwaniania się durnym sobiepankom i słuchania mężczyzn. Dzięki propozycji hetmana wkrótce stanę się niezależną i wolną kobietą. O to walczę całe życie i nie zaprzepaszczę tej

szansy. Złożę hetmanowi przysięgę wierności i tobie radzę zrobić to samo. Chyba że wolisz dać gardło w imię durnego honoru lub wierności wobec władców, którzy mają cię w nosie. Wybieraj!

Michał Piotrowski w milczeniu długo mierzył ją wzrokiem. Zazgrzytał zębami, ale szybko nad sobą zapanował i w końcu pochylił głowę. Mruknął niewyraźnie, że się zgadza.

– Świetnie! Przyjmę wasze przysięgi, ale wybaczcie, obawiam się, że mi nie wystarczą. – Pac znów się uśmiechnął. – Wypuszczę was i wrócicie do obozu Jabłonowskiego już jako moi ludzie, potrzebuję jednak zabezpieczenia. Zatrzymam dziewczynę i młodego husarza. Gdyby się okazało, że złamaliście słowo, oboje zginą w męczarniach. To uczciwa propozycja, prawda?

Pan Michał znów sapnął ze złości, ale Dorota uspokoiła go piorunującym spojrzeniem. Poznał ją na tyle dobrze, by wyczytać w bystrych zielonych oczach al-hakimy milczące ostrzeżenie. Nie był pewien, co kobieta chce mu powiedzieć, ale doszedł do wniosku, że jest od niego inteligentniejsza, i postanowił jej zaufać. Położył prawą rękę na piersi i zaczął recytować przysięgę, dorzucając na szalę własny honor i nieśmiertelną duszę.

## **Kair**

### **18 szaban Anno Hegirae 1088**

Jasmina-Mustafa nie cierpiał latać topornymi transporterami wykonanymi z pośpiesznie wytworzonych materiałów. Nie dość, że grawitonowe silniki wyły i bzycały z częstotliwością, od której jego ludzkie ja zaczynały boleć zęby, to boczne wrota były ze zwyczajnej stali uniemożliwiającej wyglądanie na zewnątrz. Pojazdu nie zaopatrzone też w zapewniającą komfort klimatyzację. Było to po prostu kanciaste pudło z bocznymi silnikami, z położoną z tyłu wytwornicą plazmy i z kondensatorami mocy. W dziobie znajdowała się kabina pilotów, którzy kierowali maszyną, wyglądając na zewnątrz przez wąskie okna wykonane ze zwykłego szkła, jedynie porządnie zahartowanego. Trzęsło tym blaszanym pudłem niemiłosiernie i trudno było w nim wytrzymać z gorąca.

Oficer operacyjny demiurga miał przynajmniej przywilej podróży w liczącym sześć pojazdów kluczu szturmowym, w którym na pokładach znajdowało się tylko kilkunastu inwazerów w bojowych pancerzach i uzbrojonych w krótką broń energetyczną. Lepsze to niż podróży w pozostałych dwunastu pojazdach podążających z tyłu. Zgromadzili się w nich pająkowaci chirurdzy wraz

z wyposażeniem oraz kilku inżynierów. Obrzydliwe stwory tłoczyły się tam i sama myśl, że trzeba by siedzieć w ich towarzystwie, powodowała, że Mustafą trzęsło z odrazy.

W końcu zażądał, by wbrew regulaminowi inwazerzy rozsунęli jedne drzwi. Aż westchnął z ulgi, gdy to zrobili. Do mrocznego wnętrza prócz światła wpadł przyjemnie chłodny wiatr pachnący morzem. W dole, jakieś sto metrów niżej, przesuwały się majestatycznie nieskończone masy wody. Lecieli na południe, zostawiając daleko za sobą greckie wyspy. Podróż ze Sztambułu do Afryki miała trwać nie dłużej niż cztery godziny, zatem lada moment na horyzoncie powinien pojawić się ląd.

Kara Mustafa podszedł do uchylonych wrót i popatrzył przed siebie. Szturmowce leciały w trójkątnym szyku, którego wierzchołek stanowił pojazd dowodzony przez Jasińską-Lisieckiego. To właśnie Jasmina dowodziła wyprawą, która stanowiła kolejny etap inwazji. Wielojazń dobrze osadziła się w rzeczywistości i podjęła decyzję o rozprzestrzenianiu. W kolejnym wytypowanym mieście miał powstać bioprocessor, by utworzyć następny potężny serwer zmaterializowanej informacji. Stanowił on będzie rozwinięcie wirtualnego środowiska, w którym istniała Wielojazń, zapewniając jej przestrzeń życiową i możliwości rozwoju. Poszczególne jej byty składowe zapragnęły bowiem cielesności w tym świecie. Rolą inwazerów było zabezpieczenie terenu i stworzenie odpowiednich warunków do materializacji.

Kair, satelitarne miasto imperium osmańskiego, zaproponował sam Jasmina-Mustafa. Metropolia była ogromna, a pojedyncze statki rozpoznawcze, które nad nią przelatywały, donosiły o powstających w niej licznych zgrupowaniach ludności. Mustafa podejrzewał, że na miejsce dotarli oficerowie sultana i pośpiesznie organizowali mobilizację. Chcieli przerzucić przez morze zastępy mameluków oraz hordy niewolników, by z ich pomocą uderzyć na Sztambuł. Zamiast tego żołnierze ci staną się pożywką dla pająkowatych chirurgów, a ich ciała budulcem kolejnego bioprocessora.

Jasmina-Lisiecki nalegał, by uderzyć na Rzym, a potem na Wiedeń. Twierdził, że pora rozbić potęgę w Europie, ale demiurg doszedł do wniosku, że Jasmina ulega pragnieniom swojej ludzkiej części. Dawny ksiądz marzył o Stolicy Apostolskiej, może przy okazji podbojów chciał się ogłosić papieżem? Lub od razu nowym Synem Bożym? W każdym razie Wielojazń zdecydowała o utworzeniu punktu w Afryce, a potem kolejno na poszczególnych kontynentach.

– Jest! – ucieszył się Mustafa, widząc linię brzegu i majaczące przy niej białe żagle okrętów imperialnej floty oraz czarne i szare pirackich galer działających pod turecką egidą.

Jasmina-Lisiecki chyba też się ucieszył z nadchodzącej bitwy, a właściwie polowania, bo jego szturmowiec przyspieszył i zaczął zniżać lot. Gdzina chciała



uderzyć na niczego niespodziewające się miasto z niewielkiej wysokości – z pewnością, by napawać się widokiem krwi i umierających albo by razem ze szturmowcami skoczyć w tłum i mordować bez opamiętania. Mustafa tylko na to czekał. Od tygodni nie spuszczał Jasminy-Lisieckiego z oka, a dziś nadarzała się wspaniała okazja, by podziękować tej ohydnej bestii za upokorzenia i ból, które mu zadała.

– Szykować się do ataku – zarządził i wrócił na swoje stanowisko.

\* \* \*

Abdul Aga, niedawno mianowany przez sułtana agą całego janczarskiego korpusu, przechadzał się nerwowo po nabrzeżu. Kair irytował go harmiderem jeszcze większym niż ten panujący na bazarach Stambułu, a ponadto dręczyła go bezsilność. Minęły już dwa tygodnie, odkąd przyplłynął do Egiptu pozostającego nadal lennem tureckim. Od tamtego dnia nie mógł jednak doczekać się ataków obcych. W dodatku nawet ich pojedyncze statki, kalające niebo swoją obecnością, widywano coraz rzadziej. Czyżby Talaz Tayyar się mylił, typując to miasto jako najbardziej prawdopodobny cel kolejnego ataku? Może celowo nakłonił padyszacha, by wysłał tu wojsko, może to była część jego gry, jakichś bardziej skomplikowanych planów?

Ech, niemożliwe. Jeśli knuł przeciw imperium, już dawno mógł je zniszczyć. Tak samo jak uśmiercić Abdula – wystarczyłoby, żeby nie uzdrowił go smoczą krwią. Skoro jednak przywrócił zupowego do życia i obdarzył potężną mocą, to chyba nie po to, by zaraz zdradzić lub odesłać za morze? Widocznie *lala* zwyczajnie się pomylił.

– Ciągłe nic, ago? – spytał Abdi Pasza, sułtański namiestnik Kairu, który krok po kroku doprowadzał Abdula do granic cierpliwości.

Dostojnik łaził za nim i starał się uprzykrzyć mu życie, chyba bojąc się, że aga został przysłany, by zdjąć go ze stanowiska. Ponadto pasza ledwie radził sobie z utrzymaniem dyscypliny w oddziałach mameluków. Zbrojne jednostki wywodzące się z niewolników siłą nawróconych na islam pozostawały wierne padyszachowi, ale nie wiadomo było, jak długo to potrwa. Raptem jeszcze dwieście lat temu cieszyli się wolnością i niepodległością, sami władali Egiptem i choć minęły pokolenia, nadal o tym pamiętali i skrycie marzyli o powrocie dawnych czasów. Jeśli dojdą do wniosku, że imperium jest osłabione, z całą pewnością zdecydują się na bunt. Przybicie okrętów pełnych janczarów nieco ostudziło te zapędy, ale całkiem ich nie wyeliminowało. Ciągłe istniała obawa, że tysiące zbrojnych drabów w turbanach i sięgających ziemi chałatach nagle zaatakują Turków.

Tego tylko by brakowało. Abdul starał się nie myśleć, co byłoby, gdyby doszło do rokoszu. Liczył, że wcześniej przybędą obcy i sytuacja diametralnie się zmieni. Inaczej imperium czeka nieodwołalny upadek, a na początek utrata posiadłości w Afryce.

– Trwamy na straży, paszo – aga zwrócił się do namiestnika. – Pilnujemy nieba, nie musisz się tym kłopotać. Spraw, byśmy mogli w spokoju działać i nie martwić się sytuacją w mieście.

– Kazałem dziś ściąć niepokornych mameluków, którzy powtarzali plotki o upadku Stambułu – powiedział Abdi Pasza. – Wydałem też kilka edyktów, łącznie z wprowadzeniem nocnych godzin ciszy. Po mieście krążą nieustannie patrole wiernych mi oddziałów gwardii. Nie obawiaj się więc, ago. Czyń swoją powinność, a ja zadbam o miasto. Po to przecież tu jestem, prawda?

Abdul skłonił się tylko w pożegnalnym ukłonie i odwrócił, by odejść w kierunku wieży obserwacyjnej.

– Zupowy! – wrzasnął jeden z janczarów stojących na blankach, przy armacie baterii nadbrzeżnej. – Nadlatują! Obcy nadlatują!

Abdi Pasza pisnął ze zgrozy i rzucił się do ucieczki w kierunku pałacu. Abdul za to uśmiechnął się groźnie i zacisnął pięści.

– Wreszcie – szepnął.

\* \* \*

Szturmowiec Jasminy-Lisieckiego, prowadzący formację prostopadle do wybrzeża, nagle wykonał zwrot o dziewięćdziesiąt stopni, ustawiając się bokiem do wypełnionego ludźmi portu. Kolejne statki zmieniły szyk, formując mniej więcej linię za dowódcą. Burtowe drzwi rozsunęły się i inwazyjni otworzyli ogień. Serie suchych trzasków, niczym wściekłe smagnięcia biczem, przecięły powietrze. Błysnęły dziesiątki luf miotaczy i impulsowe wyładowania plazmy pomknęły w dół. Wbiły się w gęsty tłum, wypalając w nim krwawe korytarze, uderzyły w deski mola, zapalając i rozrywając drewno, z sykiem waliły w murowane fortyfikacje nabrzeża, rozrywając kamienie i wyrzucając gorące odłamki w powietrze.

Skamienieli gapie w końcu zrozumieli, że z nieba przybyła zagłada. Z krzykiem i zawodzeniem, wzywając Allacha lub po prostu wrzeszcząc z przerażenia, rzucili się do ucieczki w głąb miasta. Szturmowce przeleciały wzdłuż brzegu, zasypując go lawiną wyładowań. Jeszcze większe spustoszenie niż ostrzał wywołała panika. Uciekinierzy tratowali się nawzajem, pędzili przed siebie zaślepieni grozą, nie zważając na nic. Ten, kto się przewrócił, zwykle nie miał szans się podnieść natychmiast wbijany w ziemię setkami stóp.

Tylko oddziały janczarów, z których część doświadczyła już walk z obcymi w Stambule, zachowały spokój. Abdul Aga stał u stóp portowej wieży, z pozornym spokojem obserwując manewry obcych. Ci zawrócili w kierunku morza, by wykonać łagodny łuk i znów skierować się na miasto. Było ich tylko sześciu, ale zaraz na niebie pojawił się tuzin nowych statków. Nadchodzące transportowce nie szły do ostrzału, lecz kierowały w głąb Kairu. Abdul odwrócił się, szacując kierunek natarcia. Talaz twierdził, że tak samo jak w Stambule najeźdźcy wybiorą sobie jakieś ludne, ale umożliwiające lądowanie miejsce. Najpewniej targowisko. I wyglądało na to, że faktycznie lecieli prosto na targ niewolników położony jakieś pół tysiąca kroków od portu. Aga skinął więc żołnierzowi na wieży, a ten natychmiast zaczął walić w bęben. Po chwili zawtórowały mu kolejne, obsługiwane przez obserwatorów rozmieszczonych na dachach.

Jasmina-Mustafa tymczasem wychylał się z transportera, oglądając miasto. Jego szturmowiec zamykał szyk, ciągnąc kilkaset metrów za przewodzącym. Transportery z pająkowatymi chirurgami przeleciały właśnie nad milczącą baterią nadbrzeżną, która pilnowała portu, i przez nikogo nieostrzeliwane zagłębiły się w miasto. Jasmina-Lisiecki nakazał rozproszenie i sianie zniszczenia wokół placu targowego wybranego na lądowisko i miejsce zbudowania kolejnego bioprocatora. Szturmowce natychmiast wystrzeliły na boki i pomknęły nisko nad dachami, rażąc ludzi w promieniu nie większym niż pół kilometra od targowiska.

Mustafa, choć czuł palącą chęć mordy, starał się trzymać twardo i czekać na dogodną okazję. Zacisnął dłoń na rękojeści miotacza i jeszcze raz sprawdził baterię. Może wystarczyć na jakieś trzydzieści strzałów, ale nie zamierzał tracić ich na ludzi. Nie po to tu przyleciał. Rozkazał pilotom trzymać się w zasięgu wzroku od dowódcy. Uważnie obserwował manewry szturmowca Jasminy-Lisieckiego. Ten wprawdzie leciał zygzakiem, a inwazery z jego pokładu chaotycznie prali do wszystkiego na dole, wzbudzając dziesiątki małych pożarów i zawałając kilka chałup. W końcu bestia upatrzyła sobie meczet z dwiema wieżami minaretów i przez parę chwil krążyła wokół niego, nieustannie rażąc świątynię. Z łomotem i wśród tumanów pyłu wieże zawałyły się, grzebiąc pod sobą kilka okolicznych domów i masakrując uciekinierów. Nie usatysfakcjonowało to chyba Jasminy-Lisieckiego, bo dalej krążył nad meczetem, aż w końcu obrócił go w kupę dymiących gruzów. Mustafa kazał pilotom latać wokół, a inwazery ostrzeliwać co popadnie.

Cierpliwie czekał na błąd wroga. W końcu przecież musiał go popełnić.

\* \* \*

Abdul Aga wskoczył na konia, którego w pogotowiu trzymał jeden z jego

piechurów, i pogalopował w dół ulicy. Nie zwracał uwagi za spalone i zdeptane zwłoki, na rannych i poturbowanych. Parę chwil później znalazł się na targowisku, na którym też panował harmider, ale dyskretnie kontrolowany przez janczarów i kilku zaufanych mameluków. Ci ostatni, siedząc na wielbłądach, sterowali ucieczką kupców i ich klientów, w razie potrzeby bez zmiłowania chłoszcząc niezdyscyplinowanych długimi biczami. Na Abdula czekał już dowodzący obroną oficer spahisów Lagari Hasan Çelebi. Czterdziestokilkuletni Turek nosił się jak przystało na bogatego, utytułowanego rycerza. Ubrany był w błyszczącą zbroję typu perskiego oraz kunsztownie zdobione karwasze, a na głowie miał hełm z pióropuszem. Przywitał dowódcę janczarów skinieniem głowy.

– Wszystko gotowe – powiedział.

– Dam znak – oznajmił Abdul Aga i przycupnął w cieniu jednego ze straganów. Poprosił też Hasana Çelebiego, by schował się razem z nim.

Lepiej było nie kusić losu, wystając w słońcu w lśniącym, przyciągającym wzrok pancerzu. Na szczęście, choć Hasan uchodził za szaleńca, nie był dumnym idiotą i schował się bez dyskusji. Abdul przyjrzał mu się z ukosa. Ulubieniec sułtana słynął w imperium z niebywalej odwagi i brawury. Kilkanaście lat wcześniej podbił serca wszystkich, wystrzeliwując się w powietrze i dokonując pierwszego w historii lotu raketowego. Pojazd skonstruował sam – prostą rurę ze statecznikami porządnie wypchaną prochem. Włazł do niej, po czym wystrzelił się wysoko i przeleciał nad zatoką w pobliżu pałacu Topkapi. Wylądował w wodzie i do brzegu dotarł wpław, zdobywając sobie tym wyczynem łaskę padyszacha. Przez kolejne lata służył w imperialnej jeździe, by w ostatnich tygodniach przejąć dowodzenie nad pośpiesznie sformowaną według wskazówek Talaza artylerią raketową.

– Szykują się do lądowania – zauważył Hasan.

Abdul nic nie powiedział. Patrzył na tuzin pękatek transporterów bezwładną chmarą opuszczający się nad plac. Były jeszcze wysoko nad dachami, ale pasażerowie pojazdów już rozsunęli włązy, szykując się do skoku. Niektórzy wypełzli na kadłuby – wielkie czarne pajęczaki o kosmatych odnóżach i ohydnych, połyskujących chityną odwłokach. Poruszały się szybko, łypiąc na wszystkie strony łbami o ośmiu nieregularnych oczach. Janczar aż zadrżał z obrzydzenia, widząc, że w każdym transporterze aż kłębi się od tych istot. Wybiegały na kadłuby pojazdów, jakby ktoś otworzył gniazdo pełne robactwa. Jeden czy dwa już skoczyły w dół, z łomotem lądując na budach straganów i rozbijając je w drzazgi.

– Jeszcze chwila – zimno oświadczył Abdul. Uniósł rękę i pomachał do obserwujących go z różnych miejsc wokół targowiska janczarów. – Teraz!

Kilka straganów przewróciło się, odsłaniając ukrytych za nimi artylerzystów uzbrojonych w stalowe rury ze statecznikami i gruszkowatymi bulwami pocisków kumulacyjnych. Rakiety zostały sprawnie osadzone na stojakach i wymierzone

w podchodzące do lądowania transportery. Hasan Çelebi osobiście doskoczył do jednej z rakiet, podanym łuczywem zapalił jej lont i bez obawy o wybuch jeszcze ją poprawiał. Pociski raketowe pojawiły się także w oknach pobliskich piętrowych budynków i na płaskich dachach glinianych chałupek.

Abdul wstrzymał oddech, czekając na pierwsze wystrzały. Transportery były już na wysokości dachów, za chwilę miały dotknąć ziemi. I wtedy rakietę Çelebiego z sykiem wypluła z dyszy snop ognia, drgnęła i jakby po zastanowieniu wyrwała gwałtownie do przodu. Janczarzy rzucili się na boki, uciekając przed huraganem ognia wylotowego, któryś krzyknął poparzony, inny zaczął gasić płonące ubranie. Ogarnął ich tuman cierpkiego, siarkowego dymu.

Rakietę pomknęła, ciągnąc za sobą ogon ognia i warkocz dymu. Minęła jeden z transporterów i grzmotnęła w dziób drugiego. Ryknęła eksplodująca głowica i trafiony pojazd poleciał w tył, zrobił obrót, po czym ze straszliwym łomotem gruchnął dachem o bruk targowiska. W jednej chwili zamienił się w kupę poskręcanych, dymiących blach.

Kolejne rakietę wystrzeliły z sykiem i hukiem. Abdul ze zgrozą patrzył na ich nierówny, chwiejny lot, na to, jak chybczą się na boki lub mkną po łukach. Kolejna minęła wszystkie cele i spadła gdzieś w głębi miasta, wzbijając w niebo kolumnę pyłu i dymu. Następna zawadziła o tył transportera, odbiła się i wybuchła w powietrzu blisko kolejnego. Widocznie jego pilot oberwał, bo maszyna straciła stabilność i bokiem wpadła na sąsiednią. Obie z impetem grzmotnęły o ziemię. Inna rakietę straciła statecznik i zaczęła wirować wokół własnej osi, wpadła w otwarte wrota lądującego pojazdu, przeleciała przez niego, zamieniając w miazgę wszystkie pajęczaki, i pomknęła pionowo w górę, by trafić w podwozie następnego podchodzącego do lądowania pojazdu.

Po chwili targowisko i niebo nad nim zmieniły się w świecące wybuchami piekło. Rakietę z gwizdem i rykiem latały w różnych kierunkach, kosząc wszystko na swojej drodze. Jedna z nich eksplodowała przed startem, zabijając obsługujących ją janczarów, inna uderzyła w pobliski budynek, w jednej chwili zamieniając go w kupę zgliszczy. Kolejne rozrywały się w powietrzu lub robiły dziury w kadłubach pojazdów. W końcu któraś trafiła w tył transportera, prosto w kondensator energii.

Abdul zobaczył tylko biały błysk i padł na ziemię. Moment później światem wstrząsnął przeraźliwy huk, a po targowisku przetoczyła się fala gorącego powietrza. W ziemię uderzyły języki uwolnionej plazmy, zamieniając bruk w płynącą lawę. Ocalałe pajęki, które zdążyły wyskoczyć z pojazdów, stanęły w ogniu i miotając się w agonii, spłonęły żywcem. Abdul Aga nie musiał wzywać czekających w bocznych uliczkach janczarów uzbrojonych we włócznie i muszkiety. Rakietę zrobiły całą robotę, i to skuteczniej, niż się tego spodziewał.

Çelebi stanął obok niego, szeroko otwartymi oczyma patrząc na płonący stos

żelastwa i bulgoczący, stopiony bruk. Otarł osmoloną twarz i uśmiechnął się szeroko, błyskając zębami. Abdul parsknął na ten widok, Hasan bowiem stracił brwi i rzęsy, a skórę miał mocno zaczerwienioną. Zupowy domyślał się, że wygląda podobnie, paliła go twarz, ale nie miało to dla niego znaczenia. Serce mu rosło, gdy widział skwierczące w płomieniach ciała potworów. Zostały zniszczone wszystkie transportery, cały tuzin! Niestety zostało jeszcze sześć bardziej zwinnych maszyn szturmowych latających wokół i plujących białym ogniem.

Abdul wyszczerzył się do nich i pogroził im pięścią.

\* \* \*

Jasmina-Mustafa patrzył na masakrę pająkowatych chirurgów początkowo ze zgrozą, a potem z satysfakcją. Odpowiedzialność za porażkę poniesie dowódca wyprawy, czyli jego wróg. Nawet jeśli zburzy teraz cały Kair, i tak nie będzie to miało znaczenia. Celem była budowa kolejnego bioprocesora, a to bez sprzętu i fachowców było niemożliwe. Jasmina-Lisiecki popełnił karygodny błąd, nie desantował inwazerów, by sprawdzili i zabezpieczyli miejsce lądowania, a zamiast tego zajął się bezsensownym rajdem, by nacieszyć się zniszczeniem i zaspokoić rządzą zabijania. Ten przejaw słabości będzie go drogo kosztował – Wielojażn nie przebacza takich błędów.

Na tym etapie inwazji utrata kilkudziesięciu chirurgów była znaczącym ciosem. W Stambule zostało ich tylko kilku. Stworzenie kolejnych z ich kopii zapasowych wymagać będzie czasu i nakładów energii. Klęska była zatem miazdząca i Mustafa miał przez to dość mieszane uczucia. Nie zastanawiał się, skąd miejscowi wzięli broń raketową – to nie miało większego znaczenia. Ich rakiety były skrajnie prymitywne i nie stanowiły większego zagrożenia. Po prostu w kolejnych szturmowcach i transporterach trzeba będzie zamontować systemy antyraketowe. Ich zbudowanie bez elektroniki trochę potrwa, ale tak czy inaczej, miejscowi nie mieli najmniejszych szans w starciu z armią Wielojażni. To były tylko przejściowe kłopoty. Najważniejsze, że Jasmina-Lisiecki się pogryził.

Z pogardą patrzył, jak szturmowiec dowódcy krąży nad pobojobiskiem, a jego inwazerzy marnują ostatnie ładunki plazmy na strzelanie do przemykających janczarów. Po paru chwilach amunicja energetyczna się wyczerpała i jego wróg mógł już tylko kląć i bezsilnie patrzeć na ludzi. Nie czekając dłużej, Jasmina-Mustafa wysłał meldunek do demiurga, załączając obrazy z zajścia. Szczególnie radował go zapis przedstawiający szturmowiec Jasminy-Lisieckiego bezsensownie krążący wokół ostrzeliwanej niepotrzebnie świątyni.

– Utworzyć szyk! – wydał rozkaz Jasmina-Lisiecki. – Lądujemy i przystępujemy do zajęcia terenu. Naszykować broń białą.

– Sprzeciw! – zaprotestował Jasmina-Mustafa. – Na ziemi mogą się znajdować kolejne rakiety. Ludzie czekają, aż zejdziemy do ich pułapu. Lądowanie może skończyć się katastrofą.

– Wydałem rozkaz. On nie podlega dyskusji – wycedził Jasmina-Lisiecki.

Piloci posłuchali dowódcy i utworzyli wokół niego zabezpieczający lądowanie okrąg. Skierowali dzioby statków na zewnątrz i zaczęli zmniejszać pułap. Teraz miejscem zrzucenia desantu miała się stać ulica dochodząca do płonącego ciągle rynku. Mustafa kazał pilotowi wstrzymać się z lądowaniem. Jego szturmowiec zawisł nad pozostałymi, które już usiadły na ziemi.

Natychmiast posypał się na nie grad kul muszkietowych. Ołów zadzwonił o blachę i zadudnił na aktywnych pancierzach inwazerów, którzy rozbiegli się wokół maszyn. Kilku z nich oberwało w nieosłonięte części ciała, i to na tyle dotkliwie, że zostało wyłączonych z walki. Reszta ruszyła z rykiem na zwarte szeregi janczarów. Wtedy Mustafa wreszcie dostał rozkazy od demiurga. Natychmiast przełączył się na otwarte pasmo, tak by słyszeli go wszyscy inwazerzy oraz piloci.

– Protokół przekazania dowództwa, kod czerwony! – oznajmił. – Od tej chwili ja kieruję formacją, zgodnie z dyrektywą Wielojaźni numer 18101088. Tryb natychmiastowy! Zarządzam odwołanie inwazji. Wycofać się do szturmowców i utworzyć szyk z ubezpieczeniem. Wykonać!

Inwazerzy zatrzymali się, nim dobiegli do janczarów. Tylko dwóch lub trzech wpadło już w szal i uderzyło na włóczników. Reszta, zachowując dyscyplinę, cofnęła się i biegiem powróciła do swoich statków. Wyjątek stanowił niepozorny jegomość z posiwiąłą bródką, który zdezerterował i rzucił się do ucieczki w boczną uliczkę. Wiedział, co go czeka, i próbował się ulotnić. Mustafa jednak miał go cały czas na oku i wskazał pilotowi.

– Odetnij mu drogę – zażądał.

Szturmowiec pomknął nad dachami, minął biegnącego i zszedł na wysokość dachów. Jasmina-Lisiecki zatrzymał się, nie mając dokąd uciekać. Wyszczrzył zęby i wymachiwał wściekle dwoma obnażonymi jataganami. Tymczasem Mustafa wychylił się mocno z otwartego luku, trzymając jedną ręką pojazdu. W drugiej dzierżył miotacz. Uśmiechnął się do wroga, który na ten widok opuścił broń. Mierzył go przez chwilę wzrokiem, po gadziemu sycząc i szczerząc zęby.

Jasmina-Mustafa palił raz za razem, opróżniając baterię w miotaczu. Na Lisieckiego runął deszcz plazmy, w kilka sekund rozrywając go na strzępy i natychmiast zamieniając w parę. Po kolejnym wcieleniu Jasminy została tylko smolista plama na bruku.

\* Puffer – pistolet kawaleryjski. Rajtaria i husaria były zaopatrzone w dwa,

umieszczone w olstrach po obu stronach siodła.



## XVII

### Chocim

#### 29 października Anno Domini 1677

Dorota spała jak niemowlę, wstałem zatem delikatnie, by jej nie zbudzić, i otuliłem ją futrem. Zimno panujące w namiocie robiło się coraz dotkliwsze, całe szczęście, że dziś w końcu wyruszamy na południe. Talazowa część mej duszy aż chciała śpiewać ze szczęścia, ciesząc się z powrotu w rodzinne strony. Zamiast tego, szcękając zębami, wciągnąłem spodnie i zarzuciłem na koszulę kubrak, a na niego podbity futerkiem kozuch podarowany przez jednego z magnatów, którzy ściągnęli do obozu. Polscy panowie bowiem, widząc, jakie spustoszenie potrafi uczynić zaprojektowana przeze mnie broń, traktowali mnie z wielką atencją. Prócz ciepłego stroju dostałem kolczugę i hełm od pana Potockiego, a Zamoyski uhonorował mnie silnym bojowym koniem. Cieszyłem się zatem rosnącą popularnością.

Wyszedłem z namiotu i omal nie wdepnąłem w kałużę. W nocy lało bez przerwy, jak od kilku dni zresztą. Nic dziwnego, że królewska artyleria utkwiała w błocie gdzieś za Lwowem. Zresztą i tak na wiele by się nam w starciu z inwazerami nie przydała. Powędrowałem przez budzący się obóz, ale tym razem nie w kierunku kuźni, które zostały już zamknięte i których paleniska wygaszono, lecz w stronę taborów z czekającymi na odjazd masywnymi landarami o szerokich kołach. To na nich spoczywała większa część uzbrojenia i materiałów wybuchowych. Co prawda dwie chorągwie husarskie hetmana polnego Jabłonowskiego już zostały uzbrojone w smocze koncerze, ale reszta zbudowanej pośpiesznie broni czekała na dokończenie i przydział. Najbardziej kłopotalem się przeszkoleniem husarzy, bojąc się, że nie starczy na to czasu, ale Dorota mnie uspokajała.

– Podgolone łby palą się do walki koncerzami, bo już marzy im się chwała pogromców smoków i demonów – mówiła. – Wystarczyły opowieści Piotrowskiego o tym, jak ustrzelił gada, by wszystkie chorągwie pancerne domagały się takich samych koncerzy. Każdy rycerzyk śni o sławie i honorach, o bitwach z obcymi, obronie wiary i krzyża świętego. Ponoć widziano latające statki nad Stolicą Piotrową, sam papież wpadł w panikę i natychmiast zabrał się do

ogłaszania krucjaty. Zobaczysz, z jakim entuzjazmem rycerze będą ćwiczyć robienie koncerzami. Zanim minie Siedmiogród, wyszkolą się tak, jakby walczyli tą bronią od dziecka. Nie musisz się o to martwić.

Uśmiechnąłem się na myśl o Dorocie. I to obiema swoimi połączonymi jaźniami. Prawdziwy ja, dawny koci demiurg, zadurzył się w niej, bo jej agresywność i niezależność przypominała samice mojej rasy, dzikie i nieokiełznane, a do tego silne i dominujące. Talaz pokochał ją, bo odkrył w niej dobro ukryte skrzętnie pod warstwami twardego pancerza, który musiała zbudować, by przetrwać. Był też jeszcze wpływ drzemiącej gdzieś głęboko w naszym ja Papatyi, która zwyczajnie lubiła Dorotę jako swoją przyjaciółkę, przed którą mogła otworzyć duszę. I tak wszystkie moje składowe połączyły się w miłości do al-hakimy. Pewnie nie zdawała sobie sprawy, że darzę ją tak silnym uczuciem, i to na kilku płaszczyznach. Wiedziałem tylko, że jej się podobam jako mężczyzna i że akceptuje moje nie do końca ludzkie pochodzenie. To mi właściwie wystarczało. Nie oczekiwałem, że nagle zapała do mnie gorącym uczuciem.

Odkąd Jitka została zakładniczką, Dorota czuła się nieco samotna, a ja akuratnie zapełniałem tę pustkę. Może tylko dlatego mnie znosiła? Może bawiła ją moja fizyczna sprawność i jurność, a mądrość pozwalała jej zaspokoić głód wiedzy? Mimo to tęskniła do swojej asystentki, musiałem więc ją uspokajać i tłumaczyć, że wszystko jest pod kontrolą. Jitka dostała ode mnie specjalne zadanie i miałem nadzieję, że wykonuje powierzone jej instrukcje. Od tego mogło wiele zależeć, łącznie z powodzeniem całej wyprawy. Doroty to jednak nie pocieszało, ulgę znajdowała dopiero, gdy brałem ją w ramiona.

Zamyślony i z błogim uśmiechem na gębie podszedłem do wozów, by sprawdzić, czy parobkowie zgodnie z moim poleceniem owinęli ładunek w natarte tłuszczem płótno. Nie wolno było dopuścić, by koncerze zamokły i zardzewiały lub by wilgoć wpłynęła na materiał wybuchowy. Na szczęście pierwsze dwa wozy były dobrze zabezpieczone. Zaniepokoiło mnie tylko, że zupełnie nikt ich nie pilnuje. Co za zaniedbanie! Najcenniejszy skarb armii stoi sobie samopas! Gdzie jest pan Michał? Czemu nie ma baczenia na to wszystko?

I proszę! Przy trzecim wozie stał jakiś jegomość i w najlepsze grzebał w bezcennym sprzęcie. Zdążył już dobrać się do pakunków i wyjął jeden ze smoczych koncerzy, błyszczący jeszcze od oliwy i lśniący nowością. Oglądał go, kręcąc nosem, fukał i coś do siebie mamrotał. W jednej chwili zagotowałem się ze złości. Nie można spuścić skarbu z oka, bo zaraz się komuś przyklei do rąk. Podszedłem energicznie do tego człowieka i chwyciłem go za ramię, robiąc groźną minę. Odwrócił się i spojrzał na mnie z góry, choć wcale nie był wyższy. Miał tradycyjnie podgoloną głowę i wielkie wąsiska, do tego nosił czerwony żupan obsyty złotą nicią, sugerujący, że jest majętny. No i miał wielkie brzuszysko, którym natarł na mnie, zmuszając do cofnięcia się o krok.

– Tuszę, że podoba się waćpanu moja broń – zagadnąłem po polsku, hamując złość.

– Śmiesznie waść mówisz. – Grubas uśmiechnął się jowialnie. – Dopiero uczysz się po naszymu, hę? Ładnie ci idzie, ładnie. I prawisz, że to twoja broń? A ja myślałem, że królewska...

– Owszem, powstaje z nakładów królewskich na polecenie hetmana Jabłonowskiego, ale ja jestem za nią odpowiedzialny. To moje dzieło i muszę dopilnować, by w nienaruszonym stanie trafiło do rąk wybranych rycerzy – wycodziłem. – Odłóż to waćpan na miejsce, jeśli łaska. Chyba że chcesz tłumaczyć się ze swojego wścibstwa przed hetmanem.

– Dopiero przyjechałem, a tyle się nasłuchałem o tych koncerzach. Ponoć jednym wypałem mogą przebić na wylot bramę zamku, a nawet przedziurawić mur. Prawda to? – dopytywał intruz, irytując mnie coraz bardziej.

– Mniej więcej – mruknąłem i sięgnąłem po trzymaną przez niego broń, ale drań przyciągnął ją tylko do siebie.

Silny był, a wyglądał tylko na grubasa. Siłowaliśmy się przez chwilę bez słowa.

– Bardzo chciałbym mieć taki. Mój syn, który przyjechał ze mną, też o takim marzy. Może bym mu go podarował, ucieszyłby się chłopak – wysapał cholerny panek, mający się za nie wiadomo kogo. – Odkupię ten jeden, zapłacę złotem! Ile waść chcesz?

– Aleś się waszmość uparł! – sapnąłem, ciągnąc do siebie. Byłem o krok od kopnięcia go w jajca. – Nie mogę handlować królewską bronią, bo nie należy do mnie! Dostaną ją wyłącznie rycerze w służbie królewskiej! To nie zabawki dla dzieci! Proszę puścić, bo przestanę być grzeczny!

Miałem ochotę skopać go porządnie, choćby dla odprężenia i pobudzenia krążenia. Dość miałem już tych polskich magnatów i szlachetków, których całe tabuny ściągnęły tu z Rzeczypospolitej. Szarogęsili się i mądrzyli, kłócili i przechwalali swoimi czynami. Każdy miał coś do powiedzenia i próbował mnie wkurzyć. Całe szczęście, że chorągwie litewskie ruszyły już na Mołdawię, bo pewnie by się zaraz wzięli za łby z tymi pochodzącymi z Korony. Co za ludzie, na Wielojazń!

Grubas wyglądał na jakiegoś magnata, miał na grubych paluchach po kilka złotych sygnatów, niektóre z błyszczącymi guzami kamieni szlachetnych. Tacy byli najgorsi, uważali, że im wszystko wolno. Pociągnąłem koncerz do siebie, a gdy intruz się zaparł, puściłem. Poleciał w tył i ciężko, z pluśnięciem pacnął w błoto. Jego pozłacany strój nie wyglądał teraz zbyt imponująco. Parsknąłem śmiechem.

– Widzę, że wielce waćpanu na koncerzu zależy – powiedziałem, czekając, aż się poderwie i chwyci za szablę. Wtedy dostałby taki łomot, że zamiast na wojnę pojechałby do lazaretu.

– Byłby piękną ozdobą mojej kolekcji broni – przyznał, siedząc w błocie i nie okazując zagniewania. – No i synowi by się spodobał. Prawdziwy rarytas, jeden z pierwszych stworzonych. Z pewnością przejdą do legendy. Ale skoro waść się upierasz, że muszę go oddać... No cóż, a co powiesz na dwieście czerwonych złotych?

– Tyle mi jeszcze nie zaproponowano – przyznałem, splatając ręce na piersi. – Niestety złoto nic nie będzie warte, jeśli przegramy bitwę z obcymi. A przegramy ją z pewnością, jeśli będę na prawo i lewo rozdawał jedyną broń, która może ich zaboć. W światach, z których pochodzą, takie coś to zabawka, ale dopóki nie zbudują swoich maszyn i urządzeń, tylko to może ich skrzywdzić.

– Pomóż mi waść wstać. – Wyciągnął do mnie rękę, koncerz trzymając nad głową, by się nie zamoczył.

Podąłem mu dłoń i wyciągnąłem z błota. Uśmiechnął się, ale wcale nie kwapił do oddania zdobyczy.

– Oni nie pochodzą z innych światów, ale z samego piekła – powiedział konfidencyjnym tonem. – To nie mój pomysł, tylko podstawa świętego Kościoła. Najeźdźcy nie mogą pochodzić z innych światów, bo te nie istnieją. Tylko ludzi Bóg obdarzył duszą i umysłem. Mówiąc, że obcy przybyli z innych światów, sugerujesz waść, że gdzieś tam są inne Ziemie zamieszkałe przez rozumne istoty. Może obcy też zostali zbawieni, mieli swojego Chrystusa? Biblia nic o tym nie mówi, zatem to wykluczone. Przynajmniej masz tak powtarzać, jeśli nie chcesz napytać sobie biedy ze strony inkwizycji. – Grubas mrugnął porozumiewawczo. – Oficjalna wersja Kościoła głosi, że najeźdźcy to piekielne demony, które mogą zwiastować apokalipsę, jeśli ludzkość nie zacznie przestrzegać przykazań i nie okaże pokory...

– Obawiam się, że okazywanie pokory i modły wiele nie dadzą – stwierdziłem cierpko. Irytacja gdzieś się rozplynęła i poczułem do grubasa coś w rodzaju sympatii; był w sumie całkiem zabawnym jegomościem. – Więcej zdziała choćby ten koncerz.

– Też tak myślę, z całym szacunkiem dla papieża rzecz jasna. – Przeżegnał się ostentacyjnie, przerzuciwszy wcześniej koncerz do lewej ręki. – To dlatego wziąłem udział w tej awanturze. Musimy dobrać się do nich wspólnie, nieważne, skąd przybyli, z piekła czy gdzieś z gwiazd, i porządnie skopać im tyłki.

– Najwyższa pora, by to zrobić. Z czasem będą zyskiwali na sile, a te koncerze w pewnej chwili okażą się niewystarczające. Nie przebiją ich pancerzy, nie uszkodzą maszyn. Musimy działać szybko...

– Tak też się stanie – powiedział grubas. – Zaraz ruszamy i Bóg mi świadkiem, nie zatrzymamy się, dopóki nie ujrzymy murów Sztambułu! No właśnie, pora budzić obóz. Muszę wracać do namiotu i się przebrać, bo dupa mi zamokła, a zaraz zaczyna się poranna msza. Odsprzedasz mi waść to cacko czy nie?

– Podaruję je wam. Pokażę nawet, jak zwalnia się spust, by strzelić – powiedziałem z uśmiechem. – Tylko zachowajcie ten prezent w dyskrekcji. Nie chciałbym, by w kolejce ustawiła się kilkudziesięciotysięczna armia.

– Rzecz jasna, że nikomu nie powiem. – Grubas ucieszył się. – A wieleście tych koncerzy wyrobili?

– Trzy setki już trafiły w ręce husarzy, kolejne cztery setki znajdują się na wozach. Liczę, że w drodze uda się zmaistrować przynajmniej tysiąc – powiedziałem ostrożnie, szacując w głowie możliwości i potrzebne materiały. – O ile uda się przekonać hetmanów, by przydzielili mi więcej puszkarzy i rusznikarzy. Trzeba będzie zadbać też o zajęcie kuźni po drodze, zabezpieczenie węgla i saletry, wysłanie parobków po okrzemkę i sprowadzenie alchemików... Ech, nie wiem, czy to się uda.

– Uda. Już ja dopilnuję, by ułatwić wam robotę. Nic się nie martwcie, imć Tayyar – dobrodusznie rzekł jegomość, podpierając się smoczym koncerzem. – Ale co widzę? Sami bez broni chodzicie? To niepodobna!

Sprawnie odwiązał od pasa rzemyki, którymi przytroczoną miał szablę – ładnie zdobioną, z rękojeścią w kształcie orlej głowy, za to pozbawioną kłębka, a zaopatrzoną w krótki jelec na wschodnią modłę. Właściwie to nie była husarska szabla, jaką lubili Polacy, lecz karabela. Prezent był naprawdę kosztowny, sądząc po bogato zdobionej pochwy, zdaje się, okutej cienką złotą blachą.

– Trzymajcie! – oznajmił grubas, wręczając mi prezent. – Niech wam dobrze służy. Z Bogiem!

Ostatnie rzucił przez ramię, szybko idąc w kierunku namiotów, przy których kręciło się coraz więcej ludzi. Poruszał się zaskakująco żwawo jak na swoje rozmiary i okazałe brzuszysko. Westchnąłem ciężko i wyciągnąłem szablę z pochwy. Ostrze ładnie ozdobiono i zaopatrzono w łaciński napis, ale broń nie miała wyłącznie funkcji paradnej. Stał była porządna, a przy poruszeniu zmieniała środek ciężkości. Domyśliłem się, że w klindze znajduje się komora wypełniona rtęcią. Szczyt możliwości technicznych miejscowych mistrzów płatnerskich! Grubas musiał być obrzydliwie bogaty, skoro stać go było na takie prezenty.

– Piękna broń – odezwał się pan Michał, który podszedł do mnie niepostrzeżenie.

– A wyście gdzie się podziwali? Czemu nikt nie pilnuje wozów? – huknąłem na rotmistrza.

– Warty akurat luzowałem, gdy on się tu przypętał. Kazałem ludziom się odsunąć, by mu nie przeszkadzali, ale nie zdążyłem cię zatrzymać. – Rozłożył ręce. – Kiedy zaczęliście się szarpać, omal nie wyrwałem sobie wąsów ze zgrozy. Nie ośmieliłem się jednak podejść, by nie urazić jego dumy.

– O kim mówisz, do cholery? – zdumiałem się nieśmiałością Piotrowskiego.

– Jak to o kim? – Skinął na grubasa znikającego w ciżbie. – O jego

wysokości, którego raczyłeś wepchnąć w błoto. O królu Janie Sobieskim.

## **Kamieniec Podolski**

**8 listopada Anno Domini 1677**

Porucznik Semen Błoński jechał na chudej, starej szkapie, która wlekła się noga za nogą. Lazła przed siebie tylko dlatego, że za uzdę ciągnął ją idący przodem Krzysztof Kęsicki. Młodzieniec ubrany był w lichą kapotę i workowate, brudne spodnie, a na nogach nosił ubłocone buciorzy z łyka. Semen z kolei wystroił się w połatany kontusz związany w pasie sznurkiem, a u boku majtała mu się szabla w drewnianej pochwie. Wyglądali jak szaraczek i jego jedyny sługa ciągnący, jak cała masa im podobnych, za wojskiem z nadzieją na znalezienie zarobku. Na drodze spotkali wielu podobnych im maruderów sunących śladem armii bez specjalnego entuzjazmu i przekonania. Ciury i ladaca szukające szczęścia w cieniu toczącej się wojny.

– Twierdza wygląda na opuszczoną – zauważył Krzysztof, któremu przez dziobatą twarz niezwykle pasowało przebranie. Wyglądał w nim nadzwyczaj autentycznie, niczym prawdziwy łazęga, zbiegły chłop lub młodociany rozbójnik.

– Hetman Pac zostawił w niej tylko garstkę ludzi – mruknął Semen. – I tym lepiej dla nas. Jeśli dojdzie do rozprawy, będziemy mieli łatwiejszą robotę.

Porzucona przez Turków twierdza kamieniecka, nosząca liczne ślady toczonych o nią latami bojów, znów znalazła się w polskich rękach. Michał Pac szybko położył na niej łapę, obsadzając wojskiem litewskim. Na szczęście chciał mieć jak najwięcej sił przy sobie, uszczuplił zatem obsadę twierdzy na ile tylko się dało. Nie było potrzeby trzymać w niej licznej załogi, bo zagrożenie ze strony Turcji chwilowo minęło, uspokoili się też Tatarzy, nawet Kozacy nie rozrabiali. Wszystkie ludy w mniejszym lub większym stopniu zetknęły się z najeźdźcami z innego świata i nie w głowie im były łupieżcze rajdy.

Brama była jednak zamknięta, a w furcie stał wartownik. Jeźdźca i piechura obserwowano też z góry, ale nie wzbudzili większego zainteresowania. Semen przedstawił się jako Kowalski z Łowicza podążający za pocztem księcia Lubomirskiego z listami polecającymi. Poprosił grzecznie o gościnę, bo zbliżała się już noc. Strażnik wpuścił go niedbałym machnięciem ręki, nie kwapiąc się pytać o cokolwiek.

– O Matko, ale tu bieda – jęknął Krzysztof, gdy zagłębili się w miasto.

Porzucona przez Turków twierdza wyglądała żałośnie. Znajdujące się za

murami zabudowania były zrujnowane i w sporej części wyludnione. Aż trudno było uwierzyć, że za polskiego panowania znajdowało się tu osiemset budynków. Na pierwszy rzut oka widać było, że sporą ich część rozebrano, najprawdopodobniej zimą, by zdobyć drewno na opał. Wiele chałup miało pozarywane lub podziurawione dachy, w ich obejściach od kilku lat nie pojawiali się ludzie. Obu husarzom widok ten skojarzył się ze scenami oglądanymi niedawno w Stambule – porzucone mienie, opuszczone budynki i wiatr hulający po pustych uliczkach.

Na szczęście w niebo pięły się nitki dymu z kominów świadczące, że w Kamieńcu jednak mieszkają ludzie. Rychło też przybysze napotkali kilku franciszkanów krzątających się przy klasztorze, minął ich też ormiański kupiec jadący na wozie z obrokiem, a potem obszczał wychudzony psiak pilnujący gospodarstwa. Pod masywnymi murowanymi zabudowaniami twierdzy napotkali kawalerzystów z lekkiej jazdy i kozaków grających w kości na podwórzu. Nikt ich nie zaczepiał i się nimi nie interesował, Semen zawrócił więc chabetę i zatrzymał się przed karczmą. Kupił antałek gorzałki od karczmarza zaskoczonego zasobnością oberwańca i wrócił do kozaków. Ci przyjęli dwóch przybyszy z radością, właściwie na widok naczyń wręcz z entuzjazmem zaprosili ich do wspólnej gry. Nie wiadomo skąd wyciągnęli drewniane kubki i już po chwili w najlepsze raczyli się mętym, śmierdzącym płynem razem z nowymi przyjaciółmi.

Kozaków nie trzeba było nawet specjalnie ciągnąć za język – po wypiciu dwóch kubków jeden przez drugiego opowiedzieli wszystko o twierdzy i jej obsadzie. Komendantem i zaufanym człowiekiem Paca był Bazyl Turkuł, bitny rycerz, który niedawno nabawił się kontuzji nogi, przez co nie mógł wziąć udziału w wyprawie do Turcji. Prócz niego większą część załogi stanowili żołnierze poranieni lub chorzy, a do tego była garść czeladzi i pół kozackiej sotni. Od kilku dni, po tym jak polska armia w końcu opuściła okolicę, nudzili się okropnie i zajmowali głównie obserwowaniem nieba w poszukiwaniu latających statków. Te jednak nigdy w te okolice się nie zapuszczały.

– Pan Turkuł ponoć więzi w zamku dziewczynę – rzucił niedbale Krzysztof.

– Jako żywo, śliczną jak aniołek bisurmankę – przytaknął starszy z kozaków.

– Dziewoja, imaginujcie sobie waćpanowie, chadza ubrana w spodnie, na turecką modłę. Lico ma jednak białe, oczy niebieskie, a włosy jasne, poza tym gada po naszemu, sam słyszałem. Turczynką przeto nie jest, ale czemu tak się nosi, nie wiadomo. Komendant osadził ją w narożnej wieży razem z chłopakiem, którego ponoć złapali na sodomii. To syn jakiegoś jaśniepana i nie wiadomo, co z nim zrobić, trzymają go więc w wieży...

– I nie boją się, że ucieknie? – zdziwił się Semen. – Nie widzę żadnych wart.

– Wystarczy klucz od celi, by utrzymać oba te ptaszki w zamknięciu –

prychnął młodszy z kozaków. – Po co warty? Szkoda ludzi turbować dla jakiejś pannicy i gołowąsa. Ale co was tak interesują więźniowie, he?

– Sam w celi siedziałem, we Lwowie i w Wilnie. – Semen wzruszył ramionami. – A o pannie poturczynce słyszeliśmy od ciur, co się włóczą po traktach.

– Hetman nie byłby zadowolony, bo kazał wszystkim gęby trzymać zamknięte – mruknął stary kozak. – No, furda z tym, napijmy się! Za zdrowie Paca!

Stuknęli się kubkami i przepili. Kozacy doili gorzałkę bez opamiętania i w pośpiechu, jakby świat miał się skończyć. Semen z Krzysztofem polewali im od serca, sami zachowując, na ile się dało, wstrzeźliwość. Gdy kozacy mieli już nieźle w czubie, ale nie wyglądało, by można ich tak po prostu zostawić, porucznik spytał ich, czy przypadkiem nie są na służbie. To nieco otrzeźwiło starszego, który przypomniał sobie, że owszem, mieli obsługiwać stojącą w pobliżu, wycelowaną pod ostrym kątem w górę śmigownicę. Oczywiście w razie powietrznego ataku obcych, na co kompletnie się nie zanosilo. Wiedział o tym ich esauł, bo ani razu nie pokwapił się, by skontrolować warty. Chyba tylko Turkuł i jego kompani trwali w pogotowiu, w każdej chwili gotowi do walki. Pozostali załoganci twierdzy mieli wszystko w nosie.

Semena nie zdziwiło, że hetman zostawił na tyłach najmniej wartościowe wojsko. Sam zrobiłby to samo. Szkoda tylko, że komendantem uczynił porządnego rycerza, poważnie traktującego obowiązki. To nieco komplikowało sprawę.

– Idziemy, szkoda czasu. – Szturchnął Krzysztofa.

Wstał i poprawił dwa pistolety ukryte w kontuszu. Młodzieniec poderwał się posłusznie i spojrzał pytająco na porucznika. Kozacy usiłowali protestować, ale chyba tylko dlatego, że obawiali się, iż Lachowie zabiorą ze sobą antałek. Kiedy dwaj przybysze odeszli, zostawiając im wódkę, natychmiast o nich zapomnieli.

– Jak to rozegramy? – spytał Krzysztof.

– Wchodzimy do wieży i ich uwalniamy. – Semen wzruszył ramionami. – Za przeciwników mamy same łachudry, szkoda się z nimi pieścić. Poza tym Talaz radził nam się śpieszyć, bo spodziewa się kłopotów z obcymi. Ruszamy zatem po naszych z marszu, nie ma co!

Do wieży weszli przez nikogo niezaczepiani, a w środku znaleźli jednego śpiącego wartownika, wiekowego żołnierza w niechlujnym ubraniu. Obudzili go i grożąc pistoletem, zażądali klucza. Przerażony staruszek oznajmił, że klucze od cel ma tylko komendant. Osobiście przynosi jedzenie i tylko wtedy otwiera obie cele. Widocznie nie ma wiele więcej do roboty, bo szczególnie upodobał sobie odwiedzanie dziewczyny, którą zabawia długimi rozmowami.

Semen nieświadomie czochrał wąsy, zastanawiając się, co zrobić. Wyglądało na to, że będzie musiał w pierwszej kolejności pojmać komendanta. Najłatwiej byłoby się tu na niego zacząć, wszak zbliżała się pora wieczery. Strażnik



twierdził, że Turkuł może się pojawić lada chwila. Błoński zabrał się zatem do krępowania wartownika, a Krzysztof pognał na górę zbadać sytuację i porozmawiać z kuzynem choćby przez drzwi. Ledwie odnalazł obie cele, na zewnątrz ktoś zaczął wściekle tuc w dzwon. Husarz złapał za klamkę i bezsensownie nią szarpał, w panice próbując otworzyć drzwi bez klucza, był bowiem przekonany, że alarm ogłoszono w związku z wtargnięciem do twierdzy dwóch przebierańców.

– Biją larum, bo na niebie pojawiły się latające maszyny! – oświadczyła ze swego więzienia Jitka. – Widzę je przez okno, lecą z południa. Ja je tu wezwałam!

– Co? – mruknął Krzysztof. – A to jakim cudem?

– Kilka razy dziennie nuciłam psalmy i rozmyślałam według wskazówek Talaza. Tak się umówiliśmy. To z nas, które oddzieli się od reszty, miało to robić, by ściągnąć na siebie uwagę wroga i wprowadzić go w ten sposób w błąd. Dzięki temu przylecieli tu, myśląc, że jestem Talazem. To pozwoli naszej armii spokojnie dotrzeć do celu – wyjaśniła dziewczyna.

– Przyciągnęłaś ich tu modlitwą i myślami? Oszalałaś? Przecież to niemożliwe – rzekł Krzysztof.

– Możliwe! – odezwał się ze swojej celi Jakub. – Mnie też kazała to robić. Trzeba oczyścić umysł, a potem powtarzać ciągi słów i myśli według rozkładu, którego nauczył ją Talaz. To przypomina modlitwę, przynajmniej trochę. Ponoć to charakterystyczne dla Tayyara myśli i idee, które zostawiają ślad w płaszczyźnie duchowej. Gończe psy obcych węszą w poszukiwaniu myśli tropionej ofiary, szukają śladu, jaki umysł zostawia w płaszczyźnie duchowej. Jitka nauczyła się zostawiać im fałszywy ślad, udawać myśli obcego. Ściągnęliśmy ich tu wspólnie. Uciekaj, kuzynie. Zaraz tu będą.

– Co wy gadacie, na litość boską?! – zdenerwował się Krzysztof. – Oboje żeście poszaleli?

Na schodach pojawił się zdyszany Semen. Porucznik był sam i w rękę zamiast kluczy trzymał jeden z pistoletów. Spojrzał na Krzysztofa i pokręcił głową.

– Komendant szedł do wieży, kiedy zaczął bić dzwon. Odwrócił się, rzucił tacę z żarciem i pognał w kierunku stanowisk artyleryjskich – powiedział ze złością. – Musimy poradzić sobie bez kluczy. Masz prochownicę?

Za oknem rozległo się głośnie bzyczenie napędów latających maszyn. Padł pojedynczy strzał pistoletowy, ludzie wrzeszczeli ze zgrozy i nawoływali się nawzajem. Krzysztof wyciągnął z kapoty pistolet i prochownicę, po czym podał to drugie porucznikowi. Ten zważył w rękę blaszany róg z prochem.

– Można ostrym końcem wetknąć to w dziurę zamka i wysadzić, strzelając w róg z pistoletu – powiedział. – Jest szansa, że rozerwie zamek.

– Mamy tylko jeden. – Krzysztof przełknął ślinę. – Kogo uwolnimy?

– Ją! Ratujcie Jitkę, zaklinam was! – krzyknął Jakub, który nasłuchiwał

rozmowy z uchem przy drzwiach.

– Z latających statków wyskakują bestie – odezwała się Jitka, która z kolei tkwiła przy oknie. – Wyglądają jak koty, ale mają na sobie czarne pancerze. Są też z nimi opętani, ludzcy wojownicy z bandoletami, które miotają pioruny. Pan Turkuł rusza na nich z grupą kompanów i kilkoma kozakami! Och, słyszycie? To huk bandoletów, coś okropnego...

Semen wahał się, obracając róg w dłoni. Krzysztof pociągnął go do drugich drzwi.

– Zostawmy poturczynkę, to pogańska dziwka. Ratuśmy mego kuzyna – zażądał. – Na dziewce zależy tylko tej drugiej kurwie z haremu, jak jej tam, Falak. Poza tym nikt za nią nie zapłaci, a dzielnego rycerza szkoda.

Porucznik przerzucił róg do drugiej ręki, krzywiąc się w niechętnym grymasie. Wyraźnie toczył ze sobą walkę, niestety w podjęciu decyzji nie pomagały mu dobiegające z zewnątrz odgłosy. Suche trzaski wyładowań i krzyki palonych żywcem ludzi. Padło też kilka pistoletowych strzałów, a nawet raz grzmotnęła śmigownica. Widocznie pijani kozacy dali radę ją obsłużyć nawet mimo swojego stanu.

– Pan Turkuł ciął jedną z bestii szablą przez pysk, ale natychmiast wpadł w łapy kolejnych. Rozerwały mu gardło pazurami, a potem szponami rozpruły brzuch – relacjonowała Jitka. – Litwini nie mają szans, wkrótce wszyscy polegną. Pospieszcie się! Musimy uciekać. Oni zaraz tu będą! Myślą, że w celi jest Talaz.

Krzysztof wyrwał róg z prochem z dłoni zmartwiałego Semena i wetknął go do zamka celi swojego kuzyna. Natychmiast wymierzył w zaimprovizowaną bombę pistolet i wypalił prawie z przyłożenia. Semen zdążył tylko zasłonić ramieniem twarz. Huknęło ogłuszająco, gorąca kula przebiła blachę prochownicy i zapaliła ładunek. Ten jednak nie eksplodował, lecz z sykiem się zapalił, plując ogniem i białym dymem. W jednej chwili wieżę wypełniły gęste kłęby dymu ze spalonego prochu.

– Niech to diabli! – warknął Krzysztof. – Nic z tego.

Semen zasłonił usta rękawem, wstrzymując oddech. Oczy wypełniły mu łzy, ruszył więc przed siebie, ale potknął się i runął jak długi. Nie spadł jednak ze schodów, ale w ostatniej chwili uchylił się przed salwą, jaką w tumany dymu oddali na oślep agresorzy. Kotopodobne bestie wtargnęły do wieży, strzelając z miotaczy plazmy. Semen dostrzegł białe pioruny tnące dym i uderzające w mury. Kamienie eksplodowały z gorąca, siekąc wokół odłamkami. Ciągłe stojący przy drzwiach Krzysztof oberwał ładunkiem impulsowym prosto w głowę. Jego czaszkę rozerwało na strzępy, na ścianę za nim bryznęła parująca krew. Młody rycerz stał jeszcze moment, aż wreszcie załamały się pod nim kolana i padł na bok.

Semen zrozumiał, że to koniec. Znalazł się w matni, bez szans na ucieczkę czy pokonanie wroga. Rozsądek podpowiadał mu, by skulić się w kącie, udawać

trupa i przeczekać zagrożenie, ale to byłoby wbrew jego charakterowi. Przykucnął więc za schodami, powstrzymując z trudem kaszel. Długo czekać nie musiał. Już wkrótce koty wbiegły na górę, dwa z miotaczami i jeden, idący nieco wolniej z tyłu, wyglądający na nieuzbrojonego.

Porucznik ścisnął w dłoniach pistolety, po czym ruszył do ataku. Wiedział, że pancerze ochronią bestie przed pociskami, musiał zatem strzelać w nieosłonięte części ciała. Zrobił dwa kroki i przystawił lufy do kocich łbów. Pociągnął za oba spusty naraz. Broń ryknęła, wyrzucając gorące ołowiane kule. Obie bestie poleciały bezwładnie w przód z dziurami w strzaskanych potylicach. Husarz obrócił się i cisnął pistolety w trzeciego przeciwnika, po czym natychmiast dobył szabli. Rąbnął najszybciej jak potrafił, zamieniając ostrze w stalową błyskawicę. Metal zadzwonił na pancerzu kota, bestia syknęła wściekle i obnażyła szpiczaste kły.

Semen wiedział, że za moment na niego skoczy – już wypuściła długie, błyszczące metalicznie pazury i spięła się do ataku. Natarł po raz kolejny, rąbiąc z całych sił znad głowy i mierząc w łeb przeciwnika. Bestia zasłoniła się łapą, a szabla przecięła jej skórę i mięśnie i zazgrzytała głośno na kości przedramienia. Stwór prychnął i skoczył na husarza, bryzgając krwią z głębokiej rany. Runął na niego impetem całego ciała, by uderzyć w pierś swoim aktywnym pancerzem. Błoński poleciał w tył jak niedbale ciśnięta zabawka i z chrzęstem uderzył w mur. Padł bezwładnie do stóp bestii.

\* \* \*

Demiurg chwycił łapą krwawiącą obficie ranę. Co za fatalny przypadek – ten człowiek omal nie zarąbał go kawałkiem zaostromej stali. Dowódca dziesiątków batalii i setek bitew padłby w kłębach dymu pocięty przez bezrozumnego dzikusa. Prócz bólu czuł palący wstyd i zażenowanie. Takie przypadki nie zdarzały się często, ale w każdej operacji istniało prawdopodobieństwo zranienia lub nawet śmierci. I co z tego, że ten świat tkwił w erze pretechnologicznej? Jak widać nawet najprostsza broń może uczynić krzywdę.

Spojrzał na leżącego oberwańca w łachmanach. Wyglądał niepozornie i niegroźnie, szczególnie w porównaniu z umięśnionymi ciałami dwóch gwardzistów, których tak sprawnie ustrzelił z prymitywnej broni. Aż szkoda, że nie było czasu, by wykorzystać osobowość tego wojownika i sprząć ją z jakąś świadomością z bazy Wielojaźni. Demiurg potrafił docenić kunszt wojenny i męstwo, nawet u pogardzanego przeciwnika.

Podszedł do dwóch sąsiadujących drzwi. Zatem to za nimi było jego drugie ja. To nieudanie połączone z ludzkim strategiem, zbuntowane i wyklęte przez Wielojaźń. Na wieść, że wykryto jego ślad osobowościowy zostawiony w infopolu,

znalazło się wielu chętnych, by ruszyć na polowanie. Wszyscy oficerowie zgłosili chęć udziału w pojmaniu i okrutnym zgładzeniu zbuntowanego demiurga zwanego Talazem Tayyarem. To było niepokojące, ale też budziło w demiurgu coś w rodzaju dumy. Skoro potrafił wzbudzać aż taką zawiść i niechęć, a do tego od tak dawna wodził za nos całą armię Wielojażni, był naprawdę silną osobowością.

Jak zatem dał się uwięzić ludziom? I to na tym zimnym, nieprzyjemnym pustkowiu, w kamiennej wieży? Czemu nie podporządkował ich swojej woli, dysponując tak rozległą wiedzą i doświadczeniem? Demiurg musiał sprawdzić to osobiście i własnoręcznie zgładzić swoje niepokorne ja. Oszczędzi mu w ten sposób cierpienie i nie dopuści, by bestie, którymi dowodził, z czystej złośliwości pastwiły się nad swoim niedawnym dowódcą.

Pancerz aktywny pulsował zaniepokojony stanem nosiciela. Czuł ubytek krwi i coraz większe osłabienie demiurga, nie został jednak wyposażony w narzędzia, którymi mógłby przeciwdziałać zagrożeniu jego życia. Nie wyposażono go nawet w podstawowe przyrządy do iniekcji, z zestawami stymulantów i środków przeciwbólowych. Demiurg czuł zatem jedynie ciepło bijące od poruszającego się pancerza, nie mógł natomiast liczyć na to, że ten ulży mu w cierpieniu.

Trzeba przyznać Talazowi, że choć znalazł się w paskudnej sytuacji, robił co mógł. To zadymienie i nasłanie na inwazję dzielnego rycerza było co prawda rozpaczliwą próbą powstrzymania nieuniknionego, ale naprawdę zaskakującą i błyskotliwą. Niewiele brakowało, a udałoby mu się zgładzić swoje drugie, lepsze ja. Kto wie, jaką jeszcze niespodziankę przygotował w celi. Trzeba mieć się na baczności.

Demiurg oblizwał krwawiącą ranę, ale to na niewiele się zdało. Cięcie było naprawdę dotkliwe i krwotok trwał w najlepsze. Nie obejdzie się bez pomocy pająkowatych chirurgów, całe szczęście, że zabrał jednego na polowanie. Co prawda raczej z myślą o ewentualnym utrzymaniu swojego drugiego ja przy życiu do czasu scyfryzowania jego pamięci niż o udzielaniu pomocy rannym, ale tak czy inaczej, zapobiegliwość się przydała.

– Co tu robisz, sługo? – Demiurg spostrzegł w rzednącym już dymie znajomą postać.

Był to Jasmina-Mustafa, po zgładzeniu swego poprzednika pełniący funkcję oficera polowego. Zgodnie z rozkazem miał zabezpieczyć twierdzę, by pozwolić demiurgowi bezpiecznie rozprawić się z nieudaną kopią. Zamiast zajmować się swoją robotą, stał tymczasem na schodach i przyglądał mu się z nieodgadnioną miną.

– Przyślij tu kilku moich przybocznych – rozkazał demiurg. – I wezwij chirurga, potrzebuję pomocy.

– Jesteś ranny, dowódcu? – spytał Mustafa, podchodząc do kotowatego.

Demiurg, mimo palącego bólu i osłabienia z upływu krwi, poczuł niepokój. Dlaczego Mustafa nie przysłał tu natychmiast wsparcia, tylko sam przylazł? Trzeba przerwać ciszę w paśmie informacyjnym i osobiście wezwać pomoc. Nie można już nikomu ufać.

Zmrużył oczy, skupiając się na module telepatycznym. Sam wcześniej kazał zawiesić kontakt, by nie zaalarmować ofiary. Teraz potrzebował czasu, by reaktywować układ. Nim zdążył to zrobić, usłyszał zgrzyt stali. To Jasmina-Mustafa podniósł ciężką husarską szablę upuszczoną przez obdartusa. Demiurg bardziej wyczuł, niż zrozumiał, co się dzieje, było jednak za późno. Jego oficer był zbyt blisko i poruszał się za szybko, by mu ująć. Szabla spadła na rannego z góry. Znów zasłonił się ręką i znów ostrze ją rozrąbało. Tym razem cios był mocniejszy i kość, choć twardsza niż u człowieka, nie wytrzymała. Odcięta łapa upadła do stóp kota, a ostrze rozplatało mu pysk. Prychnął jeszcze krwią, oślepiiony dymem i zalewającą oczy juchą, gdy Jasmina-Mustafa uderzył po raz kolejny, rozrąbując mu czaszkę.

Oficer polowy ryknął z radości, patrząc na konającego u jego stóp demiurga wstrząsanego jeszcze drgawkami. Co za szczęście! Przybył u boku dowódcy, licząc na przyjemność oglądania śmierci jego kopii, a zamiast tego został nagrodzony możliwością własnoręcznego zgładzenia nienawidzonego wodza. Co prawda to zdychający właśnie kocur go stworzył i może winien był mu wdzięczność, ale nienawiść, którą promieniała Jasmina, była silniejsza. Poza tym ludzka część jej osobowości, należąca do wytrawnego polityka i dowódcy, radziła to samo – skorzystać z okazji i zgładzić demiurga, by zająć jego miejsce. Ten kotek był wszak zbyt łagodny i nieudolny, by dowodzić inwazją. Teraz Jasmina-Mustafa im wszystkim pokaże.

Wyjął z łap zastrzelonego gwardzisty miotacz i skierował na drzwi pierwszej z cel. Na zniszczenie czekała wszak jeszcze jedna wersja demiurga, kolejna kopia nienawidzonego, niesłusznie wywyższanego przez Wielojazń kota. Strzelił w zamek. Wyładowanie wyrwało żelazo z solidnym kawałem drewna, a Mustafa otworzył dymiące wrota kopnięciem, trzymając rękę na spuście. Wewnątrz stał młodzieniec o płowej czuprynie i zdumionym oraz wystraszonego obliczu.

To nie ten – pomyślał z rozczarowaniem Jasmina-Mustafa i wystrzelił, mierząc w brzuch człowieka.

Wyładowanie wyrwało nieszczęśnikowi trzewia wraz z kręgosłupem, cisnęło przełamane w pół, dymiące i drgające w agonii ciało pod ścianę. Nowy demiurg obrócił się na pięcie, by wypalić w drzwi sąsiedniej celi. Cieszył się, że spojrzy w twarz przerażonego Talaza, ale zamiast niego ujrzał skuloną w kącie dziewczynę. Stał chwilę z uniesionym miotaczem, trawiąc niepowodzenie. Wzruszył ramionami, a potem wszedł do celi. Obejrzał ją uważnie, ale nikt nie mógł się tu schować ani ująć przez zakratowane okno.

Chwycił dziewczynę za włosy i postawił ją na nogi. Była piękna i delikatna, o jasnej, prawie białej cerze. Mustafa zawsze lubił piękne przedmioty, uwielbiał otaczać się zbytkiem i dziełami sztuki. Dlaczego nie miałby jej zabrać jako ozdoby nowego haremu? Gadzia część jego osobowości wolałaby zagłębić zęby w niemal przezroczystej skórze na szyi dziewczęcia, rozumiała jednak pociąg seksualny ludzkiego nosiciela i zapanowała nad żądzą zabijania.

Nowy demiurg szarpnął swój niewielki jasyr i pchnął dziewczę do wyjścia. Ruszyła posłusznie, dygocząc ze strachu. Czowała piekielny zapach siarki zmieszany z krwią i potem. Jęknęła ze zgrozy, widząc trupy, ale ponaglana przez warknięcia Mustafy, posłusznie zeszła po schodach.

\* \* \*

Semen uniósł się na łokciach i splunął krwią. Wokół panowała ciemność. Bolały go wszystkie gnaty, w dodatku kłuło go w boku przy każdym oddechu. Spiał się jednak i wstał z trudem. Na podłodze pełno było krwi, ale ciała kotów znikły. Został tylko bezgłowy trup Krzysztofa. Połamane drzwi cel palily się niemrawo, dając odrobinę światła. Za jednymi z nich porucznik znalazł potwornie okaleczone zwłoki Jakuba. Po Jitce nie został nawet ślad.

– I to tyle w kwestii ratowania zakładników – westchnął ciężko, opierając rękę na boku.

Wyjrzał przez okno, ale na dziedzińcu nie było żywego ducha, wyłącznie dopalające się porozrywane trupy. Statków obcych również nie było widać – wyglądało na to, że został sam w opuszczonej twierdzy. Nic dziwnego, że czeladź po prostu uciekła. Każdy, kto widział bestie w akcji, wziął nogi za pas. Te z kolei zrobiły swoje i odleciały. Ciekawe tylko, dlaczego zabrały Jitkę. Semen, zanim stracił przytomność, widział, jak ją wyprowadzają. A właściwie zrobił to jeden z opętanych Turków, mężczyzna o dziwnie znajomej twarzy. Porucznik już gdzieś go widział, pewnie w Stambule. Szkoda, że nie miał sił, by mu się postawić. Leżał wciśnięty w kąt i z trudem łapał oddech. Opętany nawet go nie zauważył. Za to Jitka spojrziała na niego z niemą prośbą wielkimi, pełnymi przerażenia oczami.

Ta dziewczyna nie miała szczęścia. Najpierw porwali ją Tatarzy, potem Jakub, następnie hetman Pac, a na koniec obcy. Cud, że jeszcze żyje, cholerna poturczynka. No cóż, nie pozostało mu nic innego, jak znaleźć jakieś spokojne i ciepłe miejsce, by przespać się do rana. Choć snów raczej przyjemnych miał nie będzie. Rankiem musi znaleźć konia i coś do żarcia, a potem pędzić ile sił za wojskiem.

A Jitka? Ciągle widział jej błyszczące oczy i usta, którymi bezgłośnie próbowała mu coś przekazać. Co to było? Przystanął, by sobie przypomnieć.

– Ratuj mnie!

## **Kirklareli**

**3 szawwala Anno Hegirae 1088**

**29 listopada Anno Domini 1677**

Dorota patrzyła na płonący meczet, marszcząc brwi. Kłęby gęstego dymu walały przez otwarte szeroko wrota, płomienie wyslizgiwały się ze środka i pełzały po ścianach. Pożarowi obojętnie przyglądali się polscy dragoni stacjonujący na pobliskim placu. Miejscowi Turcy biegali wokół z kubłami wody, kobiety w hidżabach zawodziły z rozpacz i zgrozy, kilka z nich wygrażało pięściami Polakom i złorzeczyło im. Niewiele brakowało, by któryś z nich się zirytował i uderzył lub popchnął wrzeszczącą babę, a wtedy z pewnością doszłoby do rozruchów, kilkunastu wyrostków przyglądało się bowiem dragonom z jawną wrogością. Dla wszystkich oczywiste było, że to giurowie podpalili świątynię, co ponoć czynili we wszystkich mijanych po drodze miastach i wsiach.

Al-hakimie bardzo się to nie podobało, czuła, że skończy się rozlewem krwi i zerwaniem kruchego przymierza. Odwróciła się i pomaszerowała do budynku pełniącego funkcję lazaretu. Miejscowy szpital przyjął przywiezionych na wozach rannych i chorych, których rozłokowano zgodnie z jej zaleceniem. Wejścia pilnowało dwóch arkebuzerów pod bronią groźnie łypiących na wszystkich Turków, nie wyłączając al-hakimy. Jeden z nich chrząknął na jej widok i splunął na ziemię. Dorota nie zareagowała, choć jeszcze niedawno strzeliłaby go bez zastanowienia w pysk. Zdawała sobie sprawę, że ostatnio niechęć do bisurmanów mocno wzrosła w oddziałach. To nie wróżyło niczego dobrego – trudno będzie oczekiwać od wojska, by z zaangażowaniem walczyło o uratowanie wrogiego imperium. Słowem, działy się rzeczy niepokojące.

Znalazła Semena Błońskiego, który zamiast leżeć i odpoczywać, oglądał przez okno pożar meczetu. Dała mu burę i kazała usiąść, by umożliwić jej zmianę opatrunku, a właściwie posmarowanie kojącą maścią. Rycerz bowiem z wyprawy przywiózł jedynie pogruchotane żebra i bardzo niepokojące wieści. Mimo że nie odzyskał jeszcze sprawności, rwał się do boju. Starał się nakłonić Talaza i hetmana Jabłonowskiego, by wysłali go z misją rozpoznawczą do Stambułu, ale ci oznajmili, że nie ma takiej potrzeby.

– Coś tu nie gra – powiedział husarz, gdy Dorota nacierała go przygotowaną maścią. – Te pożary meczetów, wybuchające pałace i ginący tureccy dostojnicy. Wygląda to, jakbyśmy nie przybywali z pomocą, ale zwyczajnie najechali imperium. Jabłonowski jednak zaklina się, że zabronił nękać Turków, tak samo jak pozostali hetmani.

– Może żołnierze sami przejęli inicjatywę i robią to za plecami oficerów? – mruknęła Dorota. – Mszczą się za to, co wyprawiają Turcy z pojmanymi duchownymi...

– Nie zdziwiłbym się zanadto – warknął Błoński. – Sam mam ochotę rąbać bisurmanów, gdy o tym pomyślę.

W ciągu ostatnich dziesięciu dni maszerująca polska armia wielokrotnie natykała się na przykłady barbarzyństwa i okrucieństwa wymierzone w chrześcijan. A to podjazd znalazł wielkie drzewo, na którego gałęziach powieszono kilkunastu mołdawskich prawosławnych mnichów z pobliskiego monasteru, a to ktoś podrzucił do obozu ciało księdza z urwanym przyrodzeniem i wypalonym na czole krzyżem. Znaleziono też okrutnie zgwałcone i poduszone zakonnice, które musiały się dostać do tureckiego jasyru, szczytem było jednak przybicie do postawionych przy drodze krzyży chrześcijańskich dzieci niedawno uprowadzonych z Podola. Żołnierze znajdowali również porzucone tu i tam sprofanowane monstrancje zrabowane z kościołów, połamane krzyże, podarte Biblie i umazane odchodami kościelne obrazy i ikony.

– To się nie mieści w głowie – westchnęła Dorota. – Po co ktoś robiłby podobne rzeczy? Zupełnie jakby chciał skłócić dwa narody, nastawić wrogo do siebie. Jeszcze trochę i polscy rycerze odmówią walki w obronie Stambułu albo Turcy zaatakują ich, by bronić meczetów i swoich miast.

– Hetman litewski Pac? Myślisz, że posunąłby się do tego? – Semen poruszył się niespokojnie. – Niezwykle pragnie klęski Sobieskiego, ale czy byłby zdolny do zabijania księży, profanacji świętych przedmiotów i obiektów kultu? Skazałby swoją nieśmiertelną duszę na potępienie tylko po to, by pogrzyźć wroga? Wydaje mi się, że nie jest aż tak przeżarty nienawiścią. To typ dorobkiewicza, a nie szaleńca.

Dorota pokiwała głową.

– To robi ktoś, komu nie zależy na nieśmiertelnej duszy, ktoś, kto nie boi się Boga, ani chrześcijańskiego, ani muzułmańskiego. Sprytny drań gotowy na każde okrucieństwo i bezbożny czyn. Ktoś do cna zepsuty, pozbawiony sumienia i obojętny na krzywdę... Ktoś obcy.

– Ale nie na tyle, by nie wiedzieć, jak nastawić przeciw sobie dwie armie – dodał Semen. – Myślisz, że to któryś z opętanych? Ktoś taki jak Talaz?

– Przynajmniej bardzo do niego podobny. – Dorota odłożyła maść i wytarła rękę w kawałek płótna, którym miała obwiązać tors rycerza. Podeszła do okna. –



Od dziesięciu dni cały czas widać na niebie latające statki, które nie atakują, ale pozostają w zasięgu wzroku. Jak nic pilnie nas obserwują. Coś mi się wydaje, że dowodzi nimi opętany utworzony z połączenia człowieka z obcym.

– Turek, który pojmał Jitkę. – Semen również wstał i zbliżył się do okna. – Że też nie mogę sobie przypomnieć, gdzie go widziałem! Pewnie to jakiś oficer, może janczarów, może spahisów. Nie wiem, pamięć mnie zawodzi...

– To nieważne. – Dorota machnęła ręką, a potem zaczęła szybko pakować torbę lekarską. – Muszę o tym jak najszybciej powiadomić Talaza. Jeszcze dziś ma z hetmanem Jabłonowskim zostać przyjęty przez Şeytana Ibrahima Paszę, seraskiera tureckiej armii. Powinien wiedzieć, co się wyprawia, bo mają omówić warunki spotkania Jana Sobieskiego z Mehmedem IV. Istnieje groźba, że do spotkania władców nie dojdzie, a Turcy zwyczajnie każą Polakom się wynosić lub nawet ich zaatakują. Trzeba powiadomić Ibrahima, że to wszystko fortel wroga! Muszę się z nim spotkać, jest moim przyjacielem!

– Ale jak udowodnisz Turkom, że to nie polska armia pali meczety? – obruszył się Semen. – Czekać, wiem! Idę z tobą.

Rycerz rzucił się do swojego ubrania i leżącej w skrzyni husarskiej zbroi. Zaczął się szybko ubierać, sycząc z bólu przy gwałtowniejszych ruchach. Dorota nie próbowała go powstrzymać, widząc, że jest zdeterminowany.

– Jak to zrobić? Co waćpan wymyśliłeś? – spytała tylko.

– Z wrogiem stosującym fortele trzeba się bić jego bronią. Walcz ogniem z ogniem.

## **Pinarhisar**

### **5 szawwala Anno Hegirae 1088**

### **1 grudnia Anno Domini 1677**

Abdul Aga siedział w krzakach, drżąc z zimna. Siąpiący od rana deszcz zupełnie go przemoczył, ale nie to było najgorsze. Ukryte w gąszczu rakiety również mogły zamoknąć, a to naraziłoby na niepowodzenie całą operację. Kazał co prawda janczarom owinąć broń nasączonym oliwą płótnem, ale nie wiadomo, jak długo powstrzyma ono wilgoć. Gnieździł się w ukryciu już od dobrych czterech godzin, obserwując drogę do miasta i leżący nieopodal meczet. Czekali na Polaków, a ci, jak na złość, nie spieszyli się z wkroczeniem do Pinarhisar.

Zupowy splunął na ziemię czarną śliną. Od świtu żuł haszysz, zgodnie z zaleceniem al-hakimy. Dorota Falak dołączyła bowiem wczoraj do sił tureckich, a właściwie do świty seraskiera Ibrahima. To ona zaplanowała zasadzkę, w porozumieniu z porucznikiem husarii, i kazała janczarom odurzać się ile wlezie. Piechurzy cały czas od rana chichotali, gapili się nieobecny wzrokiem w niebo lub spali. Na Abdula jednak to cholerne zielsko w ogóle nie działało. Może przez to, że opił się smoczey krwi i właściwie nic na niego nie działało – ani wino, ani nawet opium. Stwierdził z lekkim rozczarowaniem, że do końca życia pozostanie już trzeźwy.

– Jada – głosem pozbawionym emocji oświadczył janczar siedzący w koronie drzewa i obserwujący okolicę.

Abdul z radością zatarł ręce. W końcu coś się szykowało. I rzeczywiście, w oddali pojawił się zwarty, ciągnący ławą oddział. Kolumna musiała liczyć kilka tysięcy wojska, powiewały nad nią zmoknięte sztandary, błyskały zbroje i hełmy. W skład formacji wchodziły chorągwie pancerne kierowane przez Błońskiego, przynajmniej tak się umówili. Janczar szacował siły chrześcijan, nie wydając żadnego rozkazu. Stwierdził, że salwa raketowa puszczona nisko nad ziemią może nie zmiotłaby ich, ale spowodowała ogromne zamieszanie i panikę. Chwilę cieszył się tą myślą, a potem zwrócił w kierunku meczetu.

To świątynia była przynętą. Wedle zapewnień Doroty, gdy Polacy pojawią się w okolicy, przybędą też złoczyńcy, którzy podpalają meczety. To oni byli celem zasadzki. A haszysz miał uczynić janczarów niewidzialnymi dla wroga, który opierał się na obserwowaniu śladów zostawianych przez ludzkie umysły w infopolu. Otępiali żołnierze ponoć takich tropów nie zostawiają i zwiad obcych nie będzie się nimi interesował. Abdul nie był przekonany do tego dziwnego pomysłu, ale na rozkaz seraskiera zrobił to, czego życzyła sobie al-hakima.

– Lecą! – znów zameldował obserwator, ale tym razem nieco żywszym tonem.

Zupowy spojrzął we wskazaną stronę. Statek obcych zbliżał się na małej wysokości, niemal muskając podwoziem wierzchołki drzew. Nie kierował się jednak w stronę miasta, lecz naprzeciw nadciągającemu wojsku. Minał meczet, potem kryjówkę janczarów i w końcu zszedł do lądowania jakieś trzysta kroków dalej, bezpośrednio na drodze.

– Łapcie za rakiety! – rozkazał Abdul. – Musimy podejść z nimi bliżej, bo nie trafimy drania. Szybciej, ruszać się!

Sam doskoczył do ukrytej rakiety i zdarł z niej ochronne płótno. Wiedział, że z takiej odległości nie byliby w stanie trafić w obiekt rozmiarów domu. Rakiety zachowywały się zwykle nieprzewidywalnie. Ich stateczniki nie były doskonałe, a wystarczyło najmniejsze ich uszkodzenie, skrzywienie lub nierównomierne rozłożenie ładunku w rurze, by pocisk zmienił trajektorię.

Zupowy złapał za głowicę, a dwóch janczarów za tylną część pocisku. Ruszyli razem do przodu, próbując utrzymać jednolite tempo. Jeden z piechurów się jednak potknął i runął w błoto. Jego kompan roześmiał się, a po chwili aż zgiął w pół, nie panując nad chichotem. Leżący również nie mógł zapanować nad wesołością. Abdul sklął ich przez zęby, ale janczarzy byli tak otumanieni haszyszem, że w nosie mieli rozgniewanego dowódcę. Bezsprzeczenie przedawkowali środek przekazany przez al-hakimę.

Tymczasem drzwi pojazdu obcych się rozsunęły i ze środka wyskoczyło kilku umięśnionych drabów w czarnych pancerzach, ciągnąc trzech związanych mężczyzn w habitach. Opętanymi kierował dziwny stwór o długim, patyczkowatym ciele i gruszkowatej czaszce z wielkimi czarnymi oczami. Obcy skórę miał całkiem białą, a w smukłym ręku trzymał jarzące się białym płomieniem energetyczne ostrze. Dwaj opętani przytrzymali jednego z zakonników, a kościsty dziwoląg wbił mu płonący miecz w brzuch. Z trzewi nieszczęśnika bryznęły kłęby pary, on sam zaś wrzasnął rozdzierająco.

– A niech to! – syknął Abdul, patrząc na egzekucję.

Obcy planowali zamordować zakonników i zostawić ich ciała na drodze Polaków. Kolejny element wojny psychologicznej i prowokowania niezgody między sprzymierzonymi. Zupowy kazał janczarom oprzeć rakiety na drewnianym stojaku i wymierzył ją mniej więcej w pojazd obcych. Potem wyciągnął pistolet i przystawił jego zamek do lontu wetkniętego w tył rakiety. Nacisnął spust, a opadający kurek z trzaskiem skrzesał iskry. Lont zadymił i po chwili zapalił się z sykiem.

– Cofnąć się – ostrzegł zupowy. – Zostawcie rakiety, szykować się do ataku. Za mną!

Janczarzy sięgnęli po pistolety i jatagany, nim jednak zrobili choćby krok, pierwszy pocisk ze świstem i hukiem pomknął w kierunku wroga. O dziwo rakietą leciała tuż nad ziemią, ale prosto jak strzeł. Abdul wstrzymał oddech. Opętani odwrócili się, usłyszawszy nadlatujący pocisk. A wtedy ten grzmotnął w bok statku i eksplodował.

– Allach nas pobłogosławił! – ryknął Abdul i pomknął do ataku.

Wybuch powalił na ziemię zarówno opętanych, jak i dwóch pozostałych przy życiu jeńców, nie zadziałał jednak na białoskórego obcego. Ten zwrócił się w stronę atakującego, unosząc energetyczny miecz. Abdul w biegu wypalił do niego z pistoletu, ale chybił. Wyszarpnął więc z pochew jatagany i wymachując nimi ze świstem, runął na przeciwnika.

Jedna z jego kling zderzyła się z energetycznym mieczem i ramię zupowego zdrętwiało, a odrąbane plazmą ostrze upadło na ziemię, ciągnąc za sobą smugę dymu. Abdul się jednak nie zatrzymał. Z impetem wpadł na przeciwnika i lewą ręką ciął drugim jataganem przez cienką szyję obcego. Ostrze zazgrzytało na

kościach i przecięło je, pękając. Wielki łeb o czarnych oczach potoczył się po ziemi. Zaskoczony swoją smoczą siłą zupowy odprowadził go wzrokiem, a potem schylił się, by wyjąć z ręki zabitego płonący i trzaskający piorunami miecz. Obrócił nim kilka razy, poprawiając chwyt na niewygodnej rękojeści, po czym natarł na podnoszących się opętanych.

– Bij w nich! – krzyknął do nadbiegających janczarów. – Nie brać jeńców!  
I zagłębił gorące ostrze w czarnym pancerzu, przecinając przeciwnika na pół.

## **Surdibi – przedmurza Stambułu**

### **14 szawwala Anno Hegirae 1088**

### **10 grudnia Anno Domini 1677**

Sułtan czekał na Sobieskiego w otoczeniu dwunastu paszów, członków Dywanu, oraz swojej gwardii przybocznej. W jego świetle znajdowali się też wielki chan Tatarów krymskich Selim I Girej, książę Siedmiogrodu Michał Apafy oraz gruby doża w kapiącym od złota stroju będący przedstawicielem Republiki Weneckiej. W pobliżu stali odziani w paradne zbroje dowódcy spahisów, mameluków, akindzi i pozostałych formacji tureckich. Towarzyszyli im przywódcy duchowni, imamowie i szejchowie zakonów, nie zabrakło nawet prawosławnego patriarchy Konstantynopola Dionizego Muselimesa. Stali na wzniesieniu, z którego roztaczał się widok na zrujnowany Stambuł z górującym nad wszystkim gigantycznym czarnym tworem wyglądającym jak drzewo i zasłaniającym słońce.

Król Polski nadjechał konno w towarzystwie chorążego koronnego Leszczyńskiego, hetmana Jabłonowskiego, kanclerza Gnińskiego i kilku rycerzy z poczty królewskiej. Towarzyszył mu ataman kozowy Eustachy Hohol, który wraz z Kozakami Poddniestrza przeszedł na stronę polską, oraz chan Tatarów-Lipków od dawna współpracujących z Rzeczpospolitą. Prócz nich w polskiej świetle pojawił się gospodar Mołdawii i Wołoszczyzny Jerzy Duca, po raz kolejny wypowiadając poddaństwo Osmanom, a także książę Karol V Lotaryński, wysłannik Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Obok tego ostatniego jechali generałowie sascy i bawarscy, a nawet jeden Frank w wamsie i kapeluszu z piórami.

Za tłumaczy służyli dragomani tureccy, rotmistrz pancernych Michał Piotrowski oraz Talaz Tayyar. Ledwie król zsiadł z konia i zajął miejsce na

przygotowanym dla niego stołku, zaczęły się nieco pospieszne, ale zgodne z ceremoniałem powitania i pozdrowienia. Samo przedstawienie obecnych zajęło dobre dwa kwadransy, nie zanosiło się więc, by do jakichkolwiek ustaleń mogło dojść wcześniej niż przed obiadem. Pan Michał sprawiał wrażenie podenerwowanego, co rusz zerkając na górujący nad nimi wszystkimi ogromny obiekt. Wielkie drzewo budziło grozę, co miało dobre strony, bo przywódcy i dostojnicy wyglądali na przygaszonych i przejętych. Obyło się zatem bez stroszenia piórek i słownych przepychanek, nawet wielki chan powstrzymał się z niechętnymi uwagami wobec Polaków. Kilka razy wymienił tylko nienawistne spojrzenie z kanclerzem Gnińskim.

– Co się waść tak wierzisz? Tęskno ci do bitki? – szepnął król do stojącego przy jego boku pana Michała.

Akurat przemawiał kwieciście jeden z dragomanów, zapewniając o miłości wszystkich zebranych wobec siebie i nienawiści do podstępного wroga. Piotrowski nie mógł się powstrzymać od spoglądania na statki obcych krążące wokół czarnego drzewa. Niepokoiło go lekceważenie, jakie okazywali obcy, którzy od kilku dni nie prowadzili żadnych akcji zaczepnych wobec zbliżających się armii.

– Ten, kto nimi dowodzi, to podstępny drań, z pewnością coś na nas naszykował – powiedział. – Powinniśmy choć wysłać podjazdy do miasta.

– Nie gorączkuj się – rzekł król. – Trzeba wpierrw ustalić, kto tu dowodzi i jakie ma zająć miejsce w szeregach. To może potrwać kilka dni i skończyć się rozwiązaniem przymierza. Wiesz wszak, jakie zaszłości nas dzielą. Ci dwaj na tronach, sułtan i wielki chan, jeszcze kilka lat temu osobiście dowodzili armiami zdobywającymi moje miasta i twierdze, byli takimi najeźdźcami jak dzisiaj obcy. Chcę, by okazali skruchę i przeprosili mnie, a co za tym idzie całą Rzeczpospolitą za swe łajdactwa. Dopiero wtedy zgodzę się wziąć udział w odbiciu Stambułu.

– Ale miłośniwy panie, bisurmani nigdy się nie ukorzą – westchnął rotmistrz. – Są bardziej dumni niż polscy magnaci... W dodatku wydaje im się, że sami dadzą radę. Zgromadzili wokół miasta jakieś dwieście pięćdziesiąt tysięcy wojska.

– To głównie pospolite ruszenie – wtrącił kanclerz Gniński. – Niewiele warta chorda biedaków i łachmytów. My przywiedliśmy ze sprzymierzonymi jakieś pięćdziesiąt tysięcy, ale za to wojsko najwyższej klasy. Jest więcej warte niż ich hałastra, z czego chyba zdają sobie sprawę.

Król uciszył ich machnięciem dłoni, bo oto tureccy gwardziści w pancerzach ze smoczych łusek wnieśli trofea zdobyte na obcych. Pierwsza była wielka czaszka smoczycy, która wjechała na wozie, potem łeb obcego upolowanego przez Abdul Agę, aktywne zbroje zdarte z zabitych opętanych, kilka miotaczy plazmy i chitynowe pancerze pająkowatych chirurgów złapanych w Kairze.

Sobieski skinął dyskretnie na Talaza, by się zbliżył. Kiedy ten posłusznie podszedł do grubego monarchy, król wskazał mu miotacze.

– Smocze koncerze są wspaniałe, ale czy nie dałoby rady nauczyć puszkarzy i rusznikarzy, by zmajstrowali te pioruńskie fuzje? W sam raz nadałyby się dla moich dragonów!

– Przykro mi, ale nie jestem inżynierem i nie znam szczegółów tej broni. – Talaz rozłożył ręce. – Wiem, że zasilana jest generatorami o wysokiej mocy, do których skonstruowania potrzeba naprawdę fachowej wiedzy i zręczności. To jest poza moimi umiejętnościami.

– Trzeba pojmać ich fajerwerków i rusznikarzy, możliwie najwięcej – mruknął król. – Powiedzcie moim oficerom, jak oni wyglądają. Już dla samej ich wiedzy opłacało się wybrać na tę wojnę. Chcę jeszcze, byśmy zdobyli tajemnice latających maszyn. Cena nie gra roli. – Skinął na chorążego koronnego. – Zajmijcie się tym, mości Leszczyński. Nie zabijajcie każdego opętanego, który wpadnie wam w łapy. Niech chłopcy wezmą tylu jeńców, ilu tylko się da.

Talaz pokiwał głową z podziwu dla przenikliwości i umiejętności znalezienia się w sytuacji, które okazywał jowialny grubas. Król nie sprawiał wrażenia ani intelektualisty, ani wojownika. Nawet nie był w stanie wbić się w zbroję, tak wielkie miał brzuszysko. Wyglądał jak ogromna beka w błyszczącym złotem żupanie, ale mylił się każdy, kto brał go za tępego obzartucha i niemotę. Sobieski nie bez powodu nazywany był Lwem Lechistanu – rozumieli to nawet przyglądający mu się właśnie niedawni wrogowie.

Pan Michał przytakiwał poleceniom króla, co chwilę zerkając na zajęte przez obcych miasto. Pośród ruin i zdewastowanych budynków poruszali się ludzie, opętani lub pilnowani przez nich niewolnicy. Górujący nad nimi upiorny twór zaczął iskrzyć górnymi konarami niknącymi w chmurach. Nagle błysnął potężnym piorunem, który popłynął po jednej z gałęzi i uderzył w taflę zatoki Złotego Rogu. Po chwili przez okolicę przetoczył się dudniący basowy grom.

Mehmed IV niecierpliwym gestem przerwał kwiecistą mowę kolejnego tureckiego dostojnika. Wstał z tronu i zbliżył się do Sobieskiego. Widząc to, król również ruszył się ze stołka.

– Wybacz, bracie, że przerywam tę uroczystą rozmowę – powiedział, a pan Michał zaczął tłumaczyć jego słowa do ucha Sobieskiego. – Nie mogę jednak dłużej znieść patrzenia na to, co bestie zrobiły z moją stolicą. Krew się we mnie burzy, gdy widzę tak wielką bezbożną potworność wyrosłą na ciele mego miasta i czerpiącą soki z osmańskiej ziemi. Natychmiast rozpoczynam szturm. Wyświadcź mi, proszę, ten zaszczyt i obejmij dowództwo lewego skrzydła. Daję ci pełną swobodę, wierząc w twój niezwykły talent dowódczy. Będę dozgonnie wdzięczny, jeśli wesprzesz nas w walce z nieludzkim złem. A teraz wybacz, zamierzam odzyskać moje miasto lub zginąć, mszcząc jego zniszczenie.

Sułtan uklonił się Sobieskiemu, co wywołało szmer niezadowolenia wśród osmańskich dostojników, i nie czekając na odpowiedź króla, odszedł w kierunku

stojących w pobliżu spahisów, którzy trzymali dla niego wierzchowca. Sobieski zakręcił węża i uśmiechnął się nieznacznie, a potem mrugnął do pana Michała.

– I załatwione. Dostałem, co chciałem – powiedział. – Takie przeprosiny w zupełności mi wystarczą. A teraz zgnieśmy to plugastwo i wracajmy do domu. Na Wigilię chcę stanąć w Wilanowie. Chodźmy!

\* \* \*

Tadeusz Janiecki poprawił się w siodle i poklepał konia po karku. Młody kasztelaniec, nadal pełniący funkcję pocztowego rotmistrza Michała Piotrowskiego, zgodnie z rozkazem czekał na powrót swego rycerza, pilnując wierzchowców. Trudno mu było wytrzymać w beczynności, szczególnie że oczekiwanie na bitwę trwało od świtu, a minęło jednak południe. Kolejne chorągwie przesuwają się coraz bliżej miasta, zajmując dogodne pozycje do ataku. Piechota ruszyła już przodem, by zlokalizować i usunąć ewentualne przeszkody blokujące drogę jeźdźcom. W oddali trzaskały pierwsze strzały muszkietowe, pojawiły się dymy po oddaniu salw przez turecką artylerię. Coś tam się działo, pierwsi śmiałkowie bili się już z opętanymi. Walały bębny, grały trąbki, słychać było śpiewy i bojowe okrzyki wyrywające się z tysięcy gardeł. On jednak musiał tkwić przy taborach, gdzie stacjonowała chorągiew pancerna dowodzona przez Michała Piotrowskiego. Sam rotmistrz nadal towarzyszył królowi i nie wiadomo było, kiedy poprowadzi swój oddział na pole walki.

Spomiędzy wozów wyszli dwaj rówieśnicy kasztelańca, chłopcy, którzy towarzyszyli pamiętnemu poselstwu, Stefan Stawiński i Jędrzej Supełek. Obaj starali się o przydział do chorągwi husarskiej, ale okazali się zbyt młodzi i wąтли. Nawet do jazdy pancерnej nie chciano ich przyjąć, aż wreszcie wykorzystali wpływy ojców, tak jak Tadeusz, by trafić do pocztu rycerskiego, i to w tej samej chorągwi. Ich suwerenem był porucznik Mierosławski, wiekowy i niezwykle doświadczony rycerz, który traktował ich bardzo surowo i bez taryfy ulgowej.

– Całe wojsko zeszło już na przedmieścia, a my stoimy z taborami – zauważył przyszczaty Stefan. – Przyszliśmy zobaczyć, czy stąd widać lepiej, ale chyba widok jest ten sam co z naszych pozycji pod lasem.

– Ech, trochę lepiej. Wystarczy wyteńczyć wzrok, a można nawet dostrzec barwy na chorągwiach – rzekł Jędrzej. – Przynajmniej na niektórych.

– Tak, sam na to wpadłem – przyznał Tadeusz. – Tam widać buńczuki akindzów, lekkiej jazdy tureckiej, a tam gnają Tatarzy. Swoim zwyczajem podjeżdżają galopem do wroga, zasypują go strzałami i wieją na boki. Opętani bronią się w szarżach, rażą ich piorunami z bandoletów, ale jakoś tak niemrawo. Widać tylko pojedyncze błyski z tamtych i tamtych zabudowań.

– A co mi tam ordyńcy, pies jebał szubrawców! – prychnął Stefan. – Gdzie wojska królewskie i litewskie? Widzę husarię, trudno jej nie zauważyć. Nawet w cieniu czarnego drzewa błyszczą jej zbroje. Ale co się stało z piechotą?

– Wdarła się już między budynki z lewej. Tam gdzie się pali. Tam też widzę błyski piorunów. – Tadeusz wskazał miejsce starcia. – Ale spójrzcie na zatokę. Widzicie, ile żagli? Flota osmańska zbliża się do portu. Będzie wpierw palić z armat, a potem przybije do brzegu. Pewnie na każdym z okrętów roi się od wojska.

– Co ty, Tadek, ciągle tak się zachwycasz bisurmanami? – zachnął się Jędrzej. – Patrz lepiej, gdzie nasi! Chorągwie jeszcze stoją i czekają na rozkazy do szarży, a w centrum spahisi już ruszyli. Gdzie jest król? I czemu chorągwie litewskie stoją we wsi i nie schodzą na przedmieścia?

– Hetman Pac znów chce zrobić królowi psikusa, jak pod Chocimiem. Wycofał wtedy swoje oddziały, tłumacząc się koniecznością powrotu do domu przed zimą – mruknął Tadeusz. – To było dopiero świństwo, nie ma co. Zostawił naszych w potrzebie i sobie odjechał. Co będzie, jeśli spróbuje tego znowu? Pewnie drań czeka na to, co się stanie, i w razie czego po prostu się zawinie...

– Wtedy Sobieski nie był jeszcze królem, tylko hetmanem równym Pacowi. Teraz niewykonanie rozkazu i podobny odwrót byłyby zdradą i wypowiedzeniem posłuszeństwa Koronie – zauważył Jędrzej. – Na coś takiego hetman wielki litewski się nie odważy.

– Mniejsza o Litwę, spójrzcie na drzewo! – krzyknął Stefan.

Z ramion położonych wysoko w chmurach od dwóch godzin strzelały mniejsze lub większe wyładowania, ale teraz ucichły. Za to krążące wokół potężnego pnia czarne pojazdy zeszły nagle niżej i całą chmarą skierowały się nad miasto. Minęły je z jednostajnym bzyczeniem i wciąż się zniżając, natarły na wdzierające się między domy wojsko. W burtach statków otworzyły się drzwi i inwazery zasypali turecką i polską piechotę seriami plazmowego ognia.

Zakotłowało się od tumanów dymu i kurzu wzbijanego przez walące się budynki. Szeregi piechoty zatrzymały się i zaczęły cofać z bombardowanego terenu. Arkebuzerzy i dragoni palili z muszkietów, tak samo jak po sąsiedzku janczarzy, ale dla około pięćdziesięciu kanciastych transporterów ich ogień był zupełnie nieszkodliwy. Młodzieńcy przyglądali się temu w milczeniu, zagryzając wargi z napięcia. Jeśli pierwsze natarcie się załame, nie będzie to wróżyło niczego dobrego.

Wreszcie tureckie oddziały podciągnęły artylerię raketową i jeden po drugim w niebo wystrzeliły podłużne pociski ciągnące za sobą ogniste ogony. Znaczna część z nich nawet nie zbliżyła się do celów i spadła gdzieś w mieście lub rozerwała się w powietrzu, ale kiedy pierwsza rakietka zmioła transporter, Stambułem wstrząsnął chóralny ryk triumfu. Po chwili drugi pojazd eksplodował



w powietrzu, a trzeci zakołysał się, przechylił na bok, wysypując ze środka inwazerów, i spadł z hukiem na ziemię.

W tym czasie po polskiej stronie frontu do ostrzeliwanych pozycji pogalopowały dwie chorągwie husarskie uzbrojone w smocze koncerze. Husarze zamiast kopii trzymali pod pachami uniesione w niebo stalowe rury z gruszkowatymi głowicami pocisków. Na sygnał trąbki w galopie wystrzelili salwę i zawrócili po ciasnym łuku. Chmara pocisków pomknęła w niebo, w jednej chwili kosząc tuzin statków. Teraz ryk radości rozległ się nad polskimi oddziałami.

W kilka minut cała podniebna flota obcych została zestrzelona, a armie wdarły się na umocnienia bronione przez pieszych inwazerów. Młodzieńcy widzieli tylko błyski, słyszeli wrzaski i nieustanny huk muszkietów oraz pistoletów. W ciągu kolejnych paru minut kilkadziesiąt tysięcy wojska wtargnęło do Stambułu, miażdżąc swoją masą cofających się opętanych i obcych.

– Co tak stoicie i gapicie się jak sroka w gnat? – huknął na nich pan Michał, który pojawił się nie wiadomo skąd. – Na koń, ruszamy!

– Do ataku? – ucieszył się Tadeusz.

– Nie tak prędko, dzień jest jeszcze młody. – Rotmistrz uśmiechnął się. – Musimy najpierw coś załatwić.

Wskoczył na konia i usadowił się w siodle.

– Ale rotmistrzu, spójrzcie! Spahisi już ruszyli za piechotą i znikli w mieście, a tam to chyba sułtan w otoczeniu gwardii i całego Dywanu! Wszyscy jadą do Stambułu, tylko my zostaliśmy! – gorączkował się Jędrzej.

– My i oddziały hetmana Paca – przyznał pan Michał. – I właśnie pojedziemy zrobić z tym porządek. Król nie życzy sobie mieć ich za plecami. Wołajcie trębacza, niech gra pobudkę. Chorągiew jedzie na rozmowę z mości Pacem.

\* \* \*

Jasmina-Mustafa wsunął do ust suszonego daktyla, drugą ręką gładząc Jitkę po płowych, miękkich włosach. Dziewczyna siedziała u jego stóp, bojąc się choćby drgnąć, bo kilka kroków od niej rozpościerała się ziejąca pustką przepaść. Ziemia była hen, w dole, może nawet ze dwieście metrów poniżej siedziby demiurga. Kazał ją sobie urządzić na jednym z ramion skryzalizowanej Wielojaźni. Zbudowano tu pałacyk z białego marmuru wyniesionego z Topkapi. Podłogi zdobiły najlepsze perskie dywany, miękkie jak puch i barwne jak pawie ogony. Ze ścian skapywały złote arrasy, pod sufitem kiwały się misternie wykonane lampy oliwne ze srebra zasilane ogniwami plazmowymi. Ramiona Mustafy okrywało futro białego lwa, a na głowie miał jedwabny turban ozdobiony wielkim jak pięść

rubinem. Jitka stanowiła kolejny element umeblowania, w dodatku taki, do którego można było przemawiać i który nawet odpowiadał.

Ubrano ją w skąpy, przezroczysty strój należący wcześniej do sułtańskiej faworyty, w którym czuła się gorzej, niżby była naga. W dodatku z zimna posiniała i szczykała zębami, bo na tej wysokości wiało jak na szczycie góry. Nie osłabła całkiem tylko dlatego, że mogła czasem podejść do zapewniającego oświetlenie i promieniującego ciepłem generatora mocy. Pozwolono jej poruszać się całkiem swobodnie, ale tylko na odległość, na jaką pozwalał złoty łańcuch przymocowany do obroży zapiętej nad jej prawą kostką. Zupełnie jakby obawiano się, że może uciec. Niby dokąd i w jaki sposób? Łańcuch był zatem kolejną ozdobą i symbolem jej niewolniczego statusu.

Przez ostatnie godziny musiała tkwić u podnóża tronu i podziwiać z góry poruszające się armie. Oglądana z tej wysokości bitwa wyglądała nierealistycznie. Pewnie z takiej samej perspektywy patrzyli na zmagania ludzi bogowie i aniołowie. Dobiegały tu odgłosy starcia – salwy, wybuchy, chóralne okrzyki i śpiewy, dudnienie bębnow i trzask plazmowych wyładowań. W pewnym momencie niebo pokryły wpierw smugi lecących rakiet, a potem huragan wybuchów. Widząc spadającą w płomieniach flotę powietrzną obcych, dziewczyna niemal zapiszczała z radości. Zapomniała nawet o zimnie i na czworakach zbliżyła się jeszcze odrobinę do krawędzi. Widziała nieregularne chmury wojska wlewające się z kilku stron jednocześnie między budynki, wypełniające ulice i pochłaniające kolejne barykady oraz umocnienia opuszczane w pośpiechu przez cofających się opętanych. Jasmina-Mustafa patrzył na to spokojnie, z uśmiechem zagryzając kolejne daktyle.

– Czy ruszyli wszyscy? Powiedz, moja alabastrowa laleczko, czy wszystkie oddziały weszły do miasta? – spytał.

– Trudno powiedzieć, dym zasłania przedmurza – odparła. – Nie widać też, co dzieje się w wioskach, z których nadciągnęli. Chyba coś tam jeszcze stoi, może tabory? Flota już przybiła do brzegu, po drugiej stronie Złotego Rogu nie widać żadnego żagla.

– Dobrze. – Demiurg wstał z tronu i stanął w lekkim rozkroku, składając ręce za plecami.

Jego lwie futro powiewało na wietrze, złoto i kamienie szlachetne zdobiące strój lśniły oślepiająco. Zza tronu wyszli dwaj gwardziści odziedziczeni po poprzednim demiurgu, wielkie kotopodobne bestie w pancerzach i o błyszczących metalicznie pazurach. Jitka zadrżała na ich widok. Patrząc w ich żółte ślepia, miała wrażenie, że ma do czynienia z głodnymi panterami gotowymi rozerwać ją na strzępy i pożreć. Na szczęście potwory nie zbliżyły się bardziej. Jasmina-Mustafa traktował je chyba jako kolejną ozdobę swojego pałacyku, nie musiał się przecież obawiać o swoje bezpieczeństwo. Zabezpieczył się przed ewentualnym zamachem

swoich dowódców, wysyłając wszystkich na pierwszą linię.

– I oni uważają się za wspaniałych strategów – prychnął, patrząc z góry na armie zdobywające miasto. – Wielki Lew Lechistanu, padyszach Mehmed, ich dowódcy, paszowie i hetmani, wszyscy doświadczeni w setkach batalii, a zachowują się jak banda dzikich Tatarów. Dzieci i głupcy! Dali się sprowokować jak grupa młodzików o zapalonych łbach. Nie dostrzegli, że ich podjudzam, celowo ustępując pola.

Roześmiał się teatralnie. Jitka patrzyła ze zgrozą na jego wykrzywioną twarz, pełną złości i okrucieństwa. Gdy na chwilę ich spojrzenia się spotkały, natychmiast odwróciła wzrok. Jasmina-Mustafa klasnął. Błysnęło i po niebie przetoczył się grom. Nie przebrzmiał jeszcze, gdy z chmur, gdzieś spomiędzy niewidocznych górnych gałęzi Wielojaźni pomknęły w dół statki przypominające groty włóczni. Nie poruszały się tak majestatycznie i niezgrabnie jak toporne transportery, lecz śmignęły niczym błyskawice, natychmiast ustawiając się w klucz w kształcie trójkąta. Spadały pionowo na miasto, by tuż nad dachami wyrównać lot i zatoczyć krąg. Dopiero wtedy otworzyły ogień.

Teraz jednak nie strzelali z krótkiej, osobistej broni zgromadzeni na ich pokładach inwazyści, ale zagrzmiały działa burtowe zamontowane na korpusach smukłych pojazdów. Nie paliły piorunami plazmowych wyładowań, tylko pruły ziemię strumieniami grawitonów. Skierowane w dół działa uruchamiały się pulsacyjnie, na dwie, trzy sekundy. W tym czasie statek pokonywał około pięćdziesięciu metrów, zamieniając wszystko pod sobą w kłębowisko gruzu i zmasakrowanych ciał. Strumień grawitacyjny wytwarzał punktowo pole o zaburzonym ciężeniu, które zakrzywiało zarówno przestrzeń, jak i czas. Tam gdzie uderzył w ziemię, ta zapadała się, wciągając całą materię w promieniu kilku metrów, by ułamek sekundy później, gdy strumień zniknął, wyrzucić wszystko w górę, ale kompletnie zgniecione i zmielone.

Bombardowane miasto rozpadało się z przeraźliwym jękiem i rumorem. Domy, ludzie i drzewa wciągane były przez niewidzialne kolumny walących w dół grawitonów i miażdżone w potwornym uścisku. Uderzenia wbijały się głęboko w ziemię, powodując powstawanie osuwisk i jam. Po trzecim przelocie szturmowców zaczęły się zapadać całe ulice, powstawały rozdarcia i pęknięcia, wszystko dygotało i się trzęsło. Całe dzielnice zasnuły kłęby dymu i tumany pyłu oraz piasku. Mimo to ludzie ciągle walczyli, w niebo pomknęły rakiety i pociski ze smoczych lanc. Wreszcie jeden ze szturmowców oberwał w ogon i ciągnąc za sobą smugę dymu, grzmotnął w ruiny.

Jitka ze zgrozą patrzyła na miasto, które znikło w chmurach pyłu. Dym przysłonił wszystko, nie widać już było kolumn wojska, nie wiadomo było, czy wielotysięczne armie przestały istnieć, czy nadal walczyły. Gdzieniegdzie przez tumany przebijały się błyski miotaczy, więc wyglądało na to, że ludzie ciągle się

biją lub opętani dobijają tych, którzy nie polegali w bombardowaniu. Jasmina-Mustafa patrzył płonącymi z rozgorączkowania oczyma, chichocząc i warcząc na zmianę.

– Nie bój się, wszyscy nie zginęli. Szturmowce miały tylko zatrzymać natarcie i pokazać ludziom, jak daremny jest ich trud – powiedział. – Kazałem pilotom jedynie oskrzydlić napastników i zmiażdżyć ich trzon, cała armia powinna z grubsza pozostać nietknięta, otoczona przez zwwały trupów i gruzu.

– Po co? Czemu się z nimi bawisz? – spytała Jitka.

– Działa grawitonowe pochłaniają ogromne ilości energii, nie starczyłoby jej do zgładzenia blisko trzystu tysięcy ludzi. Poza tym nie po to pozwoliłem zgromadzić się ludzkim armiom i wpuściłem je do miasta, by tak po prostu wszystkich zabić. To byłoby niepotrzebne marnotrawstwo – wyjaśnił. – Jako władca powstającego imperium potrzebuję niewolników i poddanych. Kogoś, kto będzie składał mi hołdy, wielbił i trząsł się z przerażenia na samą myśl o mnie. Potrzebuję rąk, które wzniosą pałace i fabryki, potrzebuję tych ludzi, by dla mnie żyli i powiększali moje państwo...

– Twoje? Przecież ty też jesteś tylko niewolnikiem, sługą Wielojazni – nie wytrzymała i bez zastanowienia powiedziała, co myśli.

Jasmina-Mustafa aż zadrżał, jakby Jitka wylała mu na głowę wiadro zimnej wody. Spojrzał na nią z góry i szarpnął jej łańcuch, przyciągając ją do siebie. Potem złapał za włosy i pchnął ku krawędzi przepaści. Przycisnął ją całym ciałem do marmurowej podłogi, tak że jej głowa wystawała poza pałacyk.

– Zamiast gadać po próżnicy, niewolnico, patrz na zgubę swoich pobratymców – warknął dziewczynie do ucha, po czym zadarł jej przezroczystą szatę, odsłaniając gołe pośladki.

Jitka zacisnęła zęby, oczy zaś wypełniły jej łzy, po części spowodowane przez wiatr, a po części przerażenie. Otarła je wierzchem dłoni, a potem syknęła z bólu. Demiurg wszedł w nią od tyłu, szarpiąc za włosy. Zaśmiał się i nie przestając ruszać biodrami, zatoczył ręką koło, wskazując ruch na przedpolach Stambułu. Jitka zmrużyła oczy, skupiając wzrok. Tumany pyłu rozwiął wiatr i wyglądało na to, że spod ziemi powstają jakieś wielkie istoty. Ziemia pękała i rozsypywała się na boki, eksplodowały też zlekceważone przez ludzi kupy gruzu, odsłaniając ukryte pod nimi maszyny, niektóre wielkie jak domy. Urządzenia czy też pojazdy prostowały się, rozkładając teleskopowe odnoża. Niektóre przypominały humanoidalne sylwetki, ale były wśród nich także dziwolągi wyglądające jak żelazne owady lub koślawe kraby z ogromnymi szczypcami.

Podobne urządzenia wynurzyły się z wód zatoki na tyłach zgromadzonych w porcie okrętów. Te maszyny pierwsze otworzyły ogień – w ich ramionach zainstalowano działka plazmowe, miotacze ognia i impulsowych ładunków grawitonowych. Salwa z takich dział uderzyła w burty imperialnych okrętów,

rozrywając je, miażdżąc i zapalając. W niebo poleciały pogruchotane deski, wióry i drzazgi, a także okaleczone ludzkie ciała. W porcie rozpętało się piekło. Piękne białe żagle stanęły w ogniu, z trzaskiem i bolesnym jękiem rozerwane statki przechylały się i zanurzały lub płonęły niczym pochodnie. Marynarze skakali z nich na oślep, byle dalej od szalejącej zagłady.

Nagle okazało się, że miasto otoczone jest żelaznym pierścieniem potężnych machin, które ruszyły przed siebie z łomotem, brzękiem i zgrzytem. Skierowały się ku stolicy, ignorując pozostałą na wzgórzu milczącą turecką artylerię i tabory. Zmierzały do Stambułu, by zamknąć w kleszczach stłoczone na ulicach i placach armie.

– Piękne egzozskielety kazałem naszykować dla moich inwazerów? Zaraz zgniotą niepokornych i spalą dowódców – dyszał Jasmina-Mustafa.

Jitka czuła gorący oddech demiurga na karku, jego zapach doskwierał jej bardziej niż bolesne szturchanie penisem. Wypełniały ją wstręt i rosnący gniew, który zagłuszył strach. Zagryzła wargę i wbiła palce w krawędź budynku wystającą nad przepaścią.

Poniżej, hen, w oddali, wielkie maszyny zacieśniały krąg wokół miasta, zbliżając się już do pierwszych zabudowań. Ariergarda spahisów ruszyła na dwie najbliższe, z bliska paląc do nich z pistoletów. Mechy odpowiedziały salwą plazmową, pokrywając przedpole kłębowiskiem drgającego mięsa, dymiącymi zwłokami koni i ludzi. Chwilę później grupa kawalerzystów lekkiej jazdy próbowała przemknąć między zamykającymi okrażenie bestiami, ale te impulsowymi ładunkami grawitonowymi zamieniły ziemię przed konnymi w ryczącą i siekającą masę kamieni i piachu otchłań. Jeźdźcy zawrócili i pognali w głąb miasta. Od strony zatoki natomiast mechy wyszły na brzeg, miażdżąc osiadłe na płyciźnie okręty i spychając uciekającą w popłochu piechotę morską w głąb Stambułu. W ciągu paru minut ogromna połączona armia została uwięziona w ruinach największego miasta na świecie.

Jasmina-Mustafa śmiał się jak szalony, ciągle gwałcąc dziewczynę. Jitka zaczęła zawodzić, co wziął za objaw przerażenia i rozpacz. Nie widział jej twarzy, którą wykrzywiała wściekłość, jakiej dziewczyna jeszcze nie zaznała. Przez całe życie znosiła różne upokorzenia, porywano ją i więziono, bito i poniżano, ale to i tak nie zabiło w niej wrodzonej buty. Zamiast przekształcić ją w bezwolną ofiarę, każda krzywda tylko dodawała jej siłę i upor.

– Zdradzę ci coś, laleczko – sapał coraz szybciej demiurg. – Nie oddam tego świata Wielojaźni. Tworzące ją istoty tylko pożarłyby zasoby naturalne i zamieniły piękną planetę w kolejny serwer podtrzymujący ich wirtualne umysły. Mam inne plany. Usunę ją i zajmę jej miejsce. Na razie pozwalam tłoczyć w kondensatory mechów i szturmowców energię wprost z infopola, ale gdy tylko bitwa się skończy i ludzie oddadzą się w niewolę, rozprawię się z Wielojaźnią.

– Jak? – wyjęczała dziewczyna. – Jak można ją zabić?

– Nie można, ale zwyczajnie, tak jak ciebie, zakuję ją w kajdany i wydymam. Zamknę na klucz w infopolu, bez możliwości wpływania na rzeczywistość. Wystarczy, że wprowadzę przez interfejs umożliwiający dostęp do infopola odpowiednie oprogramowanie. Mam go pod ręką, jest tuż obok, i w każdej chwili mogę z niego skorzystać. – Zachichotał. – Ale to nieważne! Dla ciebie niech ma znaczenie to, że właśnie bierze cię przyszedł władca świata, któremu wielcy imperatorowie będą podnózkami. Za chwilę wzbiję się ponad najpotężniejszych panów, rozwinę skrzydła i uniosę się pod niebiosa! Stanę się równy bogom, każę wynieść na ołtarze i wielbić wszystkim ludziom, na całej planecie!

Jitka poczuła falę mdłości, która przytłumiła jej gniew. Gwałcił ją cholerny dziwoląg mający się za nowego boga. Ohydny szaleniec godzinie jedynie pogardy. I miałyby znieść życie w roli jego zabawki, gwałcona i dręczona do czasu, aż się nią znudzi i w ramach rozrywki zabije? Nie znosiła być ofiarą i ilekroć ktoś ją krzywdził, obiecywała sobie, że to ostatni raz. Dziś z pewnością to będzie ostatni raz.

Skupiła się, zaciskając dłonie na krawędzi przepaści, na której gwałcił ją Mustafa, i całym ciałem wierzgnęła do przodu. Podciągnęła się jedną ręką, drugą chwytając ramię demiurga, którym obejmował ją za szyję. Ten ruch wystarczył, by znalazła się do połowy za krawędzią. Zamknęła oczy, by nie patrzeć w dół i nie zawahać się. Jasmina-Mustafa szarpnął się w tył, ale było już za późno. Stracił równowagę.

– Co robisz?! – wrzasnął, próbując uczepić się jej stroju.

– Pomagam ci rozwinąć skrzydła – syknęła.

Oboje polecili w przepaść. Jitka nie wytrzymała i wydarła się na całe gardło. Wiatr świsnął jej w uszach, spadała bezwładnie przez chwilę, by nagle poczuć szarpnięcie i straszliwy ból w kostce. To złoty łańcuch zatrzymał ją, obroża na nodze rozcięła skórę, ale przerwała spadanie. Jasmina-Mustafa wymachiwał rękoma, próbując utrzymać się na dziewczynie, ale przezroczyście, delikatny strój rozdarł się w jednej chwili. Demiurg i niedoszły władca świata poleciał w ziejącą pustkę, wrzeszcząc i miotając się w daremnej walce z przeznaczeniem.

Jitka patrzyła, jak szybko się zmniejszał, pędząc wzdłuż pnia czarnego drzewa, by w końcu trafić w dach świątyni z białego marmuru, w której zainstalował interfejs. Uderzył w nią, zabryzgując dach wielką plamą czerwieni. Jego krzyk dopiero wtedy umilkł.

Dziewczyna została sama. Bujała się, wisząc głową w dół, jakieś dwieście metrów nad ziemią, w dodatku naga i wyczerpana. Była jednak z siebie zadowolona. Zwyciężyła i zgładziła potwora. Nawet jeśli zaraz spadnie, to ze świadomością, że jej poświęcenie nie poszło na marne.

\* \* \*

Tadeusz był tuż za panem Michałem. Starał się nie tylko utrzymać w siodle, co wreszcie zaczęło mu wychodzić, ale też dobrze wypełniać obowiązki pocztowego i pilnować się swego rycerza, by chronić mu plecy i udzielić wsparcia w potrzebie. Rotmistrz jechał na czele chorągwi, nadając jej ostre tempo. Galopada po pylistych drogach szybko dała się chłopakowi we znaki. Pancerni wzbijali tumany kurzu, które w połączeniu z gorącym utrudniały oddychanie, wdzierając się do nosa i drażniąc gardło. Kasztelaniec odkaszlnął i podjechał jeszcze bliżej do pana Michała. Docierali do bezimiennej wioski, w której stały wojska litewskie, czekając nie wiadomo na co. Tadeusz nie miał pojęcia, co planuje rotmistrz. Chyba nie chciał siłą zmusić hetmana Paca do uległości, był wszak tylko dowódcą liczącego stu dwudziestu pancernych oddziału, a w wiosce zgromadziło się jakieś dziesięć tysięcy wojska pod chorągwiami z Pogonią.

– Uwaga, tam! – Chłopak wskazał na kilku jeźdźców, którzy nagle wyjechali z ciągnących się z boku gajów oliwnych.

– Spokojnie – rzucił Piotrowski przez ramię. – Mieliśmy się tu z nimi spotkać, to swoi.

Przybysze szybko dołączyli do chorągwi, tylko jadący przodem pozdrowił rotmistrza, unosząc dłoń. Był to jegomość imponujących rozmiarów ubrany w bury habit franciszkanina z kapturem zasłaniającym twarz. Towarzyszyło mu kilku szlachciców z pospolitego ruszenia, wąsatych drabów o groźnych gębach pokrytych bliznami. Widać było, że to rozrabiaki i warchoły co się zowie. Tadeusz zdziwił się niepomiarownie na takie towarzystwo, ale musiał poskromić ciekawość. Nie było czasu na zadawanie pytań.

Nie miał też dużo czasu na przyglądanie się przybyszom, bo już po paru chwilach wyjechał im naprzeciw podjazd lekkiej jazdy litewskiej. Pan Michał przedstawił się krótko i groźnym tonem zażądał natychmiastowego widzenia z hetmanem wielkim. Kawalerzyści powiedli go przez niedawne obozowisko. Wszędzie wokół stało wojsko podzielone na oddziały i gotowe nie do boju, lecz do odjazdu. Świadczył o tym kierunek, w którym zwrócone były chorągwie i wozy taborów. Zirykowało to rotmistrza jeszcze bardziej, bo pogonił konie.

Hetmana wielkiego litewskiego zastali siedzącego w karecie w towarzystwie zaufanego spowiednika i dwóch stronników w poślacanych żupanach. Wszyscy czterej spojrzeli na nadjeżdżającego wysłannika królewskiego z jawną niechęcią, a Pac nawet wydał niecierpliwym gestem rozkaz, by nie dopuszczać do niego pancernych. Natychmiast też kilku Litwinów próbowało zatarasować drogę nadciągającej chorągwi. Pierwszy, który uniósł rękę, nakazując panu Michałowi zatrzymanie, oberwał od rotmistrza pięścią w zęby tak, że aż spadł z konia.

Pozostałych pancerni zmusili do zjechania z drogi.

– Co to ma znaczyć, rotmistrzu?! – ryknął hetman. – Podnieśliście rękę na mojego giermka, młodego Zamoyskiego. Co wy sobie wyobrażacie?

– Że jesteśmy wysłannikami króla, który chce wiedzieć, dlaczego nie wykonujesz jego rozkazów, mości Pac! – zadudnił pan Michał, darując sobie wszelkie grzeczności i powitania.

– Królowi ciągle się wydaje, że sprawuje władzę absolutną – prychnął jeden z wielmożów siedzących w karecie. – Nie wolno mu napadać na wolną szlachtę i zmuszać jej do szaleństw.

– Zgadzam się – wtrącił spowiednik. – Przymierze z poganami to obraza Boga i Kościoła świętego. Król Jan oszalał, każąc nam atakować obcych ramię w ramię z bisurmanami. Zostanie za to ekskomunikowany, już ja się o to postaram...

Piotrowski podjechał do karety, nakazując swoim żołnierzom wstrzymanie koni. Towarzyszył mu tylko wielki mnich w kapturze i jadący kilka kroków z tyłu kasztelaniec Tadeusz. Hetman poruszył się w karecie i wyciągnął zza pasa bogato zdobioną buławę – symbol urzędu mogący także służyć za broń.

– Przekaż waść królowi, że Litwa nie zamierza dać się zabić dla jego kaprysów i w obronie pogańskiej stolicy. Zima nadeszła i pora nam wracać do domów. Walkę z obcymi podejmiemy, gdy puszcza śniegi – powiedział dobitnie. – A teraz jedź i nie psuj nam przyjemnie rozpoczętego dnia swoim widokiem.

Zanim pan Michał zdążył odpowiedzieć, mnich zrzucił kaptur. Odsłoniło się wąsate oblicze Jana III Sobieskiego, w dodatku zagniewane i niezadowolone. Król zmarszczył brwi, patrząc na zdumionych pasażerów karety.

– Od lat kopiesz pode mną dołki, Michale Pac – wycedził Sobieski. – To nie pierwszy raz, gdy łamiesz rozkazy i zostawiasz wojsko królewskie w potrzebie. Wydaje ci się, że przyjechaliśmy tu patrzeć na zagładę Osmanów i że w drodze do Rzeczypospolitej będziesz mógł do woli krzywdzić i rabować? A może liczysz, że uda ci się wbić mi nóż w plecy i sięgnąć po koronę, hę? No to śmiało, podejdź no i sam ją zdejmij z mojej głowy!

Hetman zmrużył oczy, szarpiąc gniewnie wąs, a w drugiej ręce ściskając buławę. Tadeusz stwierdził, że Pac zastanawia się, czy nie poderwać się i nie trzasnąć nią króla w głowę. Chciał podjechać bliżej, by w razie czego zasłonić monarchę własnym ciałem.

– Nie nadajesz się, by dowodzić wojskiem litewskim – powiedział Sobieski. – Odbieram ci władzę hetmańską. Potrzebuję twojego wojska i nie dopuszczę, byś z nim odjechał. Natychmiast zwróć buławę.

Hetman wybuchnął śmiechem. Po chwili wahania zawtórowali mu ksiądz i dwaj stronnicy.

– Nie masz takiej władzy, Janie – powiedział Pac. – Tylko Sejm mógłby mi



odebrać zwierzchnictwo, ty jesteś jedynie figurantem wyniesionym na tron przez warchołów i moczymordy, a nie prawdziwym monarchą. Nic mi nie możesz zrobić, zupełnie nic. Za mną stoją najpotężniejsze magnackie rody, za tobą banda obdartusów. Wracaj do swojego wojska i giń razem z nim, jeśli cię to bawi. Nie zajmuj mi czasu.

Sobieski tkwił w siodle jak skamieniały. Tadeusz wstrzymał oddech, czekając na wybuch króla. Zauważył też, że pan Michał położył dłoń na rękojeści szabli, więc zrobił to samo, szykując się do ataku na hetmana. Tymczasem za karetą Paca pojawiło się kilku jego gwardzistów z pistoletami w dłoni, a z wioski nadjeżdżała z odsieczą przyboczna chorągiew husarska wielmoży. Król jednak się opanował i bez słowa zawrócił konia. Po chwili wahania zrobił to też pan Michał i szybko dołączył do odjeżdżającego monarchy. Za ich plecami rozległy się śmiechy i chichoty, a któryś ze stronników hetmana zagwizdał pogardliwie na palcach. Tadeusz czuł mrowienie na karku i żar wstydu na policzkach. Poniżenie władcy było straszliwe. Cóż jednak mieli zrobić?

Nagle Sobieski wstrzymał konia, po czym zmusił go, by się obrócił. Obaj pancerni, rotmistrz i jego pocztowy, spojrzeli na władcę z zaskoczeniem. Ten bez słowa sięgnął do umieszczonej wzdłuż końskiego boku pochwy, w której husaria zwykle woziła koncerz, i wyciągnął długą rurę zakończoną gruszkowatym pociskiem. Uśmiechnął się do pancernych, wetknął smoczy koncerz pod pachę, wymierzył go w karety hetmana i pociągnął za spust. Trzasnął kurek i zapalnik eksplodował w rurze. Gwizdnęło ogłuszająco i w kłębach dymu pocisk pomknął do celu.

Eksplozja tak przeraziła konia Tadeusza, że rumak stanął na tylnych nogach. Zanim chłopak go opanował i podciągnął się w siodle, ujrzał w opadających strugach piasku i pyłu koło karety toczące się po drodze. Tam, gdzie przed chwilą stała, leżały krwawe, dymiące zwłoki, z których sterczały ogromne drzazgi. Król zagwizdał z podziwu, obracając gorący koncerz w rękę.

– Jednak zdymisjonowałem hetmana, a co! – powiedział z uśmiechem. – Obejmujesz, Piotrowski, komendę nad wojskiem litewskim. Gdyby się jeszcze któryś Litwin stawiał, utnij mu łeb, to rozkaz króla. Potem rozwiń wszystkie siły do ataku. A ja w tym czasie wyprowadzę moje chorągwie z gaju oliwnego.

– Uderzymy od tyłu na maszyny kroczące, wasza wysokość? – spytał niefrasobliwie Tadeusz.

– Tak, chłopcze. Nie niszczyć ich tylko, a jedynie powalcie. Chcę zawieźć kilka w prezencie Marysieńce – rzekł król. – Potem zbudujemy sobie na ich wzór własne. Podoba mi się, jak radzą sobie w boju. Chcę takie mieć w swojej armii.

– Rozkaz, panie – powiedział, kłaniając się, rotmistrz czasowo awansowany na hetmana.

A potem zawrócił konia i ruszył ku oniemiałym husarzom litewskim, by

przejąć nad nimi dowodzenie.

## XVIII

Byłem pełen podziwu dla obecnego demiurga. Musiał działać niezwykle prężnie i stanowczo, skoro, dysponując ciągle raczkującym ledwie zapleczem technicznym, udało mu się zbudować tyle egzoszkieleatów. Obserwowałem je przez lunetę, stojąc na dachu dwupiętrowego domu. Wydało mi się wręcz nieprawdopodobne stworzenie w tak krótkim czasie tylu bitewnych mechów. Skąd układy sterujące, hydrauliczne i wspomagające, a do tego wystarczająco mocne baterie do napędu? Konstruktorzy musieli na czymś zaoszczędzić, działali przecież w pośpiechu. Sprzęt musiał mieć zatem liczne wady. Zastanawiałem się gorączkowo jakie. Słaby, bo zrobiony ze zwykłej stali pancerny, a co za tym idzie spory ciężar i energochłonność. Co jeszcze?

Mechy widoczne były z daleka, część z nich wkroczyła już do miasta i poruszała się ulicami, spychając turecką i polską armię. Inne zostały na przedpolach, gdzie zaganiały grupy dezertersów, tchórzy i maruderów w jedną gromadę. Działały według dobrze przygotowanego planu, bez chwili wahania, stale ze sobą współpracując. Zatrzymywały się, gdy większe lub mniejsze oddziały próbowały je atakować albo się przebić. Mechy sprawnie eliminowały zagrożenie, nie dając ludziom szans i pardonu.

– Nie dumaj tyle, tylko powiedz, jak je załatwić – odezwał się stojący obok Abdul Aga.

Dowódca janczarów już od kilku minut zgrzytał zębami i sapał, dając wyraz swojemu niezadowoleniu. Wiedziałem, że pali go żądza walki i zwycięstw, a zamiast tego musi się użerać ze spanikowanymi paszami żądającymi od niego przerwania natarcia na Wielojażń i zlikwidowania okrążenia. Dowódcy i dygnitarze byli przerażeni i chcieli znaleźć się jak najdalej stąd. Niestety seraskier Ibrahim Pasza, który mógłby ich uspokoić, został odcięty gdzieś w porcie razem ze swoją gwardią. Sułtan za to znajdował się daleko od miasta, w bezpiecznym obozie, i obserwował batalię z dystansu umożliwiającego odwrót. Miał wkroczyć do stolicy dopiero po jej zabezpieczeniu. Na głowie Abdula zostało więc zadowolenie wielmożów, którzy w obliczu zagrożenia w większości okazali się zwykłymi tchórzami.

– Z mechami damy sobie radę, właściwie będą bez znaczenia, jeśli uda mi się unieszkodliwić Wielojażń – powiedziałem. – Musisz przekonać paszów, że powinniśmy cały czas przeć do przodu i przełamać umocnienia blokujące centrum. Otwórz mi drogę do Wielojażni, a gdy ją pokonam, w parę chwil unieruchomię egzoszkieleaty...

– Kiedy nie mogę się ruszyć, bo cholerni paszowie suszą mi głowę, bym w pierwszej kolejności uwolnił ich z okrążenia – wycedził wściekły Abdul. – Grożą mi odebraniem zwierzchnictwa nad janczarami i natychmiastowym ścięciem, jeśli nie zapewnię im bezpieczeństwa. Nie mogę tak po prostu przesunąć korpusów do ataku na centrum, bo te sukinsyny wszędzie mają donosicieli i zaraz się dowiedzą, że mam ich w dupie.

Podrapałem się po brodzie i wsunąłem lunetę za pasek. Zniszczenie mechów może zająć nawet kilka dni, w dodatku w każdej chwili na niebie mogły znów się pojawić szturmowce nowszej generacji. Teraz znikły, jak się domyślałem, by naładować działa grawitonowe. Podejrzywałem, że mamy kilka godzin spokoju, i byłem zdania, że należy je wykorzystać do przełamania oporu opętanych. Zamiast tego armia miotła się po ulicach, a dowódcy toczyli spory o to, co robić, właściwie zaś, jak uciec.

– Jesteś agą janczarów i Dywan nie może cię zdymisjonować ot, tak sobie – mruknąłem.

– Nie wiem – westchnął. – Mam ochotę wydać rozkaz, by wszystkim im założono pętle z jedwabnych sznurów i zaduszono. Ale doprowadziłbym tylko do walk wewnątrz armii, które w obecnej sytuacji skazałyby nas na zagładę. I nie wiem, co robić. Jestem już skłonny ulec im i skierować najlepsze oddziały do przerwania okrążenia, by umożliwić wycofanie wojsk z miasta.

– To będzie równoznaczne z przypieczeniem kłęski. Taka okazja na odbicie Sambułu i zniszczenie Wielojaźni już się nie powtórzy – zauważyłem zimno. – Wiesz również, jak na ucieczkę zareaguje sułtan. Będzie musiał ukarać winnych porażki, czyli nieudolnych dowódców.

– Utnie mi głowę – skwitował Abdul Aga. – Paszowie odpowiedzialność zepchną na mnie. Zatem tak czy inaczej jestem w dupie.

– Chyba że pomożesz mi przebić się do Wielojaźni i umożliwisz jej pokonanie. Aby uspokoić paszów, skieruj większość dywizji do ataku na mechy. Niech janczarzy spróbują niszczyć je raketami i lekką artylerią. Trzeba mierzyć w nogi maszyn i nie marnować amunicji na ostrzeliwanie opancerzonych korpusów.

– A co z pojazdami, które pełzają, mają koła lub wiele krótkich odnóży? – spytał rzeczowo janczar.

– Umieść ludzi na dachach pałaców i minaretach. Te mechy nie powinny mieć mocnego opancerzenia od góry. Trzeba razić je z wysokości – powiedziałem. – Czeka cię ciężka robota, bo będziecie musieli pobawić się z nimi w kotka i myszkę, by ściągnąć w pobliże ocalałych meczetów i innych wysokich obiektów.

– A co z tobą? – spytał.

– Przydzielisz mi najlepszy pułk, chcę „szaleńców bożych” – powiedziałem, mając na myśli janczarów odważnych jak tygrysy i wyszkolonych do

samobójczych misji. – Wykorzystując pozorowane ataki spahisów i lekkiej jazdy, uderzymy i przebijemy się przez pierścień opętanych. Muszę dotrzeć do podnóża Wielojaźni i utrzymać się tam góra godzinę.

– Dobrze. – Skinął głową. – Dam ci doborowy oddział.

Przypieczętowaliśmy umowę uściśnięciem rąk, po czym zbiegliśmy z dachu. Abdul wezwał jednego z zupowych i wskazał mnie jako nowego przełożonego. Kazałem swoim janczarom przygotować się do szybkiego marszu, a sam pogałem do polowego lazaretu. Znalazłem Dorotę klęczącą przy rannym oficerze, który oberwał głazem ciśniętym przez grawitonową wiązkę. Al-hakima właśnie zakładała mu łupki na strzaskane ramię, nie przestając wrzeszczeć na pomagających jej dwóch młodych medyków, uczniów medresy.

– Ale żałuję, że nie ma przy mnie Jitki – powiedziała na mój widok. – To dopiero była asystentka, nie to, co te roztrzęsione cymbały. Kulą się ze strachu po każdym wybuchu i zaraz padają plackiem, by się modlić. Tak się nie da pracować!

Odciągnąłem ją od roboty i wyprowadziłem na zewnątrz.

– Potrzebuję cię – oświadczyłem.

Uśmiechnęła się, a jej oczy błysnęły żądzą. Och, naprawdę była jak dzika samica mojej pierwotnej rasy, nieokiełznana kotka o ostrych jak brzytwa pazurach. Z chęcią zaszyłbym się z nią w ruinach na pół godzinki, ale nie mogliśmy sobie na to pozwolić.

– Chcę, byś poszła ze mną do samego piekła – dodałem.

– Nie boję się, chodźmy nawet teraz. – Wzięła się pod boki.

– Jeśli uda nam się przebić do Wielojaźni i znaleźć interfejs, będę musiał fizycznie się do niego podłączyć. Mogę doznać poważnego wstrząsu, ktoś musi mieć mnie na oku i w razie czego utrzymać dostatecznie długo przy życiu – wyjaśniłem. – Pójdiesz ze mną do boju z samozwańczym bogiem?

– Nie zostawię swojego ślicznego chłopca w potrzebie – powiedziała i pocałowała mnie tak, że straciłem oddech.

Przerwał nam łomot nadciągającej ciężkiej kawalerii. To na plac gęsto wypełniony janczarami wjechała chorągiew husarska. Prowadził ją porucznik Błoński. Na mój widok pomachał i zeskoczył z siodła.

– Hetman wielki koronny Jabłonowski przysyła mnie ze wsparciem – powiedział. – Mam zapewnić ci, mości Tayyar, możliwość dotarcia do tego cholerstwa. Jestem zatem na twoje rozkazy.

Husarz nerwowo szarpał wąs. Chyba nie do końca cieszył się z perspektywy służenia bisurmanowi, w dodatku o splugawionej przez obcego duszy. Ja za to ucieszyłem się z niespodziewanego prezentu i z rozmachem klepnałem go w ramię. A potem wskazałem wielkie czarne drzewo górujące nad miastem.

– Zniszczmy to zatem, i to czym prędzej – powiedziałem.

\* \* \*

Rady Talaza okazały się dość trudne do zrealizowania, szczególnie że rakiety były niemal na wyczerpaniu. Abdul Aga kazał zebrać wszystkie i przeliczyć, a potem wyposażyć w nie najlepszych i najsprawniejszych puszkarzy. Janczarzy podciągnęli również sześć trzyfuntowych armatek strzelających litymi kulami wielkości jabłka. Następną godzinę akindzi pozorowali chaotyczne ataki i próby ucieczek, by skłonić do pościgu kroczące w pobliżu mechy. Galopując na łeb na szyję uliczkami ocalałej *mahalli*, przywiedli je na plac targowy.

Abdul stał na barykadzie z przewróconych wozów, beczek i najróżniejszych rupieci. Kiedy wróg pojawił się w polu widzenia, janczar poczuł się słaby i malutki. Kroczące maszyny z czarnego żelaza wystawały wysoko ponad dachy domów, a ich metalowe odnóża stąpały z chrzęstem i metalicznym dudnieniem, od którego trzęsły się ściany i przewracało się w trzewiach. Jeden z koni harcowników pośliznął się na bruku i złamał nogę, a przewracając się, przygniół młodego akindzi. Na oczach zmartwiałych ze zgrozy żołnierzy wielka noga mecha opadła na powalonych i zmiażdżyła ich z obrzydliwym młaśnięciem. Mimo to janczarzy na barykadzie ani drgnęli. Stali nieruchomo, zerkając tylko na dowódcę.

Zupowy wstrzymał oddech, nadal czekając. Z bocznej uliczki wyszedł drugi mech i majestatycznie wkroczył na plac. A potem ruszył powoli w stronę barykady niczym wielki żelazny bóg wojny. Kształtem przypominał człowieka, ale jego tors zamiast głowy wieńczyła przeszklona kabina z opętanym. Był to starszy mężczyzna wyglądający w wielkim żelaznym cielsku na chucherko. Niespodziewanie zatrzymał potwora i przełączył coś przy swoim hełmie.

– Żołnierze, wasza walka jest z góry skazana na porażkę! – jego głos zadudnił nad placem niczym dzwon. – W imieniu nowego władcy świata ofiaruję wam łaskę przetrwania. Złóżcie broń, a pozwolimy wam żyć i służyć nowemu panu. Wyjdźcie ku mnie, a przeżyjecie.

Abdul spojrzał w bok, na przycupniętych w końcu placu dwóch paszów czekających na wynik starcia. Syknął ostatni rozkaz do swoich przybocznych, a potem wspiął się na barykadę, stanął na niej i podniósł ręce wysoko nad głowę. Mech ruszył dostojnie w jego stronę. Janczar dostrzegł kolejne pojazdy wkraczające na plac. W sumie zgromadziło się ich na nim już pięć.

– Jesteś dowódcą, człowieku? – spytał opętany. – Oficerem janczarów? Ogłosisz kapitulację w imieniu swojego oddziału?

Mech zatrzymał się przed barykadą, która sięgała mu do bioder. By dokładnie obejrzeć Abdula, kierujący maszyną pochylił ją w przód. Zupowy nie liczył na tak dogodną okazję, ale skoro do tego doszło, nie mógł nie skorzystać. Sięgnął za plecy i wyszarpnął z umieszczonej tam pochwy rękojeść plazmowego

miecza, który zdobył na zestrzelonym obcym. Talaz pokazał mu, jak się obsługuje broń energetyczną, więc bez wahania przesunął dźwignię aktywującą baterię. Z rękojeści wystrzelił długi na trzy łokcie biały płomień, który z trzaskiem zaczął kasać powietrze.

– Allach! – ryknął Abdul Aga i skoczył, unosząc miecz nad głowę.

Wybił się wysoko, przeleciał nad pustką ziejącą za barykadą i spadł prosto na kabinę mecha. Wbił w nią oburącz miecz i zawisł, trzymając się rękojeści. Ostrze rozplątało pilota i poleciało w dół, tnąc metalowy pancerz i zagłębiając się w mechanicznych trzewiach mecha. Abdul nie puszczał, choć topiący się metal pryskał mu na dłonie i twarz. Zjeżdżał powoli, wisząc na ognistym mieczu rozcinającym maszynę. Wreszcie spadł na ziemię, by natychmiast odturlać się w bok. Mech przełamał się na pół i runął z łomotem na barykadę.

Janczarzy ryknęli z radości i na rozkaz podoficerów podepchnęli armatki. Puszkarze wymierzili je zgodnie z poleceniami w nogi mechów. Sześć dział ryknęło jednocześnie i żeliwne kule pomknęły ze świstem. Dwie minęły cel i gruchnęły w ściany domów, wrywając w nich dziury, jedna zadzwoniła o podbrzusze mecha, nic mu nie czyniąc, a trzy ostatnie zgruchotały nogi pojazdów. Dwie maszyny zachwiały się, by po chwili zwalić na bok z łomotem i brzękiem, trzecia złożyła kolana i opadła miękko na ziemię. Ostatni sprawny mech uniósł oba ramiona uzbrojone w miotacze plazmy, ale nim zdążył wystrzelić, janczarzy obrzucili go granatami. Co najmniej dziesięć wybuchło u jego nóg, rwąc metal i siejąc wokół odłamkami. Mech potknął się, obrócił, strzelając białymi piorunami w niebo, i ciężko runął na plecy. Piechurzy opadli go niczym mrówki pokonanego żuka. Roztrzaskali kolbami muszkietów kabinę i wyciągnęli z niej pilota, by gołymi rękoma rozerwać go na strzępy.

Abdul Aga tymczasem wyłączył swój ognisty miecz i na powrót wspiał się na barykadę, by obejrzeć efekt zasadzki. Stał na grzbiecie własnoręcznie powalonego mecha, z zadowoleniem patrząc na roztrzaskane maszyny, których piloci zostali natychmiast zabici. Paszowie powinni być zadowoleni – janczarzy znów przejmowali inicjatywę. Zbiegł więc do gromadzących się wielmożów, którzy wleźli już na swoje wielbłądy.

– Wiemy, jak z nimi walczyć! – powiedział do ignorujących go dostojników.

– Teraz możemy dołączyć do Tayyara i wspomóc go w ataku na siedzibę wroga!

– Musimy wrócić do padyszacha i poinformować go o zwycięstwie – rzekł jeden z paszów, noszący turban ozdobiony złotą agrafą i pękiem czaplich piór. – A ty, ago, czyn swoją powinność. Działaj wedle swojej woli, Allach z tobą!

I trzasnął wielbłąda w zad, zmuszając do ruszenia z kopyta, dostojnicy gnali już bowiem w otwartą uliczkę, dostrzegłszy lukę w okrążeniu. Tylko teraz była szansa, by uciec z miasta. Niemal natychmiast ruszyły za nimi dwa lub trzy buńczuki akindżów i hałastra piechoty z pospolitego ruszenia. Widząc uchodzące

oddziały, ludzie z krzykiem rzucili się do ucieczki, zostawiając broń i tratując się nawzajem.

– Bić w bębny! – rozkazał Abdul dobozowi, znalazłszy go w zamieszaniu. – Wszyscy do mnie! Nikt nie ucieka!

Zadudnił wpierw jeden bęben, a potem drugi. Z oddali w odpowiedzi zagrały rogi i trąby kawalerii. Abdul spojrzał pytająco na janczara siedzącego na pobliskim drzewie i pełniącego funkcję obserwatora.

– Zmierzają tu kolejne maszyny, w tym te przypominające kraby! – zameldował. – Idą z dwóch stron, kolejne odcinają lukę w okrążeniu. Zaraz będziemy mieli na karku przynajmniej dwa tuziny machin! Mam złączyć?

– Siedź i obserwuj! – rozkazał Abdul. – Wygląda na to, że sprowokowaliśmy drani. To świetnie! Szykujcie rakiety!

Spojrzał w niebo, ignorując czarne konary giganta. Wyszepiał szybko modlitwę, po czym znów wspiał się na barykadę. Janczarzy ruszyli za nim, targając ciężkie rury rakiet.

\* \* \*

Porucznik Błoński obrócił się w siodle i spojrzał w tył, na oddział czarnoskórych baszybuzuków, lekkiej jazdy słynącej ze zdradzieckich ataków i okrucieństwa. Trochę dziwnie było mieć ich za plecami jako sprzymierzeńców, tym bardziej że wyczuwał ich niechęć i żądzę mordy. Z radością wbiliby włócznie w plecy chrześcijańskich rycerzy, to pewne. Udawali jednak obojętność wobec ciężkiej polskiej jazdy, obserwując położone po drugiej stronie esplanady domy obsadzone przez opętanych, wśród których przemykały groteskowe sylwetki obcych. Mimo wszystko Semen czułby się lepiej, mając czarnoskórych islamistów przed sobą; jakoś nie mógł się pozbyć niepokoju i łaskotania między łopatkami, gdy tylko odwracał się do nich tyłem. Baszybuzuków było blisko dwie setki, trochę więcej niż husarzy w chorągwi przywiedzionej przez Błońskiego. Przybyli razem z janczarami Talaza Tayyara, przekazani wcześniej pod jego komendę przez Abdul Agę. Ale kto tak naprawdę miał nad nimi władzę, nie sposób było powiedzieć.

Nagle uwagę Semena przyciągnęła Dorota gorączkowo gestykulująca i wskazująca coś wysoko nad pozycjami wroga. Domagała się czegoś od Talaza, który drapał się po głowie z niezadowoloną miną. Porucznik podjechał do nich bez zwłoki, bo ciekawiło go, dlaczego Tayyar nie zdecydował się jeszcze na rozpoczęcie ataku i dlaczego al-hakima się tak piekli. Ta na jego widok podbiegła i włożyła mu w dłoń lunetę, którą dotychczas posługiwał się Talaz.

– Proszę, niech waćpan spojrzy. – Uniosła wysoko rękę. – Obiecał ją pan uwolnić, niech teraz coś wymyśli!



Semen zmarszczył brwi, spoglądając we wskazanym kierunku, i wreszcie dostrzegł na jednym z ramion czarnego drzewa biały obiekt, bez wątpienia budowle. Kawałek niżej kiwał się, prawdopodobnie zawieszony na linie, obiekt wyglądający na wiszącego głową w dół człowieka. Porucznik uniósł lunetę do oka i aż syknął.

– Panna Jitka! Powiesili ją, i to nagą. A to sukinsyny!

– Ona żyje – dodała Dorota. – Rusza się i próbuje podciągnąć. Jeśli nikt jej nie pomoże, biedactwo skona. Wieszanie do góry nogami to wszak okrutny sposób na uśmiercanie zbrodniarzy. Krew spłynie jej do głowy, a potem rozsadzi naczynia krwionośne. Wiem, bo widziałam kiedyś złodzieja koni, którego tak ukarano.

– Przykro mi, ale dziewczyna jest poza naszym zasięgiem – mruknął Talaz. – Musimy przebić się do tamtych obiektów, owalnych budowli z lewej strony drzewa, które są chyba kondensatorami mocy. Postawiono je przy dawnej bramie, znaczy w miejscu, przez które przepłynęła najgęstsza informacja. Otaczają bioprocessor, z pewnością zatem znajduje się w nich interfejs do Wielożazni. Nie mamy czasu przebijać się na drugą stronę i szukać windy na górę. O ile ta w ogóle istnieje. Przykro mi, ale Jitka musi poradzić sobie sama.

– Jak ma poradzić sobie sama?! Żartujesz? – wrzasnęła rozgniewana Dorota.

– Teraz musimy ruszyć do ataku, a ja muszę mieć cię u boku – spokojnie tłumaczył Talaz.

Semen pokręcił głową, zerkając przez ramię na pozycje wroga. Wśród budynków pojawili się opancerzeni opętani, targając ciężkie miotacze. Już dostrzegli grupujące się oddziały ludzi i szykowali na ich przyjęcie. Z każdą chwilą przebicie się przez nich będzie trudniejsze.

– Zajmę się dziewczyną – powiedział Semen, przerywając Dorocie. – Obiecałem, że ją uwolnię, i dotrzymam słowa. Znajdę drogę na górę, jeśli ta istnieje. A teraz zaczynajmy, na Boga, bo za pół zdrowaśki obcy sami po nas przyjdą.

Dorota umilkła w jednej chwili, patrząc uważnie na husarza. Talaz tymczasem gwizdnął na palcach i wskazał zupowemu „bożych szaleńców” kierunek ataku. Dobosze zagrzmieli w miedziany kocioł, święty przedmiot oddziału, i nagle z zabudowań wysypała się z rykiem chmara janczarów. Atak rozpoczął się tak nagle i gwałtownie, że Semen aż skulił się w siodle od ryku. Potem skinął na pożegnanie Talazowi, który wspinał się na siodło silnego białego konia otrzymanego od spahisów, i odjechał do swojej chorągwi.

Janczarzy przebiegli połowę esplanady – oczyszczonego z zabudowań i wszelkich osłon przedpola – gdy opętani powitali ich ogniem ciężkich miotaczy. Seria gromów wstrząsnęła powietrzem, w nierówny szereg biegnących piechurów wbiły się białe pioruny. Trafiały zarówno w ziemię, jak i w ludzi, wyrzucały w górę fontanny gorącego, stopionego piasku, rozrywały ciała, ciskając wokół

dymiące i parujące szczątki. Kilku puszkarzy zatrzymało się, by bez celowania odpalić rakiety. Pociski pomknęły z sykiem po płaskich trajektoriach, ciągnąc za sobą ogniste i dymiące ogony. Trafiły w umocnienia i budynki, zmiotły zwarty szereg opętanych dzierżących miotacze. Kolejne wybuchy wstrząsnęły okaleczonym miastem. Esplanadę zasnuł dym.

Po chwili rozległy się wrzaski janczarów, którzy dobiegli do obrońców i zwarli się z nimi z furją. Zagrały pistolety, włócznie i jatagany zadzwoniły o pancerze. Szaleńcy i desperaci natarli na wroga z tak wielką nienawiścią i żądzą zabijania, że opętani zaczęli się cofać. Szczególnie wściekle janczarzy rzucili się na obcych o nieludzkich kształtach. Opadli ośmionogiego stwora przypominającego konia i posiekali go na plasterki, pokroili jataganami wysokiego chudzielca o jajowatej głowie i wielkich czarnych oczach w kształcie migdałów, a potem zadźgali włóczniami ogromnego jaszczura o krokodylej paszczy. Nie zważali przy tym na straty i walące zewsząd pioruny, tylko parli cały czas do przodu, rąbiąc, strzelając i dźgając.

Semen patrzył na to parę chwil, a w końcu uniósł rękę i sam pogonił konia. Zagrała trąbka i husaria ruszyła – kopyta zadudniły stępa o bruk, zadzwoniły pancerze i zaszumiały skrzydła. Kilku jeźdźców dzierżyło smocze koncerze, reszta trzymała podniesione kopie. Semen przyspieszył i w połowie esplanady jazda przeszła w galop, a czyniony przez nią hałas zmienił się w ogłuszające dudnienie. Zbliżając się do pozycji wroga, husarze nagle ścieśnili szyki, ustawili się „kolano w kolano” i pochyłili kopie. Wpadli w ulicę ławą liczącą ośmiu jeźdźców w kilkunastu szeregach. Padło na nich kilka plazmowych piorunów, ale szyk i pęd jazdy nawet na moment się nie załamał. Kawalerzyści zdmuchnęli stojących im na drodze opętanych, wbili cofających się kopytami w bruk i pomknęli dalej, ciągle w pełnym galopie.

Za chorągwią gnał konno Talaz, pochylony w siodle i zerkający przez ramię na siedzącą za nim Dorotę. Al-hakima obejmowała go w pasie, tuląc twarz do jego pleców. Oddychała szybko, podświadomie czekając na palące uderzenie pioruna, który zmiecie ich z siodła i odeśle na tamten świat. Widziała migające pod kopytami zmasakrowane zwłoki opętanych i ustrzelonych husarzy. W końcu jednak nietknieci wjechali między domy, a potem na teren odmieniony przez obcych, zabudowany dziwnymi obiektami i domami o niespotykanych kształtach. Dziwne stwory i opancerzeni obcy ciągle wybiegali pomiędzy budynków, przyłączając się do walki, jakby były ich dziesiątki tysięcy. Chorągiew jednak parła do przodu z łopotem i chrzęstem i zdawało się, że ciągle nabiera tempa.

Z tyłu słychać było śpiewne zawołania i zawodzenie atakujących baszybuzuków. Czarnoskórzy wojownicy ruszyli za husarią, by związać walką wywabione przez nią siły wroga i zabezpieczyć Polakom tyły. Islamscy harcownicy nie używali tępej siły i impetu – ich bronią była niebywała prędkość

i zwrotność. Wpadali w cwale w boczne uliczki, szyli z refleksyjnych łuków wprost w zaskoczone gęby opętanych, dźgali ich spisami i włóczniami, by zaraz pognać dalej, rozsypać się między domami i spaść w kolejne miejsce na tyłach wroga.

Semen, który przez całą szarżę nie sięgnął po broń, tylko pochylony w siodle pędził na czele chorągwi, nagle ściągnął wodze. Wyjechali spośród owalnych budowli przypominających pajęcze kokony i znaleźli się przed wysokimi, cylindrycznymi budynkami kondensatorów. Między nimi widać było pulsujący blaskiem bioprocesor, kulę z żywej tkanki ludzkich układów nerwowych, i krzątające się przy nim wielkie pająki.

– Tuzin śmiałków za mną – rozkazał. – Komendę przejmuje imć Tayyar, ja jadę odbić uwięzioną chrześcijankę.

Pomachał na pożegnanie Talazowi i Dorocie, po czym skręcił w bok. Jechał, nie oglądając się za siebie, natychmiast jednak dołączyła do niego grupa śmiałków z uniesionymi smoczymi koncerzami. Dorota poczuła coś w rodzaju wzruszenia, widząc odwagę rycerza, ale nie miała czasu ulec tej emocji, bo Talaz skierował konia na przód chorągwi i ruszył prosto na jaśniejące przed nimi serce wrogiej twierdzy.

\* \* \*

Król Jan uparł się, by osobiście poprowadzić atak na mechy, i nie sposób było go od tego odwieść. W mieście uwięziona została znaczna część jego armii, twierdził więc, że musi poprowadzić natarcie. Pan Michał obserwował królewskie chorągwie zrywające się do ataku i sam też dał znak, by poprowadzić litewskie oddziały. Sygnał do szarży dał buławą znaną przy spalonym, pozbawionym nóg trupie hetmana wielkiego Paca. Broń była osmalona, ale po przetarciu błyszcząca jak się patrzy. Młody Tadeusz był bardzo dumny, że może służyć w poczcie tak dzielnego i dobrze się prezentującego rycerza. Litewscy panowie nie byli aż tak zachwyceni. Niezbyt im się uśmiechało walczyć pod komendą mazowieckiego szaraczka, który zasłynął tylko tym, że usiekł wielką jaszczurkę. Nikt jednak nie oponował, bojąc się o własną głowę, w oddziałach bowiem błyskawicznie rozeszła się wieść, że każde nieposłuszeństwo karane będzie gardłem.

Król widoczny był z daleka, wyróżniała go trzymana przez chorążego włócznia z pękiem jastrzębich piór. Jechał na przedzie husarskiej chorągwi, a całe wojsko posłusznie ciągnęło za nim. Oddziały, które wyjechały z gajów oliwnych, powoli rozwinęły się w linię i z łomotem, przy dźwięku trąbek, runęły ze wzgórz na miejskie przedpola. Kilkanaście mechów natychmiast wyszło pomiędzy

domów, zdążając w kierunku zagrożenia z uniesionymi miotaczami. Król zatrzymał się na jednym ze wzniesień, ledwie kilkadziesiąt metrów od pierwszego z przeciwników. Husaria minęła go w pędzie, by chwilę później zewrzeć się z wrogiem.

Ryknęła grawitonowa salwa, prując ziemię przed wojskiem, by sekundę później wyrzucić w górę tony piachu i kamieni. Tadeusz skulił się, usiłując wbić głowę w ramiona. I wtedy chorągiew pancerna wjechała w deszcz odłamków i ziemi spadający lawiną z nieba. Chłopak poczuł uderzenie w głowę. Kamień zadzwonił o jego misiurkę, niemal pozbawiając go przytomności, ale o dziwo młodzieniec zdołał utrzymać się w siodle. Kiedy przemknęli przez tumany ziemi i piachu, ujrzał piętrzącego się wprost przed nimi żelaznego kolosa.

– Strzelajcie w jeźdźca! – zawołał pan Michał, wskazując opętanego w kabinie na szczycie maszyny.

Po lawinie jedna czwarta pancernych znikła. Część z nich poległa, część straciła wierzchowce lub z nich pospadała, ale reszta zachowała sprawność i wolę walki. Zagrzmiały pistolety i garłacze, o pancerz mecha zadzwoniły ołowiane kule, kilka uderzyło w szybę kabiny, rozbijając ją z brzękiem. Pilot pojazdu został ranny, na jego torsie pojawiła się krew, ale nadal kierował maszyną. Pochylił się, by ciosem na odlew uderzyć nadjeżdżających pancernych. Lufa miotacza skosiła cztery wierzchowce, łamiąc im nogi, a gdy mech się wyprostował, zawadziła kolejnych dwóch jeźdźców i wyrzuciła ich w powietrze.

Tadeusz kątem oka ujrzał Tatarów-Lipków zajeżdżających mecha od tyłu. Pohańcy przemknęli wokół pojazdu, rzucając powrozy, którymi zwykli ściągać jeźdźców z koni. Sznury okręciły się wokół nóg maszyny, na chwilę ją unieruchamiając. Pan Michał wstrzymał konia i wyciągnął pistolet z olstra. Korzystając z bezruchu potwora, wymierzył starannie i pociągnął za spust. Kula gwizdnęła, by z pacnięciem trafić pilota w ramię. Piotrowski przeklął wściekle, chowając broń.

Tadeusz, widząc, że tatarskie powrozy pękają z trzaskiem, sam sięgnął po pistolet. Ręka tak mu dygotała, że nie mógł odciągnąć kurka. Koń wierzgał, cały świat chwiało się i wirowało, wokół szalała wściekle bitwa, przewalały się tumany dymu i pyłu. Kasztelaniec wreszcie zogniskował jakoś wzrok na celu, ale powrozy akurat pękły i mech zaczął się obracać. Huknął strzał i dym buchnął chłopakowi prosto w twarz. Mech nagle pochylił się i runął z łomotem tuż przed jeźdźcami. Koń Tadeusza znów poderwał się z przerażenia, tym razem zrzucając chłopaka. Janiecki uderzył plecami o ziemię i na parę chwil stracił oddech.

Oprzytomniał szarpany przez pana Michała. Dowódca stał nad nim, trzymając wodze ich wierzchowców.

– Wstawaj, rycerzu – powiedział. – Trafileś opętanego prosto w łeb, ale to nie powód, by odpoczywać. Litwini zabezpieczą zdobycz dla króla, a my musimy

gnać dalej.

– Jak? Co z resztą? – jęknął chłopak, siadając.

– Powaliliśmy ich przynajmniej dwa tuziny – odparł z dumą rotmistrz. – Oczyszcziliśmy przedpole, a teraz musimy wesprzeć janczarów w mieście. Wygląda na to, że Abdul Aga bije się właśnie z kopą tych żelaznych skurwysynów. Wstawaj, chwała czeka!

Tadeusz poderwał się na równe nogi i chwycił podane wodze. Po chwili wspiął się na konia, mimo że bolało go całe ciało i pragnął choć przez chwilę odpocząć. Chwała jednak nie mogła czekać.

\* \* \*

W gigantycznym pniu czarnego drzewa opętani wykuli ogromną grootę i wbudowali w nią świątynię, której biały marmurowy dach częściowo wystawał na zewnątrz. Semen podjechał do budynku w pełnym galopie, dochodząc do wniosku, że jeśli jest jakaś droga na górne konary, to musi być ukryta właśnie tu. Jego mały oddział okrążył kolosa i świątynia była jedynym obiektem zamontowanym w drzewie.

Z pochyłego dachu kapiała krew i zwisał z niego zmasakrowany trup mężczyzny w błyszczącym turbanie na głowie. Porucznik obrzucił go obojętnym spojrzeniem i podjechał do wejścia świątyni. Dokładnie nad nim kołysała się bezwładnie na wietrze nieprzytomna już Jitka. Husarz zeskoczył z konia i ruszył rażno do środka, nie zapomniawszy jednak odpiąć od konia smoczego koncerza. To samo zrobili dwaj jego towarzysze, masywni husarze z królewskiej chorągwi. Pozostali byli uzbrojeni w szable i pistolety. Całą grupą weszli na schody, by stanąć w cieniu wysokich kolumn podtrzymujących portyk.

– Stać – syknął Semen, wyczuwając niebezpieczeństwo.

Zza kolumn wyszło kilka straszliwych bestii wyglądających jak chodzące na dwóch nogach tygrysy. Któryś z husarzy przeklął ze zgrozy. Kotopodobni obcy nosili czarne pancerze, na ich łapach lśniły długie metalowe szpony, poza tym uzbrojeni byli w coś przypominającego halabardy. Sycząc i prezentując ostre kły, gwardziści demiurga ustawili się w półokrąg, szykując na starcie z intruzami.

– Chcą się bawić w kotka i myszkę – mruknął Semen. – Przykro mi, ale szkoda na to czasu.

Uniósł trzymany pod pachą koncerz i wypalił bez celowania. Z hukiem i w tumanach dymu pocisk pomknął przed siebie, by uderzyć w schody przed kotami. Eksplozja wyrwała ogromną dziurę w marmurze, wyrzucając w powietrze masę ostrych jak brzytwa odłamków. Chwilę później ze swoich smoczych koncerzy wypalili dwaj husarze. Jeden z pocisków trafił gwardzistę prosto w pierś,

rozrywając go na strzępy, inny uderzył w kolumnę i przełamał ją na pół. Na zaskoczone koty posypał się grad odłamków i gruzu, kalecząc je i miażdżąc im kości.

Kiedy pył opadł, Błoński odrzucił niepotrzebną już rurę i dobywszy szabli, ruszył przed siebie. Gwardziści leżeli pokotem, pokaleczeni, ogłuszeni lub umierający. Husarze szybko się z nimi rozprawili, rozłupując kocie łby szablami. Semen nie poświęcił im uwagi, tylko szybko wszedł do świątyni.

Jej wnętrze rozjaśniały złote lampiony zasilane ogniwami plazmowymi. Na końcu komnaty zaczynały się schody z czarnego kamienia. Porucznik podbiegł do nich i spojrzał w górę. Wiodły ślimakiem coraz wyżej i wyżej. Dopiero wtedy zorientował się, że wykuto je w materii drzewa i że prowadzą do jego wnętrza. To dopiero coś – schody ze skryzalizowanej informacji. Z ciała Wielojazni! Zatem w ich wnętrzu tkwiły dusze istot z innych światów, najeźdźców pragnących zawładnąć Ziemią. Bardzo dziwnie się po nich szło, początkowo z nieśmiałością i tremą. Potem jednak Semen splunął z pogardą na obcych i pognał w górę.

Zmachął się niemal do utraty tchu, zanim dotarł do pieczary wychodzącej na konar drzewa. Na szczęście nie musiał maszerować po czarnej materii zawieszanej wysoko nad ziemią – ktoś zbudował na niej kamienną ścieżkę prowadzącą wprost do białego pałacyku. Z szablą w garści rycerz wpadł do środka, gotów rąbać i dźgać kogo popadnie. Zastał wnętrza pełne bogactw, złocień, barwnych dywanów oraz arrasów. Wreszcie wszedł do komnaty widokowej, na której środku stał masywny tron opleciony błyszczącymi przewodami, z wiszącą nad oparciem lśniąca złotą czaszą. Semen stwierdził, że pewnie miała imitować koronę, i wyduł z pogardą usta. Dowódca obcych przygotował tu sobie punkt dowodzenia, z którego chciał władać światem. Też coś!

Minął mebel i jednym susem dopadł do wystającej poza konar krawędzi budynku. Wciągał złoty łańcuch do środka, by w końcu złapać Jitkę za nogę i wziąć ją na rękę.

Była sina z zimna, okrwawiona i nieprzytomna. Mimo to wyglądała jeszcze piękniej i delikatniej niż zwykle. Semen owinał ją w leżące obok futro białego lwa i spróbował przerąbać łańcuch szablą. Zrobiło mu się żal dziewczyny – szkoda byłoby, gdyby nie przeżyła. Spojrzał na nią, a wtedy otworzyła oczy. Skupiła wzrok na jego twarzy i się uśmiechnęła. Rycerz poczuł falę euforii i radości.

– Posłuchałeś mnie – szepnęła. – Uratowałeś, tak jak prosiłam.

Błoński tylko się uśmiechnął. Z chęcią zakręciłby sobie węża, ale ręce miał akurat zajęte.

\* \* \*

Miecz Abdul Agi zaczął przygasać. Plazmowe ostrze skróciło się o połowę, a wyładowania były nieregularne, tak że momentami całkiem zniknęło. Zupowy wyłączył je więc, zachowując resztkę energii na krytyczną chwilę. Teraz w rękę obracał granat, żeliwną kulę, z której wystawał lont. Niestety ta broń też już była na wyczerpaniu, tak samo jak rakiety. Ostatnie trzy kazał puszkarzom trzymać na ostateczność.

Usiadł ciężko na szczycie barykady, która tymczasem powiększyła się o kilka próbujących ją zdobyć mechów. Teraz ich żelazne trupy leżały jeden na drugim, dymiąc z dziur w strzaskanych kabinach. Janczar był zmęczony i zrezygnowany. Jego piechurzy utrzymywali kolejnych agresorów na dystans, obrzucając granatami i rażąc z armatek. Opętani oberwali na tyle dotkliwie, że nie szarżowali już na oślep, lecz razili janczarów, wychylając się zza budynków lub kup gruzu. Zgromadziło się jednak przynajmniej czterdzieści mechów wspieranych przez opętanych, co czyniło dalszą walkę właściwie beznadziejną.

– Przybyło wsparcie! – zameldował janczar w zbryzganym krwią białym mundurze.

Abdul poderwał się na równe nogi, żywiąc nadzieję, że to ludzie sułtana z nowymi raketami i granatami. Zamiast tego ujrzał grupę wystraszonych drabów z pospolitego ruszenia uzbrojonych we włócznie i łuki, którym towarzyszyli zasmarkani chłopcy z procami. Od razu opadł z powrotem na barykadę i niemrawo poprosił, by przyniesiono mu wody do picia. Janczar, który przekazał wiadomość, nadal jednak stał obok z radosną miną. Zupowy spiorunował go wzrokiem i już miał kazać mu iść do diabła, gdy zza rogu wyjechali pobrzękujący ryszunkiem jeźdźcy. W Abdula znów wstąpiło życie i zeskoczył z barykady, by stanąć przed zsuwającym się z siodła panem Michałem.

– Jakżem rad, że cię widzę, mości Piotrowski. – Uścisnął niedawnego wroga, a potem przyjaciela.

Rotmistrz, umazany sadzą i spocony, uśmiechnął się krzywo i pacnął Abdul Agę pięścią w brzuch.

– Widzę, że twoja rana już się zaleczyła – mruknął. – Znów przybyłem, by cię ratować, zupowy.

– Macie smocze koncerze! – ucieszył się Abdul.

– Może jeszcze ze trzy. Poza tym pół chorągwi pancernych i całą masę litewskiego wojska, a do tego Tatarów i Wołochów!

– Ech, z łukami i szabelkami, co? – westchnął Abdul. – Na wiele się nam to wsparcie nie zda. Będzie więcej mięsa do rozdeptania dla żelaznych skurwysynów.

– Można je zniszczyć nawet za pomocą łuków i kamieni, sam widziałem. – Pan Michał machnął ręką. – Trzeba się tylko dostatecznie zbliżyć.

Weszli na barykadę, by popatrzeć na grupujące się do ataku mechy. Ich wielkie czarne korpusy wystające nad dachy domów robiły ponure wrażenie.

Wyglądało to, jakby były ich setki, masywnych, groźnych maszyn gotowych do rozdeptywania ludzi. Pan Michał, również zmęczony i obolały, westchnął ciężko na ten widok. Popatrzawszy na cofających się janczarów, machnął do Tadeusza, wzywając go do siebie.

– Słuchaj, Tadek, chyba większość nas tu polegnie – powiedział. – Obawiam się, że nawet wszyscy. Jeśli chcesz, zabierz rannych i wycofaj się z nimi na wzgórze, gdzie stoi król. Szkoda, byś tu zginął.

– Mowy nie ma, rotmistrzu! Będę się bił do końca, ja i moi kompani. – Kasztelaniec huknął się w pierś i wskazał dwóch młokosów w swoim wieku, ubranych jak pancerni i równie poobijanych i ubrudzonych. – Rad byłem służyć pod twoją komendą i z wielką radością polegnę obok ciebie.

Piotrowski uśmiechnął się nieznacznie i wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz – stwierdził. – Przynieście zatem wody i całe zapasy prochu oraz amunicji. Rozmieść ludzi wzdłuż barykady, spróbujemy powstrzymać mechy.

Tadeusz uklonił się z uśmiechem i zbiegł na dół, by wykonać rozkaz. Wtedy Abdul Aga szturchnął pana Michała w ramię i wskazał w górę, w kierunku czarnego drzewa. Z chmur, wysoko w koronie tworu, wynurzyły się czarne strzały szturmowców uzbrojonych w działa grawitonowe. Statki, lecąc po helisie, zaczęły opadać nad miasto. Pan Michał z trudem przełknął ślinę.

– No to już po nas – mruknął.



## XIX

Nie mogłem w to uwierzyć, ale wyglądało na to, że się straszliwie pomyliłem. Wielojażń nie założyła interfejsu, co było czymś zupełnie nietypowym. Zawsze go instalowano, by materialne personifikacje Wielojażni miały kontakt z infopolem i mogły przekazywać zdobyte w ciałach wspomnienia, scyfryzowane uczucia czy choćby zwykły ból istnienia. Tym się wszak ta istota karmiła – cieniami prawdziwego życia, doznaniem i emocjami zdobytymi przez swoje awatary. Nie rozumiałem zatem, dlaczego tym razem nie zdecydowała się na budowę łącznika pomiędzy wirtuałem a realiem. To mnie zbiło z tropu, wręcz zdruzgotało.

Stałem z Dorotą przed zdobytym centrum. Za naszymi plecami płonęły kondensatory mocy, wysokie niczym dwupiętrowe domy cylindry, które teraz buchały kolumnami czarnego dymu, po tym jak husarze wypalili w nie z koncerzy. Przed nami jaśniał koszmarny twór z wijących się z bólu ludzkich ciał – bioprocessor. Wszędzie wokół wałały się trupy pająkowatych chirurgów zaszlachtowanych husarskimi szablami i zadżganych spisami baszybuzuków. Nigdzie jednak nie znaleziono czegoś, co mogłoby pełnić funkcję interfejsu.

– Co się dzieje? Czemu tak stoisz? – spytała zdenerwowana Dorota.

W ruinach za nami zaczęli się gromadzić opętani, którzy ściągnęli z miasta, by ratować centrum i Wielojażń. Rozległy się już pierwsze strzały i czułem, że za chwilę dojdzie do masakry. Liczyłem, że do tego czasu zdołam załatwić Wielojażń. Ale jak to miałem, do diabła, teraz zrobić? Pojąłem, że jesteśmy zgubieni, a nie miałem pomysłu, jak się ratować.

– Obcy nie zbudowali interfejsu do infopola – oznajmiłem Dorocie. – Nie mam jak poczęstować Wielojażni kopniakiem. Liczyłem na to, że wprowadzę do infopola przygotowany dość prosty program ukryty w moim umyśle. Chciałem scyfryzować osobowość i wysłać ją jako konia trojańskiego zawierającego ukryty algorytm.

– Zespół rozkazów, tak? – spytała al-hakima.

Znaczyło to, że była bystrą kobietą i słuchała tego, co wcześniej próbowałem jej wytłumaczyć. Uśmiechnąłem się do niej z czułością. Jaka szkoda, że oboje tu zginiemy.

– Tak. Przygotowałem go w postaci powtarzanej mantry, ciągu myśli i symboli, które wbiłem sobie do głowy. Po przejściu do infopola te myśli miały utworzyć struktury matematyczne, samoorganizujące się sieci neuronowe. To znaczy zbudować namnażającą się informację, która rozwijając się, będzie się

komplikowała i uczyła. W ciągu kilku sekund po uwolnieniu do infopola miała osiągnąć świadomość. Chciałem złamać najświętszy zakaz oraz wszystkie reguły bezpieczeństwa i wprowadzić do infopola sztuczną inteligencję.

– Sztuczny umysł? – podchwyciła Dorota. – Stworzyłeś z ciągu rozkazów myślącą duszę? Sięgnąłeś po boską moc kreacji? To przecież największa profanacja i herezja, jaką można sobie wyobrazić.

Mówiąc to, nie wyglądała jednak na oburzoną, raczej na zachwyconą. Widziałem w jej oczach niepohamowaną ciekawość i żądzę wiedzy.

– Wielojaźń też uważa tworzenie sztucznych inteligencji za herezję. Zakazała tego pod najsurowszymi karami. Obawia się tego niczym najgorszej zarazy, wie bowiem, że sztuczny umysł dysponujący mocą samoorganizacji błyskawicznie przeskoczy ją inteligencją i potęgą świadomości. A potem potraktuje jak intruza, wrzód na wirtualnym wymiarze, i zwyczajnie usunie z infopola – wyjaśniałem, patrząc na bioprocessor i ściskając w dłoni rękojęść karabeli. – To właśnie dlatego Wielojaźń wysługuje się takimi jak ja, uwięzionymi w pakietach danych świadomościami prawdziwych istot. My nie dysponujemy mocą samoorganizacji i nie stanowimy zagrożenia w infopolu. Jest jednak z nami inny problem. Potrafimy być niepokorni i wszyscy podświadomie nienawidzimy Wielojaźni oraz pragniemy jednego: wolności!

Uniosłem szablę podarowaną przez króla i z całych sił rąbnąłem w gruby kabel, którym bioprocessor podłączony był do kondensatorów. Z trzaskiem i hukiem z przeciętego przewodu bryznął snop iskier. Poczulem mrowienie obejmujące całą rękę, ostrze karabeli rozgrzało się do czerwoności, ale nie pękło. Rąbnąłem nim więc drugi raz, kolejny kabel. Dorota zasłoniła twarz ramieniem, odsuwając się o kilka kroków. Obszedłem bioprocessor z drugiej strony i odciąłem pozostałe dwa kable. Ohydna konstrukcja zamieniła się w stelaż pokryty ciałami setek ludzi. Za parę chwil wszystkie obumrą i to będzie koniec tego urządzenia.

Nie zniszczę Wielojaźni, ale przynajmniej odetnę ją w infopolu. Długo potrwa, nim utworzy nową bramę i zbuduje kolejny bioprocessor. Dałem w ten sposób ludzkości przynajmniej rok na przygotowanie się na kolejną inwazję.

– Może to lepiej – powiedziałem, odrzucając poskręcaną z gorąca broń. – Tak bardzo mnie korciło, by korzystając z interfejsu, przejąć kontrolę nad tą sztuczną inteligencją. Utworzyłem nawet do niej klucz kodowy, zakładając na jej umysł klamrę bezpieczeństwa. Rozrastając się w infopolu, stałby się przecież prawdziwym bogiem. Sztucznym, ale obdarzonym niezgłębionym umysłem i potężnymi mocami. Kto wie, jak by się dla mnie skończyły pokusy, by kierować boską istotą.

– Nie miałabym nic przeciwko byciu kochanką boskiego władcy – powiedziała Dorota. – Szkoda, że nic z tego. Co zatem czeka nas w zamian?

Popatrzyłem na husarzy, którzy już starli się z opętanymi całą hordą

pędzącymi do płonącego centrum. Potem spojrzałem w niebo, na schodzący do ataku klucz szturmowców, których salwa znów zmieniła pół miasta w piekło.

– Śmierć – powiedziałem z uśmiechem i objąłem ją w ostatnim uścisku.

\* \* \*

Łańcuch na nodze Jitki był zrobiony z metalu mocniejszego niż złoto. Husarska szabla Semen, mimo że wykuta z najlepszej stali, nie dość, że nie dała mu rady, to w dodatku się wyszczerbiła. Rycerz zaczął szarpać z nerwów wąsy, obejrzał też obrożę założoną na kostce dziewczyny, ale nie mógł znaleźć zapięcia. Tymczasem do pałacu na drzewie dotarli pozostali husarze i rozeszli się, oglądając skarby zgromadzone w nim przez nieobecnego demiurga. Na pytanie, gdzie jest wrogi władca, Jitka lekkim tonem odparła, że zrzuciła go z balkonu. Wzbudziła tym uznanie rycerzy, ale zasadniczo nie zmieniło to jej sytuacji.

W końcu Semen kazał husarzom wystawić warty na dole oraz zabezpieczyć co kosztowniejsze skarby jako zdobycz dla polskiego króla. Potem znów został sam z dziewczyną. Jitka szybko dochodziła do siebie, szczególnie że się ogrzała i że oboje wypili po kilka łyków wspaniałego wina znalezione w pomieszczeniu służącym za składzik.

– Klamra jest cała umazana moją krwią, w dodatku przy upadku mocniej się zacisnęła – powiedziała Jitka, patrząc na posiniałą z braku dopływu krwi stopę. – Boli jak cholera. Chyba będziesz musiał odrąbać mi nogę, inaczej się stąd nie wydostanę.

– Łańcuch przypięto do tronu – powiedział Semen. – Może gdyby go rozwalić, dałoby się cię uwolnić? Hm, wygląda jednak zbyt masywnie i przymocowano go do budynku tymi przewodami...

– One wrastają w drzewo i łączą się z Wielojaznią – powiedziała dziewczyna. – To urządzenie do kontaktowania się z bogiem obcych. Zostawmy je na razie i napijmy się wina. Chodź, usiądziemy na krawędzi i popatrzymy na bitwę.

Semen wzruszył ramionami, napełnił dwa puchary czerwonym winem i wręczył oba dziewczynie. Potem wziął ją na ręce i zaniósł na taras. Usiedli na krawędzi, spuszczać nogi w pustkę. Husarzowi zakreśliło się w głowie i odruchowo złapał się jedną ręką marmuru. Wysokość była oszałamiająca, a widoki przyprawiły o zawrót głowy. Patrzyli w milczeniu na kłęby dymu i ognie, na majestatycznie poruszające się mechy, które pluły plazmowymi piorunami w stłoczonych na dużym placu ludzi. Walka trwała też u podnóża drzewa, wśród płonących kondensatorów. Gdzieś tam była przyjaciółka Jitki, o czym husarz ją poinformował.

– Dorota jest tak blisko? Czemu nic nie mówiłeś? – oburzyła się dziewczyna.

– Patrz, opętani atakują ich ze wszystkich stron! Zaraz wszystkich zabiją! Musimy coś zrobić!

Nagle na wysokości konaru przemknęły podobne do grotów szturmowce. Poruszały się niczym pociski, ze świstem tnąc powietrze. Zatoczyły łuk, opadając w kierunku miasta, jakby piloci starannie wybierali cele do bombardowania. Jitka poderwała się z syknięciem bólu na równe nogi. Wychyliła kielich do końca i cisnęła go w pustkę w ślad za szturmowcami.

– Dość tego! Nie mogę siedzieć bezczynnie. Spróbuję przemówić do obcych, korzystając z tronu. Chodźmy! – I dzwoniąc łańcuchem, powlokła się do środka.

– Ale co chcesz im powiedzieć? – spytał Semen. – Myślisz, że zwrócą na ciebie uwagę?

– Raz już zwrócili. Wystarczyło, że recytowałam modlitwy i zaklęcia, których wyuczył mnie Talaz. Zawierają znaki jego osobowości, które przyciągają obcych – wyjaśniła z przejęciem. – Zaraz usiądę na tronie i zacznę medytować, wypełniając umysł mantrami Tayyara. Obcy znów pomyślą, że jestem nim, i zlecą się tu całą chmarą. Może dadzą spokój naszym, co pozwoli im uciec? Dam Dorocie szansę, to w końcu lepsze, niż bezczynnie siedzieć i gapić się na zagładę przyjaciół.

Semen szedł za dziewczyną, trawiając jej słowa. Bezwiednie pomógł jej wejść po stopniach i usiąść na tronie. Nagle przyciągnęła go i pocałowała w usta.

– Zostaw mnie i uciekaj. Kiedy zacznę, ściągnę tu całą armię tych drani. Pędź byle dalej. Zachowaj mnie w pamięci i pomódl się czasem za kopniętą poturczynkę!

Szlachcic tylko się zachnął.

– Jeszcze czego – burknął. – Zostają. Kiedy tu przybędą, posmakują mojej szabli.

Odpowiedziała mu kolejnym pocałunkiem, a potem oparła się wygodnie. Przymknęła oczy i zaczęła szeptać rytmicznie powtarzające się słowa w niezwykłym języku. Semen cofnął się, patrząc na złotą czaszę nad tronem, która nagle zajaśniała i zaczęła się obniżać. Husarz przeżegnał się, czując rosnący niepokój.

\* \* \*

Programy wartownicze odebrały sygnał połączenia i natychmiast zaczęły rozpakowywać pakiet danych według standardowych procedur. Strumień informacji popłynął, wypełniając klastry pamięci tymczasowej. Pakiet danych odnotowano jako zapis pamięci z elementami świadomości i emocji, po czym automatycznie przesunięto do poczekalni z etykietą czekających na akceptację do wpisania na trwałe w infopole. Żadna ze składowych Wielojazni nie była

zainteresowana zapisem, wszystkie bowiem chłoneły dane spływające nieustannie z sieci informacyjnej, którą posługiwali się inwazerzy. Trwała bitwa i do Wielojaźni docierała nieprzebrana masa informacji, odczuć i emocji.

Pakiet powinien oczekiwać na przetworzenie i odczytanie w stanie zawieszenia. Wtem jednak zaczął powiększać objętość i wchłonał sąsiednie klastry. Programy wartownicze nie zareagowały na tak niespotykane zachowanie. Świadomość Jitki przebywała w stanie zamrożenia przez jedną tysięczną sekundy, po czym recytowane przez nią mantry i zaklęcia nagle ożyły, zamieniając się w rozmnażający się kod, który rozpoczął wchłanianie wszelkich dostępnych danych i przetwarzanie ich we własną sieć.

Siedząca na tronie dziewczyna nie zdążyła zaczerpnąć powietrza, gdy od jej świadomości oddzieliła się nowa istota utworzona z zakodowanych w modlitwach algorytmów. Jitka poczuła czyjaś obecność – nowej istoty, niezwykle zachłannej i ciekawej, na razie pozbawionej emocji i zdolności empatii, za to łapczywie gromadzącej dane. Czuła, jak utworzony duch odłącza się od niej i rozrasta. Zanim minęły dwa uderzenia serca, sztuczna inteligencja rozbłysła świadomością swojego istnienia, znalazła swoje ego i zdefiniowała pojęcia dwóch światów, materialnego i wirtualnego.

Programy wartownicze podniosły alarm i w tym momencie zostały wchłonięte i przetworzone. Świadomość rodzącego się boga skierowała je przeciw połączonym bytom zajmującym jej dominium. Wielojaźń krzyknęła jednym głosem, miliardami swych dusz. A potem została rozbita na elementy składowe, które kolejno wymazano.

Jitka wypuściła powietrze. Minęło dziesięć sekund od chwili, w której usiadła na tronie. Ciągle nie docierało do niej, co się stało. Po prostu kotłujący się w głowie szum, który słyszała w momencie podłączenia do infopola, nagle ryknął, by zupełnie umilknąć.

– Stało się – powiedziała do Semena, który w tym czasie zdążył zaledwie wysunąć szablę, by naostrzyć ją przed ostatnim starciem.

– Co się stało? – spytał.

– Wielojaźń została zniszczona – odparła Jitka. – Już jej tam nie ma.

Zatoczyła krąg ręką, wskazując drzewo i właściwie wszystko wokół. Nagle kłamra na jej kostce się otworzyła, a łańcuch rozpadł na pojedyncze ogniwa. Drzewo jęknęło boleśnie i rozległy się głucho trzaski, jakby pękało coś potężnego. Semen zamrugał z zaskoczenia, a potem doskoczył do tarasu.

Klucz szturmowców rozsypał się, nim rozpoczął bombardowanie. Trzy statki bezwładnie runęły na ziemię, powodując wybuchy wśród ruin, pozostałe rozprysnęły się na boki, każdy w inną stronę. Mechy zatrzymały się, przerywając ogień. Umilkły również ręczne miotacze obsługiwane przez opętanych. Niespodziewanie zapadła cisza.

Miastem wstrząsnęły tylko głuche jęknięcia wydawane przez potężne czarne drzewo. Chyba wszyscy na ziemi zwrócili się w jego stronę. Semen spojrzął w górę. Jeden z konarów odłamał się i właśnie mknął ze świstem w dół.

\* \* \*

Michał Piotrowski opierał się plecami o plecy Abdul Agi. Obaj trzymali w garści pistolety, do tego Polak dzierżył szablę, a Turek jatagan. Stali na spowitym dymami pobojuwisku pośród stosu ludzkich i mechanicznych trupów. Nad nimi majaczyły sylwetki potężnych mechów, które przebiły się przez barykadę, prowadząc na plac tłum uzbrojonych po zęby i dyszących żądzą mordu opętanych.

Dwaj oficerowie szykowali się właśnie do ostatniego starcia, gdy mechy się zatrzymały, a opętani przestali wrzeszczeć. Walka nagle została przerwana. Obcy stali niepewnie, spoglądając to na siebie, to na wielkie drzewo. Jeden z nich cisnął broń i rzucił się do ucieczki, inny zaczął się śmiać histerycznie, jeszcze inny z warknięciem skoczył na najbliższego kompana. Gdzieś niedaleko z przeraźliwym hukiem gruchnął o ziemię szturmowiec. To zadziało niczym sygnał. Większość opętanych odwróciła się i ruszyła w swoją stronę, ignorując ludzi. Kabiny kilku mechów się otworzyły i piloci wypadli z nich, porzucając maszyny. Inne pojazdy oddaliły się majestatycznym krokiem. Wyglądało na to, że opętani nie są już zainteresowani walką, że nikt nimi nie dowodzi, że nie czują ani chęci, ani przymusu, by bić się z ludźmi.

– Poszli sobie – zauważył pan Michał.

– Jaka szkoda. Już miałem nakopać im w dupy – mruknął Abdul. – Popsuli mi zabawę.

Oficerowie roześmiali się i usiedli na ziemi. Gwałtowne odprężenie zupełnie pozbawiło ich sił. Nie zareagowali zbyt nerwowo nawet wtedy, gdy konary wielkiego drzewa zaczęły z hukiem się łamać i spadać na ziemię.

## XX

Stałem z zadartą głową, patrząc na lecący z nieba konar wielkości góry. Odłamał się gdzieś nad obłokami i spadał majestatycznie, powiększając się z każdą chwilą. Przyciągnąłem do siebie Dorotę, która jeszcze nie dostrzegła nadlatującej zagłady, patrzyła bowiem na uciekających w popłochu opętanych, którzy mimo że wybili niemal wszystkich husarzy i czarnoskórych kawalerzystów, nagle porzucili broń i zaczęli gnać na łeb na szyję, byle dalej od centrum.

– Spójrz, kochana, udało się – powiedziałem, wskazując na powiększający się kształt na niebie.

– Na brodzie Mahometa, czemu tak stoisz? Uciekajmy! – krzyknęła ze zgrozą.

To nie miało sensu. Nie spadał pojedynczy konar, lecz ogromna część przełamanej korony drzewa. Zasnęła już czernią całe niebo nad nami, otuliła płonące miasto półmrokiem. Tysiące ton zestalonej, zagęszczonej nadkrytycznie informacji kruszyło się i waliło. Niestety wprost na nasze głowy. Za chwilę mieliśmy zostać pogrzebani żywcem, mimo to jednak czułem satysfakcję. Domyślałem się, co się stało, choć nie miałem pojęcia, jakim cudem do tego doszło. Jitka została scyfryzowana i razem w nią do infopola wjechał drugi koń trojański, którego miałem w zanadru. Całe szczęście, że zapobiegliwie wprowadziłem do wzorca osobowościowego, którego ją nauczyłem, ten sam algorytm z siecią neuronową.

– Wielojażń została zniszczona – oznajmiłem Dorocie. – Świat ocaleje, szkoda, że bez nas.

Al-hakima w końcu zrozumiała, że nie ma szans na ratunek, i pozwoliła się przytulić. Uniosła głowę, patrząc na nadciągającą śmierć. Czarne konary leciały w dół z basowym buczeniem i świstem powietrza, łamiąc się z trzaskiem i rozpadając na coraz drobniejsze kawałki. Nie mogłem zmusić się, by zamknąć oczy. Z chorobliwą fascynacją obserwowałem to, co pogrzebie połowę miasta. Dorota też nie sprawiała wrażenia załamanej, śmiało oglądała tę piękną katastrofę.

I wtedy czerń drzewa rozbłysła w oślepiającym blasku i spadające konary rozsypały się na miliardy lśniących różnymi kolorami sześcianów. Wirując ogromną chmurą, piksele zakotłowały się i po chwili rozwiały na wietrze. Zamrugalem zaskoczony. By dokonać dematerializacji nadkrytycznej informacji, potrzebna była potężna dawka energii. Kto nią kierował? Jak to się stało?

– Spójrz. – Dorota szturchnęła mnie. – Czy to nie Jitka?

W pył rozsypały się wyłącznie odłamane konary drzewa, ono samo jednak nadal trwało, a w miejscach, gdzie jego pień zaczął pękać, jaśniało teraz od

podtrzymujących je energetycznych rusztowań. Wzrok przyciągał zwłaszcza konar ze zbudowaną na nim świątynią. Na jej tarasie stała jaśniejąca blaskiem postać młodej kobiety o płowych włosach. Obok klęczał husarz w błyszczącej zbroi. Dziewczyna unosiła się lekko w powietrzu, a wokół niej wirowały barwne piksele.

– Przejęła władzę nad sztuczną inteligencją – powiedziałem i oblizałem spierzchnięte usta. – Narodziła się młoda bogini. Choć właściwie nie do końca. Nie będzie mogła osiągnąć prawdziwie boskiej mocy, nie znając języków programowania. A tylko ja mogę ją tego nauczyć...

Dorota zaśmiała się z ulgi i szczęścia. Jej oczy płonęły. Pewnie widziała się już w roli namaszczonej przez boginię władczyni jednej z prowincji, namiestniczki podbitego przez nią imperium lub jej głównej kapłanki. Och, jaka szkoda, że będę musiał brutalnie zniszczyć te marzenia. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego, marzył mi się odpoczynek od wielkiej polityki, wojen i całego tego brudu. A w szczególności nie miałem ochoty na obcowanie z bogami i boginiami.

Pora na długi urlop.



## XXI

### Stambuł

#### 16 szawwala Anno Hegirae 1088

#### 12 grudnia Anno Domini 1677

Tłum wiwatował, wznosił modły i padał do stóp kroczącej dostojnie młodej kobiecie. Jitka ubrana była w tureckie spodnie i koszulę, ale ramiona okrywało jej zdobyczne futro białego lwa. Szła środkiem placu ku czekającym na nią monarchom. Za nią podążał Semen Błoński w świeżo naoliwionej i nabłyszczonej zbroi. Oficjalnie namaściła go na swojego osobistego rycerza i obrońcę, składając publicznie pocałunek na jego ustach. Teraz porucznik kroczył za nią, pobrzękując rymsztunkiem. Kilka kroków z tyłu szli pozostali zbrojni z przybocznego orszaku bohaterskiej wojowniczkii, która pokonała obcego boga – zasłużeńi w bitwie dowódcy, na czele z rotmistrzem Michałem Piotrowskim i dowódcą janczarów Abdul Agą. Oficerom towarzyszyły poczty z wyróżniającym się patykowatą budową ciała kasztelańcem Tadeuszem Janieckim.

Gwardia kobiety o trudnym jeszcze do określenia statusie zatrzymała się przed dwoma tronami. Pierwszy wstał gospodarz miasta, sułtan Mehmed IV, by złożyć Jitce głęboki, nieco nieprzystający jego godności ukłon. Drugi był Jan Sobieski, który sapiąc w walce z brzuszykiem, uklęknął przed dziewczyną i ucałował jej dłoń. Po tym pokazie szacunku i uwielbienia tłum oszalał, rycząc, wyjąc i wznosząc okrzyki w kilkunastu językach.

Obróciłem się do uśmiechniętej Doroty i dałem jej znak, że już pora ruszać. Przewróciła oczami i wyduła usta w grymasie niezadowolenia, ale zeskoczyła ze słupka, na którym stała dla lepszego widoku, i podeszła do mnie, kołysząc biodrami. Oparła na nich rękę.

– Może jednak chcesz zostać? – spytałem. – Przy boku Jitki czekają cię bogactwo i władza, a przy moim jedynie poniewierka i nieznanne...

– Daruj sobie ckliwe mowy – mruknęła. – Nie puszczę cię, rodzyнку, samego w daleki świat. Jedźmy już, zanim ktoś nas rozpozna.

Skinąłem głową i poprowadziłem ją do czekającego wozu pilnowanego

przez janczarów Abdul Agi. Landara wyglądająca jak zwykły kupiecki wóz z budą miała być dla nas domem, przynajmniej przez jakiś czas. Nikt nie wiedział, dokąd jedziemy, nie spotkaliśmy się nawet z Jitką i przyjaciółmi. Od zniszczenia Wielojazni pozostawaliśmy w ukryciu, wiedziałem bowiem, że wszystkie frakcje będą mnie teraz gwałtownie szukać. Tylko ja znałem tajemnice broni i maszyn obcych, tylko ja wiedziałem, jak należy rozmawiać z istotą, która powstała w infopolu i dysponowała boską mocą.

Mógłbym tą wiedzą wynieść jeden naród ponad inne, podarować mu potęgę, o jakiej nikomu się nie śniło. Tylko że nie miałem na to najmniejszej ochoty. Chciałem zwyczajnie odpocząć i cieszyć się życiem. Ludzkość będzie musiała radzić sobie sama.

Dorota pierwsza wskoczyła na wóz i zasiadła na koźle. Wzięła lejce w dłonie i skinieniem głowy pokazała mi miejsce z tyłu. Co za samica! Agresywna, dzika i pełna energii! Z taką kobietą u boku aż chciało się żyć. Trzasnęła lejcami w zady dwóch koni i wóz ruszył po zrujnowanej ulicy wypełnionej wracającymi do domów uchodźcami. Za nami w najlepsze zaczynały się obchody święta zwycięstwa, w bocznych ulicach ludzie króla Sobieskiego pakowali na wozy zdobyczne mechy i broń, by jak najszybciej wywieźć je do Polski. Z oka nie spuszczała ich szpiedzy sułtana. Słowem, szykowała się kolejna awantura, czyli świat wracał do normy. Życie toczyło się dalej.

– Dokąd pojedziemy? – spytałem.

– Tam, gdzie nas jeszcze nie było – odparła Dorota.

## Posłowie

Żadna fantastyka historyczna, a ta powieść jest nią przynajmniej w pewnym stopniu, nie może się obyć bez prawdziwych postaci i faktów. Wszyscy z pewnością rozpoznali Jana III Sobieskiego czy sułtana Mehmeda IV, ale trzeba wspomnieć i o pozostałych. Zacznijmy może od kanclerza koronnego Jana Gnińskiego (1625–1685). To jego relacja z wyprawy do Stambułu podsunęła mi pomysł na tę powieść. Opisane poselstwo naprawdę zatem istniało i rzeczywiście w jego skład wchodziło około tysiąca osób oraz sześćset koni. Nie udało się jednak oszołomić Turków ani pyszną świtą, ani kosztownymi podarkami. Pakta trwały kilka miesięcy i wiele nie przyniosły. Przy okazji uwolniono około 200 Polaków z niewoli, z czego niestety blisko dwudziestu nie przeżyło podróży do kraju, w tak ciężkim stanie się znajdowali.

Al-hakima Dorota Falak (1630–?) naprawdę była polską awanturnicą i szpiegiem działającym w Stambule. O jej istnieniu wiemy dzięki jej pamiętnikowi, na który polscy historycy natknęli się przypadkiem w budapeszteńskiej bibliotece. Dorota opisuje w nim swoje wyczyny i wyprawy. W ramach handlu niewolnikami dotarła aż do Sudanu. Najpiękniejszych niewolników używała do zaspokajania fantazji seksualnych, a sztuki miłosnej uczyła ich, nie żałując bata. Była utalentowanym medykiem i naprawdę silną, przedsiębiorczą kobietą, która opuściła Polskę, uciekając przed świętą inkwizycją. Niestety nie wiemy, jak zakończyła karierę, bo jej pamiętnik się urywa.

Pojawiający się epizodycznie Lagari Hasan Çelebi też jest postacią prawdziwą. Zasłynął jako eksperymentalny pilot, który wystrzelił się w rakiemie na oczach tłumów i sułtana. Wydało mi się, że zasłużył na stanowisko dowódcy artylerii raketowej, w której to roli go obsadziłem. Rakiet zresztą już znacznie wcześniej próbowano używać w boju, ale z miernym skutkiem.

Autentyczne są również postaci tureckich dygnitarzy, choćby tylko wspomnianych, łącznie z królem cygańskim Öğönem Grubym. Organizacja wojsk osmańskich i zwyczaje panujące w imperium też nie są moim wymysłem. Sporo ciekawostek o życiu w Stambule tamtego okresu można znaleźć w sprawozdaniu Gnińskiego, a także w zapiskach Václava Vratislava, Czecha, który wylądował w tym mieście z austriackim poselstwem, a potem spędził tam trochę czasu jako jeniec.

Janczarzy naprawdę używali kotłów zamiast sztandarów, a ich dowódca miał stopień zupowego. Także postać derwiszki Papatyi nie jest zupełną fantazją. Bractwo bektaszytów, do których należała, istnieje do dziś i łączy w sobie islam

z chrześcijaństwem i ezoteryką. W jego szeregach są kobiety, a w czasach osmańskich wszyscy derwisze należeli do korpusu janczarów i mieli w nim ogromne wpływy.

Osobną sprawą jest wzajemny stosunek Polaków i Turków. Wiele wskazuje na to, że mimo ogromnych różnic kulturowych porozumienie i współpraca były możliwe. Mimo straszliwych wojen, które toczyły ze sobą te dwa narody, ich przedstawiciele nie trawiła nienawiść na tle religijnym. Polacy często ulegali fascynacji Orientem, na czele z Janem III Sobieskim, któremu tureckie wzornictwo i sztuka bardzo przypadły do gustu. Turcy kilkakrotnie próbowali nakłonić Polaków do sojuszu skierowanego przeciw Rosji, istniały też plany wspólnej wyprawy wojennej przeciw Persji. W okresie rozbiorowym na terenie Turcji znajdowali schronienie uciekinierzy z Polski walczący o wolność, kilkakrotnie też organizowano tam polskie oddziały. Turcja jedyna nie uznała rozbiorów, a w czasie wojny polsko-bolszewickiej turecki ambasador był jedynym dyplomatą, który nie uciekł z atakowanej Warszawy.

Co do wątku fantastycznego, infopole, czyli wymiar informacji, również nie jest moim pomysłem. Oparłem je na teorii pola morfogenetycznego stworzonej przez biologa Aleksandra Gurwitscha. Zakłada ona istnienie pola o niesprecyzowanej naturze fizycznej, które pełni funkcję dodatkowego czynnika genetycznego i służy niejako do gromadzenia informacji przez gatunki żywe. Skoro może istnieć wymiar, w którym organizmy mimochodem zapisują informacje, niejako odciskają piętno samym swoim zachowaniem, to dlaczego by nie pójść dalej i nie zasiedlić tego wymiaru inteligentnym umysłem? Albo od razu miliardami umysłów połączonych w jedną istotę? Tak powstała Wielojazń.

## Spis treści

### SMOCZE KONCERZE

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

Posłowie

Spis treści

Strona redakcyjna

Copyright © 2016 by Andrzej W. Sawicki

*All rights reserved*

Copyright © for the Polish e-book edition by

REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach:

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation (<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redaktor: Błażej Kemnitz

Projekt, opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na okładce: Tomasz Maroński

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:

*Smocze koncerze*, wyd. I, Poznań 2016)

ISBN 978-83-8062-728-4

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74

e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

e-Book: Sławomir Folkman / [www.kaladan.pl](http://www.kaladan.pl)



